

Wiktor Farkas

Ukryte rzeczywistości

Wiedza ezoteryczna - wyzwanie naszych czasów

Przywykliśmy już do tego, że wielu pojęć używa się, jak komu wygodnie. Jakże często słyszy się o miłości, wierności, przyjaźni, lojalności, moralności i temu podobnych sprawach i jak rzadko słowa te pokrywają się z rzeczywistością. Ale najbardziej lekkomyślnie nadużywane jest prawdopodobnie pojęcie tajemnicy. Czemuż to nie nadaje się rangi tajemnicy, gdy tymczasem największa ze wszystkich tajemnic stale nas otacza: jest nią świat. Przychodzimy na ten świat, dorastamy, wykonujemy różne zawody, przeżywamy chwile szczęścia i nieszczęścia, starzejemy się i znowu ten świat opuszczamy.

I wszystko załatwione, prawda? Niektórzy ludzie sądzą inaczej.

John Quincy Adams, osiemdziesięcioletni były prezydent USA, w 1848 r. spotkał na ulicy w Bostonie przyjaciela. „Dzień dobry - powiedział przyjaciel - jakże się dzisiaj miewa Quincy Adams?”

„Dziękuję - odrzekł były prezydent - John Quincy Adams ma się doskonale. Ale dom, który obecnie zamieszkuje, chyli się do upadku. Chwieje się, fundamenty się kruszą, ząb czasu zdołał go już prawie całkiem zniszczyć. Dach przecieka, ściany się walą i lada podmuch wiatru może go przewrócić. Stare domostwo prawie już nie nadaje się do mieszkania i sądzę, że John Quincy Adams wkrótce będzie musiał się z niego wynieść. Ale sam John Quincy Adams ma się świetnie”.

Szósty prezydent Stanów Zjednoczonych zmarł 23 lutego 1848 r. John Quincy Adams opuścił swoje stare domostwo i uczynił to pełen ufności, choć nie mógł - jak my wszyscy - mieć żadnego konkretnego wyobrażenia o tym, co go czeka.

Czy taka postawa, jaką prezentował John Quincy Adams, musi wyrastać wyłącznie z osobistych przekonań? Nie sądzę.

Tak się składa, że żyjemy w fantastycznej rzeczywistości, w której to, co niesłychane, jest na porządku dziennym, a to, co zupełnie nie do wiary, wydaje się możliwe. Istotnie, niezmiernie zwodnicza jest tak zwana moc dowodowa rzeczy, „które są poza dyskusją”. Być może jednak trzeba o nich dyskutować, mimo że w pierwszej chwili wydaje się to niedorzeczne.

Winston Churchill, późniejszy premier Wielkiej Brytanii, w młodych latach wysoko cenił umiejętność wróżenia z ręki pewnej Cyganki; pewnego dnia jednak uznał przepowiednię tej kobiety za nazbyt absurdalną.

Churchill odwiedził Cyganekę wraz z kilkoma młodymi oficerami brytyjskimi. Wróżka jednak przesadziła z jasnowidztwem, na widok bowiem dłoni każdego z oficerów wołała: „Linia życia się teraz urywa, to straszne!” Młodzi ludzie się śmiali, a Churchill był poirytowany. Oficerowie ci należeli przecież do najróżniejszych formacji wojskowych i nic ich ze sobą nie łączyło, a mimo to wszyscy mieli wkrótce zginąć? Cóż to za pełne grozy bzdury.

Ale to wcale nie były bzdury. Przepowiednia ta miała miejsce w 1914 r. W przededniu pierwszej wojny światowej. Żadnemu z obecnych tam oficerów nie było dane przeżyć pierwszego roku wojny.

Rzeczywistość jest fantastyczna.

Profesor Cesare Lambroso połamał sobie dosłownie zęby usiłując rozgryźć zagadkę pewnej dziewczyny, która widziała uszami, a zmysł powonienia miała w brodzie albo w piętach; podobnie jak innej kobiety, poddanej doświadczeniom, która z uporem twierdziła, że widzi 33 robaki we własnych jelitach. W czasie przeprowadzonej operacji wydobyto z niej dokładnie 33 robaki.

Źródłem podobnych frustracji była pewna pani nazwiskiem Friedericke Hauffe, której lekarz Justinus Kerner przez trzy lata daremnie starał się dociec, jakie sztuczki stosuje jego pacjentka, kiedy czyta książki, rozłożone na własnym brzuchu, zwrócone pismem w dół. Takich i podobnych przykładów jest bez liku. Ani bezlitosne światło nauki, ani chłodny racjonalizm nie są w stanie spowodować ich zniknięcia.

Nawet ucieczka na podejrzane tereny peryferyjne, jak parapsychologia, nie daje możliwości choćby tylko zaklasyfikowania niepożądanych faktów. Sromotną klęską kończą się więc próby wyjaśnienia niewytłumaczalnych przypadków prekognicji przez nieco mniej dziwną telepatię. Spotkanie Churchilla z chiromancją trzeba rozpatrywać na innej płaszczyźnie. Podobnie jak przypadek pewnego muzyka, który jadąc taksówką przez Bayswater Road w Londynie nagle wiedział, że za niecałą minutę inna taksówka zderzy się z jego pojazdem. Nawet gdyby przechwycił on myśli sprawcy wypadku, to i tak nie mogła być w nich zawarta wiadomość o przyszłym zderzeniu (wtedy sprawca raczej uniknąłby spotkania ze swoim blazany *vis a vis*).

Odpowiedzi na pytanie o istotę tych dziwnych zdarzeń można znaleźć jedynie w ramach poszerzonego obrazu świata. W uzyskaniu całościowej wizji świata przeszkadzają nam prawdopodobnie nie tyle ograniczenia narzucone przez naturę, co raczej nasza własna mała wiara.

Amerykański psycholog i lekarz William James (1842-1910, starszy brat pisarza Henry Jamesa) eksperymentując z gazem rozweselającym stwierdził, że nasza normalna świadomość na jawie jest tylko szczególną formą świadomości, gdy tymczasem wokół nas czają się niezliczone formy całkiem innej świadomości. Niejedno przemawia za tym, że nasz rozwój, czy raczej ewolucja, sprawia, iż coraz głębiej wrastamy w tę świadomość.

Nawet zakres naszego widzenia barw jeszcze dwa tysiące lat temu był mniejszy niż dziś. Arystoteles mówił o trójbarwnej tęczy, podobnie Ksenofanes. Homer nie rozróżniał barwy morza i wina, a Demokryt, twórca pojęcia atomu, musiał się zadowalać barwą czarną, białą, czerwoną i żółtą. W języku praindoeuropejskim w ogóle nie występują nazwy kolorów.

Wszystkie barwy, których ludzie antyku w przeciwieństwie do nas nie byli w stanie postrzegać, istniały także dwa tysiące lat temu. Ksenofanes i inni słynni myśliciele nic o nich nie wiedzieli, mogli - co najwyżej - przeczuwać ich istnienie.

Nieodparcie nasuwa się analogia, którą wyraża pytanie: Co jeszcze tam „na zewnątrz” pozostaje do dziś nieuchwytnie dla naszych zmysłów?

Nie dość na tym; czy mamy możliwość przekroczenia progu obszerniejszej rzeczywistości, a jeśli tak, to w jaki sposób tego dokonać?

Dr K. Szamburnanda, gubernator Rajasthan i nauczyciel sanskrytu i jogi, jest przekonany, że możemy się uwolnić z pęt jednostronnego ukierunkowania na zaspokajanie popędów, uważanego na Zachodzie za treść życia. Nie ulega kwestii, że nie jest to łatwe przedsięwzięcie; sprawa nie jest jednak beznadziejna, jeśli zna się drogę albo sądzi, że ją zna. Wiedza ezoteryczna mogłaby być jedną z takich dróg, może nawet tą właściwą.

Coraz więcej ludzi wyznaje dziś pogląd, że wiedza ezoteryczna pozwoli im wejść zarówno w regiony ukryte w nas samych, jak i znajdujące się tam „na zewnątrz”. Obecny wzrost popularności wiedzy ezoterycznej pod wieloma względami wynika z poczucia zagubienia w naszej zmechanizowanej, wyzutej z głębszych treści teraźniejszości. Takie stwierdzenie jednak niczego naprawdę nie wyjaśnia, a już najmniej dotyka istoty wiedzy ezoterycznej, która bynajmniej nie jest przebrzmiała. Kto poważnie zajmuje się myślą ezoteryczną i ezoterycznymi fenomenami, ten stwierdzi, że cofa się jedynie chronologicznie; jeśli zaś idzie o osobiste horyzonty, postępuje naprzód, ku szerszej wizji świata, która prawdopodobnie była bliższa generacjom naszych przodków niż dzisiejszych skomputeryzowanych specjalistów.

W niniejszej książce pragniemy się zmierzyć z ową inną wiedzą, z której zawsze mogliśmy czerpać i z której czerpali ezoterycy wszystkich epok.

Zachowując nastawienie pozytywne, ale nie bezkrytyczne, rzeczowe, ale bez kłapek na oczach, wybiegając śmiało myślą naprzód, ale bez popadania w bezpodstawne spekulacje, chcemy doprowadzić do spotkania tego, co prastare i rewolucyjnie nowe...

W trakcie moich wysiłków nad opracowaniem (z konieczności wybiórczego) całościowego obrazu wiedzy ezoterycznej, sam nauczyłem się takich rzeczy, których przedtem nie przeczuwałem; zapragnąłem więc, aby czytelnik uczestniczył w tej stopniowej ewolucji. Aby podobnie jak ja poczuł tchnienie innej, obszerniejszej rzeczywistości, gdy choćby tylko trochę uniesie się zasłona skrywająca misterium świata, pozwalając przeczuć to coś więcej poza jedzeniem i piciem, rozmnażaniem się i zabijaniem, życiem i umieraniem, co od tysięcy wypełnia życie Homo sapiens. Stan otaczającego nas świata pokazuje, że rosnącej w lawinowym tempie górze wiedzy odpowiada co najwyżej pagórek mądrości (czy raczej trudna do zauważenia wypukłość terenu). Osobliwe, że jesteśmy jeszcze z tego dumni.

Pielęgnowane przez całe pokolenia przekonanie, że natura jest wielkim, bijącym sercem, a każde zdarzenie ma w niej swoje znaczenie i wiąże się z wszystkimi innymi zdarzeniami, zostało zarzucone, a ignorancję czczono jako postęp. Dopiero w naszym stuleciu znowu zmienia się sposób myślenia - albo wraca dawniejszy.

Dziewiętnastowieczni naukowcy odrzucili jako śmieszny pogląd, jakoby istniał związek między znakami na niebie a zdobyciem Anglii przez wikingów w roku 1066, co wyrażają 72 sceny słynnego gobelinu z Bayeux w Cal-vados w Normandii. Dziś z równań nowej fizyki wyłania się „gobelin przestrzeni i czasu”, obejmujący cały wszechświat, człowieka i kosmos, przestrzeń i czas, wczoraj, dziś i jutro.

Jeśli wymieniamy całkiem konkretny gobelin jednym tchem z „gobelinem” matematycznej abstrakcji, to mamy do czynienia tylko z grą słów, której nie należy brać na serio. Natomiast

bardzo serio należy traktować myśl, która jest w tym zawarta: wielusetletni rozłam między mechanistyczną, naukową a duchowo-filozoficzną wizją świata nie tylko przestał się pogłębiać, ale nawet zapoczątkowano jego przewyciężenie.

Trzeba było zdać sobie sprawę, że rozdrabnianie wiedzy na poszczególne dyscypliny prowadzi donikąd. Ostatecznym jego rezultatem byłby „absolutny specjalista”, który wie wszystko o niczym. Wniosek ten nie jest tak nowoczesny, jak by się zdawało. Zawsze istnieli naukowcy, którzy umieli wzrokiem sięgać ponad przegródkami i domyślali się pod powierzchnią rzeczy czegoś więcej niż tylko sprężyn, kół zębatych i dźwigni.

O wiele dłużej jednak istnieje wiedza ezoteryczna i jej wyznawcy. Na ich sztandarach była wypisana całość i harmonia. Nigdy nie próbowali rozkładać wielkiej tajemnicy świata na małe tajemnice nadające się do zaszufiadkowania, ponieważ wiedzieli, że nie jest to możliwe. Nigdy nie dręczył ich przymus konkretności, jeśli nie była ona możliwa. Tego rodzaju sztuczki pozostały domeną trzeźwego przyrodoznawstwa, które próbowało je stosować aż do naszego stulecia, niczym sprzedawca obuwia, który chce w sposób rzeczowy uzasadnić, że modne buty są wewnątrz większe niż na zewnątrz.

Podobne starania należą do przeszłości. Dzisiejszą naukową wizję świata można z całą słuszością określić jako mistyczną; albo ezoteryczną. Poznamy ją i przekonamy się, że wiedza ezoteryczna nie ulega przez to demistyfikacji, ale zostaje umocniona. Takie właśnie olśnienie przeżyłem i odzwierciedla je ta książka. Prag-nąłem w niej przedstawić wiedzę ezoteryczną w jej podstawowych zarysach, przekazać własne wnioski, udzielić praktycznych wyjaśnień i wskazówek i prześledzić ukrytą nić przewodnią tej wiedzy. Nie mam zamiaru wysuwać żadnych dogmatycznych twierdzeń, uznawać czegokolwiek za ostateczny kształt mądrości ani jakiegokolwiek sprawy za załatwioną raz na zawsze. Ostatnie słowo należy do czytelnika. To jemu ukaże swą zawartość ezoteryczny róg obfitości, dla niego ezoterycy i okultyści wyjdą przed kurtynę, od niego będzie zależało, czy zechce przyjąć wiedzę ezoteryczną jako pomoc w życiu i/lub sposób pojmowania świata i poznać teorię magii.

Paleta tematów jest bogata i fascynująca. Komu trudno się rozstać z klapkami na oczach, tego ostrzegamy - niespodzianki są nieuniknione. Ten jednak, komu skrajny materializm z jego alternatywą albo-albo zawsze wydawał się podejrzany, znajdzie tu potwierdzenie. Nie musimy już decydować się na jedną z dwóch ewentualności: albo bezpośrednie przeżywanie świata, albo intelektualna analiza.

Nie ma bowiem między nimi różnicy.

Świat wewnętrzny i zewnętrzny łączą mosty i wystarczy tylko na nie wejść. Wiele z nich jest ezoterycznej natury, może nawet wszystkie, kto wie. W każdym razie jednak wiedza ezoteryczna wskazuje drogę ku lepszemu zrozumieniu naszego bytu, a nierzadko ku osobistemu spełnieniu w życiu. Z pewnością jest ona w stanie rozbudzić usypiony w nas potencjał, a może nawet wyprzedzić dalszy rozwój człowieka; może sprawić, że ten rozwój dokona się w ciągu kilku lat studiów i indywidualnych ćwiczeń w poszerzaniu własnej świadomości. Takie jest w każdym razie zdanie autora.

Ostatecznie czytelnik zdecyduje, czy je podzieli i w jakiej mierze. Chciałbym w tym miejscu prosić go o wyrozumiałość, jeśli z czymś się nie zgodzi albo boleśnie odczuje brak czegoś.

Niniejsza książka ma na celu prezentację wiedzy ezoterycznej i jej zastosowań, ale nie rości sobie pretensji do tego, co niemożliwe. Nie może być pełną inwentaryzacją wiedzy ezoterycznej, jest natomiast rezultatem uczciwej próby autora zmierzenia się z fantastyczną rzeczywistością poza granicami tego, co zbadane, wykazania wszelkich możliwych powiązań i przedstawienia czegoś nowego nawet wtajemniczonym.

Viktor Farkas Latem 1990 r.

Część I

Wiedza ezoteryczna i ezoterycy

W poszukiwaniu „rozleglejszej wiedzy”...

Nauka jest budowlą wzniesioną z faktów, podobnie jak dom jest budowlą wzniesioną z cegieł; jednak samo nagromadzenie faktów ma równie mało wspólnego z nauką, co sterta cegieł z domem.

Remi Poincare

Z pewnością jest trudno - i z każdym dniem coraz trudniej - nadać sens swemu życiu albo w ogóle odkryć jakiś sens w świecie. Palące pytanie: „Po co właściwie to wszystko?”, albo zostaje bez odpowiedzi, albo skłania do udzielania odpowiedzi tak różnych, że prawie nie sposób ich ze sobą pogodzić. Jedynym stałym punktem naszego bytu jest - jak się zdaje - potrzeba odkrycia takiego punktu. Innymi słowy, takiej wizji świata, która się „na coś zda”.

Czysta nauka nie jest przy tym zbyt pomocna. Co gorsza, jak się zdaje, woła ona gromkim głosem „Stój!” wobec każdej myśli zmierzającej w „niepoważnym” kierunku, zawsze gotowa do popierania czystego materializmu argumentami zimnymi jak lód i jasnymi jak szkło.

Jak się rzekło, tak się tylko wydaje. Naprawdę bowiem obraz wszechświata według dzisiejszego stanu nauk przyrodniczych jest jeszcze bardziej dziwny, niż zawsze się obawialiśmy, ani o włos bardziej konkretny od reinkarnacji, aury czy karmy. Jedyna różnica polega prawdopodobnie na tym, że zjawiska fizyczne dają się wyrazić metodami matematycznymi, ezoteryczne nie; ale to już wszystko.

Przyznał to nie kto inny tylko sam Albert Einstein już wiele dziesiątków lat temu. Powiedział on: „Pojęcia i podstawowe prawa, na których opiera się teoria, są dowolnymi wytworami ducha człowieka, których nie da się usprawiedliwić ani naturą ducha ludzkiego, ani w żaden inny sposób a priori. Jeśli twierdzenia matematyki odnoszą się do rzeczywistości, nie są pewne; a jeśli są pewne, nie dotyczą rzeczywistości”.

Można to wyrazić w bardziej prowokujący sposób: Coś może być dokładnie takie, jakim się nam przedstawia, albo dokładnie na odwrót. Wiedzieć nie będziemy tego nigdy.

Fizyka jest nauką elementarną, być może najbardziej elementarną ze wszystkich nauk. Jej podstawowa teza o niepoznawalności „rzeczy samej w sobie” powinna właściwie obowiązywać we wszystkich dziedzinach - od historii do archeologii, od biologii do medycyny, od teorii ewolucji do psychologii itd.

Czy powinniśmy zatem wyrzucić wiedzę odziedziczoną po ojcach jak zbędny balast i zastąpić ją czymś innym? Nie, nie powinniśmy tego robić. Oznaczałoby to bowiem tylko zamianę jednego poddaństwa na inne.

Bardziej sensowne jest odrzucenie przeświadczenia, że nie może istnieć to, co istnieć nie powinno, i zastanowienie się nad tym, co istnieje de facto (jeśli nawet sprzeciwia się to utartym koncepcjom nauki).

Prawdopodobnie istnieje niewidzialna historia (tak zatytułowała Margret Boveri, niemiecki entomolog, drugą część swego obszernego dzieła historycznego pt. *Der Verrat im 20. Jahrhundert*), niewidzialna nauka, istnieją niewidzialne społeczeństwa, niewidzialne istoty, niewidzialne siły i niewidzialne struktury wszelkiego rodzaju. Krótko mówiąc, istnieje niewidzialna - inna - rzeczywistość, która nam się objawia jedynie w postaci maleńkich elementów puzzli.

Każdy z nas ma dostęp do innych elementów i konstruuje z nich inny obraz kryjącej się za nimi rzeczywistości. (Nowoczesna fizyka kwantowa nie mówi zresztą niczego innego.)

Teraz pozostaje jeszcze tylko krytyczne pytanie: Czy istnieją takie elementy, z których można złożyć rzeczywistość fantastyczną?

Istnieją. Oczywiście, nie są one uporządkowane i starannie poukładane, przypominają raczej kolorowe kule dokładnie wymieszane w worku. Jednak także beznamienne przyrodoznawstwo nie jest w stanie zaproponować mniej chaotycznej wizji kosmosu, przeciwnie, stokroć bardziej dziwaczną. „Słowem się tnie jak ostrza świstem"*, zauważa Mefistofeles w pierwszej części Fausta Goethego, zwracając się pośrednio do każdego, kto jest rzecznikiem większej - w ostatecznym sensie także ezoterycznej - prawdy, aby zaprezentował fakty.

Spróbujmy zatem walczyć faktami w obronie tej wizji świata. Jest to możliwe, ale nie takie proste. Punkty wyjścia można znaleźć wszędzie i nigdzie. Pełen chaosu jest już świat widzialny, „oficjalny". Dlatego najlepiej chyba będzie nawet się nie zbliżać do ukrytej Drugiej Rzeczywistości, posługując się mechanistycznym porządkiem choćby Izaaka Newtona (który i w oczach uznanej nauki w specjalnych dziedzinach odsłużył już swoje). Zamiast tego rozłóżmy najróżnorodniejsze odłamki ukrytej rzeczywistości równoległej. Rzeczywistości, która wyraźnie kłóci się ze znaną nam oficjalną wersją (czy to w historii, w działalności badawczej, czy gdzie indziej). Jeśli będziemy patrzeć bez uprzedzeń, to tu i ówdzie zwrócą naszą uwagę sprzeczności; rozbieżności między prostoliniowym, przyczynowym i odartym z tajemnicy światopoglądem rodem z podręcznika a tym, co zdaje się dziać „tam, na zewnątrz".

Coś się dzieje - i to na wszystkich „frontach". Do opinii publicznej przenikają, można sądzić, wysterylizowane, wstępnie posortowane i ocenzone wiadomości.

Nie dość na tym.

Na przykład wiele spośród największych odkryć w dziejach ludzkości wykorzystano, co dziwne, dopiero po długim terminie oczekiwania - pięćdziesięciu lat i więcej. Antybiotyki odkryto już w 1910 r., jednak zastosowano je dopiero w latach czterdziestych. Energia jądrowa była już znana w 1919 r., ale każdy wie, kiedy faktycznie zaczęła swój „triumfalny pochód".

W latach dwudziestych w pełni rozwinięte były teorie fizyczno-matematyczne na temat rezonatorów wnękowych, równowagi termicznej (statystyka Bosego-Einsteina lub Boltzmanna) i entropii. Gdyby kontynuowano prace nad nimi, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że lasery i nadprzewodniki weszłyby do zastosowania już w 1930 r., co nie tylko pchnęłoby naprzód teorię informacji, ale i zaoszczędziło technice telekomunikacyjnej dziesiątków lat prób po omacku. Od 1970/71 r. geriatry mogłyby skutecznie zwalczać starzenie się.

Jeszcze bardziej niepojęte wydaje się niezmacone uśpienie rewolucyjnych zasad - w niektórych przypadkach trwające całe stulecia; oto przykłady: sformułowanie mechaniki lotu śmigłowca przez Leonarda da Vinci (realizacja ok. 1930); zagubiona (?) wiedza starożytności; zignorowane odkrycie przez Mendla w 1866 r. praw dziedziczenia, które zaczęto uznawać dopiero po 1900 r. wobec dokonanych niezależnie od siebie ponownych odkryć Corrensa, de Vriesa i Tschermaka.

Wyliczenie to można by kontynuować jeszcze długo. Oczywiście, interesujące jest pytanie, co z tego wszystkiego wynika? Czy występuje tu zмова milczenia, czy całkiem po prostu zatriumfowała ignorancja człowieka?

Prawdopodobnie ani jedno, ani drugie, albo i jedno, i drugie.

Krótko mówiąc: Nic nie jest pewne - i nigdy nie będzie. Nie można uchwycić rzeczywistości całościowo, ale co najwyżej w postaci wycinków. Tu tkwi sedno sprawy i klucz do poszerzenia horyzontu.

Nie mamy zamiaru wysuwać tezy, że wszystkie zapomniane odkrycia, dokumenty, wynalazki itp. były (i są) celowo trzymane pod kluczem, chcemy jedynie powiedzieć, że nasza „pewna wiedza” stanowi jedynie wierzchołek góry lodowej. Nie wiemy, jak wielka jest część niepoznawalna - jednak ona istnieje.

Nie jest naszym zamiarem dociekać np., co się stało z rewolucyjną tajną bronią III Rzeszy, która została potajemnie wywieziona przez zwycięskie mocarstwa (wśród nich nadal nie znany metal o wymownej nazwie „gąbka powietrzna”, działa pneumatyczne wystrzeliwujące wiry zjonizowanego gazu, który miał powodować wybuchy samolotów, zdalnie sterowane myśliwce przechwytyjące Messerschmitta o nazwach „Krach” i „Donner”, projektory pól elektrostatycznych itd.). Wszystkie te rzeczy, o których więcej nie słyszano - zwłaszcza rewolucyjna konstrukcja tuneli aerodynamicznych - mają tyle wspólnego ze znanymi na całym świecie udoskonalonymi rakietami z Peenemiinde, co kusza z karabinem maszynowym.

Nie będziemy dociekać, czy ZSRR* faktycznie przygotowuje się do wojny parapsychologicznej albo czy prawdą jest, że Pentagon ukrywa zwłoki załogi o karłowatym wzroście z rozbitego UFO w bazie lotniczej Wright Patterson w Dayton (Ohio), na terenie poligonu lotniczego Roswell na pustyni w Nowym Meksyku albo gdziekolwiek indziej. Zrezygnujemy również ze zgłębiania kwestii, jaki cel naprawdę miała operacja wojsk USA o kryptonimie Highjump, przeprowadzona w 1947 r. na Antarktydzie. Według oficjalnej wersji zadaniem zgrupowania składającego się z trzynastu okrętów wojennych, lotnis-kowca, dwóch okrętów pomocniczych, sześciu dwusilnikowych transportowców R4D, sześciu łodzi latających Martin PMB, sześciu śmigłowców i 4000 uzbrojonych po zęby marines pod

komendą weterana bieguna południowego, admirała Richarda Evelyn Byrda, było wykonanie mapy wybrzeża Antarktydy(!).

Dziwnym trafem te jedyne w swoim rodzaju geodezyjne siły zbrojne uformowano w trzy kolumny uderzeniowe nacierające w kierunku Ziemi Królowej Maud, dawniej domeny Norwegii, którą zaanektowały Niemcy hitlerowskie. Z przyczyn, których nie podano do publicznej wiadomości, ta „ekspedycja geologiczna” zakończyła się katastrofą. Okręty nie powróciły, a żołnierze zginęli. To, co nastąpiło potem, służyło jak zawsze dezinformacji opinii publicznej. Innymi słowy, była to jedna z ukrytych stron rzeczywistości... Dość o tym, można by o niej pisać bez końca, odbiegając od tematu książki.

To, co należało wykazać, stało się natychmiast widoczne: Wystarczy zupełnie dowolnie usunąć kilka cegieł z budowli „pewnych faktów”, a za każdym razem przekonamy się, że za nimi kryje się druga budowla. Nie będziemy na razie rozważać kwestii, czy niebezpieczne tematy (jak w przytoczonych przykładach) ulegają „automatycznemu kamuflażowi”. Nie można wprawdzie poznać w całości ukrytej drugiej budowli, ale w równie małym stopniu można zaprzeczyć jej istnieniu.

Nie mamy zamiaru tego robić, wprost przeciwnie - uczynimy następny, konsekwentny krok. Przyjrzymy się temu, czego być nie powinno (i co chyba tylko z tego względu, a nie z żadnego innego jest taktownie przemilczane), i poszukamy przejawów realności tego, co fantastyczne. Tym razem w przeszłości, która się okazuje zdumiewająco nowoczesna...

W mitologii greckiej występuje Proteus, bożek morski, znający przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Umiał on przybierać różne postacie, co pozwalało mu unikać odpowiedzi na pytania ludzi. Dopiero po jego schwytaniu i zmuszeniu do zachowania jednej postaci, można było w sposób pewny określić przyszłość.

To tylko legenda - a jednak każdego fizyka naszych czasów natychmiast uderzy osobliwe podobieństwo do zjawiska załamania się funkcji falowej (albo wektora czasu) w mechanice kwantowej. Przypadek (cokolwiek miałoby to znaczyć).

Zwolennicy najróżniejszych kierunków ezoterycznych, okultystycznych, filozoficznych albo religijnych - od hermetyków do wyznawców lodowej kosmogonii Horbigera - reprezentują pogląd, że człowiek jest nierozłącznie związany z wszechświatem. Wszystko z wszystkim się wiąże i oddziałuje na siebie nawzajem. Procesy kosmiczne mają odpowiedniki na Ziemi, nie wyłączając mikrokosmosu cząsteczek, a nawet tańca fal cząstek elementarnych.

„Jak w górze, tak na dole”, czytamy u Hermesa Trismegistosa i w Księdze Zohar. Dziwnym zrządzeniem losu naukowcy naszego stulecia, wśród nich Albert Einstein, wysunęli tezę, że istotnie każda cząstka elementarna w kosmosie w niewytłumaczalny sposób i z szybkością większą od szybkości światła komunikuje się z każdą inną cząstką. Nawet jak na Einsteina jest to śmiało stwierdzenie. Inni uczeni, jak choćby John S. Bell, podążyli tym tropem, tworząc np. teorię „kosmicznego kitu”. No cóż, teorie. W grudniu 1982 r. fizycy Alain Aspect, J. Dalibard i G. Roger dowiedli praktycznie słuszności tej abstrakcyjnie matematycznej koncepcji wprost ezoterycznych powiązań wszystkiego ze wszystkim. Jak w górze, tak na dole...

Nie będziemy jeszcze w tym miejscu mówić o nowej dyscyplinie, jaką jest biofizyka, która definiuje życie jako konieczne następstwo wzajemnych oddziaływań między gwiazdami a planetami, mimo że należy to do tematu.

Równie stare jak przekonanie o powiązaniu człowieka z kosmosem są mity o „wtajemniczonych”, którzy posiedli władzę nad materią. Legendy te pochodzą z najróżniejszych źródeł, a ich podstawowa substancja jest dziwnie jednolita: „człowiek-bóg wyposażony w kształtującą siłę”. Substancję tę można by - w nowoczesnym sformułowaniu - rozumieć jako przekonanie, że świadomość kształtuje rzeczywistość (występujące od sufizmu do materiału Seta).

Ale takie twierdzenie jest chyba zbyt absurdalne? Wcale nie jest!

Hipoteza obserwatora, wysuwana przez fizykę kwantową, znaczy ni mniej, ni więcej tylko tyle, że bez obserwatora rzeczywistość nie istnieje, czy też że jest on w stanie zmieniać ją przez sposób swojej obserwacji. Ta koncepcja, wręcz sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem, jest jedyną zdolną spójnie opisać rzeczywistość. Znajduje ona potwierdzenie eksperymentalne, wyjaśnia dualizm korpuskularno-falowy, paradoks podwójnej szczeliny i katastrofę ultrafioletową. Zgodnie z nią płoną gwiazdy i powstają przedmioty tak konkretne, jak tranzystory czy lodówki.

Kiedy Asaph Hall, astronom amerykański, odkrył w 1877 r. księżycy Marsa, ogarnęło go takie przerażenie, że nazwał je Phobos i Deimos (Trwoga i Lęk). Reakcja ta miała dwojaką przyczynę.

Po pierwsze, Hall zupełnie nie potrafił pojąć, jak to było możliwe, że pisarz angielski Jonathan Swift (1667 - 1745, autor Podróży Guliwera) w tomie Podróż do Laputy pisał o dwóch księżycach Marsa, ściśle podając ich odległość i orbity. Po drugie, astronoma przerażał fakt, że oba satelity wyłoniły się z mroku nagle (jeszcze poprzedniej nocy nie można ich było wypatrzeć przez teleskopy silniejsze niż używany przez Halla).

Czy mamy tu do czynienia z przypadkiem prekognicji (u Swifta) i z potwierdzeniem wtedy jeszcze nie znanej hipotezy obserwatora (księżycy się „pojawiły”, ponieważ Hall „w nie wierzył”)?

Nie będziemy bliżej roztrząsać tego zagadnienia. Jedno wszakże jest pewne, że istnieje zarówno opowiadanie Swifta, jak satelity Marsa Phobos i Deimos, i że tego zbiegu okoliczności nie da się wyjaśnić.

Porzućmy teraz rojące się od błędnych ogników tereny nauki i zajmijmy się sprawami nieco bliższymi ziemi, a mianowicie historią; w dodatku taką, w której uczestniczyły miliony jeszcze żyjących ludzi.

Które dzieło historyczne, omawiające okres III Rzeszy, wspomina o tym, że w czasie owych dwunastu lat panowania hitlerowców nowo przyjmowani pracownicy musieli podpisywać następujące oświadczenie: „Przysięgam, że uznaję słuszność kosmogonii lodowej?”

W swoim światowym bestsellerze pl. *The Morning of the Magicians* Francuzi Louis Pauwels i Jacques Bergier dowiedli przekonująco, że na krótki czas w środku Europy rozkwitła „Rzesza Okultystyczna”, której władcy wierzyli w czary i stosowali środki techniki dla

wspomagania magii, a magię w celu udoskonalenia techniki. Sprawy te przeszły nie zauważone przez większość ziomków, zignorował je Trybunał Norymberski (wszystko jedno z jakich przyczyn), a poważna historiografia mimo przygniatającej oczywistości pominęła je milczeniem.

Ten szczególnie frapujący przykład (również wybrany ze względu na swoją bliskość historyczną) pokazuje, że także w dziedzinie historii panuje taki sam zamęt, do jakiego przynajmniej niekiedy przyznają się fizyka, psychologia, archeologia i inne dziedziny wiedzy. Można by wyliczyć dalsze przykłady.

Rodzi się zatem pytanie, jakie logiczne konsekwencje wynikają z owego zamętu, który przy gruntownym zbadaniu można odkryć wszędzie. Czy permanentne potwierdzanie, że prawie nic de facto nie jest takie, jak nam się przedstawia (czy też jest nam przedstawiane), coś nam daje? Czy teraz lepiej rozumiemy świat, czy nasze życie ma więcej sensu i łatwiej nam pokonywać kłopoty dnia codziennego?

Albo inaczej: Czy należałoby może przyznać pierwszeństwo zupełnie niematerialnej - a więc ezoterycznej - wizji świata? Nie ma podstaw do takiego radykalizmu. Jedynym celem powinno być poznanie, bez względu na to, jakie jest jego pochodzenie. Wzbogaca ono życie jednostki i może być instrumentem pomocy i samopomocy. Ważne jest jedynie, aby unikać jednakowego traktowania tego, co fantastyczne, i tego, co absurdalne. Zresztą po co, skoro sama rzeczywistość jest dostatecznie fantastyczna. Jest też bardziej odporna, niż sądzą niektórzy, i nie potrzebuje obrony. Nikt nie jest powołany do tego, by klasyfikować przejawy rzeczywistości jako „wiarygodne” i „niewiarygodne”. Można je dzielić tylko na prawdziwe i nieprawdziwe. A prawdziwe bywa często właśnie to, co egzotyczne, nie zaś to, co się zgadza z rozsądkiem.

Naukowcy kwalifikujący złożone prace do annałów nauki i innych szacownych publikacji stają coraz częściej przed problemem, że to, co dziś się kłóci ze zdrowym rozsądkiem, jutro może być podstawą rewolucyjnej wizji świata (dlatego też publikuje się o wiele więcej prac niezrozumiałych niż zrozumiałych; w przypadku niezrozumiałych istnieje bowiem zawsze ryzyko, że mogą być słuszne). Np. „perwersyjny” pogląd Nielsa Bohra, że rzeczywistość wcale nie jest czymś niezależnym i stabilnym, doprowadził do rozwoju fizyki kwantowej. Teoria ta wprawdzie niczego nie wyjaśnia zadowalająco, jednak pozwala przynajmniej obliczyć tyle dotąd nie rozwikłanych fenomenów, że dziś jest uważana za najbardziej efektywną naukową teorię wszystkich czasów.

Co prawda, fizyka kwantowa ma niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Sam Bohr powiedział, że jeśli ktoś nie jest nią zaszokowany, to znaczy, że jej nie rozumiał.

On też wypowiedział następujące zdanie do pewnego młodego fizyka: „Pańska teoria jest zwariowana, ale nie na tyle zwariowana, aby była prawdziwa”.

Pewne powiedzenie jeszcze dobitniej wyraża ten dylemat. Pytanie: „Jaka jest różnica między rzeczywistością a fikcją?” Odpowiedź: „Fikcja musi mieć sens”. Jest to podejście wolne od dogmatów, cyniczne, ale fair, które także wiedzy ezoterycznej nie odmawia zasłużonej szansy na udowodnienie siebie samej.

Naturalnie przy bliższym rozpatrzeniu niejedno trzeba będzie od razu odrzucić, nie wszystko jednak. W każdym razie chłodny, porządkujący umysł badacza nie powinien a priori negować

ezoterycznych fenomenów, zjawisk i nauk. Mogliśmy wszak zorientować się już wstępnie, jak zwodnicza bywa „pewna wiedza” we wszystkich dziedzinach.

A zresztą, świat się nie zawalił wskutek klęski uznawanego w XIX w. mechanistycznego ładu kosmicznego. Podobnie np. psychokineza bynajmniej nie unieważnia praw dźwigni, a wahadełko, które się kręci „samo z siebie”, nie zmusza do wyrzeczenia się zasad termodynamiki. Nie ma powodów do wszczynania wojny światopoglądowej.

Niech żyje koegzystencja, hasło stale propagowane przez polityków. Ostatecznie w dawnych wiekach nauki humanistyczne i przyrodnicze wspinały się ze sobą współlistniały, wydając wiedzę, której i dziś nie trzeba traktować jako przestarzałej.

Była to właśnie wiedza ezoteryczna czy też okultystyczna (co przecież nie oznacza nic innego jak „wiedza ukryta”). Wiele z tego aktualnie odkrywamy - przeważnie niezamierzenie. Więcej jeszcze czeka na swoje odkrycie. A przy tym często właściwie trudno jest mówić o wiedzy ukrytej, jest ona jedynie pomijana.

Na przykład prastara idea dualizmu. Szperając w przeszłości, natrafiamy na nią na każdym kroku: jin i jang, Agartha i Shambala (centrum dobra i zła; idea podchwycona przez Karola Maya w Ardystanie i Dżynistanie), biała i czarna magia, manicheizm, anima i animus, duch i materia, ciało i dusza, Chrystus i antychryst aż po „syzygię” Junga, która stara się ująć psychologicznie dualizm mityczny.

A w tak zwanej trzeźwej rzeczywistości?

W fizyce aż się roi od dualizmów: fala i cząstka, parzystość, symetria, materia i antymateria, dyssymetria spinu i skręt aminokwasów, biegunowość (albo też brak pojedynczych biegunów), komplementarność itd.

Mimo woli przychodzi na myśl powiedzenie, że z racjonalizmu doprowadzonego do ostateczności lęgnie się to, co fantastyczne.

Może to być proces ciągły. Żadne stulecie nie ma monopolu na wiedzę (albo jej brak). Różnice występują we wstępnych uwarunkowaniach, a zatem różnie są także przedstawiane wyniki poznania. Któż zaręczy, że badacze, filozofowie albo mędrcy w dawnych czasach nie mogli dojść do podobnie elementarnych wniosków jak Einstein czy Bohr - albo jeszcze bardziej elementarnych?

David Bohm, uczeń Oppenheimera, uważa, że kosmos przedstawia sobą „porządek zespolony”, którego wyrazem są teorie nowej fizyki.

On sam „upraszcza” tę niejasną deklarację, definiując jej sens, jak następuje: „zgodnie z mechaniką kwantową świat zjawisk wyrasta z głębiej tkwiącego porządku, z którym jest zespolony”... Aha.

Nawet wykształcony człowiek naszych czasów nie wpadnie a priori na taką wizję świata. A jednak kardynał Mikołaj z Kuzy (jako alchemik znany pod nazwiskiem Nicolaus Cusanus, zm. 1644) posługiwał się pojęciem „zespolenia”.

Cusanus wyrażał stosunek świata do bytu absolutnego następującymi pojęciami: „zespolenie” (complicatio) i „rozwińnięcie” (explicatio): Wieczność byłaby zarówno zespoleniem, jak i rozwińnięciem czasu. Brzmi to w pewien sposób nowocześnie.

Cóż, przypadkowy zbieg okoliczności, prawda? Oczywiście, prawdopodobnie tak samo, jak fakt, że czakrany w jodze (ośrodki energii) znajdują się w miejscach splotów nerwów, o których aż do czasów nowożytnych nic nie było wiadomo.

Jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: Jeśli się gruntownie i wytrwale uprzęta gruzą ignorancji i pseudo-wyższości, pod którymi spoczywa tak wiele tajemnej wiedzy, to nieuchronnie odkrywa się zdumiewające rzeczy, których nie można przypisać przypadkowi ani pozbyć się stwierdzeniem, że są jedynie rezultatem interpretacji.

Wzorcowym przykładem tego jest alchemia. Szczególnie z racji zawartego w naukach alchemicznych wymogu, aby wiedzy nie wypuszczano po prostu na ludzkość jak dzina z butelki, ale by była zależna od etyki. Taka zasada nieuchronnie prowadzi do zaszyfrowania wiedzy. Może jakiś przykład?

Na wszystkich poziomach alchemii mamy do czynienia z metodą oczyszczania przez powtarzanie jakiegoś procesu niezliczoną ilość razy. Historycy albo przyrodznawcy mają na to - o ile w ogóle zajmują się czymś tak „niekonkretnym” - przekonujące wyjaśnienie.

Chodzi tu, mówią, o wewnętrzną przemianę samego alchemika, o jego psychiczną transmutację do wyższej wiedzy i oświecenia. Jeśli wodę do sporządzenia eliksiru trzeba destylować tysiące razy, to działania te mają charakter czysto medytacyjny. Służą one ćwiczeniu cierpliwości, woli i siły wewnętrznej. Nie ma to nic wspólnego z prawdziwą fizyką ani chemią. Psychologowie spieszą z potwierdzeniem tego, wysuwając najoryginalniejsze teorie - od słabości libido do działania superego. „Przypadkiem” jednak w trakcie tego ćwiczenia cierpliwości można wzbogacić normalną wodę, uzyskując wodę ciężką, ową substancję przemieniającą zbiornik wody w bombę wodorową, w której wybucha gwiazdny ogień.

Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Idźmy więc dalej... Pisma alchemiczne zawierają wskazówki dla techników, dotyczące sposobu oczyszczania metali. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu każdy chemik był gotów przysiąc na wszystkie świętości, że choćby metal lub metaloid oczyszczać w nieskończoność, to jego właściwości w żaden sposób nie ulegną zmianie.

Dziś znany jest proces topienia strefowego, pozwalający na uzyskanie czystego germanu, krzemu (do tranzystorów, komputerów itd.) i wielu innych substancji. Metale i metaloidy jednak zmieniają swoje właściwości wskutek oczyszczania.

Nasza nowa wiedza pozwala nam zrozumieć wiedzę dawną, zaszyfrowaną z obawy przed jej nadużyciem. Ta ostrożność jest aż nadto usprawiedliwiona, jeśli wziąć pod uwagę obecny stan naszego świata. Dla alchemików najwidoczniej było oczywiste, że wiedza, której nie towarzyszy mądrość i dojrzałość wewnętrzna, musi przynieść fatalne następstwa. Obecnie doświadczamy tego na własnej skórze, a nasze dzieci czeka prawdopodobnie coś jeszcze gorszego. Alchemiczne samoograniczenie się w nauce i technice nie mogłoby dzisiaj nikomu zaszkodzić. Alchemicy nie są zresztą wcale cechem nieudolnych wytwórców złota, pograżonych w medytacji słupników czy zwykłych szarlatanów. Wprost przeciwnie:

Albert Wielki (Albertus Magnus, 1193-1280) opisał skład chemiczny bieli ołowianej, minii i cynobru oraz otrzymał potaż (węgiel potasu).

Paracelsus (Teophrastus Bombastus von Hohenheim, 1493-1541) odkrył cynk, wprowadził do zastosowania w medycynie związki chemiczne i sformułował zasady leczenia, których wartości do dziś nie zdołało przewyższyć żadne lekarstwo ani żadna forma terapii.

Basilius Valentinus (XV w.) opisał eter dwuetylowy i kwas solny.

Blaise Vigenere (1523-1596) odkrył kwas benzoowy.

A to tylko kilku wybitnych alchemików. Nie mniejsze wrażenie robią rozsypane od niechcenia okruchy anachronicznej wiedzy.

W 1728 r. Pater Castel powiedział o relacji między grawitacją a światłem:

Gdyby usunąć ciężkość świata, usunięto by równocześnie światło...

Nie ma potrzeby posuwania się do myślowej ekwilibrystyki, aby dostrzec zdumiewającą zbieżność z geometrią czasoprzestrzeni Einsteina, wiążącą ze sobą światło i siłę ciężenia.

Na przedstawienie zasługuje też inne rozumowanie, może mniej efektowne.

Chodzi o osobliwą rolę, jaką w alchemii odgrywa żelazo, metal bynajmniej nie szlachetny. Ma on jednak inne właściwości, które ze wszech miar zasługują na uwagę. Wydawałoby się, że mogą one być znane jedynie osobom wtajemniczonym naszych czasów (a więc naukowcom). Tak jednak nie jest. I dawniej wiedziano niejedno o tym pospolitym metalu, którego jedyną zaletą w przeszłości była zdolność przebijania zbroi z brązu i łamania brązowych mieczy.

Żelazo zajmuje miejsce na końcu szeregu pierwiastków powstałych w naturalny sposób. Kiedy jakieś słońce, zużywszy cały zapas wodoru, wkracza w schyłkowy okres swojego istnienia, wówczas powstają w nim kolejne pierwiastki, zanim wreszcie, zależnie od pierwotnej wielkości gwiazdy, znajdzie ona wieczny spoczynek w postaci stosu żużla, gwiazdy neutronowej albo czarnej dziury. Żelazo zamyka szereg pierwiastków jako spośród nich najcięższy. Aby mogły powstać pierwiastki cięższe od żelaza, potrzebny jest piekielny

tygiel supernowej. Z żelaza nie da się uzyskać energii ani w drodze rozszczepienia, ani fuzji. Można by powiedzieć, że znajduje się ono w punkcie zera masy.

Żelazo jest - mówiąc w przenośni - czymś w rodzaju szkieletu wszechświata. Wiedza ta powinna być niedostępna dla badaczy z minionych epok.

Mircea Eliade, autor dzieła *Schmiede und Alchemisten*, zwraca uwagę na znaczenie żelaza w alchemii. Nieoczekiwanie przypada mu tam o wiele donioślejsza rola od złota, które zawsze umiało przemienić księcia w błazna i na odwrót.

Noces chymiques z 1616 r. (wyciąg ze *Scripta chymica* wzmiankowanego wyżej Basiliusa Valentinusa) zawiera kabalistyczną interpretację słowa ALCHIA, jednego z synonimów alchemii, która daje w wyniku liczbę 56. Tymczasem 56 to masa atomowa najważniejszego izotopu żelaza... Zdumiewające, jednak zachowajmy ostrożność. Ochłońmy tu lepiej przez chwilę, zanim się zagalopujemy.

Alchemia to błędny ogród, w którym aż nazbyt łatwo można utknąć albo wybrać niewłaściwy kierunek. Wątpliwe, aby udało się go w całości przebrnąć, pomierzyć i rozszyfrować.

Potraktujmy raczej alchemię jako jeden z konarów kosmicznego drzewa poznania, porównując je do jesionu świata Igdrasil z germańskiej mitologii, który podtrzymuje wszechświat, wyrastając z otchłani chaosu ginnun-gagap i mając korzenie we wszystkich światach...

Gdzie więc znajdujemy się teraz? Zatrzymaliśmy się na wniosku, że rzadko coś jest takie, jakim się je zawsze przedstawia. Wystarczy lekko uderzyć, a już fasada zewnętrznych pozorów zaczyna się kruszyć.

Mówiąc cynicznie, można tu się dopatrzeć współbrzmienia między naturą a działaniem człowieka, jakiego próżno szukać gdzie indziej: pełnego harmonii wspólnego starania o przesłonięcie rzeczywistości.

Bardziej konstruktywną postawą jest podjęcie próby zajrzenia za kulisy. Trzeba w tym celu jedynie zaakceptować fakt, że istnieje coś pod powierzchnią rzeczy.

Liczne wybitne umysły akceptowały taką rozszerzoną rzeczywistość i poruszały się w niej. Na przykład Izaak Newton (1643 - 1727), któremu chyba trudno zarzucać niezdolność do trzeźwego myślenia, porównywał wszechświat do tajemnego pisma (podyktowanego przez Wszchemogącego).

Równie interesujący i mało znany jest fakt, że ten przyrodnik, którego dzieło *Philosophiae naturalis principia mathematica* należy do kanonu wiedzy, twórca klasycznej fizyki teoretycznej i mechaniki nieba, zachowywał w stosunku do swoich odkryć postawę maga albo alchemika.

Dziwnie to się kojarzy z obrazem tego uczonego, giganta nowej ery nauki, racjonalisty, który nauczał potomność poruszania się w myśleniu torem chłodnego, autentycznego rozumu.

Sam Newton był człowiekiem intuicji. De Morgan powiedział o nim: „Wydawało się, że on wie więcej, niż kiedykolwiek zdołałby udowodnić”. Faktycznie, wiele dowodów twierdeń

Newtona odkryto dopiero znacznie później. Było dlań zawsze sprawą oczywistą, że kulę wolno traktować tak, jakby cała jej masa była skupiona w punkcie środkowym. Jego praca nad przygotowywaniem *Principiów* uległa zahamowaniu wskutek konieczności udowodnienia tego oczywistego faktu. Odkrycie tego dowodu zajęło uczonemu wiele czasu.

Podobnie było, kiedy Newton poinformował słynnego astronoma Edmunda Halleya (1656 - 1742, od jego nazwiska pochodzi nazwa nie mniej słynnej komety) o swoim odkryciu ruchów planet.

„Skąd pan to wie? Czy pan tego dowiódł?” - zapytał Halley, na co Newton odpowiedział zaskoczony: „Ale po co, wiedziałem o tym od lat. Jeśli da mi pan kilka dni czasu, znajdę dowód na pewno”. Tak też się stało. Niezbyt to ortodoksyjne postępowanie jak na matematyka.

Angielski ekonomista John Maynard Keynes (1883-1946), który zapoczątkował rewolucję w ekonomii, należał do najbardziej zagorzałych wielbicieli Izaaka Newtona.

W swoim studium *Die zwei Gesichter des Sir Isaac Newton* wysuwa on przypuszczenie, że doświadczenia Newtona służyły nie tyle odkryciu, co raczej potwierdzeniu tego, co uczonej już wiedział.

Można by zapytać prowokacyjnie, jakie skarby „nienaukowej” wiedzy kryła skrzynia z notatkami, brulionami, strzępami myśli itd., którą pozostawił po sobie Newton. Jest to tematem korespondencji między mężem siostrzenicy Newtona Conduitem a Humphreym Newtonem, bratankiem uczonego.

Kiedy Izaak Newton opuszczał Trinity College, udając się do Londynu, zostawił wspomnianą skrzynię pełną papierów. Przeszło milion słów, zapisanych w ciągu 25 lat. Ich treścią nie jest jednak - jak można by przypuszczać - matematyka i astronomia, ale po większej części magia. W latach, w których przygotowywał swoje *Principia*, Newton myślami przebywał także w innych rejonach. I nie było to zajęcie sporadyczne, ale przeznaczał na nie rok w rok około sześciu tygodni wiosną i sześciu jesienią.

Nie opublikowane (i prawie nie znane) traktaty Newtona o treści ezoterycznej i teologicznej cechuje taka sama kryształowa klarowność myśli jak jego pisma o astronomii i matematyce - ich substancja jest jednak niezaprzeczalnie magiczna...

Humphrey Newton, który nie tylko przepisał na czysto *Principia* sir Izaaka przed złożeniem do druku, ale był też jego pomocnikiem w laboratorium, pozostawił zapiski o alchemicznej działalności wielkiego astronoma i matematyka.

Jak informuje, Newton w miesiącach wiosennych i jesiennych rzadko kładł się spać przed godziną drugą, trzecią w nocy, tak bardzo pochłaniały go jego eksperymenty. „Jego trud, jego pilność - pisze Humphrey - budziły we mnie wrażenie, że jego cel w tych okresach wymaga nadludzkiej sztuki i wytrwałości”.

Mimo że Izaak Newton nie pozwalał sobie zaglądać w karty, jego bratanek niekiedy widywał starą, zapleśniałą księgę, która najwyraźniej odgrywała w tej działalności centralną rolę. Nosila ona tytuł *Agricola de Metallis* i omawiała transmutację metali.

Oczywiście, byłoby popadnięciem w drugą skrajność, gdybyśmy chcieli widzieć w alchemii klucz do wszystkich zagadek wszechświata, który podręcznikowa wiedza jedynie wzbrania się włożyć do zamka poznania.

Alchemicy byli omylni tak samo jak inni ludzie. Bardzo trafne jest powiedzenie, że kto szuka wiedzy, ten często błądzi. Nie traci ono aktualności nawet w odniesieniu do wspomaganych przez komputery badaczy naszych czasów (wystarczy choćby wspomnieć o krążących obecnie modelach kosmologicznych, które nie mogą być słuszne wszystkie naraz); i oczywiście, w o wiele większej mierze w odniesieniu do poszukiwaczy wiedzy w przeszłości.

Interesujący jest być może fakt, że mało znana w naszych szerokościach geograficznych stara alchemia chińska, za której najsłynniejszego przedstawiciela uważany jest Ko Hung (ok. 283 - 343 po Chr.), pociągnęła za sobą o wiele więcej ofiar śmiertelnych niż alchemia zachodnia. Przyczyną wyższej umieralności chińskich alchemików i ich protektorów było ich ściśle świeckie pojmowanie nieśmiertelności.

Z azjatycką wytrwałością i konsekwencją próbowali oni bowiem przyswajać sobie nieśmiertelność pijąc, połykając lub wdychając różne substancje, gdy tymczasem ich zachodni koledzy mieli na względzie przede wszystkim duchowe wywyższenie i taki rodzaj nieśmiertelności, której ciało nie musi absorbować z tak bezkompromisowym radykalizmem.

W związku z tym w kręgach alchemików chińskich częste były zatrucia arsenem, ołowiem, rtęcią i innymi substancjami, których następstwa zazwyczaj znoszono z dalekowschodnim stoicyzmem albo uważano za oznakę skutecznego działania danego środka. Na porządku dziennym były zwłaszcza przypadki zatrucia cynobrem, niemal zawsze idące w parze z zapaleniami i czyrakami.

Także ulubiony „czarny sok ołowiany” (prawdopodobnie gorąca zawiesina grafitu) pociągał za sobą liczne ofiary. Przekazy zawierają niezliczone przepisy na chemiczno-alchemiczne zabójcze eliksiry nieśmiertelności: gotowanie saletry i soli kamiennej w wodzie, mieszaniny rdzy żelaza z miedzią, podgrzewanie rtęci z lazurytem i malachitem albo siarki, realgaru (siarczku arsenu), saletry i miodu, sporządzanie wysoce wybuchowej mieszaniny przypominającej proch strzelniczy itd. W konsekwentnym zatruwaniu samego siebie przez alchemików taoistycznych historycy upatrują przyczynę upadku alchemii chińskiej, która między V a IX w. była w rozkwicie.

W gruncie rzeczy wszystko to jest bardzo zagmatwane. Dopiero co uznawaliśmy alchemię za skarbnicę zaginionej wiedzy, a teraz znowu wszystko stanęło na głowie. Nawet Daleki Wschód, powszechnie uważany za kolebkę niezyciowych filozofii, okazuje się być regionem samobójców-trucicieli, zorientowanych na sprawy tego świata. Czy znaczy to, że powróciliśmy w naszych rozważaniach do punktu wyjścia?

Nie, skądże znowu. Dla zrównoważenia tego, co wyżej powiedziano, można by przywołać niewytlumaczalną skuteczność medycyny azjatyckiej albo niesamowitą dalekowzroczność liczącej sobie 5000 lat chińskiej księgi wyroczni I-Cing. Ale jeszcze nie chcemy poruszać tego tematu - w tym miejscu. Tu mieliśmy pokazać tylko kolejną, egzotyczną stronę zwodniczej rzeczywistości. I jeszcze jedno zaskakujące stwierdzenie: Kto by się spodziewał, że nawet w dziedzinach interdyscyplinarnych istnieje zasób tak zwanej „pewnej wiedzy”, którą można zachwiać...

Owa rozleglejsza wiedza, która ma nam zapewnić w ostatecznym rezultacie instrumentarium dla większej wizji świata, przedstawia się nie jako monolityczny blok o prostym porządku, ale jako puzzle.

Odpowiednio do tego powinno się traktować pojedyncze elementy jako cząstki, składające się z kolei z in-nych cząstek (takie koncepcje pozwalają niemal poczuć bliskość nowoczesnych teorii naukowych naszych dni).

Nauki ezoteryczne przypominają rosyjskie matryoski, „babe w babie”, są bowiem pełne niespodzianek. Niektóre są zrozumiałe, inne okazują się być ślepych uliczkami, a jeszcze inne można jedynie niewyraźnie przeczuwać pod zasłoną tajemnicy. Nie inaczej przedstawia się sprawa z nowoczesną fizyką. Weźmy np. teorię stanu trwałego wszechświata, odrzucającą jego ekspansję, albo mechanikę kwantową. Oba te modele fizyczne opierają się na podstawie matematycznej, a jednak jeden z nich (teoria stanu trwałego) opisuje rzeczywistość nieprawidłowo, gdy tymczasem drugi (mechanika kwantowa) opisuje ją prawidłowo (taki przynajmniej obowiązuje dziś pogląd).

Do niedawna oba modele zaliczano do poważnych teorii, tak było do chwili, gdy kosmiczne promieniowanie tła zadało śmiertelny cios teorii stanu trwałego wszechświata Freda Hoyle'a. Wyobraźmy sobie teraz istotę pozaziemską, dla której ludzka fizyka jest absolutną zagadką. Jak oceniłaby ta istota dwie powyższe teorie - słuszną i fałszywą? Prawdopodobnie tak samo, jak fizyk naszych czasów ocenia zaszyfrowane teksty alchemiczne.

Ten, trzeba przyznać, równie trywialny co demagogiczny przykład ilustruje jednak podstawowy problem, który się streszcza następująco: aby zrozumieć wyjaśnienie, trzeba już znać jego połowę. Na tej zasadzie opierają się liczne łamigłówki, zagadki, paradoksy itd. Temat ten przewija się też w niejednej powieści science fiction (zwłaszcza Ask a foolish Question Roberta Sheckleya).

Czy to oznacza, że wiedza tajemna musi nią pozostać na zawsze, ponieważ, aby ją odsłonić, musiałoby się ją znać wcześniej?

Oczywiście, że nie. Istnieją przecież także całe góry fachowych publikacji na temat odkryć XX wieku, które specjaliści mówią wszystko, ale laikowi nic. Dotyczy to w równej mierze informacji o strukturze antybiotyku co instrukcji dotyczącej fachowego usuwania zęba mądrości.

Ledwie się zdobędzie znajomość rzeczy, to zaraz wiedza specjalistyczna nabiera sensu, staje się zrozumiała i możliwa do przyswojenia. Jednym słowem: wiedza fachowa dla laika nawet po kilkakrotnym przestudiowaniu pozostaje równie tajemnicza jak pierwszego dnia. Po prostu nie objaśnia się sama. Analogia jest oczywista: ten, kto np. będzie szukał w dziełach poświęconych alchemii podstaw tej wiedzy, ten się zawiedzie. Z równym powodzeniem można szukać wyjaśnienia praw Mendla w pracy poświęconej włączaniu odcinków DNA do jakichś chromosomów albo słynnego równania Einsteina $E = mc^2$ w podręczniku budowy reaktorów, mimo że bez znajomości tego równania nie można skonstruować ani reaktora, ani bomby atomowej.

Naprawdę mogli i mogą pracować z ezoteryczną wiedzą jedynie ci, którzy już ją mają.

Nie powinno nas to zrażać, gdyż w końcu każdy może stać się specjalistą także w dziedzinie wiedzy ezoterycznej, której poszczególne gałęzie zostaną przedstawione w następnych rozdziałach. Zanim do tego przejdziemy, musimy jeszcze poznać podstawową prawdę. Może ona być tylko taka: wszystko ma dwie strony, a przeważnie więcej. Kto ma czelność negować stronę fantastyczną rzeczywistości, ten de facto zdradza oderwanie od niej. Traci też możliwość przeżycia przygody, jaką stwarza poszukiwanie większej rzeczywistości, która zwłaszcza w dziedzinach wiedzy ezoterycznej stale wyraźnie daje znać o sobie, jeśli poszukiwacze są na nią otwarci - aczkolwiek nie pozbawieni krytycyzmu. '

Tylko gdzie i jak jej szukać? Gdzie znaleźć początek nici przewodniej przewijającej się przez całą wiedzę ezoteryczną, jeśli taka nić istnieje? Wiedza ta przedstawia połyskujący, wielostronny i pogmatwany obraz. Czy istnieje coś, co ją łączy?

Może tym czymś jest idea całości?

To uniwersalna myśl, napotykana na każdym kroku.

Pomyślmy tylko o sformułowaniach z języka potocznego, w których zawarte jest wyobrażenie wielkiej całości. Każdy już ich używał, nie zastanawiając się nad tym zbyt. Wraz z takimi wyrażeniami idea wielkiej całości, odgrywająca rolę w każdej ezoterycznej wizji świata albo dyscyplinie, weszła do codziennej mowy. Dowodzą tego przykłady. Dr Edward Bach (1886-1939), „ezoteryk” XX wieku, pionier New Age i twórca terapii kwiatowej, traktuje swoje odkrycie jako całościową metodę leczenia. Jego pogląd na zdrowie i chorobę wyrasta z nadrzędnego układu odniesienia, wykraczającego poza granice jednostki ludzkiej. Choroba oznacza, zdaniem Bacha, niezgodność między częścią (człowiekiem) a całością (większą myślą stwórczą). Można by zlekceważyć takie przekonania jako rojenia fantasty, gdyby nie ten kłopotliwy fakt, że sprawdzają się one w praktyce.

Jako kontrargument można wprowadzić podać efekt placebo (autosugestii, która może spowodować wyzdrowienie albo poprawę stanu chorego po zażyciu środka uważanego przezeń za skuteczne lekarstwo, a faktycznie obojętne dla organizmu). Na dłuższą metę nie jest on jednak przekonujący. Zbyt oczywista jest bowiem paralela między koncepcją Bacha a podstawami medycyny chińskiej liczącej sobie tysiące lat, która również się sprawdzała w praktyce, choć nikt nie umie powiedzieć dlaczego.

Powie ktoś, no dobrze, może to i frapująca zbieżność, choć poza tym metoda Bacha niewiele ma wspólnego z akupunkturą lub podobnymi rzeczami, ale w jakiej mierze można w ten sposób odeprzeć zarzut placebo?

Otóż akupunktura na przykład działa także na zwierzęta (krowy, konie). Mało prawdopodobne, aby czworonogi same sobie wmawiały złagodzenie bólów, cofanie się stanów zapalnych itd. Odkąd Soulie de Morant, francuski konsul w Chinach i miłośnik kultury Azji, w 1928 r. sprowadził akupunkturę do Europy, ogromnie wzrósł stopień akceptacji jej medycznych walorów - czego nie można powiedzieć o zrozumieniu zasady jej działania. Także w indyjskiej medycynie ajurwedyjskiej fundamentalną zasadę stanowi myśl, że uzdrowienie człowieka jest równoznaczne z uzdrowieniem uniwersum.

Całość, całość, całość...

Ta dygresja na tematy medyczne ukazuje, że w sferze „nieklasycznej” lecznictwa (od której oficjalna medycyna przeważnie się dystansuje) całość od tysiącleci była i jest na pierwszym planie. I to z praktycznym skutkiem, co trudno zanegować.

Nie dość na tym, na wschodzie bowiem czy na zachodzie panuje, jak się zdaje, zgodność wśród wszystkich ezoteryków wszech czasów co do tego, że szkoły i techniki, nauki i metody ezoteryczne można wyprowadzić z tego sposobu patrzenia na świat, ludzi i naturę. Jedne wprost, inne drogą pośrednią.

Wtajemniczenie można zacząć w dowolnym punkcie. Czy to będzie reinkarnacja, czy channeling, astrologia czy kabała, jasnowidzenie czy czytanie z ręki, aura czy bioenergia, karma czy tarot, różdżka czy wahadełko, siła kolorów czy wpływ czakranów, podróże astralne czy szamanizm, księga Dzyan czy kronika Akasha, ektoplazma czy ciało eteryczne itd. - zawsze obecna jest całościowa wizja świata. Ma ona wiele twarzy i wymyka nam się z rąk, przesłonięta zwodniczą różnorodnością wiedzy ezoterycznej, którą będziemy poznawać także szczegółowo.

Teraz stoimy jeszcze przed budowlą wiedzy tajemnej; byłoby zatem przedwczesne, gdyby już w chwili obecnej starać się uchwycić wskazane sedno wspólnych elementów. Próbie takiej jest poświęcona czwarta część tej książki.

Zajmijmy się natomiast tym, co istnieje, i uczynmy to, co nierzadko nawet przy rozwiązywaniu najbardziej złożonych problemów stanowi pierwszy krok na drodze do poznania: zacznijmy. Zostawmy na boku „jeśli” i „ale” i wylejmy po prostu zawartość fascynującego rogu obfitości wiedzy tajemnej. Niech pierwszym z elementów puzzli będzie jeden z najbardziej znanych - a więc, logicznie biorąc, także najbardziej kontrowersyjnych: moc gwiazd. Czy też to, co się za nią uważa.

Mimo wszystko niemało ludzi znajduje w „niepoważnej” astrologii więcej oparcia niż w „poważnej” pomocy fachowej, którą się wszędzie proponuje w celu odrzucenia poczucia odpowiedzialności, wierności, lojalności (i całej reszty zbędnego balastu przeszkadzającego osiągnąć szczęście).

Z tego punktu widzenia można w każdym razie zrozumieć zwrot ku sferom astralnym. Jednemu coraz trudniej jest zaprzeczyć, temu, że możemy się posługiwać wiedzą ezoteryczną dla naprawienia naszego życia czy znalezienia pociechy w morzu chaosu i szaleństwa albo też całkiem po prostu: uzyskania szerszej wizji świata.

Zależy to - jak tyle innych spraw - od nas samych. Astrologia jest jedną z ezoterycznych dróg, które stoją otworem przed każdym z nas...

Astrologia - nauka nie doceniona

...tylko światła z nieba oświecają czysto i bez skazy.

Maximen und Reflexionen

Goethe

Rodzi się dziecko. Dla jego rodziców oznacza to spełnienie największego pragnienia ich życia. Pióro nie zdoła opisać ich uczucia szczęścia, gdy mały człowiek otwiera oczy, wydaje pierwszy okrzyk albo instynktownie chwyta dużą rękę dorosłego. Potem jednak zdarza się czasem, że jak grom z jasnego nieba spada nieszczęście: młode życie gaśnie, ledwie się zaczęło. Niespodziewanie, nieubłagane i bezlitośnie. Potem nic już nie jest takie samo jak przedtem. Medycyna zna przyczynę takich nagłych zgonów. Jest nią choroba określana jako ROS = Respiratory Distress Symptom -postnatalne porażenie oddechowe, która powoduje śmierć w ciągu pierwszych trzech godzin po urodzeniu. Nie ma natomiast lekarstwa na nią ani sposobów jej zapobiegania. Nie można wcześniej rozpoznać podatności na RDS, bo zagrożone noworodki nie różnią się niczym od pozostałych. Przeważnie już w momencie, w którym lekarze spostrzegają, że z dzieckiem „coś jest nie tak”, ratunek jest spóźniony.

Większość par pragnących mieć dziecko chciałaby, niczym tonący, chwycić się choćby brzytwy, aby zapobiec tej strasznej groźbie. Jednak, jak się zdaje, medycyna nie widzi takiej możliwości.

Jest wszakże taka dziedzina wiedzy (której klasyczna nauka na ogół nie chce nawet przyjąć do wiadomości, nie wspominając już o przyznawaniu jej kompetencji w rozwiązywaniu problemów medycznych), w obrębie której odkryto zdumiewające prawidłowości w związku z ROS. Mamy na myśli astrologię, uznaną za temat tabu.

Na podstawie dokumentacji 24 000 urodzeń, zebranej w północno-wschodnich stanach USA w 1977 r, zespół badawczy pod kierownictwem Larry'ego Michelsona starał się dociec, czy metodami astrologii udałoby się wykryć prenatalnie w tej liczbie dzieci jakieś charakterystyczne cechy u 122 niemowląt, które zmarły na RDS. Najpierw przeprowadzono studia pilotażowe, a następnie - dla pewności - powtórzono badania. Przy użyciu komputerów przeanalizowano tysiące parametrów astrologicznych dla 122 ofiar RDS i 145 zdrowych noworodków. Wszystkie te dzieci pochodziły z tego samego terenu, dzięki czemu podstawowe warunki były w przybliżeniu identyczne.

Z początku nieunikniona wydawała się kolejna kompromitacja astrologii, albowiem pod względem miesiąca, dnia czy minuty urodzenia niemowlęta zmarłe na RDS niczym się nie różniły od dzieci z grupy kontrolnej.

Inaczej już było ze znakami zodiaku, gdzie występowały znamienne prawidłowości: na przykład znacznie więcej niemowląt chorych na RDS rodziło się pod znakiem Wodnika niż Lwa.

W sumie badacze wyodrębnili 18 parametrów astrologicznych, które wydawały się znaczące dla ewentualnego prognozowania ROS.

Spośród nich z kolei 11 dawało podstawy do przypuszczeń, że mają one szczególną wagę. Specjalnie obmyślona procedura analityczna miała posłużyć do oceny tych jedenastu parametrów pod kątem ich przydatności prognostycznej. Uzyskane rezultaty ujęto w tabelę, którą można było zweryfikować praktycznie.

Wyłonił się następujący obraz: w grupie kontrolnej 145 zdrowych niemowląt metoda astrologiczna pozwalała przewidzieć w 64 procentach, że urodzą się zdrowe, natomiast w

grupie dzieci zmarłych na ROS dokładność ich identyfikacji na podstawie horoskopu wynosiła 74 procent (!)

W sumie odsetek trafnych prognoz sięgał 69 procent, co znacznie przekracza odsetek, którego należałoby oczekiwać na podstawie przypadkowego prawdopodobieństwa.

Psychologowie Hans Jiirgen Eysenck i David Nias, którzy zajmowali się wynikami tych analiz, uważają wprawdzie, że nawet tak wyrafinowana strategia nie wyklucza możliwości błędu, ale że może to jednak mieć duże znaczenie dla praktyki lekarskiej.

Wyniki, jakie uzyskali Larry Michelson i jego koledzy, zdaniem profesora Eysencka i docenta Niasa, zasługują na uwagę. Gdyby istotnie udało się tą drogą zawczasu wykryć tak znaczny odsetek niemowląt z grupy ryzyka RDS, to dla osiągnięcia takiego celu warto zaakceptować cenę nieortodoksyjnego podejścia do pewnych elementów ryzyka.

Dla wszystkich, którzy mają już pewne doświadczenie w astrologii albo zechcą się nią zainteresować, podajemy poniżej wspomnianą tabelę zawierającą jedenaście parametrów astrologicznych.

Im więcej punktów procentowych widnieje w kolumnie z prawej strony tabeli, tym większe prawdopodobieństwo, że wiąże się z tym podatność na ROS. Obie ostatnie pozycje z wynikiem ujemnym mają znaczenie odwrotne: pozwalają wnioskować o braku podatności na ROS.

Parametr

Punkty procentowe

Aspekt Księżyca do połowy sumy Wenus i środka nieba

2,78

Aspekt Merkurego do połowy sumy węzła księżycowego i środka nieba

2,41

Regent VI domu w domu III (placidus)

1,62

Aspekt środka nieba do połowy sumy Słońca i węzła księżycowego

1,48

Słońce w Wodniku

1,30

Trygon Słońca i asteroidy Juno

1,29

Sekstyl Jowisza i Neptuna

0,99

Mars w I, IV, VII albo X domu

0,83

Regent II domu w domu X

0,54

Ascendent w Strzelcu

-0,70

Kwadrat albo kwinkunsk między Słońcem a Neptunem

-1,08

Większości czytelników ten zestaw parametrów prognostycznych niewiele powie, gdyż należą one już do wyższej szkoły astrologii. Poprzestańmy zatem na razie na stwierdzeniu, że astrologia, potępiana przez jednych, a żarliwie broniona przez drugich, zdaje egzamin także w świetle kryteriów nauki. Co zresztą nie pozostaje bez następstw.

U schyłku naszego stulecia, w którym zaiste nie brakowało przewrotów, nieśmiało zaczyna się pojawiać coś w rodzaju naukowego oddźwięku albo przynajmniej merytorycznej dyskusji z misterium astrologii. Coraz rzadziej są w użyciu określenia takie jak „nienaukowe wróżenie z gwiazd”. Punktem odniesienia dla większości osób wypowiadających się w tych sprawach bez uprzedzeń jest monumentalne dzieło dwojga psychologów francuskich Michela i Francoise Gauquelin, które na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza było wielokrotnie publikowane na całym świecie. Ten imponujący, często cytowany i jeszcze częściej poddawany analizie materiał to istny róg obfitości pełen frapujących poszlak sugerujących istnienie związku między osobowością człowieka a pozycją planet w momencie jego narodzin, który trudno wytłumaczyć racjonalnie.

Profesor Eysenck i docent Nias stwierdzają wprost: „Dzięki temu, że Gauquelin przez cały czas w licznych dokumentach publikował wszystkie szczegóły dotyczące swojej pracy, istnieje możliwość oceny stosowanych przezeń planów i metod. Dokonaliśmy takiej oceny i nie zdołaliśmy odkryć żadnych poważnych błędów; wprost przeciwnie -byliśmy pod wrażeniem wielkiej staranności, z jaką materiał został zgromadzony i przeanalizowany”.

Mimo to całkowicie iluzoryczna byłaby wszelka myśl o prawdziwie naukowej akceptacji astrologii. W gruncie rzeczy nie można nawet mówić o zbliżeniu stanowisk, gdyż jedna ze stron (nauka) zazwyczaj wzbrania się choćby tylko przyjąć do wiadomości istnienie drugiej strony (astrologii).

Istnieją takie nauki ezoteryczne, na temat których „poważni” badacze są przynajmniej gotowi podjąć dyskusję. Należy do nich alchemia, której z tego względu poświęciliśmy uwagę w rozdziale wstępnym. Astrologia raczej nie może liczyć na taką przychyłość.

Ilekcio staje się ona tematem rozmowy, dyskusję natychmiast tłumi się w zarodku przy użyciu takich argumentów, jak: „Czy może istnieć tylko dwanaście typów ludzi i ich losów?”, „W jaki sposób jakaś planeta może oddziaływać na los jednostki?”, „Słońce nie jest planetą” itd. Podobne reakcje nabrały już niemal cech odruchu warunkowego i wskutek tego np. między astronomami a astrologami prawie nigdy nie dochodzi do wymiany poglądów.

Ten stan rzeczy ma różnorodne przyczyny. Barięą jest z pewnością bardzo niewielkie zainteresowanie astrologów mechaniką nieba i z kolei równie skromne zainteresowanie astronomów mechanizmami losu. W ten sposób doszło do usztywnienia stanowisk, odkąd istniejąca w czasach starożytnych jedność astronomii i astrologii skończyła się i wyodrębniły się obecnie istniejące dyscypliny. Dziś astrologia w większym lub mniejszym stopniu jest sprawą wiary, gdy nikt nie chce - ani nie może - podawać w wątpliwość merytorycznej poprawności astronomii, a ostatnio także astrofizyki. Wprawdzie także astrofizyka w tej czy innej kwestii ma trudności z udzieleniem ścisłej odpowiedzi (np. co do kwazarów, czarnych dziur, gęstości materii we wszechświecie, natury grawitacji itd.), jednak nie obniża to jej rangi jako nauki ścisłej. I to całkowicie słusznie.

Astrologia jest tu niewątpliwie w gorszej sytuacji. Na arenie matematyki i praw natury astrologia ustępuje swemu naukowemu przeciwnikowi o kilka klas wagowych, co sprawia, że kiedy dochodzi do starć, często wędruje do narożnika.

Właściwie dlaczego? Czy dlatego, że astrologia jest w swej najgłębszej istocie sztuką intuicji? Nie to jest rzeczywistą przyczyną świętej naukowej zaciekleści, z jaką stale przypuszcza się ataki na astrologów i ich zwolenników. Ostatecznie także w przypadku uznanych dyscyplin nauki intuicja odgrywa pewną rolę. Tak np. przygotowanie zawodowe dobrego lekarza pomaga mu w niektórych przypadkach intuicyjnie postawić diagnozę, po czym staje on przed zadaniem (interpretacyjnym) dokonania właściwego wyboru z palety możliwych metod terapeutycznych i medykamentów. Gdyby tak nie było, to wystarczyłoby mieć w domu jedynie „książkę lekarską” i moglibyśmy bez trudu leczyć się sami. Praktyka pokazuje uniwersalną doniosłość intuicji, wycucia, czy jakkolwiek zechcemy to nazwać. Istnieją specjaliści stawiający tak często albo też tak rzadko trafne diagnozy, że nie można tego tłumaczyć tylko i wyłącznie posiadanym know-how.

To samo dotyczy astrologów, przy czym oczywiście w najmniejszej nawet mierze nie mamy zamiaru stawiać astrologii i medycyny na jednej płaszczyźnie. Bynajmniej, chodziło nam tylko o próbę przedstawienia pewnej analogii, która - jak to zwykle bywa -bardzo kuleje.

Cóż więc sprawiło, że astrologia stała się skałą przekonania wystającą z rozszalałego morza ataków?

Ataki te byłyby usprawiedliwione i zrozumiałe, gdyby astrologia de facto rościła sobie takie pretensje, jak horoskopy zamieszczane w pismach.

Tak jednak nie jest.

Nic bowiem nie jest jej bardziej obce niż wskazywanie najkrótszej drogi do szczęścia w miłości, ostrzeganie przed otwartymi pokrywami studzienek kanalizacyjnych czy ogłaszanie, że poszczególne osoby podlegają bezpośredniemu wpływowi Jowisza, Plutona albo innego skupiska materii w gwiazdnych przestworzach. Astrologia funkcjonuje na zupełnie innej zasadzie. Trzeba się jednak zająć nią poważnie, aby ustrzec się błędów, które - przynajmniej - są trudne do uniknięcia. Czyni tak bardzo niewiele i nie jest to - również przynajmniej - wcale takie łatwe. O wiele łatwiejsze jest potępienie wszystkiego w czambuł.

Jest oczywiste, że cały skomplikowany system nie daje się łatwo jednoznacznie określić. W końcu także np. cała kultura germańskiej nie dałoby się scharakteryzować jedną definicją. W przypadku astrologii aż nazbyt często używa się jednej definicji: bujda.

Czy to sprawiedliwe?

Nie sędzę. Było zresztą też dostatecznie wielu wyśmiewanych naukowców. Zarówno wielki chemik francuski Lavoisier (1743-1794), którego słuszne wyjaśnienie procesów utleniania zostało uznane za urojenie, jak Robert Koch (1843-1910), którego słynny kolega, Rudolf Virchow, zwalczał do tego stopnia, że nie zawahał się zjeść chleba posmarowanego bakteriami wąglika, aby dowiedzieć, że nie istnieją postulowane przez Kocha „małe zwierzęta” (bakterie) - wszyscy oni mogliby niejedno powiedzieć na temat przesądów.

Nie chcemy przez to oczywiście sugerować, że astrologia znajduje się na progu, poza którym stanie się możliwe jej naukowe udowodnienie. Taka ambicja jest jej w gruncie rzeczy obca - i zapewne nie dałoby się jej naprawdę zrealizować.

Już choćby z tego względu, że byłoby to przeciwne istocie astrologii. Nie jest ona bowiem ani paranauką, ani namiastką nauki, ale reprezentuje inny punkt widzenia - właśnie ezoteryczny.

Niezależnie od tego można się nawet doszukać całkowicie naukowych argumentów na poparcie zasad astrologii. Jest znamienne, że szukają ich prawie wyłącznie naukowcy.

Jednym z nich jest dr Percy Seymour - pokazowy przykład przeciwnika astrologii, który się przedzierzgnął w jej rzecznika.

Dr Seymour jest Principal Lecturer in Astronomy na politechnice w Plymouth i dyrektorem William Day Planetarium. W 1984 r. trafił on na pierwsze strony prasy światowej dzięki swojej rekonstrukcji układu ciał niebieskich, widocznego nad Betlejem w noc narodzenia Chrystusa. W trakcie pracy w charakterze Senior Planetarium Lecturer w planetarium Greenwich, które powstało z L. Old Royal Observatory, rozwijał swoje idee o pochodzeniu astronomii i astrologii.

Ten fizyk i astronom, który opracował ważną teorię pola magnetycznego Drogi Mlecznej, początkowo nie był entuzjastą „wróżenia z gwiazd”.

Wręcz przeciwnie.

A jednak dzisiaj wygłasza ważne referaty - na kongresach astrologicznych.

Jak do tego doszło?

W lutym 1986 r. Seymour zaczął swój referat na konferencji Urania Trust, zorganizowanej w Imperial College na uniwersytecie w Londynie, tymi oto słowy:

Kiedy astronom ujawnia zainteresowanie sprawami astrologii, to tak, jak gdyby dobrowolnie poddał się rozrywaniu przez dwa konie, z których jednym jest astronomia, a drugim astrologia. Dla większości astrologów jest jasne, że astrologia się sprawdza i nie jest im potrzebny naukowiec do objaśnienia, jak to się dzieje; tymczasem większość moich kolegów astronomów ma pewność, że astrologia się nie sprawdza.

Ten ostatni pogląd spotyka się na każdym kroku. We wrześniu 1975 r. amerykański magazyn „Humanist” opublikował artykuł pod tytułem Zarzuty przeciwko astrologii. Był on podpisany przez 186 znanych naukowców - wśród nich 18 laureatów Nagrody Nobla.

W owym czasie także dr Seymour znajdował się w tym obozie.

Prawie nikt nie sprzeciwiał się publikacji Zarzutów przeciwko astrologii. Carl Sagan odmówił wprawdzie podpisania, nie dlatego jednak, by miał przypisywać astrologii jakąkolwiek wiarygodność, tylko z racji tonu listu otwartego, który wydał mu się nazbyt autorytarny.

Paul Feyerabend, filozof nauki, wyartykułował nieco mocniej swoje stanowisko przeciwne Zarzutom. Powiedział on:

Ocena 186 znanych naukowców opiera się na sposobie myślenia sprzed epoki lodowcowej, na niewiedzy o najnowszych odkryciach dokonanych w obrębie ich własnych dyscyplin (astronomii i biologii oraz ich syntezy) i na niezdolności przewidywania implikacji tych odkryć, które są im już znane. Ocena ta ukazuje, do jakiego stopnia naukowcy są gotowi przypisywać sobie autorytet także w tych dziedzinach, które są im obce.

Mocne słowa. Przed latem 1984 r. Seymour przyjąłby je jednak równie niechętnie, jak uczeni sygnatariusze Zarzutów przeciwko astrologii.

W czerwcu 1984 r. zespół telewizji angielskiej BBC przeprowadził w Plymouth sondę uliczną na temat astrologii.

Zapytano o zdanie również Seymoura, astronoma i kierownika planetarium. Jego opinia była jednoznaczna, nie zostawiająca wątpliwości co do tego, że kosmos wprawdzie mógł zsynchronizować biologiczne zegary w ludziach, zwierzętach i roślinach, że Słońce i gwiazdy pozwalają na precyzyjną nawigację, ale że to już wszystko.

W sprawie związku między wszechświatem a osobowością indywidualną Seymour wypowiedział się negatywnie. Także na pytanie, czy uważa za możliwe naukowe odkrycie

takiego powiązania kiedyś w przyszłości, Seymour udzielił przeczącej odpowiedzi. Po nagraniu tego wywiadu astronom zastanowił się raz jeszcze nad swoimi ortodoksyjnymi odpowiedziami. W niczym nie różniły się one od tych, które zazwyczaj padały z ust jego kolegów naukowców przy podobnych okazjach.

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Nagle argumenty te wydały mu się jakby mniej niepodważalne, a niektóre nawet dość słabe.

Astronom ów postanowił zgłębić dziedzinę astrologii i w ten sposób z jej wroga przeistoczył się w przyjaciela, a nawet kogoś więcej...

Najpierw zadał sobie pytanie podstawowe: Jaki związek mógłby istnieć między obrotami ciał niebieskich a formami biologicznymi czy też przypadkami losowymi na Ziemi?

Oczywiście, do tej roli pretendowało kilka możliwych czynników: plamy na Słońcu, wiatr słoneczny, pola elektromagnetyczne, linie geodezyjne, promieniowanie kosmiczne, wzajemne oddziaływania cząstek elementarnych itd. Wszystkie te hipotezy nie były całkiem nowe, a przy tym wyjątkowo niejasne. Nie widząc zrazu żadnych szans na powstanie ogólnej teorii, Seymour nie dawał jednak za wygraną.

Kiedy w 1986 r. na konferencji Urania Trust Seymour mówił o naukowych aspektach „wróżenia z gwiazd”, miał już swoją teorię.

Zasługuje ona istotnie na uwagę, a składają się na nią następujące podstawowe twierdzenia: Żyjemy na gigantycznym magnesie o nazwie „Ziemia”, którego pole magnetyczne w długich okresach zachowuje względną stabilność, bo inaczej niemożliwa byłaby np. nawigacja.

Bieguny łączą ze sobą linie sił pola magnetycznego, które przy bliższym poznaniu okazują się nie tak stabilne, jak można by przypuszczać. Jeśli nawet ich kierunek jest ustalony, to jednak podlegają pewnym wibracjom jak druty telegraficzne na wietrze. Na niektóre z tych drgań wpływają ruchy Księżyca, na inne położenie albo aktywność Słońca. Jak dziś wiemy, co dodatkowo potwierdziły loty kosmiczne, wszystkie ciała niebieskie mają pole magnetyczne. Planety, gwiazdy, galaktyki...

Nie chcąc wchodzić w szczegóły, powiemy, że Seymour przedstawił teorię „kosmicznej orkiestry”. Cały Układ Słoneczny - a w zmniejszonej skali cały wszechświat - gra skomplikowaną symfonię na liniach sił Ziemi.

Jest to jednak tylko -dość pewne - podstawowe założenie. Biologowie dowiedli, że wiele form żywych, a wśród nich ryby, bakterie, chrząszcze, ptaki, ma zdolność postrzegania pola magnetycznego. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro znane są także inne zdumiewające możliwości zmysłów zwierząt. Na przykład nietoperze „widzą” ultradźwięki, narząd jamkowy grzechotnika daje trójwymiarowy obraz w podczerwieni, pszczoły wykorzystują do nawigacji polaryzację światła słonecznego, a słodkowodny polip, stułbia, okazuje się mistrzem polowania, choć nie posiada zmysłu wzroku.

Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby zwierzęta miały również „zmysł magnetyczny”.

Co innego, gdyby miał go człowiek. Masowy eksperyment na uniwersytecie w Manchester w USA wykazał, że wiele spośród poddanych mu osób umiało się orientować według pola magnetycznego.

Stwierdzono ponadto, że różne gatunki zwierzęce - jak również człowiek - umieją rejestrować wibracje pola ziemskiego.

Trzeba zaznaczyć, że żadne z tych stwierdzeń nawet w niewielkiej części nie należy do wiedzy ezoterycznej czy okultystycznej.

Są one elementem hard science.

Seymour wyciągnął z nich dalej idące wnioski.

Jego zdaniem my wszyscy jesteśmy genetycznie nastroszeni na różnorodną „melodię” symfonii Układu Słonecznego, czy raczej została ona w nas odcisnięta. Dokonuje się to w złagodzonej postaci już w łonie matki, jednak w całej pełni dopiero z chwilą przyjścia na świat. Nie oznacza to, żeby łono matki miało być schronem przed promieniowaniem - bo tak nie jest - ale że kształtowanie naszego sensorium i innych organów jeszcze nie zostało zakończone w owych miesiącach szczęśliwego trwania w doskonałym bezpieczeństwie.

Zaczynamy więc nasz ziemski byt już w pewien sposób „zaprogramowani”. Nie od rzeczy jest przypuszczenie, że kiedy w późniejszym momencie orkiestra Układu Słonecznego zagra „naszą melodię”, zaczynają w nas zachodzić specjalne procesy, i że my i nasze działania podlegamy temu wpływowi.

Seymour jest przekonany, że odkrył związek między stanem wszechświata w sekundzie narodzin a noworodkiem (którego osobowość podlega temu wpływowi). Ponieważ wywiódł to wyjaśnienie z dziedzin wiedzy naukowej astronomii i astrofizyki, geomagnetyzmu i biologii, wydaje mu się ono odpowiednie do zdobycia merytorycznego uznania dla astrologii.

Idzie on jeszcze dalej twierdząc, że wiedza tego rodzaju była możliwa także w minionych epokach. Mogłaby ona stanowić zapomnianą bazę tradycji astrologicznych.

Cóż, jest to w każdym razie istotne wsparcie z nieoczekiwanej strony.

Ale czy wiemy teraz, czym naprawdę jest astrologia?

Oczywiście, że nie. Tej godnej uwagi imponującej teorii nie można nawet porównać z „książką lekarską” z przykładu podanego na wstępie, co najwyżej z atlasem anatomii. Wciąż jeszcze nie wiemy, co wyróżnia praktykującego specjalistę astrologa.

Przyjrzyjmy się więc, w jaki sposób ktoś taki przystępuje do dzieła...

Pierwszy krok stanowi obliczenie horoskopu urodzeniowego, który w zasadzie przedstawia stylizowaną mapę nieba w momencie narodzin. Nie musi przy tym chodzić o narodziny istoty żywej. Taki migawkowy obraz procesów zachodzących na niebie może się również przydać do sporządzenia horoskopu dla firmy, organizacji, etapu życia, narodu, jakiejś rzeczy, a nawet problemu. Aby można było sporządzić horoskop urodzeniowy, konieczna jest znajomość

konkretnego punktu początkowego. Czy to będzie moment urodzenia się jakiejś osoby, czy złożenia podpisu pod umową, to dla późniejszej interpretacji horoskopu nie ma znaczenia.

Podobnie jak istnieją różne rodzaje horoskopów, tak mogą też się zmieniać reguły ich odczytywania, interpretacji, zależnie od tego, czy chodzi o charakter człowieka, wydarzenia w jego życiu, idealny czas na jakieś działanie, współdziałanie z innymi ludźmi (przede wszystkim związki partnerskie) albo sprawy całkowicie innego rodzaju (interesy, zjawiska polityczne itd.). Astrologia może być stosowana w różnych celach. My jednak dopiero zaczynamy ją poznawać, będzie więc nam potrzebny formularz do sporządzenia horoskopu, jaki można bez trudu nabyć w specjalistycznych sklepach.

Horoskop urodzeniowy jest to koło, w które astrolog wpisuje dwanaście znaków zodiaku, planety i domy. Musi w tym celu znać dokładnie miejsce i czas urodzenia. Jeśli są mu znane, to może narysować taki horoskop, przez co jednak nie należy rozumieć swobodnej ekspresji artystycznej. Chodzi tu raczej o astrologiczne przetworzenie danych indywidualnych.

Innymi słowy: Wspomniane planety, domy i inne elementy, o których jeszcze będzie mowa, trzeba nanieść na wykres i powiązać ze sobą - na razie graficznie. Zaakceptujmy w tym momencie bez komentarza klasyfikację Słońca i Księżyca jako planet, wprowadzenie nowych planet (Hamburgera) i inne dowolności, które doprowadzają astronomów do szału. I tak wkrótce stanie się jasne, że choć terminologia astrologiczna przypomina astronomiczną, to należy ją rozumieć inaczej, i dlaczego tak jest. To spuścizna zamierchłej przeszłości, w której nauka i wiedza ezoteryczna współistniały ze sobą harmonijnie (nierzadko praktykowane przez tych samych uczonych). Przyjrzyjmy się więc bliżej przedmiotowi naszego zainteresowania.

Dwanaście znaków zodiaku to 30-stopniowe odcinki koła zodiakalnego, które jak każde inne koło ma 360 stopni. Sam zodiak stanowi zarówno tło dla planet, jak też układ współrzędnych albo odniesienia, pozwalający dokładnie określać ich pozycje.

Choć wydaje się to trudne, wcale tak nie jest. Ponieważ Słońce zgodnie z mechaniką nieba w ciągu roku przemierza cały zodiak, to dziecko rodzi się pod tym spośród znaków zodiaku, w którym Słońce znajdowało się w chwili narodzin. Przybliżone dane dotyczące dwunastu znaków zodiaku są ogólnie znane i można je znaleźć w dowolnym horoskopie z czasopisma.

Oczywiście, sprawa nie jest aż tak prosta. Po pierwsze, Słońce z powodu eliptycznego kształtu ziemskiej orbity nie spędza tyle samo czasu w każdym znaku (okres ten się waha się od 29,5 do 31,5 dni), a poza tym są jeszcze lata przestępne. Tak więc w ostatecznym rezultacie nie co roku Słońce zmienia znak w tym samym dniu.

Nie to jednak jest decydujące. Horoskop staje się złożonym instrumentem analizy dzięki wielu czynnikom. Wspomniane domy i planety stanowią tylko jego podstawową konstrukcję. Do wykończenia potrzeba o wiele więcej, ale po kolei.

Krok po kroku nasz astrolog przeprowadza swoją analizę. Najpierw rysuje elementarny horoskop urodzeniowy, przedstawiający znaki zodiaku, planety i domy w momencie narodzin. W tym celu musi określić znak wschodzący (ascendent), aby wyznaczyć domy, w których znajdują się poszczególne planety. Następnie wykreśla aspekty planet. Suma znaczeń wszy-stkich poszczególnych czynników składa się na całość obrazu o bardzo indywidualnej wymowie, który pozwala na przeprowadzenie interpretacji, czy raczej wymaga jej.

Nim się obejrzelśmy, mamy już przed sobą bardzo złożony system. Widać z tego, że np. Bliźnięta nie muszą być koniecznie tylko wesołymi lekkoduchami (czego autor urodzony pod znakiem Bliźniąt nie przyjąłby bez sprzeciwu) itd.

Nie, ludzie spod znaku Bliźniąt, Barana, Wagi itd. są w istocie bardzo różni. Człowiek nie jest jednowymiarowy, podobnie jak jego horoskop.

Uwzględniamy dziesięć planet (wliczając w to Słońce i Księżyc), dwanaście znaków zodiaku i dwanaście domów. Aspekty to odległości kątowe między dwiema planetami: sekstyli 60°, kwadrat 90°, trygon 120°, opozycja 180° i koniunkcja 0°. W horoskopie występują setki czynników, które się nawzajem wzmacniają, osłabiają albo modyfikują w inny sposób - co daje niemal nieskończone możliwości interpretacji.

Na tym etapie astrolog zaczyna korzystać ze swej intuicji. My jednak jeszcze nie jesteśmy na to gotowi i musimy teraz poznać poszczególne elementy horoskopu, o których dotąd tylko słyszeliśmy.

Wiemy już, co to jest nasz własny znak zodiaku: ściśle określony wycinek sklepienia niebieskiego, w którym znajduje się Słońce w chwili, gdy jako niemowlę wydajemy pierwszy krzyk; nie ma przy tym szczególnego znaczenia, jeśli się pomylimy o kilka minut w jedną czy drugą stronę.

Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa domów. Wyobraźmy sobie, że znajdujemy się w punkcie środkowym kuli o ogromnych, właściwie nieograniczonych rozmiarach. Według nowoczesnej kosmologii w pewnej mierze tak właśnie jest, ale nie odbiegajmy od tematu.

Wnętrze tej kuli musimy teraz podzielić na dwanaście wycinków, które można porównać do cząstek poma-rańczy albo kawałków arbuza. „Wykrawanie” tych wycinków następuje wzdłuż osi północ - południe, z którą zgodne są ich krawędzie wewnętrzne.

Ponieważ znajdujemy się w środku kuli, to linia horyzontu dzieli ją na dwie półkule, tak że sześć wycinków - a więc domów - znajduje się nad nami i sześć pod nami. Można więc powiedzieć w odniesieniu do Ziemi, że sześć domów znajduje się nad horyzontem i sześć pod horyzontem. W gruncie rzeczy łatwo można to sobie wyobrazić.

Jak wiadomo, nic nie stoi w miejscu, a już najmniej Ziemia i inne ciała niebieskie. Tak więc poszczególne domy otrzymują swoich lokatorów.

W astrologii domy liczy się w dół, zaczynając od ascendentu. Jest to wschodzący znak zodiaku na wschodniej części horyzontu.

Nie zapominajmy, że wszystko odnosi się do dokładnej daty i miejsca urodzenia.

Idźmy więc dalej: wycinki nieba położone bezpośrednio nad wschodnią i zachodnią częścią horyzontu powinny być odpowiednio XII i VII domem - i tak też jest.

Sprawa domów nie należy do łatwych, ale nie będziemy się nad nią zatrzymywać. Ostatecznie wszystko w życiu ma swoje aspekty. Także astrologia, tyle że tu są one ściślej zdefiniowane.

Przedstawiliśmy je już pokrótce, omawiając podstawowe elementy horoskopu. Dowiedzmy się teraz o nich czegoś więcej.

Aspekty w astrologii są konkretną, wymierną wielkością, wyrażoną pozornym kątem między dwiema planetami albo innymi ważnymi punktami, o których jeszcze będzie mowa.

Za podstawowe aspekty uważa się następujące:

Koniunkcja. Oznacza ona kąt równy 0° , który występuje, gdy dwie planety znajdują się obok siebie, jedna nad drugą czy jedna za drugą. Również w astronomii nie jest to pojęcie nieznane.

Sekstyl. Mamy z nim do czynienia, gdy dwie planety tworzą kąt 60° .

Kwadrat. Jak można się domyślać, kąt między planetami jest równy 90° (kąt prosty).

Trygon. Jest to kąt 120° .

Opozycja. Oznacza ona przeciwstawne pozycje, a więc kąt 180° .

Astrologowie określają aspekty 90° i 180° jako niekorzystne, dysharmonijne albo nie sprzyjające, a 60° i 120° jako korzystne, harmonijne albo sprzyjające. Koniunkcje lokuje się między jednymi a drugimi.

Oczywiście aspekty nie zawsze są całkowicie dokładne; możliwa jest pewna wkalkulowana nieostrość, nazywana orbisem, mieszcząca się w zakresie ± 5 . Tak więc np. w przedziale 85° - 95° mówi się o kwadracie z orbisem 5.

Oprócz tych podstawowych parametrów mogą być jeszcze brane pod uwagę dalsze czynniki, zależnie od szkoły astrologicznej, rodzaju horoskopu i indywidualnych upodobań astrologa. Na przykład węzły księżycowe, asteroidy, zaćmienia Słońca i Księżyca, połowiczne sumy, paralele deklinacji, retrogradacje, dystanse, aspekty harmonijne i wiele innych, którym nie będziemy poświęcali uwagi. Wiele z tych pojęć jest po prostu zbyt niejednoznaczne.

Zostawimy na boku także kwestie sporne w obrębie samej astrologii (np. gdzie jest początek zodiaku, jak należy dzielić domy, jaki orbis jest ważny itd.). Podobne dysputy aż nazbyt często toczą się w końcu także w „poważnej” nauce.

Pozostańmy lepiej u źródeł.

Astrologia operuje zatem wieloma parametrami. Jeśli nawet sposób ich wykorzystania może się różnić, to pozostaje do wyjaśnienia, jak się je w ogóle określa. Trudno mieć jakieś zdanie na temat różnicy katowej między dwiema konstelacjami planet, kiedy się jeszcze nie wie nawet, jak ją obliczać.

Do tego celu służą efemerydy, czyli obszerna tabela podająca pozycje poszczególnych planet na dany dzień.

Jej nazwa pochodzi od greckiego ephemeris, co oznacza „trwający albo żyjący tylko jeden dzień”. Dlatego też jętki jednodniówki nazywa się po grecku Ephemeroptera.

Wspomniane efemerydy są używane w astronomii nie rzadziej niż w astrologii. Są to przeważnie bardzo obszerne i sięgające daleko w przeszłość tabelaryczne zestawienia, podające pozycję Słońca, Księżyca i planet na każdy dzień na godzinę dwunastą czasu uniwersalnego Greenwich (GMT). Szczególną precyzją wyróżniają się Raphael's Astronomical Ephemeris of the Planet's Places, które można otrzymać dla każdego roku od 1800.

Można kupować ukazujące się co roku zeszyty zawierające tabele pozycji ciał niebieskich (tak zwane angielskie efemerydy) albo kompletne książki.

Oczywiście nie wystarczy (znowu) kupić wspomniane tabele i znaleźć w nich potrzebne dane. Nawet najbardziej doświadczeni astrologowie nie zawsze mogą ustalić, mimo wielogodzinnych dyskusji, znaczenie jakiejś planety w danym znaku zodiaku. Podobnie jak naukowcy łamiący sobie głowy nad znaczeniem jakiegoś równania albo śladu cząstki elementarnej na ekranie luminescencyjnym.

Nie powinno to nas powstrzymywać od głębszego zapoznania się z materiałem astrologii. Wyłaniają się przy tym coraz to nowe czynniki, które trzeba wziąć pod uwagę w kolejnych etapach pracy. Coraz dalsi jesteśmy od horoskopu z ilustrowanego pisma...

Sceptycy mogą wysunąć zarzut, że już tylko z tych elementów horoskopu, które dotychczas wymieniliśmy, można ułożyć zawrotną liczbę wariantów, a matematycy z satysfakcją powołają się na niemieckiego astrologa Noela Tyla, który obliczył najmniejszą liczbę możliwych kombinacji różnych parametrów astrologicznych. Wynosi ona $5,4 \times 10^{67}$, co jest liczbą z 67 zerami, większą od liczby wszystkich atomów we wszechświecie.

Brzmi to niezbyt zachęcająco, ale bez obawy, w pierwszej fazie opracowywania horoskopu nie musimy i zresztą nie możemy osiągnąć aż tak wielkiej dokładności. Nuanse rodzą się dopiero na podstawie narysowanego i wypełnionego poszczególnymi symbolami podstawowego wykresu. Na tym szczeblu wyższego wtajemniczenia oprócz know-how zaczyna odgrywać rolę siła intuicji astrologa. Synteza tych dwóch elementów nie zależy od przewertowania choćby nie wiedzieć ilu dzieł i tabel. Ten czynnik - wykazujący zaskakujące podobieństwo do zasady nieoznaczoności Heisenberga, która na zawsze i ostatecznie pozbawia nas możliwości uchwycenia cząstek elementarnych w ich tańcu, a równocześnie charakteryzuje także pewne głębokie procesy w mózgu - decyduje o tym, że jedni astrologowie odnoszą większe sukcesy niż inni.

Tak więc wróciliśmy do punktu wyjścia: do rysowania zasadniczego horoskopu.

Zdobyliśmy już pewne rozeznanie w tym, co powinien on zawierać i co jest najważniejsze w jego poszczególnych elementach. Nie wiemy jednak, jak z tego wszystkiego powstaje jedna całość. Co jest nam więc potrzebne, aby przystąpić do konkretnej pracy? Kołowy wykres zodiaku i pięć niezbędnych informacji: dzień, miesiąc, rok i godzina jak również miejsce urodzenia (jego długość i szerokość geograficzna; nieuniknione różnice w stopniach długości można znaleźć w odnośnej literaturze; wspominałyśmy o tym jedynie na marginesie). Teraz można zacząć właściwą pracę, co oczywiście wiąże się ze żmudną drobiazgowością przy każdej czynności. Natychmiast pojawiają się też problemy.

Jak ustalić -decydujący dla sporządzenia horoskopu - moment narodzin? Czy poszukiwaną chwilę określa pojawienie się główki, pierwszy krzyk, odcięcie pępowiny czy jeszcze coś innego?

Mimo że ustalenie tego momentu z dokładnością co do sekundy nie jest potrzebne dla celów astrologii, to nie chcemy uchylać się od podjęcia tej kwestii. Pierwszy krzyk nie oznacza - choć wywołuje głębokie wzruszenie u młodych rodziców - początku życia, ale jedynie nabranie po raz pierwszy powietrza, a tym samym „uruchomienie” płuc. Towarzyszy on zresztą wydechowi, a więc już wcześniej płuca musiało poza łonem matki wypełnić powietrze.

Jeszcze mniej argumentów można przytoczyć na korzyść uznania za moment narodzin odcięcie pępowiny. W rzeczywistości przecina się bowiem tkankę, która już nie funkcjonuje, i która żywiła noworodka w łonie matki (łącząc go z łożyskiem).

Nie, to nie może być ta chwila.

Nie ma też konieczności wyczekiwania ze stoperem w rękę na ukazanie się pierwszej części ciała dziecka - którą nie musi wcale być głowa. W normalnym przypadku niezbędne czynności pomagające przyjść na nasz świat nowemu mieszkańcowi Ziemi trwają tylko kilka minut. Z tego powodu horoskopy sporządza się na podstawie danych wyrażonych w minutach.

Nasuwa się teraz pytanie, co przyjąć jako właściwy czas do ustalenia lokalnych współrzędnych urodzenia. Mimo że konieczne przeliczenia - dawniej przeprowadzane ręcznie - wykonują dziś zwykłe kalkulatory kieszonkowe, być może interesująca będzie krótka informacja na temat systemu stref czasowych przyjętego w naszych czasach. Ten typowy produkt nowoczesnej cywilizacji musi być doprowadzony do zgodności z dawnymi praktykami astrologicznymi, albo też odwrotnie. Nie jest to jednak bardzo trudne i dziś całkowicie nas w tym wyręcza nasz przyjaciel komputer, który błyskawicznie wykona niezbędne przeliczenie czasu strefowego na czas miejscowy, aby można się było posuwać dalej w sporządzaniu horoskopu. W średniowieczu nikt nie musiał się zmagać z problemem stref czasowych. Istniał wówczas tylko jeden jedyny czas miejscowy, mierzony w momencie kulminacji (najwyższego położenia Słońca w południe). „Prawdziwy” dzień słoneczny był po prostu odstępem czasu między jedną kulminacją a następną. Dzięki temu prawdziwemu czasowi słonecznemu każdy astrolog mógł natychmiast przystąpić do sporządzania horoskopu. Obliczenia przeprowadzano dopiero później.

Z nastaniem rewolucji przemysłowej świat się otworzył, zaczęła powstawać infrastruktura, drogi komunikacyjne i kanały informacyjne, a „prawdziwy dzień słoneczny” zakończył swoją służbę. Wójtowi na wsi nawet jeszcze w XIX w. mógł wystarczać lokalny czas słoneczny. Problemy pojawiały się wtedy, gdy chciał z innym wójtem - mieszkającym daleko - porozmawiać na temat czasu zegarowego i musiał stwierdzić występowanie znacznych różnic.

Najpierw uregulowania tego stanu rzeczy, niemożliwego do utrzymania na dalszą metę, zaczęły się domagać koleje. Tak narodził się czas kolejowy.

W Europie tym się na razie zadowolono. Kiedy na dworcu głównym była dwunasta w południe, to ta sama godzina obowiązywała również na wszystkich stacjach podrzędnych. Kto się kierował zegarem na wieży kościoła we wsi, ten po prostu spóźniał się na pociąg, jego pech.

Koleje powstawały jednak także w Nowym Świecie, jak nazywano Amerykę, zwłaszcza na kontynencie północnoamerykańskim. Tam odległości są znacznie większe niż w Starym Świecie, Europie. Również ustalające czas dworce główne, położone to na wybrzeżu zachodnim, to znowu na wschodnim, dzieliły od siebie ogromne dystanse. W węzłach, gdzie krzyżowały się trasy ogromnej sieci kolejowej USA, dochodziło do prawdziwych przeskoków w czasie, jakie mógłby wymyślić autor powieści science fiction. Tak dalej być nie mogło, powstał więc czas strefowy.

Obowiązuje on do dzisiaj. Jest praktyczny dla podróżnych, w telekomunikacji, gospodarce światowej i ze względu na wiele innych składników cywilizacji - nie tak idealny natomiast dla astrologów.

Muszą oni - w Europie - zmagać się z czasem wschodnioeuropejskim, środkowoeuropejskim i zachodnioeuropejskim, zwanym także czasem uniwersalnym Greenwich (GMT), ponieważ południk zerowy przebiega przez Greenwich, miejscowość w Anglii. Czas uniwersalny stanowi czas odniesienia dla wszystkich innych stref czasowych.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to zawile, ale na szczęście tak nie jest, gdyż, co trzeba jeszcze raz podkreślić, jedyny czas ważny dla sporządzenia horoskopu to czas miejscowy. Jak wspomnieliśmy, jego obliczenie nie nastęrcza problemów (urodzeni w Zgorzelcu na Łużycach mają nawet odrobinę łatwiejsze zadanie, bo tam czas miejscowy pokrywa się z czasem środkowoeuropejskim).

Skoro w XX w. Europa nie jest już identyczna z całym światem, dodajmy, że do sporządzenia horoskopu dla urodzonego w USA konieczne są jeszcze inne instrumenty, a mianowicie:

Tabela amerykańskich stopni szerokości.

Zestawienie długości i szerokości geograficznej dla wszystkich miejscowości w USA.

Dane o przesunięciach czasowych w USA (włącznie z czasami letnimi).

Efemeryda na dany rok.

Tabela proporcjonalnych logarytmów.

I wszystko to jest konieczne tylko po to, by przeliczyć czas strefowy na miejscowy i móc w ogóle zacząć właściwą pracę?

Niestety tak, ale to jeszcze nie powód do zniechęcenia. Po pierwsze, w rzeczywistości nie jest to tak trudne, jak się z pozoru wydaje, dość szybko bowiem nabywa się wprawy w tych rachunkach, a po drugie z pomocą spieszy nowoczesna technika. W dzisiejszych czasach można kupić bardzo tanio kieszonkowe kalkulatory do sporządzania horoskopów, które dosłownie za naciśnięciem guzika wypluwają wszystkie parametry gotowe do wpisania w odpowiednim formularzu. Zwracaliśmy już na nie uwagę, mimo to warto prześledzić drogę

prowadzącą do uzyskania żądanych wyników. Dzięki temu nie tylko poznaje się ducha astrologii, ale także nabiera wyczucia astrologicznej charakterystyki danej osoby, która się manifestuje już w danych podstawowych. Wkrótce stanie się to jasne, w miarę jak stopniowo będziemy się posuwać naprzód. A teraz czas na podanie konkretnego przykładu.

Jeśli ktoś się urodził o piątej godzinie rano w Wiedniu, to obowiązywał go czas środkowoeuropejski, a więc odpowiadała temu godzina czwarta rano czasu uniwersalnego, co bez wielkiego trudu można ustalić na podstawie danych w tabeli.

No i co z tego? Przecież astrologowi nie jest potrzebny ani czas środkowoeuropejski, ani uniwersalny, a tylko czas miejscowy, jak za „dawnych dobrych lat” średniowiecza, kiedy nie było stref czasowych. W tej sprawie nabiera tu znaczenia dystans czasowy względem Greenwich. Nasze tabele podają, że dla Wiednia wynosi on jedną godzinę i pięć minut.

Tak więc nic już nie przeszkadza w obliczeniu czasu miejscowego:

Piąta godzina rano czasu środkowoeuropejskiego

= czwarta godzina rano czasu uniwersalnego, po dodaniu czasowego dystansu dla Wiednia (1 godzina 5 minut) otrzymujemy czas miejscowy: godzina piąta minut pięć rano.

Jeśli ktoś sądzi, że teraz może już przejść od ważnej kwestii czasu urodzenia do nie mniej ważnego miejsca urodzenia, ten jest w błędzie. Trzeba jeszcze pokonać szczebel pośredni: przeliczyć czas miejscowy (który jest „prawdziwym czasem słonecznym”) na tak zwany czas gwiazdowy.

Tu okaże się pomocne skorzystanie z tabel efemeryd. Czas gwiazdowy dla odpowiedniej daty jest tu podany albo na dwunastą w południe albo na dwunastą o północy, co przeważnie zaznaczono już na okładce danej efemerydy. Ponadto przy pewnej wprawie sami się zorientujemy w razie pomyłki. Nietrudno się chyba domyślić, że w przypadku horoskopu południowego Słońca raczej nie należy szukać pod horyzontem.

Trzeba teraz dodać znaleziony w efemerydach czas gwiazdowy do obliczonego już czasu miejscowego.

Wykonujemy więc następujące działanie:

Czas gwiazdowy

+ Korekta czasu gwiazdowego

+ Czas miejscowy

= Gwiazdowy czas chwili urodzenia

= środek nieba, czyli MC

Zaraz, zaraz, co to za nowe pojęcia i co trzeba korygować w czasie gwiazdowym?

MC (Medium Coeli), czyli „środek nieba”, to termin łaciński, oznaczający znak zodiaku, który w momencie narodzin znajdował się w najwyższym punkcie nad horyzontem, albo też dom X. (Naprzeciw niego znajduje się JC (Jmum Coeli), czyli „głębina nieba”).

Co się tyczy korekty, to jest ona niezbędna ze względu na fakt, że czas gwiazdowy z powodu ruchu własnego naszej planety codziennie się zmienia o 3 minuty 56 sekund, co w ciągu roku urasta do pełnych 24 godzin, a więc całego dnia.

W dalszej pracy korzystamy z tabel domów, które także podają MC. Czasem domy nazywa się także sektorami. Nie powinno to nas zbijać z tropu, gdyż oba określenia znaczą to samo, a więc wycinki kuli niebieskiej.

Pojęcie domów pochodzi z czasów starożytnych, w których pierwotna mistyczna nauka o niebie zaczęła powoli przywdziewać szatę matematyczną.

Teraz można już zabrać się do rysowania.

Na formularzu horoskopu nanosi się poszczególne domy, numerując je cyframi rzymskimi od ascendentu z numerem I w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara (cyfry rzymskie są zastrzeżone dla domów, cyfry arabskie służą do zapisu wszystkich innych danych liczbowych). Tabele domów podają zawsze ascendent, dom dziesiąty i tak zwane domy pośrednie. Na podstawie tych danych wyjściowych można wykonywać dalsze działania.

Aby co do minuty i sekundy ustalić położenie wierzchołków domów, mogą być konieczne obliczenia wartości pośrednich (interpolacje planet), czego jednak przeważnie nie trzeba robić. Nie musimy się zrażać takimi subtelnosciami, bo w normalnym przypadku całkowicie wystarcza horoskop narysowany z dokładnością do 1 stopnia. Warto od razu nabrać przyzwyczajenia zaznaczania osi I - VII na czerwono, a IV - X na niebiesko.

Po zaznaczeniu ascendentu bierzemy do ręki tablice efemeryd i nakreślamy pozycje poszczególnych planet. Jeśli chodzi o Księżyc, to jego pozycję należy odnieść do czasu uniwersalnego. Do tego obliczenia potrzebna jest tablica logarytmów, którą podają w zasadzie wszystkie efemerydy (wraz z instrukcją jej stosowania).

Nie zapominamy o kieszonkowych kalkulatorach do sporządzania horoskopów i odpowiednich programach komputerowych.

Na końcu zaznacza się poszczególne aspekty, mierząc odległości katowe między planetami za pomocą kątomierza kołowego z podziałką $0^\circ - 360^\circ$.

I teraz powinniśmy mieć przed sobą bardzo, bardzo prosty podstawowy horoskop (jeśli udało nam się ustrzec od popełnienia zbyt wielkich błędów).

Osoby nie obeznane z astrologią w tym punkcie z pewnością wysuną zarzut, że po wykonaniu tych instrukcji coś może i mają przed sobą, ale to na pewno nie jest gotowy horoskop.

Trudno by też było tego oczekiwać. Nawet niezbędne narzędzia - efemerydy, tabele domów itd. -wymagają wysiłku, aby się w nie wgryźć. Ponadto nad wyraz przydatne, czy wręcz nieodzowne jest zapoznanie się z podstawowy-mi dziełami z zakresu astrologii, których treść naturalnie wykracza daleko poza podane tu informacje.

Co właściwie daje, można dalej zapytać, ta zawiła dygresja na tematy astrologiczne?

Osoby zainteresowane mogą odczuwać zdezorientowanie, a wtajemniczone znudzenie. Nie powinny jednak... Jest jasne, że astrologii nie da się omówić wyczerpująco w jednej jedynej książce - a tym bardziej w rozdziale książki - można ją jednak, i tu tkwi sedno sprawy, naświetlić z różnych stron. Można także zorientować (nie wtajemniczonego) generalnie w metodzie postępowania, aby horoskop mógł w ogóle powstać.

Niezależnie od tego nie powinno tu też zabraknąć praktycznego przykładu podanego ze wszystkimi szczegółami (również takimi, które można było zasugerować tylko na marginesie). Krótko mówiąc, kompletnego horoskopu zawierającego (prawie) wszystkie parametry.

Dla ułatwienia wezmę horoskop, co do którego mogę mieć absolutną pewność, że jego wyjściowe dane są prawidłowe - a mianowicie mój własny.

Dalsze informacje zawarte są w objaśnieniach znaków astrologicznych.

SYMBOLE STOSOWANE W ASTROLOGII

HOROSKOP URODZENIOWY (RADIKS) I SŁONECZNY (SOLARIUSZ)

Po tym wprowadzeniu, omawiającym praktykę sporządzania horoskopów, zajmiemy się o wiele bardziej w gruncie rzeczy interesującym aspektem astrologii: jej duchem, filozofią, a więc „nauką samą w sobie”.

Musimy w tym celu przypomnieć sobie, jaka jest natura poznania ludzkiego. Jest ona równie wielowarstwowa, jak natura Homo sapiens, co wyraźnie odzwierciedla astrologia. Horoskopy nie są budowaniem zamków na lodzie, ale czymś bardzo skomplikowanym. Istnieją różne podejścia, punkty widzenia i metody interpretacji, które mogą prowadzić na manowce - nie trafiając w sedno idei astrologii. Sztuka stawiania horoskopów ma wiele twarzy i daje różnorodne możliwości analizy. Specjalizacja w tym zakresie przypomina nierzadko obecne rozbicie nauki na dyscypliny szczegółowe, których przedstawiciele nieraz prawie już nie mogą zrozumieć się nawzajem. Wie o tym wielu astrologów.

Jeszcze więcej problemów ma przed sobą osoba nie wtajemniczona, która chce się zaznajomić, na razie wstępnie, z astrologią. Jeśli uwikła się wyłącznie w praktykę, to zazwyczaj będzie mieć przed sobą tylko ślepe uliczki. Znajdzie się w podobnej sytuacji, jak kosmonauci we wspomnianym opowiadaniu s-f Roberta Sheckleya Ask a foolish Question, którzy nie otrzymują odpowiedzi, ponieważ nie umieją „właściwie” zapytać (to znaczy nie znają już połowy odpowiedzi).

Tytułem wprowadzenia zaznajomiliśmy się z podstawami praktyki. Teraz musimy się nauczyć „właściwie pytać”, gdyż to jest istotą astrologii. Może nawet przy tym niejeden sceptyk odrzucający wiedzę ezoteryczną odczuje sceptycyzm wobec własnego sceptycyzmu, kiedy odkryje, że astrologia to coś o wiele więcej niż tylko skomplikowany system obliczeń, które - na pozór - niewiele mają wspólnego z faktami astronomicznymi.

To podłoże astrologii, które stanowi jej istotę, jak dotychczas jedynie w niewielkim stopniu wydobyliśmy na światło dzienne. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro przecież na początku chodziło o poznanie techniki.

Natomiast teoria astrologii stanowi system wiedzy łączący, a raczej jednoczący w sobie pierwiastki duchowe i wymierne. Trzeba mieć tego świadomość, gdyż już tu między innymi rodzą się nieporozumienia, błędne interpretacje i otwarte ataki czasów nowożytnych. Jeśli zajmować się tylko „rzemiosłem” astrologii, to nieuchronnie przeoczy się to, co istotne.

Co prawda, niełatwo jest się ustrzec od niebezpieczeństwa uwikłania się w sprawy powierzchowne. Choć astrologia ma to samo pochodzenie co astronomia, to jednak nie jest archaiczną mechaniką nieba. Jest wyrazem ludzkiej tęsknoty za zrozumieniem, co się kryje za dostępną obserwacji rzeczywistością (która, jak dziś wiemy, i tak nie może być uważana za istniejącą). Jest to jednocześnie tęsknota za sensem wszystkiego, za powiązaniem wydarzeń kosmicznych z osobistymi, za podporządkowaniem chaosu zasadzie.

W gruncie rzeczy już od zarania starożytności zaczęło się rozszczepienie obrazu świata na monolityczne dziś kompleksy tego, co „uchwytne” i „nieuchwytne”. Ironią losu jest, że właśnie w naszych czasach kompleksy te zaczynają pękać, a w swoim obecnie dostrzegalnym jądrze ujawniają zaskakująco cechy drugiego kompleksu. Można by niemal wysunąć prowokacyjną tezę o dualizmie (natura jin i jang) ludzkiego poznania w ogóle, spekulując - jeszcze bardziej prowokacyjnie - czy ten dualizm z kolei nie jest prawem natury.

Pozostajmy jednak przy temacie, który jest wystarczająco złożony. Jeśli cofniemy się do początków, to okaże się, że wczesna astronomia zrodziła kalendarz, rachubę czasu, klasyczną astronomię, a wreszcie astrofizykę.

Natomiast wczesna astrologia rozwijała się w kierunku magii kabalistycznej i dzisiejszej astrologii osobowości, która w ostatecznej konsekwencji nie jest zbyt odległa od akceptowanej psychologii indywidualnej.

Przykładem mogą być osobliwości takie jak znany kalendarz Majów...

No proszę, z tym się wcale nie liczyliśmy. Najwidoczniej psychologia - nieważne, z jakiego powodu - została starannie oczyszczona z elementów magiczno-ezoterycznych. Rzadko się zdarza, aby psychologowie choćby tylko wspominali ten fakt. Wyjątkiem jest C.G. Jung,

autor ważnych wypowiedzi na temat mistyki, astrologii i wiedzy ezoterycznej, a nawet teorii, harmonijnie łączącej astrologię z egzotycznymi obserwacjami naukowymi.

Poza tym wiedza okultystyczna postąpiła słusznie ukrywając się przed oczami opinii publicznej, w zgodzie ze swoim mianem (occultus = ukryty). Jakie kary grożą za posiadanie niepożądanego wiedzy, o tym mogłyby coś powiedzieć „znachorki”, gdyby ich nie prześladowano przez całe stulecia i w końcu nie wyteńpiono do ostatka.

Tak więc dawna wiedza ezoteryczna padła ofiarą cenzury racjonalizmu, który się połączył w dziwnym przymierzu ze ślepym fanatyzmem.

Wolno jej było „trzymać strzemień” nauce, ale nie należeć do niej...

Tak np. alchemia jest bezpośrednim protoplastą chemii, fizyki, produkcji przemysłowej i atomistyki. Alchemiczne metody laboratoryjne i teorie pierwiastków zostały skwapliwie przejęte i powstało z nich to, co dziś rozumiemy przez nowoczesne przyrodznawstwo. Próżno by jednak szukać w tak zwanym nowoczesnym myśleniu tych elementów, które są wspólne alchemii i astrologii. Chodzi tu o siłę życiową, duchowo-witalne pochodzenie pierwiastków, możliwość transformacji duchowo-ezoterycznej, ciała (energetyczne) astralne i podobne koncepcje sfery nadmaterialnej. Inna sprawa, że takie właśnie wyobrażenia można dziś bez nadmiernego trudu wyprowadzić z nowej fizyki, czy wręcz znaleźć wśród jej twierdzeń.

Nie inaczej było w przypadku dawnej medycyny i botaniki. Ich duchowo-witalne treści lekceważono jako prymi-tywną magię, a ich fundamentalny całościowy punkt widzenia (także na ciało ludzkie) uważano za nienaukowy.

Treści czysto mechaniczne zostały włączone do naukowej medycyny i farmacji i doprowadziły do sytuacji zdrowotnej, która w naszych czasach zaczyna budzić pierwsze wątpliwości. Nie dość na tym - coraz silniej odczuwana jest potrzeba nowego (a w rzeczywistości starego) spojrzenia całościowego. Człowiek, jak się sądzi, jest czymś więcej niż tylko sumą części, i nie powinno się go traktować jak starego samochodu, w którym aż do ostatniej chwili po prostu montuje się części zamienne.

U progu trzeciego tysiąclecia obserwujemy zdumiewającą falę ponownych odkryć prastarych nauk. Nazywa się je nowymi i sławi jako zwrot w myśleniu naukowym, jego nowy wzlot. De facto oznacza to jedynie, że przeszłość doścignęła teraźniejszość.

Mówi się o parapsychologii, aby przynajmniej jakoś zdefiniować fenomeny należące dawniej do archaicznych umiejętności i rytuałów. Za ich pomocą sprowadzano „cudowne wyleczenia”, odślaniano przyszłość, zaklinano deszcz i robiono wiele innych rzeczy, które dziś wygnano do getta okultyzmu. Duch człowieka i dzisiaj jest zdolny do takich dokonań - jednak przynajmniej powinno się to inaczej nazwać.

Nie da się wykluczyć, że także astrologia w niezbyt odległej przyszłości dołączy do grona nauk (czego zwiastuny można już odkryć). Równie prawdopodobne jest co prawda, że wówczas „dziecku nada się inne imię”, aby mogło być prawowite. Właściwie to smutne...

Pradawne nauki stanowiły zwarty kompleks. Nie było między nimi bratobójczego rozdzwieku. Wiedza ezoteryczna obejmowała wszystko: człowieka i zwierzę, roślinę i

minerał, gwiazdy i ziarenka pyłu, leczenie i magię, mechanikę i spirytualizm itd. Techniki i wiadomości, określane dziś jako największe triumfy ludzkiej zdolności poznania i sztuki inżynierskiej, byłyby dla ezoteryka z dawnych epok jedynie wiązką zjawisk towarzyszących, produktami ubocznymi na drodze do prawdziwego poznania. Takimi drogami były właśnie wtedy dawna fizyka, chemia, astronomia itd.

Dzisiaj produkty odpadowe grają pierwsze skrzypce w globalnej orkiestrze zagłady, co aż nadto wyraźnie słyhać. Panuje rozbieżność, chaos, zagubienie w szczegółach. Wiedza ludzkości jest ogromna - ale niestety nie można jej ani ogarnąć, ani sensownie zastosować. Jest to ponura scheda po średniowieczu i renesansie, kiedy zniszczono harmonię między człowiekiem a kosmosem, „korona stworzenia” zaś przystąpiła do czynienia sobie ziemi poddanej. I to skutecznie.

Przynajmniej zapanowała odtąd jasność, oczyszczono pole. Teraz mogli nadejść mechanistyczni prawodawcy amoralnego wszechświata, człowiek był na to gotów. W przeszłości zorientowany na sprawy tamtego świata, a dziś nihilistyczny, od dawna już nie uznający żadnych etycznych ani innych ograniczeń dla niepohamowanego maszynowego myślenia. Duchowo-witalny sposób myślenia zszedł ze sceny. Był okultystyczny, a więc podejrzany. Niejedno mogliby o tym powiedzieć tacy ludzie jak Rudolf Steiner - który miał ludzkości wiele do zaoferowania, i, co znamienne, od początku był atakowany.

Jest interesujące, że astrologia uniknęła polowań na czarownice i innych czystek. Choć także i ona musiała w okresie renesansu wnieść swój wkład w ówczesnego ducha czasu, to jednak mimo wszystko istnieje wciąż jeszcze w swojej starej, archaicznej postaci. Jest to pozycja wyjątkowa. Astrologia wytrwale i cierpliwie od tysięcy lat głosi jedność przestrzeni, czasu i osobowości i jakimś sposobem zdołała ocalić to przesłanie ponad wszelkimi burzami dziejów. Jej korzenie sięgają prawdopodobnie do epoki kamiennej, do okresu 10 000 - 12000 lat temu. Przejęta przez cywilizacje Bliskiego Wschodu i Greków, mogła przetrwać w średniowiecznej Europie jako kosmologia aleksandryjsko-ptolemejska, łącząca miejscowe mitologie gwiazdne z ogólną wiedzą hermetyczno-gnostyczną.

Dla przetrwania astrologii miało z pewnością także znaczenie upowszechnienie znajomości zodiaku, konstelacji gwiazdnych i różnorodnych form przepowiadania przyszłości z gwiazd. Spotyka się je w starożytnej cywilizacji chińskiej, egipskiej i południowoamerykańskiej.

Jak się wydaje, wyobrażenie, że gwiazdy odzwierciedlają wydarzenia na Ziemi, ma moc archetypu.

Pytanie, jakim sposobem gwiazdy mogą być odzwierciedleniem indywidualnych losów, wydaje się równie bezsensowne, jak pytanie o stan wszechświata przed prawybuchem; tak jednak nie jest.

O ile kosmologowie i astrofizycy na pewno jeszcze długo będą sobie łamać zęby na opisie wszechświata przed chwilą zero, o tyle myśl „Jak w górze, tak na dole” nie wymyka się żadnej interpretacji, także naukowej.

Wspomnianemu już szwajcarskiemu psychologowi CG. Jungowi, który się zajmował wieloma tematami „niepsychologicznymi”, jak mitologia, parapsychologia, astrologia itd. i dokonał pionierskich odkryć, zawdzięczamy między innymi koncepcję archetypów i teorię synchroniczności. Ta ostatnia odgrywa ważną rolę w objaśnianiu oddziaływań

astrologicznych, a ponadto nieoczekiwanie znalazła wsparcie w szeregach fizyków (między innymi ze strony Alberta Einsteina).

Pojęcie archetypów ma naturę psychologiczną. Zakłada ono, że w każdym z nas - w wyniku ewolucji naszego gatunku - istnieją pewne z góry określone struktury (archetypy), powodujące, że w danej sytuacji Eskimos będzie postępował tak samo jak Hindus czy manager z Wall Street i że zbudzą się w nich obu te same skojarzenia. Można powiedzieć, że są to podstawowe dyspozycje człowieka. Nie mają one bezpośredniego związku z astrologią (pomijając ten aspekt, że być może są odpowiedzialne za jednolitość symboliki wszystkich epok i kontynentów; jako przykłady można wymienić zodiak, religie astralne itd...).

O wiele ważniejsza rola przypada synchroniczności. Jej zasadniczą treść można w uproszczeniu określić słowami: Istnieje związek między zjawiskami podobnymi do siebie.

Wydaje się, że brzmi to zagadkowo i niezbyt naukowo; ta ocena byłaby jednak równie niesprawiedliwa, co przedwczesna.

Jung zakłada istnienie głębokiej zasady porządkującej, na której opiera się rzeczywistość; zasada ta, wyzwolona z ograniczeń przestrzeni i czasu, stwarza ową wieczną i nieskończoną jedność kosmosu, której tak zawzięcie poszukują fizycy kwantowi naszych dni.

Zdarzenia, które zbywamy określeniem „dziwne przypadki” i odkładamy ad acta, mogłyby stanowić poszlaki przemawiające na korzyść tej fantastycznej teorii. Któż z nas nie słyszał o takich zdarzeniach? Mówimy wtedy często o „prawie serii”, co nie oznacza niczego innego, niż znajdowanie pseudoracjonalnej nazwy dla spraw niewytłumaczalnych. Służy to chyba łatwiejszemu zapominaniu o takich osobliwościach jak np. następująca: Słyszemy przez radio jakieś nazwisko, a potem chcemy przez telefon porozmawiać z przyjacielem. Wykręcamy jednak niewłaściwy numer i uzyskujemy omyłkowo połączenie z osobą, która nazywa się tak samo jak nieznajomy wymieniony w radiowych wiadomościach.

Podobnych przypadków jest bez liku; są i takie, które dotyczą słynnych osobistości. Do dziś na przykład pozostaje zagadką, co mogło skłonić Napoleona Bonapartego w dzieciństwie do napisania w szkolnym zeszycie złowróżbnych słów: „Mała Wyspa św. Heleny”. Jeszcze dziwniejszy wydaje się inny epizod z życia cesarza Francuzów. U szczytu kariery Napoleon przejeżdżał konno z eskortą oddziału wojska przez okupowaną Austrię. Zachwycony sielankowym krajobrazem niedaleko Baden koło Wiednia, spontanicznie powiedział do towarzyszącego mu marszałka Berthier: „To musiałoby być wspaniałe zakończyć życie w tym miejscu, w Dolinie św. Heleny” .

Napoleon miał na myśli - nie wiedząc, gdzie akurat się znajduje - opiewaną przez poetów Dolinę św. Heleny, przez którą przepływa rzeka Schwechat. Jej nazwa pochodzi od małego kościoła pod wezwaniem św. Heleny. A więc jednak!

Czyż to nie zaskakujące?

W porównaniu z tak brzemiennymi w następstwa historycznymi synchronicznościami codzienne przypadki tego rodzaju wydają się banalne, choćby były nie wiedzieć jak niezwykle.

Na przykład „sprawa budynku rodzynkowego”, przypadek z pokaźnego zbioru wprost naszpikowanego synchronicznością, który zgromadził austriacki biolog Paul Kammerer, prowadzący badania statystyczne na przełomie wieków.

Największe wrażenie wywarła na nim historia o budynku rodzynkowym, który przez wiele dziesiątek lat prześladował pewnego Francuza nazwiskiem Dechamps. W dzieciństwie Dechamps został poczęstowany przez niejakiego pana de Fortgibu w Orleanie porcją budynku rodzynkowego. Dziesięć lat później Dechamps, siedząc w pewnej restauracji w Paryżu, postanowił zamówić budyń rodzynkowy. Okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ, jak mu powiedziano, cały budyń był przeznaczony dla pana de Fortgibu. Wiele lat później Dechamps został zaproszony na przyjęcie, gdzie jadł budyń rodzynkowy. Jedząc go, powiedział do przyjaciół, że brakuje tu tylko pana de Fortgibu. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł bardzo już stary, stojący nad grobem człowiek. Był to pan de Fortgibu, znany Dechampsowi z dzieciństwa; nie był zaproszony na przyjęcie i zjawił się nieoczekiwanie wśród biesiadującego towarzystwa, gdyż podano mu niewłaściwy adres.

Wobec takich „wiązek wydarzeń” również Kammerer wysuwał koncepcję istnienia powiązań nie przyczynowych, składających się na harmonię, na której opiera się natura. Albert Einstein uważał wnioski Kammerera za „oryginalne i wcale nie absurdalne”. Tak więc wróciliśmy do badaczy tajemniczych przypadków o światowej renomie. W pierwszym szeregu kroczy C.G. Jung.

Szeroko znany jest „incydent ze skarabeuszem”, który się wydarzył w czasie sesji terapeutycznej u C.G. Junga z udziałem pewnej młodej kobiety. Opowiadała ona, że we śnie ukazał się jej taki chrząszcz (*Cetonia aurata*). Wtedy rozległo się stukanie do okna; kiedy psychiatra spojrział w tamtym kierunku, przez okno wlatywał właśnie skarabeusz.

Nie tak często przytaczane, ale znacznie dziwniejsze wydarzenie miało miejsce w trakcie dyskusji między Freudem a Jungiem w 1909 r.

Freud negował właśnie z pasją postrzeganie pozazmysłowe, kiedy w jego biblioteczkę nastąpiła eksplozja. „To był katalityczny fenomen eksterioryzacji” - powiedział Jung, na co Freud odrzekł: „Cóż za nonsens”.

Jung nie dawał się zbić z tropu. „Na dowód mojego twierdzenia przepowiadam, że za chwilę jeszcze raz rozlegnie się podobny łoskot” - oświadczył. Zaraz potem z biblioteczki Freuda zagrzmięła druga detonacja. Po tym wydarzeniu nie kontynuowano tematu (można o tym przeczytać w autobiografii Junga Wspomnienia, sny, myśli, spisanej przez Anielę Jaffe).

Synchroniczność, prawo serii, jakkolwiek zechcemy to nazwać, stale powraca myśl o istnieniu ukrytych powiązań... Zwłaszcza urodzony w 1875 inżynier lotnictwa i pisarz J.W. Dunne starał się opracować koncepcję „seryjnego czasu”, która w wielu punktach przypomina teorię Junga. Jest godne uwagi, że impulsem, który skłonił Dunne'a do pracy nad tą koncepcją, były jego własne przepowiednie, potwierdzone później przez wydarzenia (ostrzelanie nadmorskiego miasta Lowestoft w Anglii w czasie pierwszej wojny światowej, wybuch wulkanu Mont Pelee na Martynice itd.).

Jak się zdaje, mamy tu do czynienia z jednym z tych przypadków, w których „mag” szuka wytłumaczenia dla swoich własnych zdolności.

Wróćmy do tematu.

Początkowo C.G. Jung starał się wraz z austriackim fizykiem Wolfgangiem Pauli (laureatem Nagrody Nobla i odkrywcą nazwanej od jego nazwiska zasady wykluczenia, która jest jednym z głównych filarów teorii kwantowej) opracować coś w rodzaju nowej zasady przyczynowości.

Nie było to proste.

Wreszcie wyłoniła się -zrazu niejasna – koncepcja „związku równoczesności i znaczenia”. Koncepcja taka byłaby naturalnie w wysokim stopniu ezoteryczna, a ponadto pozwalałaby nawet na usprawiedliwienie symboliki astrologicznej przez analityczną psychologię (tu również znowu wchodziłyby w grę archetypy). Krótko mówiąc, astrologia mogłaby być - także - kolektywnym, historycznym rozpoznawaniem elementarnych struktur podstawowych we wszechświecie.

Jak dotąd, można to jeszcze przyjąć. W końcu i psychologia nie jest nauką o zjawiskach wymiernych i łatwo dających się powtarzać.

Rodzi się nieuchronnie pytanie, czy synchroniczność może również wytrzymać próbę w kategoriach nagiego przyrodoznawstwa, czy też musi pozostać koncepcją w mniejszym lub większym stopniu filozoficzną.

Na pierwszy rzut oka spełnia ona tylko jedno kryterium nowoczesnej nauki, to mianowicie, które sformułował Niels Bohr: jest zwariowana.

Kiedy Jung tworzył jej zarys, nie mógł się powoływać na żadne dowody - a jedynie na wspomniane osobliwości i sprzeczności. Postulowana przezeń zasada związków bezprzyczynowych, redukująca przestrzeń i czas do zera, wyjaśnia „prawo serii i przypadku” jak również prekognicję z punktu widzenia teorii poznania, nie czyni tego jednak matematycznie.

Brakowało jeszcze kroku wychodzącego poza teorię. Jesteśmy skłonni zakładać, że nigdy nie uda się go zrobić, skoro wydaje się niepodważalne, że na przykład w przypadku przesyłania informacji w przeszłość (prekognicji) nie wchodzi w rachubę żaden mechanizm przyczynowy, a jednocześnie proces ten ze wszech miar należy do synchroniczności (i wiedzy ezoterycznej).

Przed Einsteinem, Bohrem, Schrodingerem i innymi gigantami fizyki takie koncepcje pozostawały jedynie grą słów - nawet jeśli pochodziły z ust C.G. Junga. Teraz sprawa wygląda inaczej.

Dzisiejsza matematyka zna bezprzyczynowe, beczasowe równania, których autorami są tacy naukowcy jak David Bohm i John S. Bell, a które dostarczają matematycznego oparcia dla idei C.G. Junga (mimo że nie to było ich pierwotnym celem). Większość tych równań -które opisują całkowicie realne zachowanie się fal, cząstek elementarnych, atomów itd. - obowiązuje bowiem wszechświat na różnych płaszczyznach porządku: wszechświat C.G. Junga.

Znany nam wszechświat, zawierający następstwo czasowe, przestrzeń, przyczynę i skutek, jest - jak się zdaje - tylko jednym z aspektów odkrytego teraz większego wszechświata. My tylko najpierw zauważyliśmy takie zjawiska jak przyczynowość i ograniczenie w przestrzeni. To wszystko.

A dowód?

W czwartej części tej książki rozważymy wiedzę ezoteryczną - nie tylko astrologię - w zwierciadle nauki i zetkniemy się z interesującymi koncepcjami nowej fizyki, które są bardziej fantastyczne od magii. Synchroniczność i prawo serii będą tam przedstawione raz jeszcze pod innym, poszerzonym kątem widzenia. Na razie powiemy tylko tyle:

W 1964 r. fizyk John S. Bell wystąpił z teorią „kosmicznego kitu”. Przyjmował przy tym za punkt wyjścia myślowy eksperyment Alberta Einsteina, Nathana Rosena i Borysa Podolskiego (zwany eksperymentem E-P-R), zakładający istnienie szybszej od światła, bezprzyczynowej i niczym nie ograniczonej łączności wszystkich cząstek elementarnych (a więc także większych obiektów i procesów). Istnienie takiej ukrytej sieci powiązań musiałoby wprawdzie rozsądzić obraz kosmosu, usunęłoby jednak równocześnie niewygodne sprzeczności (zwłaszcza po prostu wypierany ze świadomości paradoks statystyczny, który kwestionuje samodzielne istnienie izolowanych jednostek - od cząstek elementarnych przez cząsteczki gazów aż do kolumn samochodów i galaktyk; nikt bowiem nie umie powiedzieć, skąd poszczególne cząstki „wiedzą”, kiedy i gdzie powinny się znaleźć, aby jako całość ujawnić zachowanie statystyczne). To, co przez dziesiątki lat stanowiło przedmiot sporu między najróżniejszymi dyscyplinami fizyki teoretycznej i praktycznej, mogło w 1982 r. zyskać jednoznaczny dowód doświadczalny, przeprowadzony przez francuskiego fizyka Alaina Aspecta wspólnie z J. Dalibardem i G. Rogersem. Mówi się odtąd o „aspekcie Aspecta”, który jednoczy przestrzeń i czas, wszystko z wszystkim w nierozdzielnej, harmonijnej całości o bardzo głębokich powiązaniach. Naukowcy spojrzeli odtąd na wszechświat inaczej - ezoterycy widzieli go takim zawsze...

Co właściwie daje nam ta wiedza?

W porządku, najbardziej egzotyczne koncepcje nowoczesnej fizyki doprowadziły do sformułowania zasad - czy jakkolwiek zechcemy to nazwać - które mogłyby wydobyć astrologię (i inne nauki ezoteryczne) z kąta, do którego wygnano sztuki magiczne.

No i co z tego? Czy przez to łatwiej zostać dobrym astrologiem?

Na pewno nie. Podstawą jest na pewno co najmniej minimum zdolności. Podobnie jak w przypadku wszystkich innych sztuk.

Ale wspomniane uzdolnienie (a przeważnie posiada je w jakiejś mierze każdy, kto się czymś interesuje) może jak wszelkie inne być wspomagane albo tłumione. Dla astrologa sprzyjająca jest na pewno jak najszersza baza zrozumienia i akceptacji. Kto rysuje horoskopy jak maszyna, ten może i jest dobrym rzemieślnikiem-ezoterykiem, ale właśnie w tej dziedzinie potrzeba o wiele, wiele więcej.

Oczywiście, musieliśmy przeorać podstawy sporządzania jednego z najważniejszych typów horoskopów, aby przyswoić sobie elementarne procedury. Do rysowania horoskopów to jeszcze nie całkiem wystarcza, ale można już zaczynać pracę. Przy wykorzystaniu innych

dzieł fachowych czysta technika wkrótce nie będzie już stanowić problemu. I tak zresztą prace wstępne wykonują kieszonkowe kalkulatory albo programy komputerowe. Była to, jak wspomnieliśmy, szkoła podstawowa. Początek został zrobiony.

Albowiem gotowy formularz horoskopu to tylko początek. Trudny etap dopiero nastąpi i powyższe wywody miały być przygotowaniem do niego.

Jak to? Czyż nie wystarcza się zdecydować na jedną szkołę astrologiczną, jeden typ horoskopu, jedną interpretację?

W zasadzie tak, ale nie powinno się nigdy tracić orientacji w całości zagadnienia, aby ująć kwestię prowokacyjnie.

Astrologia jest -trzeba było do tego dojść własną pracą - sztuką wprawdzie ezoteryczną, ale nie sprzeciwiającą się naturze. Odzwierciedla ona w gruncie rzeczy niepojęte wydarzenia kosmiczne, ale także rozgrywające się wewnątrz atomów w naszych mózgach (albo w naszym duchu, jeśli ktoś woli nie wyrażać się tak materialistycznie). Procesy, które u zarania ludzkości mogliśmy jeszcze postrzegać bezpośrednio, ale już od tysięcy lat nie jesteśmy do tego zdolni. Chyba że mamy „wehikuł” do ich aktywizacji, coś w rodzaju „szczudeł” (co prawda to określenie bardzo niedoskonałe). W każdym razie najwidoczniej astrologia - podobnie jak inne dyscypliny wiedzy ezoterycznej - jest takim środkiem pomocniczym. Posługując się nim, można jednocześnie zaglądać w ciemną otchłań czasu i przestrzeni oraz w ukryte sfery własnej jaźni.

Zawsze jednak powinno się zachowywać otwartość. Kto stanie się zaprzysięgłym zwolennikiem jednego systemu, ten może odnosić sukcesy - a nawet prawdopodobnie będzie je odnosił, jeśli rzeczywiście trafił na swój system.

My nie jesteśmy w takim położeniu. Dla nas na razie nie istnieje jeden określony system, wszystko jest jeszcze otwarte i płynne, zanim się zdecydujemy na wybór. Wtedy „nasz” system nagle okaże się tym, który faktycznie się sprawdza.

Skojarzenia z hipotezą obserwatora fizyki kwantowej, która dopiero przez obserwację wydobywa i umacnia określoną rzeczywistość spośród całego szeregu prawdopodobnych, nie są ani przypadkowe, ani nie zamierzone. Z tego względu również różnice zdań w obrębie astrologii są właściwie bez sensu.

Symbole mają rzeczywistość właśnie subiektywną i w tych granicach oddziałują całkowicie realnie.

Dlatego jest możliwe, że stwierdzenia astrologii znajdują potwierdzenie w statystyce mimo stosowania najróżniejszych systemów.

W ostatecznej instancji to człowiek jest decydującym czynnikiem sprawczym w technikach ezoterycznych - i nie tylko tam.

Dr Brian Josephson, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie mechaniki kwantowej i wynalazca rewolucyjnych złączy Josephsona, na początku lat sześćdziesiątych badał osobliwy fenomen. Chodziło o to, że europejscy i amerykańscy fizycy prowadzący doświadczenia dotyczące zachowania się cząstek elementarnych mimo całkowicie identycznych warunków

doświadczeń regularnie dochodzili do diametralnie przeciwstawnych wyników. Było to po prostu niemożliwe, a jednak się zdarzało.

Dr Josephson ostatecznie doszedł do wniosku, że wykluczające się nawzajem wyniki testów są rezultatem przeciwstawnych oczekiwań amerykańskich i europejskich naukowców. Nie udało się dowieść, że nie ma racji.

Tak więc wygląda niezniszczalna prawda „świata samego w sobie”, którą można zmierzyć i zważyć. Otóż właśnie nie można.

Z tego punktu widzenia nie można również obalić pierwszego naukowego studium o astrologii przez choćby nie wiedzieć ile późniejszych prac o przeciwnej wymowie. Jego autorem był C. G. Jung, który nie chciał poprzestać na pięknej teorii. Zbadał on horoskopy urodzeniowe 180 par małżeńskich i odkrył wiele charakterystycznych prawidłowości co do wzajemnych oddziaływań pozycji planet, aspektów, ascendentów itd. Nie mógł ich wyjaśnić „normalny” przypadek, podobnie zresztą jak wyników innych badań, świadczących o ponadprzeciętnym braku trafności treści horoskopów. Także takie permanentne błędy nie są „normalne”. (W parapsychologii funkcjonuje nawet pojęcie braku zdolności paranormalnych - PSI-missing- kiedy testowana osoba osiąga szczególnie słabe wyniki w odgadywaniu np. zakrytych kart.) Krótko mówiąc, wszystko, co odbiega od statystycznego rozkładu, sygnalizuje istnienie paranormalnej komponenty. Niech każdy sam wyciągnie wnioski, co może być przyczyną, że określony astrolog szczególnie konsekwentnie chybia celu (być może jednak nie znalazł jeszcze swojego systemu...).

Podsumujmy więc: Nie można generalnie powiedzieć, który system astrologiczny jest „prawdziwy”, czy powinno się przywiązywać szczególną wagę do węzłów księżycowych, domów kątowych, następujących czy upadających, jakie właściwości należy konkretnie przypisać poszczególnym planetom i domom, czy o określonej interpretacji powinny decydować kwadratury, szczęśliwe punkty, tranzyty czy jeszcze może co innego. Paleta możliwości jest szeroka. I jak z każdej palety trzeba najpierw wybrać z niej to, co nam odpowiada. Dopiero wtedy można mieć sukcesy w pracy. Jeśli dokona się niewłaściwego wyboru, stanie się ona udręką.

Astrologia nie jest małą tabliczką mnożenia, ale równie wielowarstwowym co wyrafinowanym instrumentarium, którym trzeba się posługiwać z wyczuciem - i intuicyjnie. Inaczej pojawią się fałszywe tony. Dlatego najpierw powinniśmy się wsłuchać we własne wnętrze.

Na wykładzie o astrologii usłyszałem raz zdanie, które prawdopodobnie więcej mówi o istocie tej prastarej sztuki niż wiele grubych ksiąg.

Wykładowca powiedział: „Jestem astrologiem już od dwudziestu lat i dopiero teraz nagle uświadomiłem sobie wyzwanie, które kryją w sobie sekstyle. Po prostu to odkryłem!”

Zdanie to, wyrwane z kontekstu, jest banalne i niejasne i wcale nie przekonuje. Jeśli jednak przyjąć pozbawione uprzedzeń podejście do astrologii, to równie spontanicznie zrozumiemy, że człowiek ten po dwudziestu latach znalazł kolejny element swojego systemu. O ile mi wiadomo, odnosił on wiele sukcesów jako astrolog i jest tak nadal (być może nawet odnosi ich teraz więcej niż przedtem).

Sądę zatem, że wyrobiliśmy sobie wstępnie pojęcie, czym może być astrologia, niezależnie od tego, czy jest ona europejska, indyjska czy chińska, czy odnosi się do ciał niebieskich, drzew czy czegoś innego, oraz według której spośród najróżniej szych szkół jest zorientowana.

Możemy teraz przystąpić do włączenia w budowlę wiedzy ezoterycznej kolejnych elementów...

Rozwijające eksperymenty myślowe - element fantastyczny przybiera kształty...

Choć zabrzmiało to dziwnie, zachowanie zwyczajnych owiec angielskich może być przejawem działania ukrytej, ze wszech miar ezoterycznej siły podstawowej, do której poznania chcemy się ostrożnie przybliżyć.

W Wielkiej Brytanii przed bramami w ogrodzeniach pastwisk leżą kraty z metalowymi rolkami. Nie stanowią one przeszkody dla ruchu pojazdów rolniczych, ponieważ można po nich bez trudu przejechać; natomiast owce nie wydostają się na zewnątrz, ponieważ nie lubią chodzić po rolkach. Zasada ta przez wiele lat funkcjonowała w najlepsze ku pożytkowi hodowców owiec oraz producentów krat i metalowych rolek.

Było tak do momentu, w którym jedna z owiec wpadła na pomysł - jak na owcę doprawdy odkrywczy - aby położyć się i przetoczyć po kracie. Krótco potem zaczęło się dziać coś dziwnego: we wszystkich okolicach Wysp Brytyjskich inne owce wpadły na ten sam pomysł. Zaczęła się prawdziwa masowa ucieczka. To, co dla tych trawożerców jeszcze poprzedniego dnia stanowiło nieprzekraczalną barierę, straciło swoją odstraszącą moc. Owce toczyły się i toczyły...

A niech im tam będzie na zdrowie; ale gdzie tu związek z wiedzą ezoteryczną? Wyniknie on niemal automatycznie, kiedy będziemy kontynuować podstawowe rozważania poprzednich rozdziałów.

Jeśli potraktować wiedzę ezoteryczną jako „środek transportu” ku nowym odkryciom i ku lepszej samorealizacji, to ezoteryczne teorie i techniki można uznać za dźwignię zmiany biegów, drążek sterowy itd. naszego wyimaginowanego pojazdu. Za sterami zasiada jednak duch ludzki. On jest najbardziej witalną częścią tej całości, bez niego nawet najbardziej skomplikowana budowla myśli ezoterycznej pozostanie powłoką bez krwi. Aby zrozumieć istotę wiedzy ezoterycznej, trzeba zaakceptować zasadę, że nie można jej rozpatrywać abstrakcyjnie, w oderwaniu od ludzi, którzy się nią posługują. Gdyż zastosowanie należy do wiedzy ezoterycznej samej w sobie.

Ta zasada wcale nie jest tak wyjątkowa. Abstrakcyjna nauka naszych czasów także przyjmuje niewzruszenie założenie, że eksperyment bez eksperymentatora (posiadającego ducha) jest bez sensu albo też, że eksperymentator współdziała w powstawaniu rezultatu eksperymentu.

Do wiedzy ezoterycznej odnosi się to w równej mierze. Już astrologia pokazuje, jak to trzeba rozumieć: rysunek horoskopu sam w sobie jest interesującą grafiką; jednak dopiero w ręku doświadczanego astrologa staje się precyzyjnym instrumentem.

Roli tego czynnika ludzkiego nie zmienia także wydobywanie na jaw ukrytych zasad natury. Trudno więc odmówić sensu spekulacjom, czy np. synchroniczność mogłaby stanowić nieznaną i trudno zrozumiałą bazę astrologii. Dzięki nim zainteresowani teorią zyskują impulsy do nowych przemyśleń, praktycy mogą zostać zachęcani do eksperymentowania, a zwolennicy i przeciwnicy astrologii otrzymają nową amunicję „innego kalibru”.

Niezależnie od wszystkiego, sednem sprawy, czynnikiem decydującym i napędem jest i pozostanie człowiek. Bez jego udziału - który musi oznaczać coś więcej niż tylko rytualizowane wypełnianie instrukcji - nic się nie uda. Ta myśl przenika wszystkie sfery wiedzy ezoterycznej. Jeśli raz ją przyjmujemy, to w trakcie zapoznawania się z treścią tej książki zrodzi się wizja świata, która prezentuje to, co zbadane, i co nie zbadane („to, co serio” i „fantastyczne”) już nie jako nieubłaganych wrogów, ale różniących się od siebie partnerów. Taka wizja świata prawdopodobnie o wiele bardziej odpowiadałaby dwulicowej naturze rzeczywistości niż sztuczny podział na naukowców i filozofów, który, co dziwne, traktuje się jeszcze w dodatku jako postęp.

Jak będziemy się przybliżać do takiej wizji świata?

Krok po kroku. Zajrzeliśmy na razie w karty astrologii i poznaliśmy przy tej okazji teorię synchroniczności. Pozwala ona snuć przypuszczenia, na jakiej zasadzie może się sprawdzać horoskop. Po dokładnym przyjrzeniu się jednak stwierdzamy, że to, czego się dotąd dowiedzieliśmy, nie jest jeszcze zbyt imponujące. Mimo wszelkich teorii i nawet przy należnym uwzględnieniu eksperymentalnego dowodu Alaina Aspecta - sensacyjnego przynajmniej w kręgach naukowców - że wszystko jest ze wszystkim związane, sprawa pozostaje nadal dość nieokreślona i nieuchwytna.

Wielu aspektów wiedzy ezoterycznej dotychczas nawet nie musnęliśmy. Tak się przynajmniej wydaje.

Co najwyżej zyskujemy wyobrażenie o niejasnej teorii, która może być podstawą horoskopów (i astrologii), ale to już wszystko. W gruncie rzeczy i bez tego było cały czas wiadomo, że intuicja decyduje o tym, który spośród astrologów odnosi sukcesy (jeśli nawet i to także było wiadomo tylko „czysto intuicyjnie” ...).

Czy trafiliśmy więc z powrotem do punktu wyjścia?

Tak nie jest. Odsłoniliśmy wierzchołek zasypanej piramidy myśli ezoterycznej i stwierdziliśmy brak sprzeczności z prawami natury. Wyśmienicie - ale co teraz?

Wszystko jeszcze w gruncie rzeczy jest bardzo niejasne. Zarówno synchroniczność, jak powiązanie przez podobieństwo nie mają uchwytnej formy. Szukajmy więc dalej, a konkretnie, przyjrzyjmy się z bliska technikom ezoterycznym, na przykładzie których można by się dowiedzieć, czy istnieją jeszcze głębsze, bardziej elementarne i uniwersalne zasady. Zasady, które stanowią podłoże nawet tak metafizycznych koncepcji jak synchroniczność czy aspekt Aspecta.

O co w tym wszystkim właściwie chodzi?

To proste: astrologia przykładowo odzwierciedla zdanie „Jak w górze, tak na dole”, a nowa fizyka ubrała je w szatę wzorów i teorii (jeśli nawet nie to akurat miała na celu). Może inne metody ezoteryczne, które - jak można przypuszczać - są w jakiś sposób ze sobą powiązane, pozwolą odkryć, dlaczego „w górze” jest tak jak „na dole”... Zanim nazwiemy je po imieniu, musimy wziąć niewielki rozbieg.

Nowoczesna nauka zna cztery podstawowe siły (elektromagnetyczną, jądrową mocniejszą i słabszą oraz grawitację), które są (lub powinny być) odpowiedzialne za wszystko, co się dzieje we wszechświecie, nie wyłączając zjawisk przebiegających wewnątrz atomu. Gdy fizycy zawzięcie starają się stworzyć jednolitą teorię pola, którą Einstein rzekomo zabrał ze sobą do grobu, a która mogłaby z tych czterech sił podstawowych uczynić jedną, to ezoterycy (i niektórzy spośród naukowców) kroczą inną drogą.

Poszukują oni piątej siły.

Naukowcy uważają wprowadzenie takiej wersji raczej za rozwiązanie doraźne, przyznają jednak, że takie protezy stosuje się także w „normalnej” fizyce (np. wprowadzenie nieskończoności w równaniach). Od czasu do czasu zdarza się, że nagle nabierają realnych kształtów sztuczne, wyimaginowane wielkości, jak np. neutrino, którego istnienie zakładano, aby nadać nazwę deficytowi energii w przypadku słabego rozpadu jądrowego, a które dzisiaj ma swoje miejsce w szeregu cząstek elementarnych.

Można tu dostrzec pewną paralelę między wyobrażeniem piątej siły, wykraczającej poza przyjęte cztery, a przysłowiowym szóstym zmysłem poza pięcioma normalnymi.

Przyznajemy, że to tylko gra słów, ale jednak niezupełnie pozbawiona sensu. Trzeba się tylko zdobyć na odwagę wyznawania nieortodoksyjnych idei. Nasz mózg - a ściślej nasz umysł, gdyż to niekoniecznie to samo - jest tworem złożonym. Nikt nie rozumie, w jaki sposób funkcjonuje, a gdyby ktoś zechciał twierdzić, że mózg został zbadany, byłoby to tym samym, co mówienie o podboju kosmosu po wylądowaniu na Księżycu.

Już sama tylko liczba możliwych połączeń między przeszło 100 miliardami komórek naszego aparatu do myślenia przewyższa o niebo całkowitą liczbę atomów we wszechświecie. Jednocześnie mózg rejestruje niewiarygodnie słabe bodźce (choć często są one przekazywane bezpośrednio do sfery podświadomości i wcale ich nie zauważamy -przynajmniej nie pierwszoplanowo). Szczególnie dobitnie dowodzi tego fakt, że ośrodki wzrokowe mózgu reagują już na jeden jedyny kwant światła.

Równie wielkie wrażenie wywiera fakt, że ludzie są w stanie dalej myśleć bez przeszkód, mimo że ich mózg został podzielony, częściowo zniszczony albo na skutek najróżniejszych przyczyn całkowicie utracił zdolność funkcjonowania.

Istnieje ogromna liczba opisów takich nie wyjaśnionych przypadków, a medycyna i biologia stoją (znowu) przed zagadką.

Przyjmijmy teraz dalsze założenie, że nasze mózgi wykonują funkcje wymykające się naszej świadomości albo rejestrowane przez nią tylko bardzo mgliście.

Pokazują to liczne osobliwe talenty - łączone wspólnymi określeniami, takimi jak ESP (extrasensory perception - postrzeganie pozazmysłowe), parapsychologia, zdolności

okultystyczne itd. Nie dość na tym, fenomenom tego rodzaju nie da się już zaprzeczyć, jeśli nawet konsekwentnie podejmuje się takie próby.

Powoli zarysowuje się myśl, że nasze zapoznane „supermózgi” odgrywają istotniejszą rolę w scenariuszu makro- i mikrokosmosu, niż pierwotnie sądzono. Jest ona bliska koncepcjom wiedzy ezoterycznej.

Tu trzeba dążyć; chodzi o jeden z „szóstych zmysłów”, który wykazuje jednoznacznie (także) cechy ezoteryczne.

Mamy na uwadze wspomnianą już intuicję.

Prezentuje ona stale naszej zdumionej świadomości całkowicie gotowe, dojrzałe i nierzadko bardzo złożone myśli, których procesy rozwojowe pozostają w ukryciu. Oczywiście istnieje mnóstwo teorii na temat nieświadomych procesów wszelkiego rodzaju, które nagle jako kompletna inspiracja wydostają się na powierzchnię (myśli).

A jednak żadna z tych teorii nie jest do końca zadowalająca i nie może objaśnić wszystkiego. Naukowcy przyznają, że często wiemy więcej, niż powinniśmy.

Ponieważ jednak wiemy o mózgu tyle co o powierzchni Jowisza - a więc niesłuchanie mało - nie będziemy się mieszać do dyskusji nowoczesnych badaczy mózgu na temat, jak mogą przebiegać takie procesy.

Wielka jest wprawdzie pokusa, by rozpatrzyć najróżniejsze „modele mózgu”, ale nie posuniemy się w ten sposób do przodu na naszej drodze.

Trzymajmy się stwierdzenia, że w naszych głowach dzieją się niezbadane rzeczy. I że być może mamy dostęp do informacji „z zewnątrz”. Jaka jest ich natura, tym na razie nie będziemy się zajmować. Teraz niech wystarczy skonstatowanie, że one istnieją. Pokażemy to na podstawie dwóch znamienych przykładów wybranych spośród wielu.

Rafael informował, że widział oczami duszy swój nieśmiertelny obraz Madonny sykstyńskiej ze wszystkimi szczegółami, zanim przystąpił do pracy, i że namalował swoją inspirację.

Jeszcze dziwniejsza jest historia Battle Hymn of the Republic, owej porywającej pieśni, która zdaniem Abrahama Lincolna uratowała Unię (stany Północy). Ten zapewne naj słynniejszy prezydent USA nie mógł po-wstrzymać łez, słysząc ją po raz pierwszy. Okoliczności powstania pieśni były nie mniej dramatyczne niż jej słowa, które już wkrótce miały się znaleźć na ustach setek tysięcy żołnierzy armii Północy.

W nocy 18 listopada 1861 r., kiedy wydawało się, że szala zwycięstwa w amerykańskiej wojnie domowej nieuchronnie przechyli się na stronę Konfederatów (stanów Południa), Julia Ward Howe nieoczekiwanie zbudziła się z głębokiego snu. Poprzedniego wieczora obserwowała przez okno znanego hotelu Willard w Waszyngtonie nie kończące się kolumny ciężko pobitych oddziałów Północy. Przygnębiona i zmęczona długą jazdą pociągiem z Bostonu padła na łóżko. I oto na krótko przed świtem zbudziła się przy biurku w pokoju hotelowym. Nie pamiętała, kiedy wstała z łóżka, a to, co robiła przy biurku, najwidoczniej już od jakiegoś czasu, było dla niej kompletnym zaskoczeniem - pisała.

Nie rozumiała treści zapisywanych słów, ale układały się one w rymy. Było to dziwne, bo rymowanie zawsze przychodziło jej z trudem, całkiem inaczej niż w tej chwili. Jej pióro ślizgało się po papierze, słabo widocznym w półmroku, niczym zdalnie sterowane. Po spisaniu zagadkowego wiersza - czy cokolwiek to było - osłabiona kobieta znowu padła całkiem wyczerpana na łóżko.

Kiedy późnym przedpołudniem odzyskała przytomność umysłu, odkryła swoje nocne dzieło. Był to wiersz, dzięki któremu jej nazwisko miało przejść do historii. Oczywiście, nie mogła o tym wiedzieć.

Choć prawie nie była w stanie wyobrazić sobie, że sama napisała ten wiersz, to jednak tak jej się spodobał, że posłała go do miesięcznika „Atlantic Monthly”. Utwór wydrukowano w numerze z lutego 1862 r. za honorarium w wysokości czterech dolarów.

Jak się okazało, Battle Hymn of the Republic pani Howe trafił dokładnie w swój właściwy czas i miejsce (próżno dociekać, czy zrzucił to przypadek, czy coś innego).

W każdym razie wiersz ten do tego stopnia zafascynował pewnego czytelnika, że miał go przy sobie, kiedy dostał się do niewoli w Winchester i przewieziono go do szpitala polowego dla jeńców w Libby. Czytelnikiem tym był kapelan Charles McCabe ze 112 regimentu ochotników z Ohio. Intuicyjnie (!) zorientował się, że ten wiersz to wprost na miarę skrojony tekst do melodii John Brown's Body, o wiele bardziej porywający od jej pierwotnego tekstu. Zaśpiewał Battle Hymn swoim towarzyszom, którzy z entuzjazmem przyłączyli się do śpiewu, aż drżały kraty w oknach. Po zwolnieniu z niewoli kapelan McCabe opowiadał w pewnym teatrze swoje przeżycia i wspominał o pieśni, która tak zachwyciła jego i jego towarzyszy. Kiedy ją zaintonował, nagle zaczęli śpiewać wszyscy widzowie. Obecny w teatrze prezydent Lincoln zerwał się z miejsca ze łzami w oczach i prosił, aby ją jeszcze raz zaśpiewać.

W ten sposób nieśmiertelne słowa: I have seen Him in the watchfires of a hundred circling camps... Glory, glory, halleluja - His truth goes marching on..., stały się częścią historii Stanów Zjednoczonych Ameryki, a w rezultacie i świata.

Jeszcze w 1910 r., mając 91 lat, Julia Ward Howe upierała się, że nie ona jest autorką tych słynnych słów. „One się same napisały” - twierdziła, a chyba to najlepiej wiedziała. Zaskakujące - prawda?

W przeciwieństwie do przypadku Rafaela, mamy tu do czynienia ze skanalizowaniem informacji, wiedzy - czy jakkolwiek jeszcze zechcemy to nazwać - która dla odbiorcy jest w pewnym sensie obca. Trochę to przypomina sprawę znanych materiałów Seta, a jednak niezupełnie.

Wydaje się, że duch pani Howe połączył się z jakimś (w przeciwieństwie do Seta biernym) źródłem informacji, które miało na podorzędziu Battle Hymn of the Republic. Dlaczego stało się to akurat wtedy, gdy było najbardziej potrzeba, to na razie inna sprawa.

Po raz pierwszy jednak natrafiamy w tej sprawie na coś w rodzaju bezpośredniego przewodu łączącego nas z wiedzą kosmiczną (która w przekonaniu starożytnych filozofów i mędrców Dalekiego Wschodu istniała zawsze).

Jest to koncepcja, do której dziś dopęłzają najróżniejsze dyscypliny naukowe z przeróżnych punktów wyjścia (doprawdy trudno to nazwać dochodzeniem).

Niekiedy naukowcy sugerują to mimo woli. Przykładem może być fragment pewnego listu Alberta Einsteina do francuskiego matematyka Jacquesa Hadamarda.

Badał on proces twórczy u matematyków i poprosił Einsteina, aby ten wypowiedział się, o ile to możliwe, na temat własnego myślenia. Twórca teorii względności i zupełnie nowej wizji wszechświata potrafił poddać analizie także swoje własne procesy poznawcze. Einstein pisał między innymi: „Nie wydaje się, aby w procesach myślowych jakąkolwiek rolę odgrywały słowa czy język. Jednostkami psychicznymi, które wydają się służyć za elementy myśli, są niewątpliwie mniej lub bardziej jasne znaki i obrazy, które można świadomie reprodukować i kombinować. [...] W moim przypadku wymienione elementy mają naturę wizualną, a niektóre także mięśniową”. (Zapamiętajmy to ostatnie - uwaga autora.)

Niemiecki psycholog Max Wertheimer w swojej książce *Productive Thinking* poświęca szczególną uwagę Einsteinowi. Wspomina pewną rozmowę, w której słynny fizyk dał wyraz swemu przekonaniu, że zawsze ma uczucie, „iż idzie w jakimś kierunku, w stronę czegoś konkretnego”.

Wyłania się zatem następujący, fragmentaryczny obraz:

. Nasze mózgi, co bardzo prawdopodobne, wcale nie są tylko organicznymi komputerami, ale tajemniczymi mikroświatami, w których dzieje się więcej, niż śniło się szkolnej wiedzy. Nie wyłączając nagłego pojawiania się nieoczekiwanych, „obcych” treści, informacji i koncepcji.

Dla wyjaśnienia wielu spraw nie wystarcza pięć zmysłów.

. Nauka snuje spekulacje - choć czyni to z wielką ostrożnością - na temat kolejnej siły podstawowej: albo nowej, piątej siły, albo jednej siły generalnej, obejmującej wszystkie inne.

Wszystko to brzmi dość nieskładnie. Na razie. Może uda się powiązać luźne nici. Wyobraźmy sobie, że nasz umysł mógłby ewentualnie, wszystko jedno w jaki sposób, wchodzić z czymś w interakcję (z piątą siłą, wiedzą kosmiczną - nazwy są tu naprawdę nieistotne). Możliwe, że nie za każdym razem to zauważamy ze wszystkimi konsekwencjami, czasem wcale nie zauważamy tego świadomie. Niekiedy jednak tak jest. W takich przypadkach np. automatycznie powstaje pieśń albo dochodzi do nagłego olśnienia. Mówimy wtedy o szóstym zmyśle, wiedzy spontanicznej albo telepatycznej, intuicji, natchnieniu... Niektórzy z nas rozpoznają (intuicyjnie albo przez uprawianie najróżniejszych specjalności) ukryty potencjał i starają się go zagospodarować. Na przykład za pomocą technik ezoterycznych.

Zanim przejdziemy do ich omówienia, musimy jeszcze podeprzeć zasadnicze rusztowanie naszego rozumowania, i to już u samej podstawy: Jak w ogóle miałyby się realizować to wzajemne oddziaływanie między duchem a siłą kosmiczną (którą też trzeba dopiero zbadać)?

Może drogą rezonansu. W fizyce pojęcie to oznacza drgania układu, wymuszone przez drgania zewnętrzne o częstotliwości równej lub bliskiej częstotliwości drgań własnych

układu. Zjawisko to może występować w wielu odmianach: rezonans akustyczny w instrumentach muzycznych, rezonans elektromagnetyczny w odbiornikach radiowych itd.

Może miniwszechświat zawarty w naszych własnych czaszkach w określonych warunkach wpada w rezonans z określonymi drganiami wielkiego wszechświata pełnego gwiazd i galaktyk, a więc jest w stanie coś stamtąd odbierać.

Trudno to wykluczyć, ale co tam może być do odbioru? Może informacje - co już sugerowaliśmy.

Może gdzieś w głębi atomów drzemią zakłute informacje. Tajna siła przyrody i prefabrykowana wiedza, o której od tysięcy lat mówią mędrcy, myśliciele, filozofowie i ezoterycy jako o wiedzy kosmicznej, świadomości kosmicznej Tat twam asi itd., a która dzisiaj jest rozszczepiana na bity czy bajty.

Jak to możliwe, aby wszechświat był przepojony wiedzą, tym (znowu) na razie nie będziemy się zajmować (kto od razu chce przystąpić do zgłębiania tej kwestii, ten może w czwartej części książki dowiedzieć się więcej o tej - możliwej - podstawowej strukturze kosmosu, która sprawia, że wszechświat jawi się ostatecznie raczej jako jedna tytaniczna myśl niż jako olbrzymie nagromadzenie promieniowania i materii).

Na razie oszczędzimy sobie dogłębnych analiz i pozostaniemy przy suchych faktach.

Suche fakty? Czy nie jest już zbyt zuchwalstwem mówić o faktach w kontekście tych bardzo śmiałych rozważań? Przecież nie sposób znaleźć nawet naukowej poszlaki przemawiającej za istnieniem kosmicznego oceanu informacji, a cóż dopiero mówić o dowodach.

A może jednak?

Słynny neurofizjolog i badacz mózgu sir John Eccles sugeruje istnienie w przestrzeni i czasie formujących, kształtujących, a w każdym razie określających strukturę pól, które oddziałują na psychikę człowieka. Píše on:

Hipoteza neurofizjologiczna twierdzi, że „wola” modyfikuje określoną czasoprzestrzeń aktywność sieci neuronów przez oddziaływanie uwarunkowanych przez czasoprzestrzeń „pól wpływów”. To oddziaływanie dochodzi do skutku przez jedyną w swoim rodzaju funkcję postrzegania aktywnej kory mózgowej. Z czasem stanie się jasne, że „wola” (albo „wpływ duchowy”) sama wykazuje cechę pewnego rodzaju struktury przestrzenno-czasowej, która jej dopiero umożliwia taką ingerencję.

Wkracza on tym samym -choć formułuje bardzo powściągliwie swoje myśli - na tereny, na których nakładają się na siebie psychologia i parapsychologia, graniczące z fizyką kwantową, koncepcją kitu kosmicznego i innymi egzotycznymi teoriami nowoczesnej fizyki. Teoriami, które - jeśli pójdź konsekwentnie tropem rozumowania ich twórców - sprawiają, że wszechświat jawi się jako super-super-supermózg. Nasze skromne aparaty do myślenia

zawierają wiedzę, dlaczego więc nie miałyby jej zawierać „kosmiczny mózg”, jeśli już zgodzimy się na takie wyobrażenie. Co prawda, jest ono niemal nie do podważenia, o to możemy być spokojni.

Tak więc możemy przyjąć bez emocji nawet śmiałą koncepcję rezonansu. Wychodzi jej naprzeciw mało znana specjalna dyscyplina psychologii, określana nazwą interakcjonizmu. Postuluje ona, że treści pamięciowe są rejestrowane sposobami niefizycznymi (de facto nikt nie ma pojęcia, jak one rzeczywiście są rejestrowane) i w rezultacie mogą przechodzić z osoby na osobę jak „rezerwuar pamięci” albo są powiązane ze sobą od mózgu do mózgu w przestrzeni i czasie, tworząc ogromny wspólny zasób. Nie wolno przemilczać faktu, że spekulacje te są dość śmiałe.

Może i śmiałe, ale nie zuchwałe.

Niestrudzeni badacze odkryli bowiem w ubiegłym dziesięcioleciu naturalną zasadę, która we frapujący sposób kojarzy się ze wspomnianymi wyobrażeniami.

Nosi ona nazwę pola morfogenetycznego.

Już w latach siedemdziesiątych brytyjski biochemik dr Rupert Sheldrake zaczął się interesować bardzo drażliwym tematem. Na tyle drażliwym, że naukowcy woleli dotychczas zajmować się czymś innym.

Ale nie Rupert Sheldrake.

Zajmował się on czterema podstawowymi problemami biologii, które podstępnie ukrywają się pod z pozoru jasno zdefiniowanymi zasadami.

Pierwsza z nich to: „Występowanie form charakterystycznych i specyficznych (u organizmów żywych)”, następne brzmią zwyczajnie: „Regulacja systemu”, „Regeneracja” i „Reprodukcja”.

A gdzie problemy?

W pierwszej zasadzie przechodzi się skromnie do porządku dziennego nad tym, że już samo powstawanie specyficznych form stanowi absolutną zagadkę; w drugiej, trzeciej i czwartej nad niezaprzeczalną niewytłumaczalnością wymienionych procesów.

Różnorodność form materii (ożywionej czy nieożywionej) mogłaby wyjaśnić jedynie koncepcja wszechświata pełnego niewidzialnych planów konstrukcyjnych, można powiedzieć, szablonów dla wszelkich form i zachowań. Większość nie odważyła się posunąć do takiej koncepcji; jednak nie Rupert Sheldrake.

Wprawdzie istniały już wyjaśnienia, ale były one niezadowolające pod względem filozoficznym albo naukowym.

Nie wolno zapominać, że wspomniane cztery fenomeny są pojmowane w kategoriach skutku i przyczyny. Forma nie może powstać „z niczego”, system nie reguluje się „bez impulsu”, a regeneracja i reprodukcja nie następują „bez powodu”.

I tu już dochodzi do gwałtownych konfliktów z przyjętymi poglądami.

Filozofowie albo zwolennicy dawniejszych dyscyplin mają ułatwione zadanie. Mówią o sprawczych czynnikach albo siłach życiowych itd. Niczego się w ten sposób nie poddaje rzeczywistej analizie, ale dziecku można przynajmniej nadać imię.

Naukowcy powołują się na programy genetyczne, chemiczne czy fizyczne, a więc w gruncie rzeczy mechanistyczne, które w zasadzie działają jak programy kom-puterowe. Wynikają stąd przy bliższym rozpatrzeniu natychmiast poważne problemy, brakuje bowiem programisty.

Jeśli przytoczyć argument, że analogia między programami genetycznymi a normalnymi programami komputerowymi jest nietrafna, ponieważ program genetyczny można byłoby porównać tylko z samoistnie się organizującym i odnawiającym programem komputerowym, trudność polega na tym, że takich programów (komputerowych) nie ma. A nawet gdyby były, to programista nie stałby się przez to zbędny. Byłby potrzebny, tylko wcześniej.

Jakkolwiek podchodzić do tego zagadnienia, to w taki czy inny sposób wszystko się sprowadza do jednej elementarnej zasady podstawowej, której nie da się tak łatwo zbyć mówieniem o ewolucji, programach genetycznych itd. Grecy mędrcy antyczni mieli coś podobnego na myśli, używając terminu entelechia. Rozumie się przez to, że coś nosi swój cel już w sobie. Nie dość na tym - jeśli normalna droga rozwoju zostaje zakłócona, to system dąży do ostatecznego celu innymi drogami.

W przyrodzie ożywionej zasadę tę spotyka się wszędzie, trzeba tylko przyznać, że tak jest.

Przykładem są instynkty zwierząt (nie wyłączając Homo sapiens jako ssaka wszystkożernego, który według Schopenhauera odróżnia się od reszty fauny jedynie wyprostowaną postawą i złym charakterem). Reakcje instynktowne mogą być przekazywane za pośrednictwem pamięci kolektywnej gatunku i prędzej czy później upowszechniają się jako wrodzony zwyczaj całego gatunku.

Parapsycholog W. Carrington porównuje zachowanie instynktowne do tkania pajęczyny, prowadzącego do włączenia indywiduum (w tym przypadku pająka) w szerszy system. Jeszcze dalej idzie zoolog Alister Hardy. Jego zdaniem, wspólne wszystkim doświadczenie spełnia funkcję uwewnętrznionego szablonu.

Jeśli doprowadzić rozumowanie do ostatecznej konsekwencji, to entelechia okazuje się, można powiedzieć, zaprogramowanym procesem pamięci. Gatunek rozwija się zatem, przybierając swoją ostateczną postać, ponieważ korzysta z pamięci wszystkich wcześniejszych stadiów rozwojowych - każdej fazy ewolucji czy też rozwoju indywidualnego.

To rzeczywiście śmiała myśl, ale nie pozbawiona sensu, choć wymagająca wyjaśnienia. Ostatecznie jeszcze nie powiedzieliśmy, dlaczego te cztery wspomniane problemy biologii mają tak zasadnicze znaczenie.

Rozważmy problem formy.

Z pozoru robi on niewinne wrażenie, nie widać tu żadnych sprzeczności. Wprawdzie na Ziemi aż się roi od niezliczonych form, a reszta wszechświata z pewnością nie jest pod tym

względem uboższa, ale w czym tu właściwie problem? A konkretnie, czy ich istnienie, tak samo jak ich różnorodność nie są dostatecznym dowodem na to, że po prostu właśnie im udało się powstać?

Jak najbardziej, tylko jak mogło do tego dojść? Wydaje się, że zadawanie takich pytań to dzielenie włosa na czworo. Ostatecznie dobrze znane są takie zjawiska jak dobór naturalny i mutacje. Ich działanie wyjaśnia, w jaki sposób forma się krystalizuje przechodząc długi łańcuch faz rozwoju i osiągając aktualnie ostateczną postać. Są to sprawy złożone, ale nie tajemnicze.

Jeśli z tego punktu widzenia zbadamy sposób funkcjonowania fundamentalnych procesów w dziedzinie elementarnej biologii, to ze zdumieniem przekonamy się, że nie wszystko tu jest tak całkiem proste.

Demonstrują to poglądowo, co prawda ku frustracji biologów klasycznych, makrocząsteczki (np. proteiny), których polipeptydowe łańcuchy (produkty rozszczepienia białkowej przemiany materii) łączą się w skomplikowane formy trójwymiarowe.

W licznych eksperymentach doprowadzano czynnikami chemicznymi proteiny (cząsteczki białka) do roz-winięcia się. Po ustaniu oddziaływania i przywróceniu pierwotnego środowiska chemicznego cząsteczki te powracały do swojej normalnej struktury.

Co ciekawe, osiągały one zawsze ten sam strukturalny „el ostateczny”, mimo że stany wyjściowe i etapy pośrednie były różne.

Ten stabilny stan końcowy nie musi być jedyną możliwą strukturą minimalnej energii (tak się określa stabilne, idealne stany równowagi, do których dążą struktury zgodnie z zasadami termodynamiki).

Z obliczeń wynika, że istnieją niezliczone inne stadia końcowe takiego samego poziomu energii i że są one równie prawdopodobne. Mimo to występuje zawsze tylko to jedno, wstępnie zaprogramowane. Dziwne.

Istnieje obszerna literatura specjalistyczna poświęcona „problemowi minimum multiplum” związanego z rozwinięciem protein.

Można by wysunąć zarzut, że taki przykład z głębin wnętrza komórki jest o wiele mniej poglądowy niż na przykład równie tajemnicza sprawa uformowania nogi muchy albo segmentu owocu. Zarzut ten jednak nie wytrzymuje krytyki. W rzeczywistości w przypadku tworów prostych widać o wiele wyraźniej, niż w przypadku złożonych, zróżnicowanych układów komórek, że nieustanna powtarzalność określonej (niekoniecznej) struktury jest niewytłumaczalna.

Cóż więc proponuje Sheldrake, aby za jednym zamachem wyjaśnić wszystkie problemy spośród wymienionych na wstępie? I na czym polega związek z wiedzą ezoteryczną?

Ów brytyjski biochemik i naukowcy będący jego zwolennikami twierdzą, że istnieje „kształtująca przyczynowość”, która za pośrednictwem przestrzeni i czasu decyduje o tym, co jak ma wyglądać.

Teza ta weszła do nowoczesnej terminologii naukowej pod nazwą pola morfogenetycznego.

Pole to najlepiej jest porównać do projektu budowlanego, określającego kształt budynku, który ma powstać z istniejącego zasobu cegieł, zaprawy, drewna, dźwigarów itd. Możliwe byłyby najróżniejsze formy budowli, ale realizuje się tylko jedną, zgodną z projektem.

Idea pola innego niż znane pola elektromagnetyczne albo grawitacyjne, które miałyby być przyczyną tajemniczych zjawisk, nie jest taka nowa. Przypomina ona odłożoną już ad acta teorię kosmicznego eteru.

Koncepcja pola morfogenetycznego nie jest jednak tylko odgrzewaniem tej starej koncepcji, zdruzgotanej przez Einsteina i innych, ale czymś całkowicie rewolucyjnym. Pole to, niemożliwe do zarejestrowania zmysłem wzroku, słuchu, dotyku, smaku ani żadnym innym - co dotyczy także grawitacji i elektromagnetyzmu - organizuje formę wszystkiego (i wiele jeszcze innych zjawisk).

Mogłoby to wiele wyjaśnić, przede wszystkim ten kłopotliwy fakt, że spośród wielu możliwych form złożonych układów chemicznych, które dopuszczają prawa natury, jest zawsze wybierana tylko jedna, czego nie mogą wystarczająco wyjaśnić znane prawa fizyczne.

Kto dokonuje tego wyboru?

W tej kwestii występuje znowu rozbieżność poglądów.

Frakcja metafizyczno-filozoficzna wśród naukowców (a jest ona w epoce nowej fizyki liczniejsza, niż można by przypuszczać) przyjmuje pogląd Platona i Arystotelesa. Zwłaszcza Arystoteles był przekonany o wiecznej trwałości form specyficznych. Według jego koncepcji w kosmosie kryje się za chaosem świata dostępnego obserwacji ukryta zasada porządkująca, wymuszająca powstawanie struktur z chaosu.

Niektórzy fizycy wcale nie uważają tego punktu widzenia za aż tak bardzo staroświecki, mimo odkrycia zasady nieoznaczoności i funkcji prawdopodobieństwa.

W innym obozie panuje pogląd, według którego formy nie dlatego powstają i są powielane, że były z góry określone od początku świata, ale dlatego, iż podlegają przyczynowemu oddziaływaniu form z przeszłości.

Również i to nie brzmi zbyt konkretnie. Do niedawna występowała tu trudność, że mogłoby być za to odpowiedzialne tylko takie wzajemne oddziaływanie, które pokonuje barierę przestrzeni i czasu, a więc także prędkości światła, a tym samym nie przypomina żadnego ze znanych dotychczas czynników fizycznych. Odkąd John S. Bell wysunął teorię kosmicznego kitu, a Alain Aspect dowiódł istnienia uniwersalnego natychmiastowego powiązania między wszystkimi cząstkami we wszechświecie, znikły te wątpliwości.

Jedyną kwestią sporną pozostała sama teoria. Hipoteza Sheldrake'a rozpętała w angielskim świecie naukowym prawdziwą wojnę światopoglądową, której punktem kulminacyjnym było wyznaczenie nagrody.

Tarrytown Conference, amerykańskie stowarzyszenie mające na celu wspieranie nowych idei w nauce i technice, ufundowało nagrodę w wysokości 10 000 dolarów dla autora dowodu

istnienia lub nieistnienia pola morfogenetycznego. Przyłączyły się do niej dalsze organizacje. Ostateczny werdykt jeszcze nie zapadł.

W gruncie rzeczy spór o determinację i samoorganizację jest równie bezsensowny jak spór o to, co było pierwsze, jajko czy kura (niektórzy uważają, że pierwszy musiał być kogut), gdyż w każdym razie nie ma odpowiedzi na pytanie, co wybrało daną formę za pierwszym razem. Być może coś sprzed prawybuchu...

Ciekawsze jest zajmowanie się tymi zaobserwowanymi zjawiskami, które doprowadziły do powstania kontrowersyjnej teorii. Tu bowiem mogłaby oddziaływać doprawdy elementarna siła przyrody, którą z powodzeniem można także pojmować na sposób ezoteryczny.

Znamienne, że w związku z tym mówi się o rezonansie morficznym (czy nie przypomina to przedstawionej wyżej idei o możliwym wzajemnym oddziaływaniu rezonansowym między duchem człowieka a wiedzą kosmiczną, zakładając, że ona istnieje?).

Ponieważ rezonans morficzny, sądząc po tym, jakie są jego ewentualne skutki, nie ma nic wspólnego ani z energią, ani z masą (tym się różni od normalnego rezonansu energetycznego), to nie musi podlegać prawom obowiązującym ruchy ciał, cząstek i fal.

Wolny od ograniczeń natury przestrzennej albo czasowej przenika wszystko, odciskając na rzeczach tajemnicze wzory czasoprzestrzeni, których istnienie po prostu trzeba zaakceptować.

To interesująca koncepcja, ale jednak dość dziwaczna. Mimo woli nasuwa się pytanie, w jaki sposób trzeźwym naukowcom przychodzi na myśl hipotezy, których raczej można by się spodziewać w dziełach ezoterycznych.

Chyba nie jest powodem zwątpienie w obliczu niewytłumaczalnych sprzeczności - a może jednak?

Otóż nie. U kolebki tej teorii były dwie podstawowe przesłanki:

Istnieją formy - i jest ich aż za wiele;

Nowe formy powstają za pierwszym razem z trudem i powoli - później jednak szybko i łatwo.

Rezonans morfogenetyczny nie tylko pozwala pogodzić ze sobą te przesłanki, ale wyjaśnia także, dlaczego tak jest i jaki jest między nimi związek. (Skąd wziął się sam rezonans, to oczywiście inny rozdział - ezoteryczny. Naukowców to może nie całkiem zadowala, ale ezoteryków tak.)

Wszystkie te teoretyczne rozważania nie zwalniają nas z obowiązku dostarczenia przynajmniej konkretnych poszlak, skoro dowody są tak dyskusyjne.

Od dłuższego czasu chemików zadziwia dziwna dynamika, z jaką przebiega synteza nowych substancji. Pierwsza krystalizacja jest zazwyczaj procesem czasochłonnym, którego zapoczątkowanie pokonuje wielkie opory. Z czasem jednak pojawia się zagadkowe przyspieszenie, a wreszcie krystalizacja toczy się płynnie i szybko (jakby następowała według wewnętrznego planu).

Równie kłopotliwe - i niewątpliwie pokrewne temu pierwszemu fenomenowi - jest spontaniczne, nieoczekiwane występowanie nowych typów kryształów.

Zilustrujemy to fragmentem zaczerpniętym z książki o kryształach:

Około dziesięciu lat temu w fabryce należącej do pewnej spółki wytwarzano wielkie kryształy winianu etylenodwuaminy. Kryształy te przesyłano do innego zakładu położonego w odległości wielu kilometrów, w którym je cięto i poddawano szlifowaniu dla celów przemysłowych. Rok po uruchomieniu fabryki rozrost kryształów zakłóciły negatywne zjawiska. Pojawiły się kryształy innego rodzaju, które rosły szybciej od właściwych. Wkrótce i w drugim zakładzie stwierdzono, że cięte i szlifowane kryształy ujawniały na powierzchni tę sarną „chorobę”. [...] Był to monohydrat pierwotnych kryształów, który wytworzył się w ciągu trzech lat badań i wdrażania produkcji. Jak się wydawało, zarodki były potem wszędzie (A. Holden i P. Singer, *Crystals and Crystal Growing*, Londyn 1961).

Czy ten opis nie przypomina we frapujący sposób wspomnianej wyżej epidemii ucieczek owiec brytyjskich...?

Oczywiście, istnieją konwencjonalne wyjaśnienia faktu, że substancje po pierwszym razie krystalizują szybciej i coraz łatwiej (na temat owczej problematyki nie teoretyzowano zbyt wiele). Po prostu przyjmuje się, że fragmenty powstałych wcześniej kryształów „zarażają” następne. Jeśli sprawa dotyczy miejscowości odległych od siebie, to naciągane wyjaśnienie głosi, że zarodki krystalizacji przenoszą dziwnym sposobem z jednego laboratorium do drugiego prądy powietrza (nierazko z miasta do miasta). Jako środek transportu widziano nawet brody badaczy. Rzadzi przypadek, zawsze mile widziany, kiedy jest potrzebny.

Jest zrozumiałe, że takie interpretacje okazują się bardzo słabe przy gruntownym zbadaniu. Wspomniane efekty, w gruncie rzeczy niewytłumaczalne, występują faktycznie niestety o wiele za często i przybierają zbyt różnorodne formy, aby nadawały się do konwencjonalnego wyjaśnienia.

Powietrze musiałoby być wprost nasycone zarodkami krystalizacji wszelkiego rodzaju, które jeszcze w dodatku przemieszczałyby się akurat tam, gdzie mogłyby pomóc w tworzeniu późniejszych generacji kryształów.

Nawet przypadek nie działa tak wybiórczo. Jeśli zamiast niego podstawić pole morfogenetyczne, to sprawę wyjaśnienia da się posunąć naprzód. Zrozumiałe stają się teraz nawet zdumiewające w życiu codziennym fale równoległych nowości. Na przykład pewien londyński wydawca ze zdumieniem spostrzegł, że często występują niewytłumaczalne zbieżności między różnymi maszynopisami, nawet pochodzącymi z różnych krajów. W 1969 r. w ciągu jednego tygodnia przysłano mu dziewięć opowiadań o niemal identycznej akcji, która do tego jeszcze zawierała całkowicie nowe myśli.

W przypadku morfogenezy biologicznej klasyczne podejście całkowicie się załamuje. Sama biologia twierdzi, że rozwój biologiczny jest epigenetyczny, to znaczy, że w jego trakcie powstają nowe struktury, których nie było wcześniej w zarodku.

Wspomniane już inne problemy bez rozwiązania - regulacja, regeneracja i reprodukcja - są tylko rozwinięciem zasadniczego dylematu. Jeśli jeszcze do tego wziąć pod uwagę struktury dziedziczne, które nie mogą mieć nawet genetycznego planu budowy, to nie pozostaje nic innego jak pogodzić się z tym niemal mistycznym polem morfogenetycznym. Jak inaczej można na przykład wyjaśnić powtarzające się zachowanie kolonii przedstawicieli morskiej fauny Flattidium, które dla kamuflażu przybierają zewnętrzną postać nie istniejącą w naturze? Co raz się uformowało, to stale jest naśladowane...

W tym miejscu wydaje się wskazana chwila wytchnienia od myślowego wysiłku. Tymczasem zdążyliśmy prawie beznadziejnie ugrzęznąć w gąszczu nowoczesnych teorii naukowych, z których niektóre - jak np. właśnie dyskutowana - nie mogą rościć sobie pretensji do niepodważalności.

Wielka jest wprawdzie pokusa, aby zająć w tej sprawie stanowisko, ale inni są bardziej do tego powołani. Byłby to zresztą niewłaściwy kierunek rozważań. W rzeczywistości nie chodzi o to, czy teoria pola morfogenetycznego może znaleźć ostateczne potwierdzenie i wyjaśnić wszystkie problemy, których rozwiązanie postawiła sobie za cel.

Sednem sprawy jest co innego, a mianowicie przygotowanie do wkroczenia w inną dziedzinę wiedzy ezoterycznej i zapoznania się z technikami, które mogą stać się bliższe dzięki temu, co wyżej powiedziano, skoro z dużym prawdopodobieństwem funkcjonują niczym bezpośredni przewód łączący z wiedzą kosmiczną. Wiedza ta - albo wyrażając się bardziej nowocześnie, pool informacyjny - jest wszechobecna w najdosłowniejszym rozumieniu. To owa ukryta siła, na której opiera się wiele praw (także prawo astrologii) i która, w ostatecznej konsekwencji, zapewne wszystko kształtuje (stąd ta dygresja w dziedzinę morfogenezy).

Wspomniane teorie i hipotezy mają jedynie ilustrować zdumiewający fakt, że owa prastara koncepcja wiedzy wypełniającej wszystko pokutuje także na obrzeżach hard science.

Podsumujmy więc: przeanalizowaliśmy obie strony poznania ludzkiego - duchową i przyrodniczą - odkrywając przy tym fragment po fragmencie pokrewieństwa między sprawami z pozoru niemożliwymi do pogodzenia. Zarazem coraz jaśniej było widać, że wszystko obraca się wokół jednego punktu, którym jest człowiek.

To on w ostatecznym rezultacie analizuje intuicyjnie horoskop, odnosząc tym większe sukcesy, im lepszą uzyska zgodność z echem kosmosu. Czy nazwiemy to syn-chronicznością, prawem serii, koincydencją, morfogenezą czy astrologią, to w gruncie rzeczy jest bez znaczenia.

Ważna jest wymowa słów „Jak w górze, tak na dole”. Fakt, że nawet nowoczesna nauka w coraz mniejszym stopniu może je zignorować, potraktujemy jako dodatkową korzyść w nadziei na dalszą emancypację wiedzy ezoterycznej. Jeśli do niej zresztą nie dojdzie, to i tak nie ma się o co martwić, bo już stare przysłowie mówi, że prawdzie jest całkowicie obojętne, czy się ją poznaje, czy nie.

Na tym etapie coraz jaśniej dostrzegamy rolę jednego czynnika: wyrazielijskiej funkcji ducha ludzkiego.

Astrolog rysuje horoskop, zyskując przez to możliwość zrozumienia tego, co nie wypowiedziane, ale istniejące. Zasada ta jeszcze wyraźniej i jeszcze bardziej bezpośrednio ujawnia się w przypadku innych technik, gdzie funkcja wyrazicielska dochodzi do głosu bardziej wprost, a instrumentarium jest mniej skomplikowane. Uzyskanie połączenia z ową wiedzą kosmiczną przenikającą makro- i mikrokosmos wymaga, być może, bardziej elementarnych środków pomocniczych niż ten, jaki np. stanowi horoskop. Wiedza tkwiąca we wszechświecie bezpośrednio przemówi do osoby uzdolnionej i/lub wykształconej. Jak to powiedział Einstein na temat swojej własnej intuicji? „W moim przypadku niektóre z tych elementów mają także naturę mięśniową”.

Czas teraz na przedstawienie jeszcze nie wymienionych z nazwy technik ezoterycznych służących do bezpośredniego kanalizowania informacji docierających spoza naszego ciała.

Radiestezja: wahadełko i różdżka

Wojna w Wietnamie pod niejednym względem stanowiła fenomen. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu materiałowemu USA, militarnemu gigantowi udało się wprawdzie przejściowo pozbawić liści drzewa w delcie Mekongu i na innych terenach południowo-wschodniej Azji, bombardowaniami obrócić w perzynę Wietnam Północny i Kambodżę i rozślawić na całym świecie mało dotąd znaną, galaretowatą mieszaninę naftenów i soli kwasu palmitynowego pod nazwą napalmu, ale to już wyczerpuje listę „sukcesów”. Siedem milionów ton bomb (dwa i pół razy więcej niż w całej drugiej wojnie światowej) i 300 miliardów dolarów wydanych na wojnę nie zdołały rzucić na kolana słabo uzbrojonych przeciwników w czarnych piżamach.

Szok wietnamski wywołał u Amerykanów odzywający się do dziś uraz i doprowadził do zniesienia powszechnego obowiązku wojskowego w Stanach Zjednoczonych. Po ostatecznym zaprzestaniu działań bojowych obie strony ogłosiły swoje zwycięstwo, co do tej pory było na porządku dziennym tylko przy okazji zawodów sportowych, kampanii wyborczych albo podobnych zdarzeń. Później USA zgodziły się na wersję, że wprawdzie nie było to zwycięstwo, ale i nie klęska.

Jest prawdopodobne, że wiodąca potęga Zachodu musiałaby się pogodzić ze swoim pierwszym nie-zwycięstwem także i wtedy, gdyby naukowcy z ministerstwa obrony USA byli bardziej otwarci na sprawy radiestezji.

Tak jednak nie było, kiedy Pentagon otrzymał interesującą propozycję.

Jej pochodzenie było co prawda dość egzotyczne: Louis Maticia, geodeta i różdżkarz z Wirginii, zaproponował oficerom marynarki wykrywanie podziemnych jaskiń, magazynów broni, min, tuneli itd. metodami radiestezji.

Osoby, do których się zwrócił z tą propozycją, nie były nieprzychylnie nastawione, ponieważ podziemny świat Wietkongu przysparzał wielu trosk siłom zbrojnym USA. I słusznie, jak się później miało jeszcze dobitniej okazać.

W każdym razie aktualne położenie sprawiało, że nawet absurdalne idee znajdowały posłuch. Louis Maticia został zawieszony do bazy wojskowej, gdzie szkolono młodych marines do akcji w Wietnamie. Na poligonie ćwiczebnym odtworzono także kompletną wioskę wietnamską z jej światem podziemnym: tunelami, skrytkami, magazynami broni i żywności,

rozległymi pieczarami mogącymi pomieścić całe oddziały itd. Takie ogromne lisie nory o nie zbadanych odgałęzieniach były w Wietnamie na porządku dziennym. Śniły się one amerykańskiemu wojskowemu w koszmarnych snach nie rzadziej niż gąszcz dżungli i czyhające w niej zasadzki.

Louis Mataria zdołał od razu dokonać tego, co przekraczało możliwości najbardziej skomplikowanej aparatury poszukiwawczo-pomiarowej. Wykonał różdżkę, wyginając odpowiednio wieszak na ubrania, i po krótkim czasie zlokalizował wszystkie podziemne obiekty na poligonie. Nie uszła jego uwagi nawet najmniejsza skrytka.

Zdumienie i podziw oficerów nie miały granic i propozycję różdżkarza przekazano wyższemu dowództwu. Natrafiła tam jednak na opór, którego zaciekłość była porównywalna z zaciekłością oporu Vietkongu.

Naukowcy wojskowi i cywilni, do których zwrócono się o opinię, z rzadką jednomyślnością zajęli stanowisko negatywne. Coś takiego po prostu było niemożliwe. Ostatecznie zawyrokowano, że może tu chodzić jedynie o przypadek.

Elegancko ominięto przykrą konieczność poinformowania o tym Louisa Matarii, komunikując mu w piśmie wystosowanym przez ministerstwo obrony, że stosowana przezeń technika nie byłaby mile przyjęta przez dowódców w terenie, ponieważ stwarza zbyt duże ryzyko fałszywych alarmów.

W rzeczywistości oddział zaangażowany w walkę chętnie podjąłby to ryzyko, gdyż nieustanna groźba ataku zewsząd była skrajnie deprymująca.

Wreszcie drogą przecieku wiadomości o tej sprawie przedostały się do południowo-wschodniej Azji i w rezultacie wiele wysyłanych w dżunglę patroli amerykańskich marines zabierało ze sobą oprócz swojej broni high-tech - i tak niewiele wartej w przypadku dostania się do wilczego dołu z zaostrzonymi prętami bambusowymi albo w zasadzkę - także różdżki. Łakomy kąsek dla prasy, która to należycie wykorzystwała.

Wynik wojny wietnamskiej na pewno nie uległby zmianie nawet wtedy, gdyby oficjalnie rozdano amerykańskim żołnierzom różdżki, ale być może nie musiałyby ich zginać 45 928.

Christopher Bird, pisarz, biolog i antropolog, występując w 1973 r. na I Międzynarodowym Kongresie Parapsychologii i Psychotroniki w Pradze, mówił o Matarii w kontekście fatalnego zaangażowania militarnego USA w południowo-wschodniej Azji, określając rolę tego różdżkarza jako charakterystyczną dla ambiwalentnego odbioru radiestezji w naszym świecie.

Nie można wprawdzie negować radiestezji, ale to jeszcze nie powód, aby ją zaakceptować - tak właśnie wygląda praktyka. A przy tym odłogiem leżą niewątpliwie wielkie potencjały i wielu ludzi nie czyni użytku z własnych zdolności. Ten fakt potwierdzają liczne badania.

Profesor Yves Rocard z Paryża prowadząc doświadczenia na szeroką skalę stwierdził, że około 70 procent badanych wykazuje zdolności do posługiwania się różdżką lub wahadełkiem. Już w 1963 r. ten francuski profesor fizyki (należący do paryskiej Ecole Normale, czołowej uczelni kraju) wzbudził sensację swoją książką *Le signal du sourcier*. Jego kolega z Waszyngtonu, profesor fizyki i doradca ministerstwa obrony USA, dr Zabojski V.

Harvalik uważa wynik Rocarda, wynoszący 70 procent, za zbyt niski. Eksperymenty Harvalika, trwające dziesiątki lat, ujawniły zdumiewający odsetek 90% uzdolnionych.

Badania tych dwóch (i innych) naukowców opierały się na zastosowaniu najnowocześniejszej aparatury i przyrządów pomiarowych. Tak więc ich wyniki są pewne, jak to tylko jest możliwe przy obecnym stanie techniki.

Pomijając ten krzepiący wniosek, że prawie każdy człowiek ma w sobie zadatki na różdżkarza (musi tylko spróbować), badania tego rodzaju stale wydobywają na światło dzienne zdumiewające szczegóły.

Na przykład dr Harvalik odkrył, że w przypadku różdżkarza Wilhelma de Boera wypicie dwóch szklanek wody powodowało dziesięciokrotny wzrost jego wrażliwości, podczas gdy dobry posiłek zmniejszał ją 1000 razy (!). Profesor Rocard z kolei zdołał ustalić najmniejszą wartość zmiany ziemskiego pola magnetycznego 0,0003 gausa, jaką mogą jeszcze zarejestrować radiesteci. (Gaus jest jednostką indukcji magnetycznej, nazwaną tak na cześć wielkiego matematyka, fizyka i astronoma Carla Friedricha Gaussa. Każdy lepszy magnes sztabkowy osiąga sto razy wyższą wartość niż owe rejestrowane przez niektóre wrażliwe osoby 0,0003 gausa. Obowiązywał dotychczas pogląd, że taką wartość mogą wykrywać tylko najsilniejsze magnetometry, w żadnym razie jednak istota ludzka.)

Już w 1947 r. profesor Soko Tromp, geolog holenderski, stwierdził eksperymentalnie, że radiesteci mogą wyczuwać zmiany pola magnetycznego z zawiązanymi oczami („Psychical Physics”). Dzięki jego koledze Yves Rocardowi mamy teraz także pojęcie, jak małe są rejestrowane zmiany pola. Badania doktora Harvalika dostarczyły dalszego potwierdzenia tych niewiarygodnych odkryć. Wilhelm de Boer - jedna z najznamienitszych badanych przez niego osób - był nawet w stanie zarejestrować zmianę ziemskiego pola magnetycznego wynoszącą 10-10 gausa, a więc równą zaledwie jednej miliardowej części natężenia tego pola. Nawet wśród radiestetów jest to niezwykle wysoka czułość.

Dr Paul Fatt, kierownik Wydziału Neurofizjologii University College w Londynie, uważał te wyniki za wprost niewyobrażalne. Kiedy się z nimi zapoznał, musiał przyznać, że wytrzymują próbę krytyki, i stwierdził z rezygnacją na temat de Boera: „Jak taki człowiek w ogóle może żyć na naszej Ziemi?” Może, i najwyraźniej napór niezauważalnych dla nas informacji przysparza mu równie niewielu cierpień, co psu jego (dla nas mało pożądany) zmysł powonienia, milion razy bardziej wrażliwy niż u Homo sapiens.

Jeśli ktoś, jak de Boer, urodził się z taką zdolnością, to zapewne przystosowuje się do życia z nią i nie przeszkadza mu ona. Jeśli zaś jest nabyta, to dana osoba uczy się przystosowania w czasie nabywania zdolności. Świadczy o tym wiele przypadków.

Rodzi się zatem pytanie, jak można zostać „normalnym” radiestetą, niekoniecznie zaraz Wilhelmem de Boerem.

Droga do tego celu wcale nie jest taka kręta i rzeczywiście stoi otworem przed każdym z nas.

Nieustannie się zdarza, że osoby postronne, będące np. tylko widzami przy poszukiwaniach żył wodnych itd., zdają sobie nagle sprawę, że drzemią w nich te same siły co w różdżkarzu, którego obserwują przy pracy.

Mimo woli nasuwa się skojarzenie ze „zjawiskami ubocznymi”, często towarzyszącymi eksperymentom parapsychologicznym. Być może w tym kontekście należy umieścić prawdziwe orgie zginających się widelców, zegarów zmieniających swój bieg i innych osobliwości, które regularnie występują w niezliczonych gospodarstwach domowych, ilekroć w telewizji występuje Izraelczyk Uri Geller. Być może jego zdolności stają się w czasie występu rodzajem katalizatora aktywizującego pokrewne siły.

Mniejsza o to. W większości przypadków zapewne nie wystarczy po prostu znaleźć się tylko w pobliżu, kiedy wychyla się różdżka albo kręci wahadełko. Różdżkarze często demonstrują własną siłę, każąc laikowi wziąć różdżkę i iść obok. Normalnie nic się wtedy nie dzieje. Jeśli różdżkarz jeszcze raz przemierza tę samą drogę, osobiście trzymając różdżkę (czy jakkolwiek inny instrument stosowany przy tej okazji), to ona z reguły się wychyla. Godne uwagi jest jednak następujące zjawisko: gdy różdżkę trzymają razem radiesteta i laik, każdy za jeden koniec, to różdżka zwykle się wychyla.

Mówiąc wprost, wynika z tego, że do sukcesu wystarczy już niewielka pomoc. Decydujące znaczenie ma co prawda własna wiara w powodzenie.

Przekonującym przykładem jest historia dynastii Mullinsów.

Brytyjczyk John Mullins urodził się w 1838 r. w Colerne, wiosce w pobliżu Chippenham w hrabstwie Wiltshire. Wyuczył się rzemiosła murarskiego i wydawało się, że sążone mu jest typowe życie murarza. Talent różdżkarski odkrył u siebie w wieku 21 lat, jednak skoncentrował się na nim w pełni dopiero mając 44 lata. Przez następne dwanaście lat do swej śmierci stał się najślynniejszym odkrywcą złóż wody w całej Anglii, a być może i Europie. Często odnosił sukcesy w takich przypadkach, w których całe zespoły ekspertów musiały dać za wygraną. Tak np. zlokalizował kilka żył wodnych w dobrach generała Mildmaya Willsona w Raunceby w Yorkshire, po czym generał przepędził geologów, którzy stracili wiele czasu i wydali mnóstwo pieniędzy swego mocodawcy nie osiągnąwszy żadnych rezultatów.

Mullinsowi niewiele było potrzeba pod tym względem. Generał Willson polecał go potem innym właścicielom ziemskim, stale powtarzając: „Nigdy nie słyszałem, aby Mullins kiedykolwiek się pomylił”.

Mimo to wielu zleceniodawców Mullinsa obawiało się jakiejś formy oszustwa i podejmowało najbardziej przemyślnie środki ostrożności. Ukrywano przed Mullinsem wszelkie informacje (nawet najprostsze), wystawiano go na próbę przez wprowadzanie w błąd i na każdym kroku starano się go przyłapać. Nie przeszkadzało to temu pulchnemu, dobrodusznemu byłemu murarzowi i w żadnej mierze nie pogarszało jego wyników. Mullins niewiele rozumiał z danych geologicznych, dokładnych map, wyników badań itd. Zdawał się na swoją różdżkę czy też swój talent, a kiedy podawał dokładniejsze dane, robił to czysto intuicyjnie (!).

Co prawda niekiedy były one daleko bardziej precyzyjne niż wszelkie ekspertyzy geologiczne.

Widać to na przykładzie najślynniejszego i najszczegółowiej udokumentowanego przypadku Mullinsa, niezwykle gruntownie przebadanego i sprawdzonego przez Williama Barretta z Society for Psychical Research. Towarzystwo to jest bardzo poważnym stowarzyszeniem, założonym w 1882 r. pod przewodnictwem profesora Henry'ego Sidgwicka z Cambridge w celu naukowego badania fenomenów paranormalnych. Organizacja ta istnieje wciąż jeszcze, a

jej rzetelność nie ulega wątpliwości. W gronie jej przewodniczących byli trzej laureaci Nagrody Nobla, jeden premier Anglii, osiemnastu profesorów, jedenastu członków Royal Society i liczne słynne osobistości, jak na przykład Arthur Koestler. Ponieważ stowarzyszenie to od początku postawiło sobie za cel demaskowanie oszustów i weryfikację tego, co autentyczne, nie były mu obce problemy często trudnego dowodzenia fenomenów parapsychologicznych i ezoterycznych i każda nowa sprawa powiększała zasób jego doświadczeń. Eksperci stowarzyszenia asystowali występom jasnowidzów, mediów i cudotwórców i uczestniczyli w seansach spirytystycznych. Society for Psychical Research zdołało zdemaskować wielką liczbę szarlatanów mimo nawet najbardziej skomplikowanego wyposażenia i wyrafinowanych oszukańczych manewrów.

Co prawda, w przypadku Johna Mullinsa nie było co demaskować. Praca, jaką wykonał dla pewnej firmy w Waterford w Irlandii, ratując to przedsiębiorstwo w 1888 r., należała do autentycznych faktów, co Society w pełni potwierdziła.

Z początku w firmie z Waterford nikt nie myślał o zaangażowaniu Johna Mullinsa. O wskazanie zasobów wodnych zwrócono się do fachowców; był wśród nich G.H. Kinahan, geolog senior stowarzyszenia ekspertów geologicznych Irlandii i autor licznych należących do literatury przedmiotu monografii i traktatów.

Wykonano trzy odwierty; kiedy koszty sięgnęły kilku tysięcy funtów szterlingów i nie udało się wydobyć na powierzchnię ani kropli wody, wśród kierownictwa firmy zapanowało zdenerwowanie. Ktoś sobie przypomniał o różdżkarzu Mullinsie i wtedy postanowiono dla przezwyciężenia rozpaczliwej sytuacji sięgnąć po nadzwyczajne środki. Posłano po Johna Mullinsa.

Radiesteta już kilka minut po przybyciu wskazał miejsce, gdzie „można wydobyć co najmniej 6800 litrów wody na godzinę z głębokości około 24 metrów”.

Wiercenie przeprowadzone w tym miejscu ujawniło istnienie żyły wodnej na głębokości 23,7 m. Wydajność odwiertu wynosiła 7600 litrów na godzinę.

Raport geologiczny G.H. Kinahana (sporządzony po odkryciu żyły) podaje, że jest to jedna z zaledwie dwóch żył wodnych w całej okolicy. Jej przypadkowe odkrycie było wielce nieprawdopodobne. Tę drugą żyłę Mullins znalazł już wcześniej...

Dla nas szczególnie interesująca w historii Mullinsa jest okoliczność, że początkowo był przekonany, iż tylko on w całej rodzinie ma ten dar. Obaj jego synowie również sądzili, że ich ojciec jest „wybrany”.

A jednak i w nich zaczęły się budzić te same zdolności, kiedy rok w rok wędrowali po kraju z ojcem Johnem. Wreszcie ich talenty ujawniły się w całej pełni i po śmierci Mullinsa synowie mogli kontynuować jego działalność niczym rodzinne przedsiębiorstwo. I przedtem już przez pewien czas pracowali razem.

Bilans dokonań firmy „Mullins i s-ka”, a później „Mullins - Synowie” jest doprawdy imponujący: odkryto przeszło 5000 źródeł, umożliwiono zaopatrzenie w wodę 700 domów, browarów, fabryk, farm itd. Niewiele firm „nieezoterycznych” może się poszczycić takim nieprzerwanym pasmem sukcesów odnoszonych przez przeszło 30 lat.

Wróciliśmy więc do pytania, w jaki sposób można zostać radiestetą albo po prostu osobą o zdolnościach różdżkarskich, która jest świadoma tego faktu i umie go wykorzystać.

Łatwiejsza jest sytuacja w przypadku zdolności silnie rozwiniętych.

Osoby szczególnie uzdolnione mogą powodować wychylenie różdżki bez przygotowania i treningu. Prawie wszyscy słynni profesjonalni różdżkarze donoszą, że ich inicjacja nastąpiła w momencie, gdy wzięli różdżkę do rąk, wszystko jedno z jakiej okazji. Jak grom z jasnego nieba spadała na nich świadomość własnych zdolności, które nierzadko dorównywały (albo przewyższały) zdolnościom tego różdżkarza, który wręczył im instrument. Może nawet dochodzić do dramatycznych reakcji; niekiedy różdżka w obcych rękach dosłownie staje dęba albo się wyrывa. Te czasem przerażające fenomeny są tylko przejawem wzajemnego oddziaływania sił między narzędziem a osobą wrażliwą, która dotąd nie wiedziała o swoich predyspozycjach. Jak znaczne bywają te siły, ukazuje fakt, że niekiedy różdżki reagują tak gwałtownie, iż obracają się albo nawet łamią. Stale się zdarza, że u niektórych różdżkarzy można obserwować ten efekt.

Oczywiście, nie każdy może mieć nadzieję na takie przeżycia. To nic nie szkodzi, także mniejsze uzdolnienia można rozbudzić, doskonalić, a wreszcie wznieść się na wyżyny prawdziwego kunsztu. Jeśli tylko wiemy, jak to zrobić.

Pierwszym krokiem powinno być nabranie zaufania do własnych ukrytych zdolności. Jeśli raz nabierzemy przekonania, że się nam udaje, to wszystkie dalsze kroki przyjdą dwakroć łatwiej.

Od czego jednak zacząć?

Istnieje proste ćwiczenie, dzięki któremu można odczuć wzajemne oddziaływanie między duchem a ciałem. Trzeba wziąć instrument radiestezyjny, przy czym dla celów tego testu najlepsze jest wahadełko; w tym przypadku jest absolutnie obojętne, czy będzie to rzeczywiste wahadełko, czy też obrączka, szyszka jodłowa albo jakikolwiek inny przedmiot zawieszony na sznurku. Kiedy tylko się uspokoi, zaczynamy się na nim koncentrować i mówić do niego w duchu, wydając mu polecenia, takie jak: „Wahadełko, kręć się w kierunku wskazówek zegara! Wahadełko, kołysz się od prawej ku lewej!” Nie jest ważne, jaka będzie treść polecenia.

Po krótkim czasie wahadełko nas posłucha i zacznie wykonywać ruchy po okręgu albo wahania w obie strony, zależnie od wydanego polecenia. Ten test sprawdza się w stu procentach u każdego człowieka. Musi być tylko wykonany ściśle według opisu.

Niesamowite, a więc tak łatwo można zostać radiestetą! Otóż jednak nie można. Ta prosta próba nie jest ani kluczem do tajemnej mocy wahadełka, ani do misteriów różdżkarstwa. Tajemnicze oddziaływanie na materię nieożywioną okazuje się bowiem reakcją czysto psychosomatyczną.

Ten efekt, możliwy do zademonstrowania w każdym czasie i miejscu, jest nawet stale wykorzystywany jako argument przeciwko radiestezji.

Dowodzi bowiem tylko tego, że ciało musi mimo woli słuchać rozkazów ducha, nawet jeśli nie ma takiego zamiaru (albo o tym nie wie).

Istotnie nie możemy ignorować takich rozkazów. Polecenia dla wahadła w rzeczywistości są kierowane do ręki, która je trzyma. Bez naszego świadomego udziału ramię i ręka zaczynają wykonywać mikro ruchy, na skutek których wahadło się waha albo kręci w koło. Ćwiczenie to jest często wykonywane przed rozpoczęciem treningu autogenicznego. Ma ono dać trenującym pewność, że ich ciało jest posłuszne rozkazom ducha, że możliwe jest sugerowanie ciepła, ciężkości itd.

Sceptycy nierzadko wskazują na ten czysto fizjologiczny mechanizm, aby zdemaskować radiestezję jako - łagodnie mówiąc - oszukiwanie samego siebie.

W pierwszej chwili odczuwa się skłonność do zaakceptowania tej argumentacji. Jeśli więc w ostatecznym rezultacie sam radiesteta powoduje wychylenia różdżki albo kręcenie się wahadła (jeśli nawet nie robi tego świadomie), to co właściwie zostaje z wiedzy ezoterycznej?

Nie ma.

Można bowiem argumentację tę także odwrócić. Wtedy tylko np. różdżka zamienia się z różdżkarzem na miejsce, co oznacza, że człowiek jest anteną, a różdżka wychylającą się wskazówką - i już znowu wszystko do siebie pasuje. Duch człowieka rejestruje ów niewidoczny strumień informacji, zawierający także dane o lokalizacji podziemnych żył wodnych, ukrytych przedmiotów i wielu innych sprawach, i wywołuje skurcze mięśni, za których sprawą wahadło zaczyna się poruszać, a różdżka staje dęba.

Człowiek kanalizuje zatem wiedzę kosmiczną, nad której naturą i uniwersalnym działaniem już się trochę zastanawialiśmy. To on odbiera, reaguje, a także dokonuje ostatecznej interpretacji.

Ma tu swój udział intuicja. Człowiek odbiera, nieświadomie sygnalizuje ten fakt, zdaje sobie sprawę, że nadeszła informacja, i następnie może ją świadomie wyrazić.

Tak mogłoby to przebiegać i chyba tak właśnie jest. Duch radiestety jest otwarty na morze informacji, w którym my wszyscy brodzimy z nieczułymi zmysłami. Niekiedy coś udaje się nam zauważyć, jednak „zdrowy rozsądek”, który jest produktem naszej kultury, każe nam przejść nad tym do porządku dziennego. I tak brniemy dalej... Możemy jednak otworzyć naszego ducha.

Opisane doświadczenie z wahadłem to był początek; wiemy, że za pośrednictwem wahadła albo różdżki można wzmocnić i uwidocznic bardzo słabe, niezauważalne odczucia, przenikające nasze ciało i ducha, które bez takiej pomocy przeszłyby nie zauważone. Na tej samej zasadzie przyrządy pomiarowe podnoszą za pomocą wychylających się wskazówek lub jakichkolwiek innych wskaźników na poziom naszej świadomości takie zjawiska jak magnetyzm, radioaktywność, promieniowanie podczerwone i wiele innych.

Tak więc wróciliśmy do kwestii natury informacji, które w ten sposób mogą zostać zarejestrowane (może powinno się raczej mówić o inspiracjach).

Wielokrotnie wspomniana nadludzka wrażliwość takich radiestetów jak Mullins albo de Boer na wpływy, których obecność jest wykrywana jedynie przez wielkie przyrządy pomiarowe,

może skłaniać do błędnego wniosku, że tu tkwi wyjaśnienie. Jednak sprawa nie jest aż tak prosta.

Wahania ziemskiego pola magnetycznego, jakie są zdolni rejestrować owi supergwiazdorzy wśród radiestetów, raczej nie zawierają informacji na temat ilości wody, którą można wydobyć z danej głębokości, mierzonej w litrach na godzinę. A już zupełnie nie wyjaśnia to takich dokonań jak wykrywanie wahadełkiem cieków wodnych, podziemnych ruin itd. na mapie. Bo i tak się zdarza, o czym jeszcze będzie mowa.

Tego już nie można po prostu przypisać magnetyzmowi ziemskiemu. Nie mamy też takiego zamiaru. Wspomniana nadwrażliwość na zjawiska, na które wcale nie reaguje normalny współczesny człowiek, jest tylko uderzającym sygnałem, że osoby te właśnie cechuje szczególne wyczulenie na czynniki wymierne, a także niewymierne. Wśród czynników niewymiernych musi znajdować się i ten, który czyni z radiestezji - a konkretnie z radiestetów - tubę, czy raczej lejek dla informacji „z zewnątrz”. Informacji nieuchwytej dla żadnej aparatury, bo w przeciwnym razie już od dawna musiałyby istnieć komputery na wahadełko i programy na różdżkę.

Kuszące byłoby zagłębienie się w rozważaniach, dlaczego różdżkarze specjalizują się w całkiem specyficznych, ograniczonych dziedzinach (woda, metal i inne), gdy tymczasem mistrzowie wahadełka mogą odfiltrować z wiedzy kosmicznej niemal każdą żadaną informację. Wykroczylibyśmy tym jednak poza ramy dopuszczalnej spekulacji.

Mogłaby to wyjaśnić specyfika rezonansu, ale tak samo decydującą rolę mogą odgrywać indywidualne predyspozycje człowieka, i to już w pierwszym momencie, kiedy chwyta za różdżkę albo wahadełko. Możliwości istnieje wiele, żadna nie jest bardziej logiczna od pozostałych, a przy tym jest całkiem możliwe, że w rzeczywistości wszystko wygląda jeszcze inaczej. Dlatego podsumujmy: radiesteci są „najzwyczajniej w świecie” nadwrażliwi. Selektywny odbiór informacji, dokładne trafianie w ten „wydział” oświecenia, w którym są przechowywane szukane odpowiedzi, występuje także - w co aż trudno uwierzyć - w badaniach naukowych.

Wspomniany już dr Zaboj V. Harvalik ku swemu zdumieniu stwierdził, że Wilhelm de Boer, z zawodu siodlarz, mógł namierzać różne radiostacje niczym dwunożny radiopelengator. Wystarczyło, aby dr Harvalik wskazał stację, którą de Boer ma zlokalizować, a ten ostatni wykonywał polecenie, obracając się w różne strony z różdżką w rękę. Liczne eksperymenty tego rodzaju postawiły świat nauki przed niezaprzeczalną wybiórczością zdolności radiestetycznych. Doświadczenia praktyczne potwierdziły tylko to, co osoby wrażliwe zawsze stwierdzały, że w istocie mają wybór, co chcą zarejestrować.

Różdżkarz może zaprogramować swój instrument na wykrywanie złóż rudy przy pomijaniu żył wodnych, i na odwrót. Teoria, jakoby specjalne różdżki reagowały na specjalne promieniowanie (wody, metalu itd.), nie bierze pod uwagę faktu, że większość różdżkarzy wykorzystuje ten sam sprzęt do różnych celów.

Hipoteza oparta na promieniowaniu, która już się stała niemal konwencjonalnym wyjaśnieniem, wcale nie tłumaczy faktu, że radiesteci mogą nieomylnie znajdować pojedyncze przedmioty wszelakiego rodzaju pod przykryciem na przykład z sukna. Lekarze, biolodzy i inni naukowcy niekiedy podnoszą zarzut, że taka wybiórczość nie jest bardziej

nadludzka niż nasza normalna zdolność uczestniczenia w określonej rozmowie w gwarным pomieszczeniu mimo dobiegających innych hałasów.

Jest to bez wątpienia słuszne, tylko że tego gwaru rozmów i tych towarzyszących hałasów, z których radiesteta odfiltruje interesującą go „rozmowę”, nie słyszy nikt poza nim samym. Nie rejestruje ich również żadna aparatura, a tylko jego wahadełko lub różdżka. Tej całkiem specyficznej informacji, o którą chodzi w danym przypadku, nie można uzyskać w sposób konwencjonalny. Tylko radiestezja to umożliwia...

W seriach doświadczeń doktora Harvalika stale napotyka się nieśmiało wskazówki co do specyfiki sygnałów odbieranych przez radiestetów.

W jednym z eksperymentów badacz ustawił różdżkarzy z zatkanymi uszami plecami do muru, po którego drugiej stronie podchodziły ukradkiem inne osoby w nieregularnych odstępach. Jednoznacznie można było stwierdzić, że nie daje się tego ukryć przed badanymi. Ich różdżki z nadzwyczajną regularnością wychylały się, ilekroć po drugiej stronie muru ktoś się zbliżył na odległość około trzech metrów. Eksperyment ten nabrał fascynującej wymowy, gdy dr Harvalik nakazał skradającym się osobom, aby myślały o podniecających sprawach.

Większość, co zrozumiałe, myślała o seksie i na rezultaty nie trzeba było długo czekać: teraz radiesteci mogli wykrywać te osoby już z odległości dwa razy większej, co sygnalizowało wymowne prostowanie się różdżek do góry.

Wyniki badań doktora Harvalika nierzadko kojarzą się ze zdumiewająco dokładnymi wskazaniami Mullinsa z ubiegłego wieku. Badacz wylicza wiele szczegółowych informacji uzyskanych od radiestetów, które w niczym nie ustępują trafności informacji słynnego Johna Mullinsa.

Oryginalny, a dla nas szczególnie interesujący jest fakt, że dr Harvalik w trakcie przeprowadzanych eksperymentów sam u siebie odkrył zdolności różdżkarskie, i to niemałe.

W Australii zdołał ze znacznej odległości zlokalizować zbiornik wody, podając nawet całkowicie ściśle jego odległość - 20 km. Inżynier hydrolog, który się zwrócił do doktora Harvalika z tym pytaniem, był tak zaskoczony trafnością informacji, że spytał jeszcze, na jakiej głębokości znajduje się woda. Dr Harvalik określił ją na 20,5 m. „Dość dokładnie - stwierdził inżynier - po-myłka wynosi tylko 2 m”. Następnego dnia okazało się jednak, że to dr Harvalik miał rację i że jego słowa były całkowicie dokładne. Poziom wód gruntowych opadł bowiem o 2 m i osiągnął dokładnie podaną głębokość 20,5 m.

Najwidoczniej utajone zdolności naukowca, rozbudzone w toku prowadzonych przez niego badań, mogły się mierzyć ze zdolnościami najwybitniejszych radiestetów. Badając wspomnianą sztukę wykrywania zaginionych przedmiotów przez poszukiwania ich na mapie, dr Harvalik stwierdził również i to uzdolnienie u siebie.

W tym kontekście warto odnotować, że wielkie firmy wydobywające ropę naftową i surowce mineralne mają w dzisiejszych czasach na listach płac radiestetów, którzy tanim sposobem, za pomocą mapy i różdżki - a częściej wahadełka - lokalizują złoża ropy, węgla, rud metali i wiele innych. Najsłynniejszym spośród tych specjalistów jest Uri Geller. Fakt, że dzięki honorariom za udane poszukiwania stał się multimilionerem, mówi sam za siebie.

Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie gałęzie radiestezji, to okaże się, że potrafi ona wydobyć niemal każdą żadaną informację z wielkiej skarbnicy wiedzy, w której błądzimy po omacku z kłapkami na oczach.

Na przykład Szwajcar Edgar Devaux, do którego władze chętnie zwracają się o pomoc, choć robią to dyskretnie, zdołał udzielić ścisłych informacji o losie pewnej zaginionej gospodyni domowej, mając do dyspozycji jej fotografię, plan Bazylei i wahadełko. Fotografia powiedziała mu, że zaginiona już nie żyje, a na planie Bazylei ustalił miejsce zatopienia zwłok, co potwierdzili nurkowie.

Jest wiele podobnych przypadków. Są one udokumentowane, przeanalizowane i zweryfikowane. Nie można ich tylko racjonalnie zanegować albo choćby wyjaśnić.

T.C. Lethbridge, angielski archeolog, który do radiestezji trafił okreśną drogą przez swoją specjalność, uprawiał ją potem osobiście, wprawiając stale swoich kolegów archeologów w irytację informacjami o miejscach, gdzie należy prowadzić wykopaliska. Był on zwolennikiem teorii „specjalnych częstotliwości drgań”. Liczne eksperymenty przeprowadzone przez niego samego utwierdziły go w przeświadczeniu, że aby można było odkryć jakiś obiekt, musi istnieć zgodność między nim a długością sznura (albo łańcucha), na którym jest zawieszony wahadełko.

Z naukową gruntownością katalogował on długości sznura odpowiednie dla węgla, miedzi, cyny i innych substancji, a nawet trawy, owoców itp. Potwierdzenie swojej teorii upatrywał również w tej okoliczności, że wahadełko nieomylnie wskazywało mu te kamienie spośród mnóstwa innych, które przedtem „musiały coś wycierpieć” (na przykład rzucono nimi o ścianę).

Kiedy Lethbridge zaczął włączać do swojego katalogu także częstotliwości drgań (długości sznura) odpowiadające sprawom abstrakcyjnym, jak miłość, seks, ewolucja, szal itd., powinien był właściwie uświadomić sobie, że zaprzągnął wóz przed koniem. Można go porównać do niektórych dzisiejszych fizyków, którzy domagają się coraz to większych akceleratorów, aby odkrywać nowe cząstki elementarne, nie dostrzegając przy tym, że one są dopiero stwarzane przez coraz większe energie, którymi dysponują naukowcy.

Naturalnie, katalog Lethbridge'a zawierał ściśle dane - co prawda tylko dla niego. Albowiem - i tu wracamy do naszych własnych rozważań - to sam Lethbridge określał częstotliwości drgań, jeśli ich nawet nie znał z góry. Rolę filtra selekcyjnego spełniał jego duch, a nie długość sznura wahadełka, materiał różdżki czy jakikolwiek inny parametr, na którym oparłby on swoją teorię. Prawdopodobnie przekonanie, że jest na właściwym tropie, nie pozwalało mu jasno dojrzeć od dawna znanego faktu, że radiesteci mają swoje indywidualne kryteria albo że mogą je sobie wybrać.

Jedne różdżki wychylają się przy tym samym obiekcie do góry, inne na dół, w prawo albo w lewo czy też wykonują jeszcze inne tańce. Dla zasygnalizowania odpowiedzi TAK wahadełko może się obracać w kierunku zgodnym lub przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wahać się od prawej ku lewej albo od lewej ku prawej lub wzdłuż osi wychodzącej od ciała właściciela itd. Istnieje tu wielki wybór i radiesteci mogą go dokonywać dowolnie. Kto nie chce rozwiązywać tego problemu i woli postępować zgodnie z metodą klasyczną, również przez to naturalnie dokonuje wyboru. Ale to przecież już wiemy...

Z jakiegokolwiek strony zechcemy na to spojrzeć, to my jesteśmy stacjami odbiorczymi we wszechświecie informacji, jak już dzisiaj nazywają go fizycy. Wahadełko czy różdżka spełniają jedynie rolę wzmacniacza, dzięki które-mu dopiero możemy zauważyć, że otrzymaliśmy odpowiedź na nasze pytanie.

Sam Wilhelm de Boer nie widział fal elektromagnetycznych wysyłanych przez namierzaną radiostację, ale informowała go o tym jego różdżka. Każdy poszczególny przypadek ilustruje przebieg zachodzących procesów: Poszukiwanie informacji... Kontakt z potrzebną informacją... Przesyłanie informacji... Reakcja cielesna przez nieświadome psychosomatyczne oddziaływanie zwrotne (wahadełko się kołysze, różdżka wychyla itd.)... Świadome postrzeganie informacji. I na koniec: Przekazywanie informacji. Jako ostatni punkt można by ewentualnie jeszcze dodać: Zaskoczenie i niedowierzanie wokół - po czym zdumienie stwierdzoną słuszością przekazanej informacji.

Faktem jest, że nasze sensorium w rzeczywistości ma o wiele szerszy zakres odbioru niż normalnie doświadczamy (być może z tego względu, że nauczono nas, iż mamy tylko pięć zmysłów, do tego bardzo ograniczonych).

Caspar Hauser mógł widzieć promienie podczerwone (ciepło), a Julia Worobiewa widzi promienie rentgenowskie. Podobne zjawiska występują w różnych wariantach. Tych superwłaściwości najwidoczniej nie można nabyć, są one wrodzone albo spowodowane przez specyficzne warunki - patrz przypadek Caspara Hausera. Choć wywierają duże wrażenie, to w rzeczywistości nie są nam potrzebne, a łatwo można je zastąpić urządzeniami technicznymi (które robią to lepiej). Są to jedynie poszlaki wskazujące na to, że człowiek jest najbardziej skomplikowaną - i najczulszą - „maszyną”, jaka istnieje. W końcu cały wszechświat potrzebował aż około 20 miliardów lat, aby ją stworzyć.

W pewien sposób stanowimy część kosmosu i możemy się z nim komunikować. Na przykład przez radiestezję. Nie dokona tego żaden przyrząd pochodzący spod ręki człowieka.

Teraz na usta ciśnie się coraz natarczywiej pytanie: Jak więc to się robi?

Poznaliśmy już pomoc dla początkujących, polegającą na udzielaniu w duchu wskazówek wahadełku, i stwierdziliśmy, że nie jest to jeszcze bezpośrednia łączność z wiedzą kosmiczną. Posłuszeństwo wahadełka stanowi jedynie ilustrację mimowolnego sprzężenia zwrotnego między duchem a ciałem, które sprawia, że nieświadomie wykonujemy niedostrzegalne ruchy ramionami i rękami, wskutek czego wahadełko się kołysze, kręci w kółko itd. Jak na razie wszystko jest jasne, tylko co dalej? Z pewnością dobrze jest wiedzieć, że nasze ciało przekazuje do naszej wiadomości napływające informacje np. za pośrednictwem wahadełka albo różdżki. Tylko że w dalszym ciągu nie wiemy, w jaki sposób uzyskujemy dostęp do takich wiadomości.

A jednak wkroczyliśmy już na drogę prowadzącą do tego celu. Polega ona, najzwyczajniej w świecie, na zajmowaniu się tymi zagadnieniami i świadomym otwarciu się na nie. Kontakt z praktykującym radiestetą może przyspieszyć ten proces albo go zainicjować nawet wtedy, gdy wcale nie mamy zamiaru uczyć się posługiwania wahadełkiem czy różdżką, a zajmujemy się radiestezją z innych powodów. Dr Harvalik albo Tom Lethbridge są dobrymi przykładami takiego obrotu spraw, z którym wciąż się spotykają także inni badacze. I nie tylko oni.

Znany pisarz angielski Colin Wilson, który wiele publikuje na temat nauk interdyscyplinarnych i dziedzin pokrewnych (jego chyba najbardziej znanym dziełem jest The Decult), pisze o takim przeżyciu w swojej książce Beyond the Decult. W 1972 r. badał on zdolności Roberta Leftwicha, znanego różdżkarza.

Pod kierunkiem Leftwicha Wilson próbował zlokalizować podziemną żyłę wodną. Z różdżką w ręku poszedł przodem i oddalił się od Leftwicha, który odwrócił się do niego tyłem.

Kiedy Colin Wilson znalazł się nad podziemnym ciekim wodnym, różdżka w jego ręku zadrżała. W tej samej chwili Leftwich zawołał: „Stop, jest pan dokładnie na miejscu!”, mimo że patrzył w przeciwnym kierunku. Co prawda normalnie nie mamy takiego wsparcia. Na szczęście udaje się i bez tego.

Tak więc znowu jesteśmy przy temacie.

Trzeba się otworzyć, zajmować tymi zagadnieniami itd. - to nie są zbyt jasne wskazówki. Co konkretnie powinno się zrobić?

Całkiem po prostu posługiwać się wahadłem. Na początek raczej nie zaleca się uprawiania różdżkarstwa, a poza tym wahadło daje generalnie większe możliwości (szczególnie do użytku domowego). Także w fazie nauki...

Szkoła podstawowa: jak prawidłowo posługiwać się wahadłem

Wspomniany już angielski archeolog Te. Lethbridge odnosił sukcesy posługując się jako wahadłem kulką z leszczynowego drewna zawieszoną na sznurku o długości przeszło jednego metra; tymczasem inny różdżkarz, Willie Donaldson z Yorkshire, stosuje w charakterze „różdżki” monetę jednopensową, która w momencie odebrania sygnału zaczyna podskakiwać na jego wyciągniętej płasko dłoni.

Przykłady można ciągnąć w nieskończoność, charakteryzując całą dziedzinę radiestezji. Wynika stąd w tym momencie następujący przyjemny wniosek: problem materiału możemy pominąć i nie musimy się zastanawiać, jakiego wahadła użyć.

Wprawdzie spotykane są najróżniejsze rodzaje i formy wahadełek, wprawdzie różnią się one materiałem (niektórzy radiesteci przysięgają, że muszą one być ze złota albo srebra), wprawdzie dyskutuje się na temat wagi, długości sznurka i innych spraw - jednak to wszystko nie stanowi de facto rzeczywistego problemu.

Oczywiście, prawie każdy radiesteta pracuje tylko ze swoim wahadłem i gdyby użył cudzego, uzyskałby zapewne skromne albo zgoła żadne wyniki, ale nie zależy to od tego, czy korzysta z właściwego wahadła, ale od jego decyzji wyboru jednego egzemplarza z bogatej palety. Staje się on wtedy jego wahadłem, a zatem prawidłowym dla niego (gdyby tak nie było, istniałby tylko jeden jedyny rodzaj wahadła nadającego się do pracy, o ściśle określonych wymiarach, materiale, kształcie, masie itd.).

A więc całkiem po prostu wybieramy takie wahadło, jakie nam odpowiada. Nie będziemy wprowadzać dodatkowego zamieszania podziałem wahadełek na sydereczne (gwiazdowe) i fizyczne (ziemskie). Podział ten jest bowiem sztuczny i wynika z dążenia człowieka do

systematyzacji, nie zaś z natury radiestezji. Jeszcze raz powtórzmy: dobre jest każde wahadełko, nawet klucz zawieszony na sznurku albo podobny przedmiot.

Teraz praktyka. Jak najlepiej trzymać wahadełko?

Istnieją najróżniejsze postawy. Najpowszechniej stosuje się chyba najpraktyczniejszy sposób trzymania nitki albo łańcuszka między kciukiem a palcem wskazującym ręki pracującej (tak więc leworęczni bynajmniej nie są pokrzywdzeni). Równie dobrze nitka wahadełka może być zakończona pętelką albo pierścieniem, które wsuwamy na wyciągnięty palec (zazwyczaj wskazujący), tak aby wahadełko zwisało jak hak dźwigu. Wszystko zgodnie z osobistym gustem. Ważne jest tylko, aby wahadełko zwisało swobodnie i mogło się bez przeszkód poruszać. Można korzystać z wahadełka na stojąco albo siedząco - jeśli ktoś koniecznie chce, to także na leżąco. Zwykle jednak wybiera się postawę siedzącą. Powinni z niej korzystać początkujący.

Siedzimy zatem przy stole, ze zgiętym ramieniem, a wahadełko zwisa na nitce albo łańcuszku na wysokości kilku centymetrów nad blatem stołu albo nad przedmiotem, na którym chcemy się wprawiać.

Teraz kolej na część duchową. Jej także nie powinno się zaczynać bez należytego przygotowania. Jest oczywiste, że ćwiczeń z wahadełkiem nie będziemy robić pośpiesznie w czasie przerwy obiadowej. Nie powinniśmy się do nich także zmuszać, kiedy jesteśmy w stresie, w nerwach, świeżo po kłótni albo gwałtownym wzburzeniu. To samo zalecenie dotyczy oczekiwanych konfliktów i ciężkich zmartwień: trzeba wtedy dać sobie spokój z radiestezją. Nie mając czasu i spokojnej głowy nie warto w ogóle zaczynać.

Choć zabrzmiało to trywialnie, trzeba powiedzieć, że ranne ptaszki nie powinny się posługiwać wahadełkiem wieczorem i odwrotnie.

Tak więc warunki wstępne zostały spełnione. Najpierw staramy się całkiem rozluźnić i uspokoić wewnętrznie. Zacięta koncentracja ze ściśniętymi szczękami daje skutek odwrotny, ponieważ właśnie nie pozwala się rozluźnić. Po kilku minutach swobodnego błądzenia myślami, kiedy już poczujemy się rozluźnieni, zaczynamy w duchu przemawiać do naszego wahadełka, na przykład: „Wahadełko, pokaż mi, kiedy będziesz gotowe do udzielenia odpowiedzi” .

Przez jakiś czas nic nie będzie się działo, potem jednak w większości przypadków wahadełko zacznie wykonywać ruchy. Najpierw będą one słabe i trudne do zauważenia, potem jednak bardziej zdecydowane. Czy przez to już otworzyliśmy okno do wiedzy kosmicznej? Trochę je uchyliliśmy, ale powstała tylko wąska szczelina. To postępowanie przypomina jeszcze wspomniane ćwiczenie podstawowe, w którym można wywołać dowolne ruchy wahadełka, co jednak demonstrowa rzeczywistość tylko tyle, że ręka się porusza na rozkaz ducha. Mimo tych podobieństw chodzi tu o dalszy krok, zmierzający w zupełnie innym kierunku. Stosuje się przy tym jedynie tę samą technikę.

„Sztuczka” polega na odwróceniu zasady. Najpierw dowiedliśmy nieświadomego oddziaływania na wahadełko, a teraz żądamy od niego, aby nas poinformowało, jeśli przypadkiem znajdziemy się „na tej samej długości fali” z jakimś fragmentem informacji, snującym się po czasoprzestrzeni.

Podobne zjawiska dokonują się najwidoczniej nieustannie, tylko my tego nie zauważamy albo jeśli nawet zauważamy, to tylko bardzo, bardzo mgliście. Ogarnia nas nieokreślone uczucie, nachodzą nas obce wrażenia, dziwne myśli, jesteśmy poirytowani. Takie stany szybko przemijają, podobnie jak kiedy w czasie przeszukiwania pasma częstotliwości w radioodbiorniku stale odbiera się wciąż nowe, odległe stacje, których sygnały są jednak tak niewyraźne i słabe, że trudno je usłyszeć, a pomiędzy nimi słychać tylko szumy. Należałoby więc zatrzymać się przy każdym sygnale, spróbować go wzmocnić i dokładnie dostroić odbiornik. Jak się zdaje, radiestezja jest instrumentem służącym do takiego wzmocnienia i dostrojenia. Albo inaczej, idąc dalej tropem naszego porównania, można powiedzieć, że nasze ciało, czy też raczej nasz duch, to aparat odbiorczy, a wahadełko lub różdżka to anteny, dzięki którym się dowiadujemy, że powstaje możliwość dostrojenia.

Dla nas oznacza to zadanie pytania, jaka wiadomość akurat nadeszła. W tym celu jednak trzeba najpierw ustalić kod porozumiewawczy między wahadełkiem a radiestetą, można powiedzieć: wspólny język.

Tak więc gdy wahadełko się odezwało, zabieramy się do wypracowania takiego języka. „Bazę rozmowy” tworzy się poleceniami takimi jak: „Pokaż mi, jak będziesz odpowiadać TAK, a jak NIE, jak dasz znać, że muszę inaczej sformułować pytanie itd...”

Można by sądzić, że możliwości poruszania się wahadełka są bardzo ograniczone: dwa rodzaje krążenia oraz kołysanie się tam i z powrotem wzdłuż albo w poprzek linii poprowadzonej od nas do badanego przedmiotu. Tak jednak nie jest. W trakcie dialogu może się wykrystalizować cały system kodów (ruchy eliptyczne, koła i wahania o różnej amplitudzie i wiele innych). Ten całkowicie indywidualny alfabet stanowi osobistą komunikację z wahadełkiem. Fakt, że wielu radiestetów jest w stanie pracować tylko przy użyciu swego własnego instrumentu i musi go oczyszczać, kiedy dotknie go ktoś inny, jest, co wysoce prawdopodobne, rezultatem tylko i wyłącznie przekonania, że tak właśnie musi być. Teoretycznie każdym wahadełkiem można odebrać osobiście wypracowane sygnały, ponieważ wahadełko wzmacnia jedynie słabe sygnały ciała. W praktyce na pewno lepiej jest stosować zawsze określone wahadełko, ponieważ zażyłość i przyzwyczajenie stanowią silne czynniki psychologiczne (także w przypadku przedmiotów martwych) - a nasza psychika odgrywa dużą rolę w subtelnej sztuce radiestezji.

Tak więc została wyrobiona baza rozmowy, a antena, można powiedzieć, jest wyregulowana. Teraz można by się zabrać do poszukiwania stacji, którą chcemy usłyszeć. W łączności radiowej w takim celu trzeba obracać anteną.

Radiesteta ma nawet ułatwione zadanie, wystarczy, że się skoncentruje na określonym pytaniu. Najwidoczniej wtedy w jakiś sposób - nikt nie potrafi powiedzieć jak i dlaczego - duch człowieka zaczyna jak gdyby przeszukiwać astralne „pasma częstotliwości”. Samo się narzuca porównanie z radarem wysyłającym coś w rodzaju duchowej wiązki fal przeczesującej wszechświat, aż trafi na poszukiwane echo.

Jakkolwiek to się odbywa, wcześniej czy później zostaje znaleziona potrzebna i gdzieś przechowywana informacja. Wtedy „coś” się dzieje (można by to określić jako rezonans w najszerszym rozumieniu, jednak tu już w gruncie rzeczy opuściliśmy płaszczyznę obiegowych codziennych pojęć). Wahadełko zaczyna się poruszać. Można teraz zadawać dalsze pytania, uzyskaliśmy bowiem bezpośrednią łączność z wiedzą kosmiczną (polem morfogenetycznym, oświeceniem, kosmiczną intuicją, morzem informacji).

Wkroczyliśmy w dziedzinę radiestezji. Całą resztę określa przysłowie: „Ćwiczenie czyni mistrza”.

Właściwie wszystko to wydaje się całkiem proste, niemal zbyt proste. Nawet jeśli nasza podświadomość może się włączyć w pool wiedzy czy informacji, przenikający nasz kosmos tak samo jak miriady neutrin, również nie zauważanych przez nikogo, to zaprezentowana tu metoda uzyskiwania dostępu do owych zamkniętych stref naszej psychiki wydaje się śmiesznie prosta.

A przecież wielu ludzi spędza całe lata u psychoterapeutów, uzyskując niekiedy tylko bardzo niedoskonały dostęp do swojej sfery nieświadomości. Czasem to się wcale nie udaje. A tu przy użyciu wahadełka coś takiego ma być możliwe od razu i bez zachodu?

W latach siedemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych Ameryki powstał całkowicie nowy system terapii, w którym praktykuje się dokładnie to, o czym tu przez cały czas mówimy: dialog z podświadomością.

Nazwano to „programowaniem neurolingwistycznym” (w skrócie NLP); metoda ta zdążyła się już stać niebagatelnym czynnikiem w psychologii i psychiatrii (i nie tylko tam...). Duchowymi ojcami systemu są słynni terapeuci Milton H. Erickson, Fritz Pearls i Virginia Satir, a swoje obecne rozpowszechnienie zawdzięcza on psychologom Richardowi Bandlerowi i Johnowi Grinderowi. Niesłychanie silne i natychmiastowe działanie NLP sprawiło, że wyszło ono poza granice świata medycyny i terapii, wkraczając w takie dziedziny jak New Age, wiedza ezoteryczna, dynamika grupowa itd. Wprawdzie fachowcy uskarżają się, że NLP ignoruje podłoże procesów nieświadomych i „jedynie” rozwiązuje konflikty (za to szybko, bezboleśnie i dokładnie), usuwa blokady i błyskawicznie unieszkodliwia nawet najcięższe kompleksy, jednak pacjentom specjalnie to nie przeszkadza.

NLP pozwalało im nieraz w ciągu kilku minut pozbyć się tego, co było dla nich udręką przez całe lata. Nawet bardzo dramatyczny zwrot wewnętrzny można zrealizować drogą tzw. reframing (reinterpretacji).

Zdumiewające, ale co to ma wspólnego z radiestezją? Prawdopodobnie więcej, niż może się wydawać.

W toku wspomnianego reframing - które jest absolutnie niepodważalnym procesem terapeutycznym - nawiązuje się bezpośredni kontakt ze sferą nieświadomości, komunikację w najdosłowniejszym sensie tego słowa. I to z doprawdy dziecinną łatwością (zrozumienie tej prostoty było z pewnością jedną z przyczyn zwycięskiego pochodzenia NLP).

Komunikacja ta w istocie nie mogłaby być prostsza: pytamy naszą nieświadomość - a ta odpowiada. Oczywiście nie można sobie tu wyobrazić żadnej normalnej rozmowy prowadzonej w duchu, choćby dialogu w rodzaju: „Cześć, podświadomość, chciałbym z tobą pogadać o moich problemach. Nie masz nic przeciw temu?” „Jasne, stary, wal śmiało, już najwyższy czas, żebyś mi zadał kilka pytań”.

W rzeczywistości przebieg rozmowy jest nie całkiem taki - ale i nie tak zupełnie inny.

W praktyce komunikacji służy wiele sygnałów, które się najpierw uzgadnia z nieświadomością. Zwracamy się do niej np. w następujący sposób: „Pytam tę część mojej świadomości, która jest odpowiedzialna za zachowanie X (tu wymieniamy to, co przysparza problemów danej osobie): czy byłabyś gotowa skomunikować się ze mną i dać mi lepiej poznać mój problem? Jeśli tak, daj mi jakiś znak”. Następnie wsłuchujemy się we własne wnętrze. Jeśli podświadomość odpowiada, daje nam znak: czujemy dzwonienie w prawym uchu, strzyka nas duży paluch u nogi albo czujemy jeszcze co innego. To jest początek komunikacji. Dalszymi pytaniami i instrukcjami ustalamy kod sygnałowy rozmowy (prosimy o wzmocnienie sygnału początkowego dla powiedzenia TAK, albo on sam z siebie słabnie, gdy podświadomość chce zaszyfrować NIE itd.).

Jeśli nie od razu wszystko się uda, można zmieniać sformułowania i stale zbliżać się do celu. W pewnym momencie powstaje kontakt i nie jest przypadkiem, że wykazuje on pewne pokrewieństwo z komunikacją z nieświadomością via wahadełko (lub różdżka).

Ta powierzchowna dygresja na temat fascynującej, rewolucyjnej dziedziny programowania neurolingwistycznego pokazała, że nasza nieświadomość wcale nie jest niedostępna. Trzeba się tylko do niej zwrócić bezpośrednio (i oczywiście wiedzieć jak). Za pomocą NLP wydobywamy to, co w nas jest, a za pomocą radiestezji to, co do nas dociera.

Kosmos pełen odpowiedzi

Po okresie nauki i ćwiczeń, trwającym rozmaicie długo, większość adeptów radiestezji nabierze pewnej rutyny w wywoływaniu specyficznych reakcji wahadełka. Przyjmujemy odpowiednią postawę, pozwalamy naszemu duchowi „przewietrzyć się” kilka minut, a następnie zaczynamy coraz bardziej koncentrować się na wahadełku. Zazwyczaj kierujemy do niego jednocześnie pytanie albo każemy mu dać jakiś znak.

Przeważnie wkrótce pojawiają się pożądane reakcje. Wiąże się z tym problem, jak „prawidłowo” pytać, który w przypadku radiestezji ma dodatkowy wymiar i skutek tego jeszcze się nasila.

Najlepiej zademonstruje to pewien przykład. Zgubiliśmy klucz i chcemy się dowiedzieć, gdzie on jest.

Wydawałoby się, że nic w tym trudnego. Wystarczy pozostać na elementarnej płaszczyźnie prostych odpowiedzi TAK - NIE. Można sądzić, że nawet początkujący nie ma tu się na czym potknąć.

Beztrosko zaczynamy lokalizować zgubiony przedmiot. Załóżmy dla uproszczenia, że osoba pytająca nie popełnia zbyt często błędów. A więc:

Pytanie: Czy klucz jest w domu?

Odpowiedź: TAK.

Pytanie: Czy jest w jednym z pomieszczeń na parterze?

Odpowiedź: TAK.

Pytanie: Czy jest w pokoju dziennym? Odpowiedź: NIE.

Pytanie: Czy jest w kuchni?

Odpowiedź: TAK.

Pytanie: Czy jest w szafce kuchennej? Odpowiedź: TAK.

Pytanie: Czy jest w górnej szufladzie?

Odpowiedź: NIE.

Pytanie: Czy jest w środkowej szufladzie? Odpowiedź: NIE.

Oddychamy w duchu z ulgą: klucz został znaleziony, bo szafka kuchenna ma tylko trzy szuflady. A więc musi to być najniższa z nich.

Pytanie: Czy jest w dolnej szufladzie? Odpowiedź: NIE.

Dezorientacja. Przecież nie popełniliśmy żadnego błędu, trop był jasny i zrozumiały. Dlaczego teraz wahadełko twierdzi, że klucza nie ma także w dolnej szufladzie? Czy więc nie ma go jednak w szafce kuchennej, co się tu właściwie dzieje?

Odpowiedź jest prosta: pytaliśmy w niewłaściwy sposób. Przedstawiony przykład pokazuje nie tylko, jak od razu można zacząć pracę z wahadełkiem, zanim jeszcze przyjdzie kolej na szczegóły (z którymi się zaraz zapoznamy), ale też, jakie są tu ukryte pułapki. W zaistniałej sytuacji zagadkę może wyjaśnić proste pytanie kontrolne (które zarazem ujawni specyfikę radiestezji). Brzmi ono: Czy klucz w jakimkolwiek momencie był w dolnej szufladzie szafki kuchennej? Prawdopodobnie otrzymamy odpowiedź TAK.

Jedną z najbardziej nieoczekiwanych stron radiestezji jest bowiem jej niezależność od czasu i miejsca. Hipotetyczny ocean informacji przenika najwidoczniej nie tylko przestrzeń, ale i czas. Można przechwytywać informacje nie tylko z teraźniejszości, ale także z przeszłości (i przyszłości!). Trzeba stale sobie zdawać sprawę z tego faktu i tak zadawać pytania, aby uzyskać pewność. Radiesteci, którzy nie biorą tego pod uwagę, mogliby niejedno powiedzieć o problemach, jakie stąd wynikają. Nierzadko np. lokalizowano na mapie ukryty skarb tylko po to, by stwierdzić, że już dawno został stamtąd zabrany.

To dalsza poszlaka wskazująca na to, że wspomniane abstrakcyjno-naukowe teorie faktycznie mogą tu być słuszne...

Czy rzeczywiście? Niełatwo przychodzi nam przełknąć wyobrażenie o podłączaniu się do przeszłej wiedzy. Niewiele mogą tu zmienić nawet najbardziej niezwykle teorie fizyczne.

Potrzebny byłby bardziej konkretny argument, aby nabrać wewnętrznej pewności, że praca z wahadłem pozwala też spoglądać w przyszłość, celowo, czy „przypadkiem”.

Można przytoczyć wiele niepodważalnych przykładów świadczących o prekognicji. Z natury mają one jednak charakter wizji, olśnień, inspiracji itd. i tylko w najrzadszych przypadkach wynikają z zastosowania określonej techniki, porównywalnej z użyciem wahadła (albo różdżki).

Dlatego nie będziemy bliżej rozpatrywać klasycznych przypadków jasnowidztwa - jakkolwiek by były zdumiewające. (W książce Niewytłumaczalne zjawiska poświęciłem jeden z rozdziałów wizjom przyszłych zdarzeń i przeanalizowałem wspomniane fenomeny). Dla początkujących adeptów wahadła istotne znaczenie mogłaby mieć seria naukowych doświadczeń, w wyniku których okazałoby się, że z powodzeniem może istnieć coś takiego jak „praktyczny dostęp” do prekognicji. Świadomy i nieświadomy!

Amerykański fizyk niemieckiego pochodzenia, dr Helmut Schmidt, jako pierwszy przeprowadził komputerowe badania zdolności paranormalnych. Noszące jego nazwisko maszyny funkcjonują opierając się na radioaktywnym rozpadzie izotopu strontu 90. Dzięki temu wyniki osób badanych można zestawiać z wartościami przypadkowymi, absolutnie niemożliwymi do sfalszowania. System jest dobrze zabezpieczony przed błędami w obsłudze i próbami oszustwa. Nie jest natomiast zabezpieczony przed niespodziankami.

Eksperyment opracowany w laboratorium doktora Schmidta w Ourham (Karolina Północna) podzielono na etapy. Najpierw badani musieli odgadnąć, która z czterech lamp się zapali. Ponieważ zapalaniem ich sterował układ izotopowy, podlegało ono twardym prawom statystyki. Zgodnie z nimi osobom badanym wolno było prawidłowo przewidzieć 25 procent zdarzeń. Faktycznie jednak odsetek ten wyniósł 27 procent. A więc spośród 63 000 prób liczba prawidłowych przekraczała dozwoloną o 700.

Następnie eksperymentator kazał uczestnikom świadomie wyrzucić wpływ na zapalenie się lamp. Tu również stwierdzono niewielką, ale znaczącą odchyłkę, a mianowicie 53 procent zamiast oczekiwanych 50.

Z żelazną konsekwencją dążąc w eksperymentowaniu do przekroczenia granic tego, co fantastyczne, dr Schmidt wprowadził zmianę w ostatnim doświadczeniu. Na zapalenie się lamp wpływały procesy przypadkowe już nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem taśm magnetycznych, na których zapisano ustalone wcześniej sygnały. Wskutek tego bezpośredni wpływ (przez psychokinezę) był tak samo wykluczony, jak modyfikacja akcji filmu na kinowym ekranie. Ku największemu zdumieniu naukowców zupełnie nic się nie zmieniło. Osoby badane nadal były w stanie przewidzieć, które lampy „zmuszą” do zapalenia się w co najmniej 53 procentach przypadków, co może nie wygląda zbyt imponująco, ale jednak wystarcza, aby zadać śmiertelny cios każdej próbie racjonalnego wytłumaczenia.

Jeśli odrzucić wszystkie wyjaśnienia absurdalne, naciągane albo zwalające wszystko na niedokładność pomiaru, to pozostanie tylko jedna jedyna możliwość: prekognicja. Uwrażliwieni uczestnicy eksperymentu sądzili wprawdzie, że wpływają na lampy

telekinetycznie (co było niemożliwe), jednak w rzeczywistości „tylko” znowu wcześniej wiedzieli, co za chwilę się zdarzy.

Trzeba sobie wreszcie uświadomić, co to właściwie oznacza: ni mniej ni więcej tylko niesamowity fakt, że duch człowieka może dokonywać cudów, które drwią sobie z wszelkich wyjaśnień naukowych. Dzieje się to w dodatku nieświadomie, a nierzadko mimochodem. Prawdopodobieństwo przypadkowego uzyskania wspomnianego wyniku - choć z pozoru wydaje się on tak skromny - wynosi od 1 : 10 mln do 1 : 500 mln, nie wspominając już nawet o tym, że, jak widać, człowiek może przepowiadać przebieg przyszłych procesów zachodzących wewnątrz atomu, co jest absolutnie niemożliwe dla nowoczesnej fizyki, czy raczej, co uznaje ona za niemożliwe. W rozpatrywanym przypadku jest dość pewne, że mamy do czynienia z rodzajem wewnętrznego procesu samoregulacji, dzięki któremu automatycznie jest wybierana prawidłowa metoda w celu wykonania zadania, bez względu na to, co wydaje się danej osobie, że robi albo zamierza zrobić. Badani przez doktora Schmidta uważali, że stosują psychokinezę, ale ich podświadomość wiedziała lepiej, jak można rozwiązać problem...

Podobnie zapewne jest w przypadku radiestezji. Zadajemy odpowiednie pytanie, nasz wewnętrzny odbiornik budzi się do działania, sam się reguluje, a następnie zgłasza się za pośrednictwem wahadełka albo różdżki.

Jeśli uważnie spojrzeć na dziedzinę badań parapsychologicznych, to można spostrzec, że ten mechanizm działa w wielu przypadkach. Tylko prawdopodobnie jest rzadko rozpoznawany.

Profesor Samuel George Soal (1889 - 1975), brytyjski wykładowca matematyki na University College w Londynie, który w 1945 r. jako pierwszy w Anglii otrzymał promocję na podstawie rozprawy o parapsychologii, a w latach 1949 - 1951 był przewodniczącym renomowanego Society for Psychical Research, w 1939 r. zetknął się aż dwukrotnie z tym zaskakującym fenomenem, który niewątpliwie kryje się nie zauważony w wielu opisach eksperymentów.

Seria doświadczeń z pewną gospodynią domową nazwiskiem Gloria Stewart początkowo nie przynosiła rezultatów. Wydawało się, że nie jest zdolna odbierać obrazów przesyłanych do niej drogą telepatii. W trakcie tego z pozoru nieudanego eksperymentu profesor Soal nagle zrozumiał, ku swemu ogromnemu zdurnieniu, że ta gospodyni domowa osiąga wysoki pułap trafnych odpowiedzi, tylko że zawsze odnoszą się one do następnego obrazu.

Ponieważ badający panią Stewart wybierał motywy do przesłania na chybił trafił, więc długo trwało, zanim dostrzeżono, że zdolność postrzegania pozazmysłowego u badanej osoby wybiega w przyszłość. Często przytaczany przypadek nie wchodził w rachubę jako wyjaśnienie z racji częstości trafnych przepowiedni. Identyczny przebieg miały badania fotografa Basila Shackletona, o czym informuje profesor Soal w swoim sprawozdaniu. W obecności kilku znanych naukowców z Society for Psychical Research badany wykazał zdolność określenia symbolu na karcie, która miała być następna. Wynik ten mógł osiągać dowolnie często, przy czym nie miało znaczenia, czy w eksperymencie stosowano znane karty Rhine-Zenera, czy też karty z obrazkami, kolorami albo charakterystycznymi słowami. Przewidywania Shackletona były zawsze ściśle pod każdym względem, i to z dokładnością 1: 1035 (jedynka z trzydziestoma pięcioma zerami).

Profesor C.D. Broad z Cambridge pisał o eksperymencie S.G. Soala, który nawiasem mówiąc należał do najdokładniej kontrolowanych doświadczeń, jakie w tym czasie były możliwe:

„Nie może być wątpliwości, że wyniki takie rzeczywiście osiągnięto i że zostały one prawidłowo opisane. Pewne jest także, że prawdopodobieństwo przypadkowego zbiegu okoliczności wyrażało-by się tu stosunkiem jeden do kilku miliardów i że przedstawione zdarzenia stoją w sprzeczności z jednym albo kilkoma elementarnymi prawami fizyki”.

Bez końca można by spekulować szukając odpowiedzi na pytanie, co niekiedy skłania naszą podświadomość do wykonywania wcale nie żądanych „ćwiczeń pilności”. Dla nas jednak ważne jest stwierdzenie, że nie powinniśmy sobie łamać głowy nad tym, w jaki sposób nasz duch ostatecznie wykonuje zadanie, oraz że możliwe jest metodyczne patrzenie w przyszłość (nawet jeśli nie mamy od początku takiego celu).

Szczególne znaczenie ma zarazem metoda tego wyprzedzania czasu, którą niemal trzeba nazwać „rzemiosłem” .

Właśnie do tego rzemiosła w dziedzinie radiestezji chcemy się zbliżyć. Mamy na względzie, że tak powiem, wiedzę tajemną na użytek domowy. O ile np. przy rysowaniu horoskopu najpierw mamy do czynienia z techniką, a potem dokonywana jest, w istocie intuicyjna, ocena, to radiestezja po większej części polega na praktyce (kiedy już raz została zbudowana wewnętrzna baza duchowa...). Elementarnym składnikiem tej bazy jest umiejętność rozpoznawania i akceptowania wszystkich możliwości wahadełka (i różdżki).

Możemy spokojnie przyjąć tezę, że za pomocą wahadełka (a w pewnej mierze także różdżki) daje się badać nawet przyszłość. Duch człowieka ma zdolność wybiegania do przodu - o tym mogliśmy się właśnie przekonać- a więc nie ma powodu, by się dobrowolnie ograniczać samemu. Wykorzystajmy po prostu nieograniczone możliwości wahadełka, jakiegokolwiek ostatecznie byłoby ich podłoże.

W każdym razie pewne jest, że wiedza o wszystkim, co się zdarzyło i co się zdarzy, wchodzi w skład niepojętej wiedzy kosmicznej, z którą można się połączyć. W gruncie rzeczy radiestezja nie ma określonych granic. Można ją stosować w każdej wyobrażalnej dziedzinie. Pozwala ona odsłaniać (prawdziwy) charakter człowieka, oceniać szanse kariery, znaleźć partnera albo zbadać istniejący związek (może być prawdziwym „barometrem miłości”), odnajdywać zaginione osoby i przedmioty, wydobywać na światło dzienne przyczyny cierpień duchowych i fizycznych, sprawdzać działanie lekarstw, przydatność żywności i używek, analizować problemy rodzinne, wykrywać niewierność partnera, przezwyciężać kłopoty finansowe, pomagać w wyborze właściwego zawodu itd.

Trzeba mieć jedynie świadomość tych wszystkich możliwości. Przedstawimy kilka impulsów pomagających w wypracowaniu pytań i we wszechstronnym użyciu wahadełka. Wahadełko stosowane pomysłowo i konsekwentnie może faktycznie przyczynić się do szczęścia w miłości, uwolnienia od trosk finansowych, zyskania dobrego samopoczucia i bezpieczeństwa. Decydującym słowem jest i pozostanie właśnie słowo „może”.

Na razie jednak jesteśmy jeszcze przy ćwiczeniach praktycznych, na pierwszym planie znajduje się jeszcze instrumentarium i technika.

Dopiero potem przyjdzie kolej na zastosowania. Instrumentarium to wahadełko dowolnego rodzaju (jak już wspominaliśmy, dotyczy to także różdżki). Technika wydaje się prosta, ale taka nie jest. Wspominaliśmy już, że najpierw trzeba stworzyć „język” porozumienia między wahadełkiem a radiesteta.

Język jest jednak czymś więcej niż tylko zdolnością wydawania różnych dźwięków. Można się wprowadzić także porozumiewać chrząkaniem i innymi dźwiękami pierwotnymi, ale taka komunikacja jest bardzo ograniczona. Przekazywanie w ten sposób bardziej złożonych treści nastęrczałoby wiele trudności.

Poruszyliśmy już temat kodów dialogowych, które można by określić jako alfabet całkiem osobistego języka komunikacji człowieka z jego wahadełkiem, ale na razie nie zgłębiliśmy go. Znajdujemy się jeszcze na progu dźwięków pierwotnych, czyli mało zróżnicowanych odpowiedzi wahadełka.

Jak wspomnieliśmy, dialog jest sprawą czysto indywidualną. Nie ma tu stałych zasad. Prawidłowy jest każdy osobisty język, który pozwala uzyskiwać czytelne odpowiedzi.

Mimo to nie zaszkodzi podanie kilku orientacyjnych wskazówek, najlepiej na konkretnym przykładzie. Wyobraźmy sobie, że mamy przeprowadzić analizę charakteru za pomocą fotografii.

Można by pójść żmudną drogą „dźwięków pierwotnych” i zadawać kolejno pytania, na które wahadełko odpowiada TAK albo NIE. To oczywiście, że nie jest to prosta droga, ale bardzo kręta. Jeśli wyodrębniliśmy jakąś cechę charakteru, to można ją dalej uściślać i konkretyzować także metodą odpowiedzi TAK - NIE, ale jest to bardzo pracochłonne. Doświadczeni radiesteci - i badacze radiestezji, co często na to samo wychodzi - odkryli inne drogi.

Frank Glahn, profesor Benedict, Amoretti, Schelling, profesor Oelenheinz, Hondorff, Johannes Bolte, Zechlin i inni korzystają w pracy z tabel zawierających ściśle zdefiniowane odpowiedzi wahadełka. Wybierzmy jedną z takich interpretacji dla naszego przykładu.

A więc wahadełko kołysze się nad zdjęciem analizowanej osoby. Radiesteta koncentruje się i czeka na odpowiedzi zgodnie ze swoją kategorią interpretacji. Znając klasyfikację możliwych ruchów wahadełka, wie on, co każdy z nich oznacza:

Małe, ciasne koła oznaczają taki właśnie charakter.

Linia pionowa sygnalizuje twarde serce, egoizm, zaciętość i egocentryzm.

Ciasne koła rozszerzające się stopniowo pozwalają wnioskować o pozytywnym rozwoju danej osoby.

Energiczne, dalekie wychylenia wahadełka świadczą o energii idącej w parze z twardością i bezwzględnością.

Koła albo elipsy układające się w spiralę do wewnątrz zdradzają rozwój negatywny, coraz bardziej zwrócony ku samemu sobie.

Jeśli koła przeobrażają się w elipsy poziome, dana osoba jest przyjazna dla ludzi.

Koło zdeformowane, zwłaszcza spłaszczone u góry, wskazuje na głupotę i ignorancję, w najszerszym sensie brak siły duchowej.

Linie ukośne wznoszące się w prawo należy interpretować jako funkcję rozumu, odpowiednio do długości ruchu wahadła.

Linie ukośne wznoszące się w lewo informują o uczuciowości.

Koła świadczą zasadniczo o sile witalnej i radości życia, harmonii i aktywności.

Elipsy towarzyszą nieświadomym konfliktom.

Linie poziome niosą informacje dotyczące sfery materialnej. Według profesora Wolffa można w nich rozpoznać blokady i zahamowania woli ducha.

. Zatrzymanie się wahadła, czy raczej chwilowa „sztywność wahadła", jest w badaniu charakteru człowieka, zdaniem Spiesbergera, nieomylnym znakiem, że we wnętrzu człowieka ze zdjecia toczy się obecnie walka między dobrem a złem, w każdym razie, że istnieje wzburzenie duchowe.

Ta klasyfikacja wydaje się złożona, ale w rzeczywistości jest dość uproszczona; można ją jeszcze bardzo wysubtelnić, kiedy się uwzględni czynnik powtórzeń. Polega to na tym, że im częściej jest powtarzana jakaś określona figura wahadła (na przykład spłaszczone koło), tym silniejsza jest dana właściwość badanej osoby. Ten przekaz informacji można rozbudować aż do uzyskania dokładności alfabetu Morse'a (np. dziesięć linii ukośnych wznoszących się w prawo sygnalizuje logiczne myślenie analityczne w zakresie wyobraźni przestrzennej, podczas gdy dwadzieścia linii w prawo oznacza umiejętność logicznego posługiwania się liczbami itd.).

Można nawet pójść jeszcze dalej, jak pokazuje „zegar inteligencji" profesora Mohlberga. Opiera się on na dynamicznym kole profesora Bahra, podając inteligencję w stopniach na skali od idiotyzmu (0) do najwyższej genialności (12).

Łatwo jest sporządzić taki wykres. Rysuje się po prostu koło, dzieli je na dwanaście pól, na które nanosi się stopnie inteligencji - od geniusza do wiejskiego głupka. Stopnie pośrednie można z powodzeniem zdefiniować samemu, zależnie od własnego wyobrażenia na temat zwodniczego zjawiska ludzkiej inteligencji czy głupoty.

Diagramy takie, dotyczące wielu dziedzin, można także nabyć w wydawnictwach fachowych (np. Schweizer Verlag fur Radiesthesie; RGS) albo w sklepach specjalistycznych.

Zbyt łatwo co prawda mogłoby teraz powstać wrażenie, że istnieje gigantyczny katalog możliwych odpowiedzi wahadła (ukryty w czasoprzestrzeni albo oferowany przez odpowiednich producentów) i że wystarczy go sobie tylko przyswoić, by można było zaczynać.

Niezupełnie tak jest, choć też nie tak całkiem inaczej. Widzieliśmy wyraźnie, jak barwny może być dialog z wahadłem i taki też jest przeważnie, gdy prowadzi go doświadczony radiesteta. Drugorzędne znaczenie ma kwestia, czy posługujemy się prefabrykowanymi środkami pomocniczymi, jak wykresy, zegary inteligencji czy jakiegokolwiek inne, albo opracujemy nasze własne formularze.

Pełna szczegółów dygresja na ten temat ma tylko wskazywać właściwy kierunek i pomagać w myśleniu. W gruncie rzeczy wszystko, co powiedziano wyżej, można równie dobrze zignorować. Poziome elipsy, w które przeradzają się koła, wcale nie muszą sygnalizować miłości do ludzi u osoby, nad której fotografią krąży wahadełko, podobne jak jego sztywność nie musi być jednoznacznym sygnałem konfliktów wewnętrznych.

Nie, każda inna interpretacja jest równie ważna, jeśli ją wewnętrznie przyjęliśmy.

To jest sedno sprawy: to my ustalamy, co dana odpowiedź znaczy dla nas.

Przytoczone przykłady były, trzeba to jeszcze raz zaznaczyć, jedynie orientacyjnymi wskazówkami. Tylko od nas zależy opracowanie takiej klasyfikacji lub katalogu pytań i odpowiedzi.

Drogi wiodące do tego celu są różne, tak jak różni są ludzie. Wróćmy jeszcze do analizy charakteru za pomocą fotografii. Zależnie od osobistych skłonności w różny sposób opracujemy zasadniczą kwalifikację, zgodnie z którą potem będą przebiegać wszystkie analizy charakteru.

Można pytać o specyficzne cechy osoby na zdjęciu i czekać, jaki rodzaj ruchów wahadełka nasza podświadomość przyporządkuje określonej właściwości, albo od początku świadomie i celowo powiązać określony rodzaj tych ruchów ze specyficzną właściwością.

Możliwa jest zatem droga aktywna i bierna. Doświadczenie zaleca raczej drogę bierną, ponieważ pozostawia ona swobodę podświadomości, ale jak już powiedzieliśmy, każdy pracuje wedle własnego gustu...

Ważne jest i pozostanie wypracowanie wielu form, które - kiedy raz zostaną przyjęte - zapewnią porozumienie z wahadełkiem. Komunikację, tak zrozumiałą później, jakby była prowadzona przy użyciu słów, których znaczenia są nam znane (o ile w ogóle można jasno zdefiniować treść słów).

W każdym razie, kiedy radiesteta stworzył pewne „słownictwo” dla swojego wahadełka, nie bardziej dwuznaczne niż słownictwo naszego codziennego języka, może być zadowolony.

Może się wtedy cały zanurzyć w morzu odpowiedzi, rad, informacji, wskazówek, ostrzeżeń, pomocy w podejmowaniu decyzji itd., których dostarcza nam radiestezja. Przy odpowiedniej dozie wyobraźni nie ma też żadnych ograniczeń w sporządzaniu najróżniejszych środków pomocniczych dla wahadełka. Wykresy takie jak wspomniany „zegar inteligencji” profesora Mohlberga otwierają szerokie perspektywy. Nigdzie nie jest napisane, że takie wykresy nie mogą dotyczyć każdego dowolnego tematu, przy czym nie trzeba koniecznie określać wahadełkiem stopni nasilenia jakiegoś zjawiska, jak w przypadku skali od geniusza do idioty.

W gruncie rzeczy można pytać o wszystko, a wykresy mogą spełniać rolę filtra albo wskaźnika idei.

Dość pomyśleć o niezliczonych dziedzinach życia codziennego, w których potrzebujemy rady, a często nie wiadomo, jaki jest problem. Można łatwo wykonać środki pomocnicze. Można opracować różne tabele, które sprawią, że żmudne wypracowywanie pytań stanie się zbyteczne, jeśli nie są one oczywiste, a mimo to nie chcemy zrezygnować z rady wahadełka.

Ideałem jest naturalnie forma koła. Koło to dzielimy na tyle części, na ile chcemy, i na wycinkach przeciwległych nanosimy na przykład: rokowania, rozmowy, podróże, poszukiwanie partnera, sprawy urzędowe, wizyty lekarskie, kontrolę zdrowia, problemy rodzinne itd. Każdy sam najlepiej wie, jakie dziedziny są dla niego interesujące, czy też jakie jeszcze mogą być brane w rachubę. Nie ma żadnych ograniczeń dla takich szablonów do wahadełka. Jeśli ktoś chce sporządzić specjalny szablon dla każdej poszczególnej dziedziny, aby w pytaniach zejść na poziom najdrobniejszych szczegółów, powinien tak zrobić.

Ograniczeniem jest tylko własna kreatywność.

Praca z takim szablonem polega tylko na trzymaniu nad nim wahadełka i sformułowaniu pytania, np.: „Wahadełko, co byś mi dziś poradziło (zaleciło itd.)?” Jeśli powstanie połączenie między naszą nieświadomością a otaczającym nas oceanem informacji, wówczas wahadełko zacznie się kołysać tam i z powrotem wzdłuż linii prostej przecinającej odpowiednie segmenty koła. Będzie to dla nas znakiem, że dziś na porządku dziennym są problemy rodzinne albo że nie byłoby od rzeczy poddać się kontroli zdrowotnej.

Właściwie to całkiem proste, prawda?

Wahadełko najwyraźniej nie podlega żadnym ograniczeniom, podobnie jak wloty ducha ludzkiego (i podświadomości).

Jeśli nauczyliśmy się zadawać odpowiednie pytania albo mamy do dyspozycji niezbędne wyposażenie, to zakres zastosowań wahadełka jest nieograniczony. Można dzięki niemu poznać lepiej swoich bliźnich, dokonywać trafnych wyborów w partnerstwie i seksie (możemy to spokojnie powiedzieć), odnajdywać zaginione osoby i przedmioty, wykrywać tajne motywy działań ludzkich, stwierdzać choroby psychiczne i fizyczne, oceniać właściwości lekarstw, wyszukiwać odpowiednie pożywienie, nieść pomoc zwierzętom domowym, rozpoznawać przyczyny zjawisk, wykorzystywać szanse finansowe, rozwiązywać problemy rodzinne, podejmować decyzje na przyszłość itd.

Najlepszym ćwiczeniem jest ułożenie kilku pytań do każdego z wymienionych tu tematów (np. rodzina: Czy mogę pomóc mojemu dziecku w szkole? Czy możliwe jest pojednanie z moimi teściami? A potem pytamy dalej: Czy ja mam zrobić pierwszy krok? itd.).

W gruncie rzeczy nie jest to takie trudne. Z doświadczeniem przychodzi rutyna i panowanie nad różnorodnymi możliwościami, wariantami i niuansami. A teraz po tym krótkim kursie posługiwania się wahadełkiem rodzi się zrozumiałe pytanie:

A co z różdżką?

Ta druga gałąź radiestezji wydaje się zaniedbana, choć podaliśmy już przegląd imponujących sukcesów różdżkarzy.

To tylko wrażenie, bo w gruncie rzeczy nie istnieją żadne rzeczywiste różnice w zasadzie funkcjonowania wahadełka i różdżki. Oba te instrumenty pokazują, że nasza nieświadomość odebrała sygnały, i oba pozwalają te sygnały zrozumieć. Jedynie „mowa” wahadełka jest bardziej zróżnicowana i daje dostęp do szerszego pasma odpowiedzi. Różdżka nie wydaje się tak uniwersalna, za to jednak jest szczególnie czuła w jednej określonej dziedzinie - właśnie różdżkarstwie.

Dlaczego tak jest, trudno odpowiedzieć z pewnością. Niektórzy argumentują, że po prostu łatwiej jest chodzić z drewnianym widelcem, metalową pętlą czy temu podobnymi przedmiotami niż ze swobodnie się kołyszącym wahadełkiem, gdy inni są przekonani, że podział na wahadełko i różdżkę nastąpił przypadkowo i został utrwalony przez tradycję. Jeszcze inni wysuwają dalsze przypuszczenia.

Jednym słowem, znowu nic dokładnie nie wiemy. Nie jest to zresztą ważne. Nikt nie wie, co konkretnie się dzieje, gdy łykamy aspirynę czy około 700 innych lekarstw (tak utrzymuje angielski badacz), jednak łykamy je mimo to. I to z niejakim skutkiem.

Funkcje naszego ciała są równie niezbadane jak głębie kosmosu. O ukrytych procesach chemicznych i fizycznych przebiegających w nas mamy tylko bardzo, bardzo niejasne wyobrażenie; biologiczne mechanizmy kontrolne po większej części tkwią w ciemnościach, a misteria ducha ludzkiego są nimi w istocie.

Kto może się dziwić, że setki lekarstw powstają metodą prób i błędów, jeśli biologia nie jest nawet w stanie wyjaśnić, jak na przykład funkcjonuje homeostaza, dzięki której temperatura naszego ciała jest utrzymywana w pewnym zakresie na stałym poziomie, niezależnie od tego, czy na dworze pada śnieg, czy praży słońce. Tym mniej jest więc możliwe poznanie owych tajemniczych mechanizmów, które każą wahadełku się kołysać, a różdżce wychylać, oraz ściśle określenie dziedziny ich zastosowań.

Prawdopodobnie już w zamierzchłej przeszłości radiestezja (jakkolwiek brzmiała jej ówczesna mistyczna nazwa) została podzielona na dwa obszary zastosowań: „domowy” i „zewnątrzny”. W tamtych czasach, kiedy nie było jeszcze map, nad którymi można by stosować wahadełko, osoba wrażliwa, szaman, mędrzec itp. musiał wyjść na dwór, aby na miejscu szukać z różdżką wody, podczas gdy wahadełko oddawało cenne usługi, gdy przyszedł do niego ktoś potrzebujący pomocy. W ten sposób mogły powstać różne dyscypliny jednej i tej samej sztuki.

A tradycje mają tę właściwość, że kształtują przekonania. Być może wahadełko i różdżka od stuleci funkcjonują w tak odmienny sposób, ponieważ od pokoleń ludzie nie umieją sobie tego inaczej wyobrazić.

Za takim wnioskiem przemawiałoby wszystko, co dotychczas przedstawiliśmy. Jakkolwiek się sprawy mają, czy powodem jest psychologiczna postawa oczekiwania, czy nieznanne zasady przyrody, wahadełko zazwyczaj się kręca, a różdżki wychylają.

Jest całkiem możliwe, przy wolnym od uprzedzeń podejściu do radiestezji, opracowanie czegoś w rodzaju alfabetu Morse'a dla różdżki, który pozwoli z nią pracować podobnie jak z wahadełkiem, a jednocześnie doprowadzenie wahadełka do krążenia nad żyłami wodnymi pod gołym niebem - ale po co?

Bardziej praktyczne jest bez wątpienia postępowanie takie jak do tej pory (tradycyjne).

Tak więc krąg radiestezji się zamyka.

Jest ona, jak się dość jednoznacznie okazało, praktycznie zorientowaną drogą - można by niemal powiedzieć: rzemiosłem - umożliwiającą wkroczenie w głąb naszej nieświadomości, gdzie w niezbadany sposób komunikujemy się z wszechświatem, przestrzenią i czasem. Jednocześnie oferuje ona instrumentarium świadomej komunikacji: wahadełko i różdżkę.

Niektórzy umieją wyławić fragmenty informacji z wielkiego jeziora wiedzy także bez tych „protez”. Australijscy aborygeni potrafią na przykład bezpośrednio wyczuwać wodę. Oni po prostu wiedzą, gdzie ona jest, i testy laboratoryjne wykazują, że ich ciała reagują na nią mikroskopijnymi skurczami mięśni. Im różdżka nie jest potrzebna.

Za to jednak najwidoczniej „wydolność mózgu” (wiedza, horyzonty itd.) odgrywa ważną rolę w określeniu indywidualnej wrażliwości. Lepiej rejestrowana, jak się zdaje, jest taka docierająca do nas informacja, która nam coś mówi, niż obca nam i pozbawiona odpowiednika. Ta druga prawdopodobnie w ogóle „przejdzie bokiem”. Zawęża to znacznie możliwości australijskich aborygenów, a poszerza nasze (przynajmniej w dziedzinach, które nas interesują). W tej sytuacji chętnie godzimy się z tym, że potrzebne nam są „protezy”. Szczególnie, jeśli mogą nam one przekazać cenne wiadomości. Zrozumieć je musimy co prawda sami...

Żona wspomnianego pisarza Colina Wilsona prowadziła doświadczenia różdżkarskie w publicznie dostępnym więzieniu w Bodmin, w angielskim hrabstwie Cornwall. Doświadczoną radiestetecę towarzyszyli dwaj początkujący adeptci. W dwóch miejscach w ponurych piwnicach wychylały się także różdżki początkujących. Jak się potem okazało, do tych nieoczekiwanych reakcji dochodziło w celi śmierci, gdzie skazani czekali na egzekucję, i w samej celi straceń. Jakie „specjalne” informacje mogły tam zostać odebrane za pomocą różdżki, to chyba jasne, i także biorący udział w eksperymencie nie mieli w tym względzie wielu wątpliwości.

Jeśli wziąć pod uwagę, że pierwotnym celem doświadczenia było tropienie podziemnych żył wodnych - któ-rych tu co prawda nie było - to stanie się jasne, jak wrażliwa i bogata w niespodzianki jest „relacja trójkąta” informacja-człowiek-różdżka (albo wahadełko) i że tym więcej wiedzy można zaczerpnąć z wszechświata, im więcej jej mamy sami i jesteśmy tego świadomi. „Otwarty duch” jest jeszcze o wiele bardziej pożądanym, niż mówi znane powiedzenie. Wahadełko i różdżka mogą być jego czułkami”.

Kto sądzi, że zabrnęliśmy już zbyt daleko w marzycielstwo i myślenie życzeniowe, pozbawione solidnej podstawy, tego spieszymy zapewnić, że tak nie jest.

„Otwarty duch”, który jest też miły filozofom i wizjonerom, może zostać - co się tyczy radiestezji - radykalnie „zamknięty” środkami materialnymi (przy czym nie mamy na myśli morderstwa ani podobnych rzeczy).

Wystarczy owinać wokół głowy tuż nad uszami cienki pasek aluminium albo przykleić do czoła kwadrat z folii aluminiowej, aby ustał odbiór sygnałów radiestezyjnych. Wykazały to

eksperymenty naukowe. Nawet sam Wilhelm de Boer traci wtedy od razu swoje więcej niż nadludzkie zdolności.

Takie to proste; a niewiele bardziej skomplikowane jest przeciwieństwo: wykorzystanie niezliczonych możliwości radiestezji, a zatem naszych utajonych sił duchowych...

Horoskop, wahadełko i różdżka to oczywiście nie wszystko. Instrumentarium ezoteryczne jest równie zróżnicowane jak nasz duch, który się nim posługuje, i jak ukryta wiedza, którą nam udostępnia. Pójdźmy więc dalej i podejmijmy dialog z wszechświatem, dla którego istnieją już słowniki. Nie są one co prawda zbyt łatwe do czytania, gdyż ich słownictwo jest językiem symboli. Poświęćmy teraz naszą uwagę dwóm takim podstawowym systemom, a mianowicie wróżbom wschodu i zachodu...

Potęga wyroczni

Cesarstwo „synchronistyczne”

Kultura Chin należy do najstarszych; przeżywała ona okresy rozkwitu już w czasach, gdy Europejczycy jeszcze kulili się ze strachu po jaskiniach, kiedy błyskało się i grzmiało.

Jedną z takich epok rozkwitu i cywilizacyjnych osiągnięć wszelkiego rodzaju przypada na epokę brązu, ok. 1700 prz. Chr. Wiąże się ją z rządami dynastii Szang, która władała regionem nad Żółtą Rzeką, Huang-ho, na wyżynie Cinghaj. Za panowania tej dynastii rosły miasta, ulepszano rolnictwo i wprowadzono system magazynowania zboża; istniały różne rzemiosła, a gospodarka kwitła pod sprawną administracją. Możliwe było podjęcie i planowa realizacja takich budowli, jak Wielki Mur Jinhuan (mur ten zbudowało 10 000 robotników w ciągu ok. 12 i pół roku).

Można by sądzić, że tak prężne i postępowe rządy w państwie muszą się opierać na najsolidniejszej podstawie. Faktycznie, istniała taka podstawa, na której opierało się całe życie ludów Szang. Czy można ją określić jako „najsolidniejszą”, to dyskusyjna sprawa, chodziło bowiem o - system wróżb.

Do wróżenia używano kości, a później żółwiowych pancerzy. W dawnych Chinach panujący nie był bowiem po prostu najwyższym kierownikiem nawy państwowej o nieograniczonych uprawnieniach, ale pośrednikiem między najwyższymi niebiosami a ludem, krótko mówiąc, Synem Niebios. Do niego należały najważniejsze decyzje: cesarz mianował urzędników, tworzył prawa albo rozstrzygał o ich stosowaniu, kazał wznosić budynki, mosty, budować drogi i wiele innych obiektów, opiekował się handlem, rolnictwem, rzemiosłem i naukami, wypowiadał wojny i zawierał traktaty pokojowe. We wszystkich przedsięwzięciach wspierała go rada harmonii wszechświata, w której istnienie wierzono z taką powagą, że tylko z trudem możemy to sobie wyobrazić. Środkiem jej przekazu były wróżby.

W czasach świetności dynastii Szang bez wróżenia z żółwiowych pancerzy nie działało się dosłownie nic. Jak obliczyli specjaliści, w samym tylko późnym okresie Szang zużyto przeszło trzy miliony roboczogodzin na zajmowanie się wróżeniem z żółwiowych pancerzy.

Cesarz w żadnej kwestii nie zawierzał swojej własnej rozwadze czy zgola przypadkowi, każdego dnia uczestniczył w rytuale wróżenia, trwającym zawsze wiele godzin. Nie pomijano żadnego problemu, czy chodziło o wyprawę wojenną, przedsięwzięcie budowlane, zarządzenia administracyjne, plony, sukcesy na polowaniu czy inne sprawy, ostatnie słowo należało do wróżbitów. Jeśli cesarz chciał się czegoś dowiedzieć o snach, chorobach, urodzinach i zgonach, wierności swoich konkubin albo nędzy swego ludu, mógł korzystać tylko z jednego źródła informacji. Dla potrzeb cesarskich wróżb używano tyle żółwi, że trzeba je było sprowadzać z najdalszych zakątków Chin. W jednym jedynym dole wykopaliskowym odkryto przeszło sto tysięcy wypolerowanych i pokrytych inskrypcjami pancerzy przeznaczonych do wróżenia, lśniących niczym jadeit. A spreparowanie tylko jednego pancerza zajmowało całe tygodnie.

Trzy i pół tysiąca lat po okresie Szang archeologowie odkryli ogromne zbiory żółwiowych pancerzy, na których niestrudzeni pisarze za każdym razem zapisywali rezultat wróżby, uzyskane odpowiedzi na pytania (albo cały cykl pytań, jeśli chodziło o coś bardziej złożonego, jak np. dialog z przodkiem).

Znaczenie rytuałów w epoce Szang było wielkie. Wokół wróżenia z pancerzy żółwiowych obracało się życie publiczne i prywatne, przenikało ono wszystkie aspekty całej cywilizacji i stanowiło dla każdego człowieka centralne wydarzenie w życiu. Bez wróżby nie można było sobie wyobrazić ani udanych zbiorów, ani dojrzewania owoców czy ukończenia budowli, spłodzenia potomka czy zawarcia transakcji. Życie i śmierć, sukces i klęska wszystkich członków ludu Szang - od kulisa do cesarza, od oseska do starca - były regulowane przez wróżby z pancerzy żółwiowych.

Okolo 1000 albo 1100 r. prz. Chr. dynastia Szang wygasła. Państwo zostało podbite przez pochodzący z zachodu lud Czou, który nie dbał o żółwiowe wróżby. Choć wiedza o nich przetrwała do naszych dni, to od późnego okresu Szang nigdy już nie odzyskały one dominującej roli. Jedynie sinologowie, językoznawcy i etnografowie cenią je wysoko i dziś jeszcze, ponieważ okolo trzech tysięcy znaków wygrawerowanych na pancerzach stanowi pierwotną formę pisma chińskiego.

Nasuwa się pytanie, dlaczego potrzebny był dopiero najazd z zewnątrz, aby upadła kultura całkowicie zorientowana na interpretację pęknięć skorupy żółwiowej?

Zdrowy rozsądek podpowiada przecież każdemu, że tak zorientowana cywilizacja samoistnie musiała utonąć w chaosie.

Ten „rozsądny” pogląd jednak pozostaje w sprzeczności z tym nierozsądnym faktem, że dynastia Szang to jedna z najważniejszych wczesnych cywilizacji. W zdumiewający (dla nas nawet groteskowy) sposób lud ten potrafił zorganizować różnorodną, wysoką kulturę i utrzymać ją znacznie dłużej, niż zdołało przetrwać imperium brytyjskie. Ezoteryczna wizja świata z jej wszystkimi praktycznymi skutkami istniała w czasach dynastii Szang dłużej niż nauka porenasansowa. Właśnie dzięki tak długiemu czasowi uprawiania wróżbiarstwa, wokół którego wszystko się kręciło, wiemy dziś o nim tak wiele. Archiwa pancerzy są prawdziwymi kopalniami wiedzy, porównywalnymi z niewyczerpaną biblioteką, a same pancerze są jak książki albo ich strony. Utrwalono na nich z drobiazgową dokładnością ogromną liczbę szczegółów o procesach politycznych, decyzjach cesarzy, pogodzie i porach roku, urodzinach i zgonach, ślubach i wyprawach wojennych, kontaktach z innymi ludami, naukowych

odkryciach (jeden z napisów informuje nawet szczegółowo o ukazaniu się Nowej na niebie), tradycjach i zwyczajach, sposobie życia i kierowaniu państwem.

Mimo swej obsesji na punkcie wyobrażenia, że związki kosmiczne manifestują się w pancerzach żółwi, ludy Szang żyły w stabilnym państwie, a ich stopa życiowa (zgodnie z nowoczesną terminologią) na owe czasy była gdzie indziej nieosiągalna. Zlekceważenie kultury wróżbiarskiej Szang jako zabobonu prehistorycznego ludu oznaczałoby przyjęcie dziewiętnastowiecznej ignorancji z jej klapkami na oczach.

Trudno przyswajalną dla nas receptą ludów Szang na sukces musiała być zdolność do zachowania względnej niezależności kultury i jednostki przy jednoczesnym pielęgnowaniu bezpośredniego kontaktu z naturą.

Wygląda to na sprzeczność, ale nią nie jest. Przypomnijmy sobie ezoteryczną, całościową wizję świata. Wykracza ona poza sztywny, mechanistyczny porządek Newtona, z którego byliśmy na zachodzie tacy dumni (przed fizyką kwantową, zasadą nieoznaczoności i polem morfogenetycznym), a którego ostatnie skorupy nowa fizyka właśnie wyrzuca na śmietnik historii.

Dylemat, z którego zdajemy sobie coraz jaśniej sprawę, między zasadą przyczynowości, którą nam wbito do głowy, a całościową harmonią, o której mówią stare mądrości (i supernowoczesne teorie naukowe), przyczynia się w istotnej mierze do panującej wszędzie dezorientacji. Zanim wspomniana harmonia wsączy się w nas, Ziemia zdąży jeszcze wykonać niejeden obrót. Czy kiedykolwiek może powstać prawdziwy konsens między cywilizacją technologiczną a harmonizującą wizją mikro- i makrokosmosu, tego nie wie nikt. Prawdopodobnie nie-możliwe będzie zawrócenie z drogi, tak wielkie są podstawowe rozbieżności.

Ludzie z epoki Szang nie mieli takiego problemu. Udało im się osiągnąć równowagę bez precedensu w znanej historii ludzkości: zorganizowanie nienagannie funkcjonującego społeczeństwa, stojącego jedną nogą na gruncie faktów, a drugą na uniwersalnej wizji bytu. Jeśli chcielibyśmy koniecznie użyć nowoczesnego terminu naukowego, to można by zdefiniować kulturę Szang jako opartą na podstawie synchroniczności.

Z pewnością większość ludzi wzdraga się na samą myśl, że wzór powstający z pęknięć skorupy żółwiowej ogrzewanej w ogniu może stanowić pośredniczący łącznik między kosmosem a jednostką. Dla człowieka z czasów dynastii Szang taki punkt widzenia był jedynym normalnym. Byłby on zdziwiony naszą analityczną obsesją, która nam każe gonić za przyczynowością i dzielić naturę na coraz mniejsze cząstki - tylko po to, by stwierdzić, że wszystko z wszystkim się wiąże, a więc de facto jest „Jak w górze, tak na dole”. Nasza nauka dławi się dzisiaj wizją świata, z którą ludy Szang w pełni się identyfikowały prawie cztery tysiące lat temu.

Bezprzyczynowa paralela między wszechświatem a człowiekiem była dla nich okultystycznym „duchem w atomie”, praprzyczyną wszystkiego, najwyższą wytyczną. Pogląd taki wyznaje dziś niejeden badacz i filozof, jeśli nawet - znowu trzeba przytoczyć teorię synchroniczności C. G. Junga - formułuje go przeważnie bardzo teoretycznie.

Fakt, że istniała także praktyka albo z powodzeniem jeszcze istnieje, nadaje sprawie nowy wymiar. My już go znamy w sformułowaniu: wszystko tu „na dole” (człowiek, natura itd.)

jest odbiciem wszechogarniającej rzeczywistości, jakkolwiek by była złożona (jak wiadomo, faktycznie jest taka). Gdyby się udało dotrzymać kroku tej kosmicznej harmonii, wszystko byłoby w porządku. Ludom Szang najwidoczniej się to udawało przez kilka stuleci.

Wydaje się znamieny fakt, że zwycięscy Czou przynieśli ze sobą system wróżbiarski, w którym chińska wizja synchroniczności miała otrzymać swój najwyżej rozwinięty kształt filozoficzny. Czy system ten miał wyższość nad wrózeniem z żółwich pancerzy i pozwolił najeźdźcom zyskać przewagę, tego nie wiemy. Znamy jednak sam system, dzisiaj nawet lepiej niż znano go wówczas.

I-Cing - Księga przemian

W 1929 r. słynny Szwajcar C.G. Jung wypowiedział w czasie wykładu wówczas jeszcze dość zagadkowe zdanie: „Synchroniczność jest przesądem wschodu, a przyczynowość nowoczesnym przesądem zachodu”.

Rok później, wygłaszając mowę ku czci zmarłego właśnie Richarda Wilhelma, słynnego sinologa, badacza myśli chińskiej i tłumacza I-Cing, wypowiedział się on nieco jaśniej. Jung powrócił do swoich ówczesnych słów i rozwinął je: „Nauka I-Cing nie opiera się na zasadzie przyczynowości, ale na zasadzie dotąd bezimiennej, bo nieznannej, którą chciałbym na próbę nazwać «zasadą synchronistyczną»”.

Miało minąć jeszcze pięć lat, zanim pojęcie to ostatecznie się ukształtowało i zyskało bliższą definicję. Jung użył go w wykładzie wygłoszonym w londyńskiej klinice Tavistock, gdzie powiedział: „Tao może być wszystkim. Proponuję inne słowo, możliwie skromne. Chcę to nazwać synchronicznością”.

Zetknięcie się z Wolfgangiem Pauli, austriackim fizykiem, laureatem Nagrody Nobla, pomogło Jungowi w decydujący sposób pójść dalej tą drogą. W 1952 r. psycholog i fizyk opublikowali wspólnie książkę *Naturerklarung und Psyche*, w której Pauli omawiał oddziaływanie archetypów Junga w świetle teorii ruchów planet Keplera, a Jung przedstawiał istotę synchroniczności.

Dopóki było to możliwe dla ich wielkich umysłów, dwaj badacze usiłowali wspólnie sformułować nową zasadę natury w celu ujednoczenia psychologii i fizyki. Zawarta w tym myśl, że w psychologii kryje się komponenta obiektywna, a w fizyce subiektywna, była w istocie rewolucyjna. Przyprawiała ona każdego „poważnego” przyrodnika o skurcze żołądka, które powoli ustępują dopiero w naszych czasach w obliczu równie niezaprzeczalnych co dziwacznych odkryć. Bardzo powoli.

Dla uczonych starożytnych Chin i „autorów” I-Cing takie skurcze byłyby czymś obcym, wręcz niepojętym. Umieliby oni zrozumieć nieortodoksyjne myśli Junga i Pauli’ego i mądrze kiwaliby głowami słysząc o tym, że subiektywność i obiektywność w gruncie rzeczy są jednym i tym samym: różnymi formami wyrazu jednego jedyne go fenomenu.

W 1958 r. świat nauki był jeszcze ciągle daleki od takich wniosków. W tymże roku C.G. Jung pisał z okazji śmierci swego przyjaciela i kolegi Wolfganga Pauli'ego:

Jest bardzo smutne, że Pauli zmarł tak wcześnie, ponieważ był fizykiem, którego współcześni słuchali bardziej niż psychologa takiego jak ja. Istnieje jednak szansa, że przyszłość wykaże większe zrozumienie dla psychologii nieświadomości i jej doniosłych problemów, a synchroniczność, choć jest jeszcze w powijakach, będzie mogła stworzyć podatny grunt dla rozwiązywania problemów stojących przed fizykami atomowymi i psychologami nieświadomości.

Od tej pory minęło trzydzieści lat. Synchroniczność stała się już terminem bezspornie fizycznym a I-Cing księgą otaczaną kultem w kręgach ezoterycznych. Niekiedy spełnia także rolę egzotycznej zabawy towarzyskiej.

Tak więc dochodzimy do praktyki. Pokazuje ona w niemal przerażający sposób, że tą starą księgą wyroczni dosłownie nic nie może zachwiać. Od jej zagadkowej, ponadczasowej wiedzy odbija się wszelki duch czasu, a „racjoniści” łamią sobie na niej zęby. Jej odpowiedzi nie można tłumaczyć ani nadużywanym przypadkiem, ani urojeniem w mózgach zwolenników Księgi przemian.

Sam znam przykład, na którym to dobrze widać. Oto dwóch młodych ludzi chciało utworzyć spółkę. Jeden z nich był jeszcze niezdecydowany i wahał się, niepewny, czy powinien brać na siebie ryzyko przedsiębiorcy. Nadal pamiętał o niemiłych doświadczeniach z przeszłości. Na pewnym przyjęciu w kręgu przyjaciół problem ten stał się tematem rozmowy. Gospodyni zaproponowała, aby zasięgnąć rady I-Cing. Wszyscy byli zachwyceni pomysłem, także ów niezdecydowany nie miał wątpliwości, gotów chętnie przyjąć każdą pomoc w podjęciu decyzji.

Gospodyni rzuciła monety - zamiast klasycznych gałązek krwawnika - a kandydat na współnika skupił się na swoim problemie.

I-Cing odpowiedziała heksagramem 18 NAPRA WIANIE ZNISZCZEŃ (KU). Odczytano kolejne teksty dodane do tego heksagramu.

Słyszając następujące słowa, pytający pobałdł:

Naprawia to, co zniszczył ojciec. Jeśli jest synem - zmaże winę ojca. Niebezpieczeństwo. W końcu szczęście*.

Człowiek ów był najwyraźniej do głębi wstrząśnięty, choć nikt nie wiedział dlaczego. Po chwili wewnętrznej koncentracji wyjaśnił, że w przypadku przedsiębiorstwa, które chce

założyć razem ze swoim przyjacielem, chodzi o firmę rodzinną, którą zrujnował („zniszczył”) jego ojciec.

Zdumiewające, prawda? No dobrze, tutaj można by jeszcze wykorzystać znany przypadek, ale co zrobić z kolejnym przykładem, który zaraz przedstawimy?

Dr Roger S. Jones, docent fizyki eksperymentalnej i autor wielu książek, pracował nad traktatem o ogólnej teorii względności. Praca mu nie szła, był z niej niezadowolony; wydawało mu się, że trzeba jeszcze wspomnieć o kilku sprawach, ale nie umiał się zdecydować, o których. Wiedział tylko, że czegoś brak. Mając taki dylemat, postanowił skierować pytanie do I-Cing.

Wpadł mu heksagram 16 ENTUZJAZM (JU). W angielskiej wersji I-Cing, przetłumaczonej przez Wilhelma Baynesa, dr Jones natknął się na następujący passus, który pomógł mu ruszyć z miejsca w jego pracy:

Nienaruszalność praw natury opiera się na zasadzie ruchu po linii najmniejszego oporu. Prawa te nie są narzucane rzeczom z zewnątrz, ale ucieleśniają harmonię ruchu, która w nich mieszka. Dlatego ciała niebieskie nie zbaczą z swoich orbit, a wszelkie zdarzenia w naturze mają swoją stałą regularność.

Niefizyk być może nie zdoła zrozumieć olśnienia, które faktycznie owładnęło doktorem Jonesem przy tych słowach. Opisuje to w książce *Physics as Metaphor* w taki sposób: „Sam Einstein nie zdołałby lepiej podsumować teorii względności”.

Czy to także może być przypadek?

Zaoszczędźmy sobie weryfikacji tego pytania przez wyliczanie nie kończącego się ciągu podobnych przypadków. One istnieją, a to obala hipotezę przypadkowego zbiegu okoliczności. Faktycznie można w I-Cing odkryć taki skarbicz zaszyfrowanej wiedzy - i to bez uciekania się do wątpliwych sztuczek interpretacyjnych czy myślowej ekwilibrystyki - że ostatecznie także czynniki psychologiczne nie wchodzą w rachubę jako wyjaśnienie.

Zbyt wiele kryją w sobie skromne trzy linie trigramu. Księga przemian jest kopalnią wiedzy o kosmologii, teologii i filozofii. I nie tylko.

Matematyk Rudiger Hauff jest zafascynowany abstrakcyjnym formalizmem I-Cing, który przypomina teorię matematyczną. W dualizmie odgrywającym kluczową rolę w tej księdze wyroczeni dostrzega on antycypację odkryć, z którymi musi się zmagać nowoczesna fizyka (hasło: dualizm falowo-korpuskularny), a które zmuszają do godzenia ze sobą kategorii sprzecznych.

W I-Cing połączenie diametralnych przeciwstawności jest naturalnym wyrazem wszelkiego bytu. Zdaniem Rudigera Hauffa jest to czytelne wezwanie do myślenia dwubiegunowego.

Martin Schonberger idzie jeszcze dalej. Dla niego już sama struktura I-Cing zawiera wyraźną analogię do podstawy wszelkiego życia, kodu genetycznego zapisanego w DNA (kwasie dezoksyrybonukleinowym).

W swojej książce *Verborgener Schlüssel zum Leben - Weltformel I-CING im genetischen Code* wysuwa on śmiałą tezę, że Księga przemian, licząca sobie przeszło 5000 lat, wyprzedziła to jedno z najbardziej sensacyjnych odkryć późnego XX wieku. I to nie w formie zawołanych aluzji, ale całkiem wprost.

Jego dowód jest absolutnie niepodważalny.

Jak wiadomo, badacze Crick, Watson i Wilkins otrzymali w 1962 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za odkrycie spiralsnie skręconej w formie drabiny cząsteczki DNA, która przypomina trochę kręte schody. DNA - którego długość w przeciętnym człowieku wynosi 10 miliardów kilometrów, a więc równa się mniej więcej średnicy Układu Słonecznego - składa się z niezliczonych jednostek, tak zwanych nukleotydów. Jeden nukleotyd składa się z kolei z cząsteczki cukru (dezoksyrybozy), cząsteczki kwasu fosforowego i jednej z czterech zasad (adeniny, tyminy, guaniny, cytozyny: A, T, G, C). Taki jest plan życia, zawarty w każdej żyjącej komórce.

A teraz co do I-Cing, której korzenie tkwią w najdalszej przeszłości. Zestawienie „starej” i „nowej” wiedzy ujawnia następujące niezwykle zbieżności:

I Cing

BIOLOGIA

Podstawą I-Cing są pierwotne bieguny jin i jang.

Podstawą kodu genetycznego jest podwójna skręcona nić DNA (plus - minus).

Podstawą I-Cing są cztery linie.

Cztery litery połączone w pary (A-T, C-G) opisują podwójną nić DNA.

Trzy spośród czterech linii I-Cing składają się na jeden trigram.

Trzy spośród czterech liter DNA tworzą jedno słowo kodu syntezy białek.

W I-Cing istnieją 64 heksagramy.

Istnieją 64 tryplety zasad DNA, programujące budowę aminokwasów.

Istnieją heksagramy I-Cing PRZED SPEŁNIENIEM oraz PO SPEŁNIENIU.

Istnieją początkowe i końcowe tryplety ograniczające kod DNA.

Można by odkryć takie zaskakujące zbieżności także z innymi dziedzinami przyrodznawstwa, przede wszystkim fizyką. Czy będziemy rozpatrywać paradoksy fizyki kwantowej, czy fenomen nieoznaczoności, wszędzie wyczuwamy ducha I-Cing. Jej symbolicznie zakodowane, ale przy tym zdumiewająco zrozumiałe odpowiedzi wydają się streszczać odkrycia, które dopiero co wypłyły ogromne komputery. Mimo woli zadajemy sobie pytanie, czy może księga ta kryje również i takie odkrycia, których jeszcze nie dokonano. Jest to daremna spekulacja, gdyż jeśli nawet tak jest, to i tak nie moglibyśmy ich zrozumieć. Dla Martina Schonbergera I-Cing stanowi ni mniej ni więcej tylko „wzór świata określający porządek rzeczywistości”, co wyraża już tytuł jego książki, zakończonej, co znamienne, zdaniem: „Księga przemian jest księgą przyszłości” .

Bez popadania w nie kończące się spekulacje, dla których doprawdy nie brakuje punktów zaczepienia, trzeba sobie także zadać pytanie, co w ogóle umożliwia tak konkretną symbolikę, jaka się wyraża w 64 znakach obrazkowych, w samych obrazach, w znaczeniu poszczególnych linii i w dodanych sądach.

Większość komentarzy i analiz poświęconych I-Cing uważa za decydujące czynniki psychologiczne. One sprawiają, takie jest ogólne zdanie, że w trakcie dłuższego stosowania Księgi nawiązujemy z nią bliski stosunek. Coraz lepiej znamy poszczególne linie, nabieramy rutyny, a interpretacja staje się coraz łatwiejsza; nawet niektóre znaczenia, które przedtem trzeba było z trudem wywalczyć, teraz zjawiają się natychmiast i są niezwykle jasne. Colin Wilson określa Księgę przemian jako pomocnika rozszerzającego naszą świadomość i uświadamiającego nam to, z czego dotąd nie zdawaliśmy sobie sprawy; jako drogę pozwalającą wyszukać w chaosie wewnętrznym (już istniejących) odpowiedzi, decyzji, wniosków odpowiedź właściwą. Jednym słowem: psychiatra w formie książki.

Sprawa jednak nie może być tak całkiem prosta (o ile w ogóle zgodzimy się na użycie przymiotnika „prosty” w odniesieniu do procesów nieświadomych). Ogromna w gruncie rzeczy prostota struktury i użycia I-Cing przy niezaprzeczalnej ścisłości ostatecznych odpowiedzi, wznoszą Księgę przemian ponad zakres działania klasycznej psychologii. Księga ta funkcjonuje, powie matematyk, w sposób binarny jak komputer (a więc na zasadzie rozstrzygnięć TAK - NIE), z mądrością filozofa i nieuchwytnie jak prawa natury. Nawet najzagorzalsi „racjonalizatorzy I-Cing” przyznają, choć nieraz czynią to tylko mimochodem, że Księga przemian ma zagadkowy i osobisty „charakter”, przenikającą wszystko wewnętrzną konsystencję nie poddającą się zdolności pojmowania.

W 481 r. prz. Chr. Konfucjusz powiedział, mając 70 lat: „Gdyby mi było dane żyć jeszcze wiele lat, poświęciłbym 50 z nich studiom nad I-Cing, a potem, być może, nie popełniłbym wielkiego błędu”.

Trzeba zaznaczyć, że Konfucjusz już poświęcił większą część swojego życia studiom nad I-Cing właśnie.

Czyż nie ma żadnego punktu zaczepienia, pozwalającego znaleźć właściwy trop ku zrozumieniu istoty tej zagadkowej księgi? Zdaniem jej twórców, użytkowników na przestrzeni tysięcy lat i interpretatorów - ludzi Azji – I-Cing bada przepływ energii iin i jang i wskazuje poszukującemu właściwy kierunek jego przyszłego działania. Nie istnieje przy tym kurs wyznaczony na stałe. W ciągłym zwrotnym oddziaływaniu sił pozytywnych i negatywnych wszystko się zmienia z chwili na chwilę. „Wszystko płynie”, co rozumieli nie tylko antyczni Grecy (ściśle biorąc filozof Heraklit ok. 500 r. prz. Chr.).

Chińczycy formułowali to tak: „Nikt nie może wejść dwa razy do tej samej rzeki, gdyż za drugim razem to nie będzie ta sama rzeka - ani ten sam człowiek”.

Dokładnie zgodnie z tym funkcjonuje również I-Cing. Należy sześć razy rzucić trzema monetami (gałązek krwawnika z reguły nie mamy pod ręką, ten sposób wróżenia jest zresztą raczej historycznej niż funkcjonalnej natury).

Uzyskujemy tą metodą sześć linii, które się rysuje zaczynając od dołu ku górze (od ziemi do nieba), składających się na pełny heksagram.

Jest to jeden z 64 znaków I-Cing.

Każdy z heksagramów ma swoją nazwę, tradycyjny opis i również tradycyjną szczegółową interpretację. Obejmuje ona sam heksagram, należący doń tekst z komentarzem, objaśnienie znaczenia poszczególnych linii i wskazówki do podejmowania decyzji.

Mimo że wielka liczba istniejących przekładów I-Cing wykazuje minimalne różnice, to zasadnicza struktura Księgi jest jednolita. Za najważniejszy przekład I-Cing uważa się powszechnie dzieło Richarda Wilhelma z objaśnieniami, jednak osoba zainteresowana może bez wątpienia korzystać z każdego poważnego przekładu I-Cing, który jej będzie odpowiadał.

Nie możemy w tym miejscu dokładnie przedstawiać techniki konstruowania trigramów ani tym bardziej wyszczególniać wszystkich 64 heksagramów z ich znaczeniami. Te informacje, jak wspomniano, można znaleźć w odpowiednich publikacjach o najwyższej jakości.

Dla nas jest i pozostanie interesująca istota I-Cing. Wskazówkę co do tego kryje niewątpliwie fenomen „przemiany” znaków.

Rzut trzema monetami może dać w wyniku, jak łatwo się przekonać, cztery różne kombinacje, które można przedstawić czterema różnymi liniami: linia ciągła, linia przerywana oraz linia ciągła i przerywana z dodatkowym oznaczeniem. Zależnie od układu monet

(reszka - reszka - orzeł;

reszka - orzeł - orzeł;

orzeł - orzeł - orzeł;

reszka - reszka - reszka)

dochodzi do „przemiany” albo nie. Linie powstałe z trzech orłów albo trzech reszek przemieniają się - a tym samym, rzecz jasna, cały znak. Najwyraźniej dochodzi tu do głosu związek taoizmu z filozofią I-Cing, wszak taoizm bazuje na zasadniczym prawie przemiany, na nieprzerwanym kształtowaniu na nowo przeciwstawnych sobie, a zarazem uzupełniających się biegunów jin i jang. Skojarzenia z najbardziej abstrakcyjnymi odkryciami nowej fizyki mogą wcale nie być przypadkowe (do takiego wniosku coraz bardziej zbliżają się także przyrodoznawcy).

Bezsporny jest w każdym razie fakt, że rada, jakiej udziela I-Cing, nie jest tylko czczym gadaniem o zagadkowej wieloznaczności, czego dowodzą tysiąclecia sukcesów w praktyce.

Chiny były pierwszym na świecie państwem posiadającym aparat administracyjny, urzędników i infrastrukturę. Podstawą życia państwowego była I-Cing. Czy to w sprawach urzędowych, czy codziennych, zasięgano jej rady. Na każdym kroku spotykało się wróżbitów, rozkładających na małych stolikach swoje gałązki krwawnika. W żadnym domu nie mogło zabraknąć Księgi przemian, czy był to pałac, czy uboga chata z bambusa.

W XX w. na wschodzie I-Cing była nadal w częstym użyciu. Czang Kaj-szek wystawiał ją jako podstawę najwyższych cnót Chińczyków. Mao Tse-tung zasięgał regularnie jej rady w latach planowania i walki, które zakończyły się Wielkim Marszem, a w czasie drugiej wojny światowej niejedna decyzja militarna zapadała pod wpływem heksagramu. Księga przemian uchodziła za najważniejsze dzieło z zakresu taktyki i była lekturą obowiązkową dla oficerów sztabowych w azjatyckich siłach zbrojnych. Do dziś rozpowszechniony jest pogląd, że marynarka cesarskiej Japonii odniosłaby zwycięstwo na Pacyfiku, gdyby tak wielu oficerów japońskich w swoim zaślepieniu nie zignorowało wyroczni.

W naszych dniach I-Cing stała się znana na zachodzie. Ludzie interesu posługują się nią z równą oczywistością, co prognozami kursów giełdowych. Firmy handlujące oprogramowaniem oferują programy do badania systemów numerologicznych na bazie I-Cing, a Stany Zjednoczone Ameryki (jak mogłoby być inaczej?) stały się prekursorem konstrukcji „komputera I-Cing”, który wyręcza nas w rzucaniu monetami czy rozkładaniu gałązek krwawnika i jest stosowany przede wszystkim przez maklerów giełdowych.

Napisana w 1962 r. i uwieńczona wieloma nagrodami powieść o światach alternatywnych (przedstawiająca zwycięstwo państw Osi w drugiej wojnie światowej) autorstwa również słynnego co upartego pisarza science fiction Philipa K(indreda) Dicka (1928 - 1982) Das Orakel vom Berge jest nawet faktycznie „dziełem” I-Cing, jak twierdził autor. Po uważnym przeczytaniu powieści trudno mu zaprzeczyć.

Czas pokaże, czy konstrukcje high-tech powstające w związku z I-Cing to ślepy zaułek, czy też nadadzą tej prastarej księdze mądrości nowy, fascynujący wymiar. W ostatecznym rezultacie istotne będzie zapewne, co z tym wszystkim zrobi duch człowieka.

Bowiem również w przypadku I-Cing to do niego znowu należy ostatnie słowo, choć stosowane metody daleko wykraczają poza psychologię klasyczną.

Przy całej technice (rzucanie monet, rysowanie linii jak również późniejsza analiza) nie wolno zapominać o tym, co przede wszystkim trzeba zrobić w czasie pytania wyroczni.

Podobnie jak w przypadku wahadełka i tutaj pytający musi najpierw się dostroić. Musi się skoncentrować, otworzyć swego ducha (albo go „opróżnić”, co bardziej by odpowiadało wschodniemu sposobowi myślenia). W ten sposób przygotowuje się on do zadania pytania. Jeśli jest już gotów, to musi określić swój problem albo radę, jakiej potrzebuje, a wreszcie precyzyjnie sformułować pytanie. Jest znamienne, że najlepsze efekty dają takie pytania, na które - jak przy użyciu wahadełka czy różdżki - można po prostu odpowiedzieć TAK albo NIE (mimo że I-Cing mówi o wiele więcej niż tylko TAK albo NIE).

Samo pytanie powinno być skierowane do I-Cing osobiście, jak do istoty żywej. Pytający musi się na nim całkowicie skoncentrować w chwili rzutu monetami (albo czymś innym). Nie ma znaczenia, czy pytanie zostanie wyartykułowane jedynie w duchu, wypowiedziane półgłosem czy na głos.

Najbardziej pomocne odpowiedzi otrzymujemy wtedy, gdy pytanie przedstawia opisowo cały stan rzeczy i uwzględnia także czynnik czasowy. Znaczy to, że jeśli np. chcemy wiedzieć, czy znajdziemy wymarzonego partnera, to możemy liczyć jedynie na uzyskanie niejasnej odpowiedzi I-Cing. Jeśli jednak spytamy, jak my sami mamy się zachować, aby znaleźć takiego partnera, to odpowiedź będzie jasna. Czy zgodna z naszymi pragnieniami, to oczywiście inna sprawa. Jednak nawet wtedy to nic straconego: nowy rzut - nowe szczęście.

W tym świadomie lekkim sformułowaniu zawiera się jedna z podstawowych cech I-Cing: przemiana. Jeśli pierwsza odpowiedź wprawiła nas w przygnębienie, to zarazem nas nieco zmieniła, przemieniła. Tak należy rozumieć ewentualną sytuację, kiedy na jedno i to samo pytanie otrzymujemy w odpowiedzi różne heksagramy. Poprzednie linie się „zestarzały” i stwarzają „nowe” linie. Także w słynnym Tai-Chi, które jest czymś znacznie więcej niż walką z cieniem, treningiem sprawności dla taoistycznych managerów czy kung fu w nowej szacie, zawarta jest filozofia mówiąca, że siła się „starzeje”, skoro osiągnie swój punkt kulminacyjny, i następnie przemienia się w swoje przeciwieństwo. Mówiąc nowocześnie, I-Cing nie jest „deterministyczna”, ale „nieoznaczona”, a tym samym pozostaje w harmonijnej zgodności z dziwacznymi ideami fizyki teoretycznej, którymi będziemy się jeszcze bliżej zajmować w części IV Wiedza ezoteryczna w zwierciadle nauki. Mimo swej dziwaczności - tyle powiemy na razie - przedstawiają one nagą rzeczywistość (cokolwiek zechcemy przez nią rozumieć).

Dla praktyki I-Cing wynika z tego wszystkiego śmiała hipoteza. Zajmiemy się nią z konieczną powściągliwością, ale i zdecydowaniem, wszak dołącza ona do wielkiej ezoterycznej wizji świata kolejny element, który bez śladu zrasta się z już istniejącymi.

Przywykliśmy już w pewnym stopniu do tezy o wzajemnym oddziaływaniu między duchem człowieka a owym (jeszcze) niewytłumaczalnym jeziorem „wiedzy kosmicznej”.

W pewien sposób możemy uzyskiwać „łączność” z tą wiedzą kosmiczną (nazywaną przez Hindusów także Tat twam asi). Istnieją różne możliwości dostępu do niej. Mieliśmy z niektórymi do czynienia już przy omawianiu astrologii i radiestezji. Systemy wyroczni stanowią - jak się zdaje - jeszcze jedną taką możliwość. Również one wymagają kreatywności w interpretacji i ćwiczenia w praktycznym zastosowaniu. Ich interpretacja jednak nie przebiega na tej samej płaszczyźnie co w przypadku horoskopu albo wychyleń wahadełka. Różnica polega na „pracy wstępnej” wykonanej przez niezliczone pokolenia na przestrzeni kilku tysięcy lat.

Wiele „dojrzałych” systemów wróżbiarskich dostarcza już czegoś w rodzaju surowej interpretacji, którą oczywiście trzeba jeszcze zrozumieć (co nie zawsze jest łatwe). Chińska I-Cing zajmuje bez wątpienia ważne miejsce w tej dziedzinie, czy też może być ewentualnie traktowana jako coś w rodzaju „zasadniczego wzorca”.

Lama Angarika Govinda pisze w swojej przedmowie do nowego przekładu I-Cing, wykonanego przez renomowanego znawcę spraw kultury Azji i taoistę Johna Blofelda, między innymi:

Nie jest ona dziełem jednego jedyne autora, ale mądrością gromadzoną przez wiele pokoleń i sprawdzoną w praktyce na przestrzeni przeszło trzech tysięcy lat [...] Odkryli oni, że przemiana nie dokonuje się przypadkowo czy zależnie od kaprysu, ale według praw, zgodnie z którymi dana rzecz albo wszelki stan bytu może się przemienić tylko w coś takiego, co już tkwi w jego naturze [...] W wyższym wymiarze przestrzeni wszystkie rzeczy albo zdarzenia istnieją - mimo że ukryte przed naszymi zmysłami - równocześnie [...] niewidzialne zarodki przyszłych zdarzeń i zjawisk, które jeszcze nie nabrały uchwytne kształtu. I-Cing twierdzi, że mistrzami swego losu są ci, którzy rozpoznają te „zarodki” i znają prawa przemiany. Ale jak w ogóle można rozpoznać takie zarodki, które jeszcze nie są uchwytne dla zmysłów ani dostępne dla rozumu i występują jedynie w formie potencjalnej? - Tu potrzebna jest ta zdolność świadomości człowieka, którą człowiek czasów nowożytnych zaniedbał, o ile nie poszła w całkowite zapomnienie: tajemnicza siła w głębi naszej świadomości, nasza intuicja, którą starożytni wywoływali za pomocą transu albo medytacji czy zaklinali rytuałem religijnym i uświęconymi wyroczniami, gdzie świadomość indywidualna schodziła na plan dalszy na korzyść obszerniejszej, uniwersalnej świadomości [...] Możemy zatem uświadomić sobie zarodki, które określają naszą przyszłość, objawiane w formie symbolicznej, jako archetypy o głębokim znaczeniu [...] I-Cing łączy intuicję z doświadczeniem, skłaniając do zastosowania obu elementów za pomocą metody odpowiedniej do danej sytuacji [...] I-Cing ukazuje nam, jak możemy działać w zgodności z siłami losu i rzeczywistością, gdyż prawa przemiany są w tej księdze sformułowane w sposób równie genialny, co prosty. I-Cing wystarcza tylko jedna linia ciągła i jedna przerywana do przedstawienia polaryzacji wszelkich problemów, a ponadto sześć możliwych pozycji tych linii do określenia ich stosunków i wzajemnych powiązań w czasie i przestrzeni [...] W ten sposób heksagramy Księgi przemian składają się na system symboli, którym można wyrazić nieskończoną liczbę kombinacji wyrażających przemiany i tendencje, praktycznie wyczerpujących wszystkie sytuacje życia ludzkiego. Jak symbole matematyki, tak również symbole I-Cing mają tę wyższość, że są niezależne od języka, a tym samym mają walor uniwersalny [...]

Chyba nie można lepiej ująć istoty I-Cing, niż zrobił to lama Angarika Govinda.

W przedmowie do dzieła Martina Schonbergera *Verborgener Schliissel zum Leben* ten wybitny interpretator religii tybetańsko-lamaistycznej i słynny myśliciel wschodu pisze nawet jeszcze wyraźniej:

W tym poznaniu uniwersalności głębi świadomości ludzkiej światopogląd I-Cing znajduje punkty styczności ze światopoglądem buddyzmu Mahiiyiina, którego główna nauka sprowadza się do postulowanej Alayavijnana, uniwersalnej głębi świadomości (albo „skarbcza”), zamkniętej dla osoby żyjącej tylko na powierzchni i dlatego nieświadomej, ale objawianej temu, kto się zwraca do wewnątrz. W niej są zawarte, jak mówi I-Cing, formy i dziedziny wszystkich tworów nieba i ziemi. Przy tym założeniu staje się zrozumiałe, że świadomość ludzka jest w stanie odzwierciedlać prawa wszechświata, a także po przetworzeniu myślowym odtwarzać i formułować to, co pojęła albo dostrzegła intuicyjnie w stanie medytatywnej refleksji. Tak więc zdobycze najnowszych badań naukowych w dziedzinie astronomii, fizyki atomowej czy biologii częstokroć były wyprzedzane przez jasnowidzów w

zamierzchłej przeszłości i wyrażane symbolicznym językiem ich czasu [...] I-Cing jest zatem czymś w rodzaju „psychicznego komputera”, to znaczy kombinacją czynników subiektywnych i obiektywnych, danych psychicznych i matematycznych, przy czym prawidłowa ocena pierwszych jest warunkiem funkcjonowania drugich.

Naukowiec Jose Arguelles wyraził w swoim opublikowanym w 1969 r. artykule *Main Currents in Modern Thought* mniej więcej to samo co filozof Govinda tylko innymi słowami:

I-Cing funkcjonuje jak komputer, a jej funkcjonowanie zależy od zgodnego z prawdą zaprogramowania. Prawda programowania (czyli słuszność odpowiednia do faktów) zależy od tego, jak osoba zasięgająca rady Księgi przemian reaguje na podane w niej odpowiedzi. Innymi słowy, I-Cing funkcjonuje tylko o tyle, o ile pytający akceptuje ustalone w niej reguły i prawa i stosuje je do swojej własnej sytuacji.

Możemy więc powrócić do sformułowania, które pojawiło się na początku rozdziału o potędze wyroczni: systemy wróżbiarskie są to słowniki do dialogu z wszechświatem. Trzeba jednakże umieć je odczytać.

Jeśli będziemy zgłębiać I-Cing w jej fascynującym całokształcie, to nauczymy się rozumieć zaszyfowaną, a przy tym zdumiewająco precyzyjną symbolikę - a tym samym uzyskiwać bezpośrednie połączenie z wiedzą kosmiczną, które jest w niej w niezbadany sposób zawarte. Nie potrzebujemy robić tego ostatniego kroku, bo istnieją - jak wspomnieliśmy - liczne dzieła omawiające tę problematykę równie szczegółowo, co poważnie.

Zamiast tego pójdziemy dalej. Również zachodnia kultura posiada system wróżbiarski, nie ustępujący sławą I-Cing. Po dogłębnym zastanowieniu można dostrzec paralele do Księgi przemian. Lyall Watson, biolog morza, znawca zachowań zwierząt i autor bestsellerów, w swoim dziele *Supernature* wskazuje na te podobieństwa, określając co prawda zachodni system jako nie oszlifowany i toporny odpowiednik eleganckiej i subtelnej I-Cing. Oba systemy posługują się alfabetem symboli, wchodzą w interakcję z podświadomością człowieka i udzielają dość ściśle określonej odpowiedzi (dla osób, które są z nimi obznajomione). Lyall Watson porównuje I-Cing do czulej sondy podświadomości; natomiast wspomniany system zachodni z jego ponurą symboliką i akcentowaniem przemocy kojarzy mu się raczej z maczugą niż sondą.

Czy taką generalną ocenę można przyjąć bez sprzeciwu? Rzecz jasna, I-Cing można całkowicie słusznie uznać za udzielającego rozumnych rad przyjacielea o nieskończonej dobroci, mądrości i subtelności. Czy jednak przez to ów drugi system automatycznie musi się stać brutalnym przeciwieństwem? Tak na pewno nie jest. Skierujmy zatem nasz reflektor na ów system wróżbiarski, któremu w naszych szerokościach geograficznych od setek lat zaufało wiele pokoleń, a który dziś jest uznawany na -całym świecie. Niemało ludzi uważa go za zachodnie odzwierciedlenie tej samej zasady, która dochodzi do głosu w I-Cing (znowu dualizm), a więc za drugi podstawowy system wróżbiarski w ogóle. Wielka rzesza zaś zwolenników traktuje ów system jako pełnego zrozumienia doradcę, którego marsowa postać

wynika z jego historycznych korzeni, a nie z zawartej w nim zasady przemocy. Wulfing von Rohr i Gayan S. Winter opracowali nawet nową, „łagodną” postać dla starej wyroczni.

Niech jednak teraz przemówi ona sama za siebie, nazwana - wreszcie! - po imieniu.

Tarot - karty losu

Co mógłby oznaczać następujący obraz:

Człowiek wisi na szubienicy, przywiązany za nogę do jej poprzecznej belki. Druga noga jest zgięta, a jej łydka krzyżuje się pod kątem prostym z udem nogi wyprostowanej. Przypomina to postawę tancerza wykonującego pełen gracji piruet, tylko że ta scena nie przedstawia tańca, ale akt okrucieństwa. Mimo to na twarzy wiszącego maluje się spokój, nie widać na niej bólu. Zwróconą w dół głowę otacza złocista poświata.

Czy te sprzeczne elementy można połączyć w jakąś sensowną całość? Pytanie to zadaje Colin Wilson w swoim sztandarowym dziele *The Decult*. Uznał tam spekulacje nad dwojaką czy też wieloraką naturą karty „Wisielec” za odpowiednie wprowadzenie do tarota, którego powstanie, co dziwne, nie jest tematem żadnej legendy (w przeciwieństwie do niemal wszystkich innych systemów wróżb i mądrości).

W celu lepszego przedstawienia problematyki Wilson wylicza obiegowe interpretacje „Wisielca”:

T. S. Eliot w *Ziemi jałowej* dostrzega paralelę między tym motywem tarota a powieszonym bóstwem z *The golden Bough* Frazera. Wilson się z tym nie zgadza, ponieważ bóstw z mitologii nie wieszano głową na dół.

Nie trafia mu do przekonania również teoria Basila Rakoczego przedstawiona w jego książce *Fortune Telling*, jakoby „Wisielec” miał być nowicjuszem w określonym stadium inicjacji.

Podobnie Wilson odrzuca interpretację Roberta Gravesa, że „Wisielec” reprezentuje siódmą literę 22-literowego celtyckiego pisma ogamicznego, a mianowicie „D” (*Duir*), co oznacza drzwi. Ponieważ w wielu językach europejskich słowo „dąb” oznacza również „drzwi”, Robert Graves sądzi, że analogia ta ma znaczenie. Colin Wilson jest przeciwnego zdania. Wprawdzie w niektórych wersjach szubienica całkiem przypomina drzwi, ale nie wyjaśniona pozostaje pozycja przedstawionej osoby.

Wyczerpującej odpowiedzi nie zawierają również ani wiersze Uspeńskiego o „Wisielcu” zamieszczone w jego dziele *A New Model of the Universe*, ani zawile wywody okultysty Eliphasa Leviego (*Alphonse-Louis Constant* 1810 - 1875). Levi podzielił swoje ważne dzieło *Dogma and Ritual of High Magic* na 22 rozdziały odpowiednio do 22 kart atutowych w tarocie. W rozdziale dwunastym („Wisielec” jest dwunastą kartą) Levi opisuje ten obraz jako symbol Prometeusza, którego stopy szybują w niebie, gdy głowa tylko dotyka ziemi – „swobodny ofiarny adept, zagrożony śmiercią głosiciel objawień”.

Jednak ani nogi „Wisielca” nie znajdują się w niebiańskich regionach, ani przy najlepszej woli nie można powiedzieć, że głową dotyka ziemi.

Choć nie wolno odmawiać Eliphasowi Leviemu istotnej roli w obrębie wiedzy ezoterycznej - jest on jednym z najsłynniejszych i najbardziej uczonych okultystów Francji, a spod jego pióra wyszło przeszło 200 dzieł - to i on nie był wolny od przeinaczania faktów, które mogłyby zburzyć jego teorie. Twierdził na przykład, jakoby o tarocie pisali opat Trithemius, humanista z XVI w., i Knorr von Rosenroth, siedemnastowieczny kabalista, co nie odpowiada prawdzie.

Mimo to Levi miał niejedno do powiedzenia na temat tarota, wywarł także wpływ na jego kształt. Pisma Leviego o symbolice kart tarota są dziś w obiegu równie jak zaprojektowany przezeń motyw czternastej karty większych arkanów - Powściągliwość. Inspirował on licznych okultystów do projektowania własnych kart, jak np. McGregora Mathersa, współtwórcę Złotego Świtu, czy nowoczesną projektantkę tarota Mirandę Payne.

Nauki Leviego - przede wszystkim jego trzy fundamentalne dogmaty - zapładniały całe pokolenia ezoteryków. Nawet takie sławy jak Madame Bławatska albo Aleister Crowley nie stroiły się w cudze piórka i przyznawały Leviemu autorstwo różnych teorii, rozwiniętych przez nich samych. Crowley - radykalny jak zawsze - twierdził nawet, że jest reinkarnacją Leviego i jego okultystycznym spadkobiercą, urodził się wszak w roku śmierci Leviego.

Bezsporne jest w każdym razie to, że ważnym wkładem w dzieło okultyzmu było odkrycie przez Leviego korelacji między dwudziestoma dwiema kartami większych arkanów a kabalistycznym Drzewem Życia.

Choć tarotowi daleko do spirytualnej nadbudowy, jaką ma I-Cing, to nawet zaprzysięgli sceptycy nie śmiały go lekceważyć jako „staromodnej gry w karty” (jeśli nawet jest on historycznym protoplastą naszych dzisiejszych kart do gry).

Już w przepowiedniach Ezechiela i w Objawieniu można odkryć symbole i liczby tarota. Są one jedną z podstaw ustnej nauki magii. Pierwszą jasną pisemną wzmiankę zawierają zapiski z lat 1377-1379.

Od stuleci tarot dziwnie oddziałuje na ludzi. Osoby, które stykają się z nim po raz pierwszy albo kupują talię kart „ot tak sobie”, odczuwają niepokój i zmieszanie przy pierwszym rozłożeniu kart przed sobą. Różnorodność, dynamika i agresywność obrazów i symboli, które widzi ktoś nie przygotowany, bywają bulwersujące. Już tylko ten efekt rodzi bez wątpienia wiele zastrzeżeń wobec tej gry, która jest czymś więcej niż tylko grą.

Psycholog i pisarz z Monachium, Jurgen vom Scheidt, stosuje między innymi także tarota w swojej praktyce terapeutycznej, która oprócz klasycznej psychologii obejmuje także praktyki ezoteryczne. Są one jego zdaniem równie przydatnymi środkami uzyskania dostępu do nieświadomości jak hipnoza albo stworzona około 1900 r. przez Zygmunta Freuda metoda wolnych skojarzeń, która miała zapoczątkować nową erę.

Amerykański pisarz science fiction Piers Anthony (ur. 1934) był tak zafascynowany tarotem, że poświęcił tej grze cały cykl powieściowy, którego akcja rozgrywa się na planecie Tarot.

Narodziła się tam nowa religia, której szczególną cechą była możliwość udowodnienia istnienia „boga Tarota” (taki też tytuł nosi tom pierwszy). Na planecie Tarot, jak się zdaje, manifestuje się coś boskiego, co wywołały symbole kart tarota. Brat Paweł, młody mnich z Ziemi, musi stawić czoło wizjom i zjawom, aby zgłębić istotę tego misterium. Posługuje się on fikcyjnym „Tarotem Animacji”, składającym się z trzydziestu „atutów”. Przypominają one z grubsza 22 atuty konwencjonalnego tarota wraz z pięcioma różnie interpretowanymi kolorami (dodatkowy kolor to Aura).

Piers Anthony włączył tematykę trylogii o tarocie także do swojego obszernego cyklu Sfery. Píše on na ten temat w aneksie do I tomu powieści Tarot: „Zgodnie z wizją przyszłości brata Pawła ta gra w karty (Tarot Animacji) zostanie, być może, wydana zarówno w wersji klasycznej opracowanej przez waldensów, jak w wersji kosmicznej (tzw. Cluster), przy zastosowaniu w pierwszym przypadku obrazów średniowiecznych, a w drugim obrazów stworzonych przez miriady kultur gromady galaktyk A.D.4500...”

Oczywiście, czas pokaże, czy dwa i pół tysiąca lat po nas tarot faktycznie zacznie zwycięski pochód przez galaktyczne królestwo. Ta dygresja w dziedzinę literatury fantastycznej miała na celu zilustrowanie, do jakiego stopnia tarot zakorzenił się i tam także, gdzie nikt by się tego nie spodziewał.

Obecnie istnieje prawie 2000 książek na temat tarota i około 300 różnych rozkładów, nie licząc instrukcji na taśmie magnetofonowej i wideo. Jest to góra, którą nawet zdeklarowani specjaliści mogą zdobyć tylko z trudem i po wielu latach drobiazgowej pracy.

Nie musimy podejmować tego wyzwania. Kto chce zacząć praktykować tarota, ten może szybko zdobyć wstępne rozeznanie, a następnie wybrać taki system i rozkład, który mu osobiście odpowiada. Łatwo jest znaleźć poradę i informację; powiemy tylko, w charakterze niewiążącej wskazówki, że pochodząca z 1910 r. talia Rider-Waite'a należy do najbardziej popularnych. Niech każdy jednak wybiera według własnego gustu.

Ten aspekt zachowuje decydujące znaczenie dla wszystkich praktyk ezoterycznych. Jedynie wtedy, gdy nasz duch, czy raczej nasza nieświadomość doskonale harmonizuje z metodą albo środkiem pomocniczym - czy to będzie wahadełko, tarot czy cokolwiek innego - otworzą się furtki postrzegania pozazmysłowego (ezoterycznego).

Jeśli więc tarot nam odpowiada, to podsuwa nam w odpowiedzi na nasze pytania obrazy (symbole), na które reagujemy intuicyjnie. Jest to w fazie początkowej bez wątpienia proces psychologiczny na płaszczyźnie archetypów Junga, który w trudnym do ścisłego ustalenia momencie zyskuje komponentę paranormalną.

Rodzi się rezonans z wiedzą kosmiczną, zaczyna się dialog z wszechświatem. Należy zakładać, że w zasadniczych zarysach jest to ten sam proces, co choćby w przypadku horoskopu, posługiwania się I-Cing itd.: „Częstotliwość rezonansowa” pytania wchodzi w interakcję z rezonansem odpowiedzi. Co prawda takie zaczerpnięte z terminologii fizycznej sformułowania mogą tylko bardzo nieprecyzyjnie opisać prawdziwą naturę fenome-nów ezoterycznych, o ile w ogóle to jest możliwe. Choć zasady rządzące tymi procesami możemy w najlepszym razie przeczuwać, to jednak wiemy, jak można je uruchomić.

Istnieją najróżniejsze metody zadawania pytań, zależnie od indywidualnej postawy. Tu także nie musimy wchodzić w szczegóły. Decydujące znaczenie przysługuje znowu wewnętrznej koncentracji na danym problemie czy pytaniu. Drugorzędne znaczenie ma sposób, w jaki rozkłada się karty. Istnieje wiele różnych wariantów. Jedynie ogólnie znane metody dają liczbę możliwości znacznie przekraczającą współczynnik prawdopodobieństwa wygranej na loterii (który się plasuje w przedziale od 1 do 10 i więcej milionów).

A są jeszcze systemy ukryte.

Jednym z nich była przez długi czas pilnie strzeżona tajemnica towarzystwa okultystycznego, do którego należeli między innymi poeta W.B. Yeats, aktorka Florence Farr, Constance Wilde, żona Oscara Wilde'a, i inne znane osobistości. Kiedy nastąpiło nowe stulecie, jeden z wtajemniczonych przerwał milczenie i zdradził metodę, przedstawiając ją w publikacji o nakładzie limitowanym do 500 egzemplarzy. Dziś system „Wewnętrznego Zakonu” jest powszechnie znany.

Ile takich tajemnic jeszcze tkwi w ukryciu, trudno się nawet domyślać. Dla nas nie ma to jednak wielkiego znaczenia. W gruncie rzeczy każda dłuższa praca z tarotem stwarza odrębną, całkiem osobistą i przykrojoną do danego użytkownika metodę, jego własną.

Wielu zwolenników tarota mówi, że po pewnym czasie pojawia się intuicyjne zrozumienie konfiguracji kart i znaczenia obrazów. Nierzadko symbole zyskują znaczenie odbiegające od wersji „oficjalnej” - ale jasne, natychmiast zrozumiałe i słuszne dla danej osoby. Ważne, że istnieje połączenie z „kosmicznym oceanem informacji”.

Istnieje pokusa pomniejszania roli aspektu paranormalnego, a podkreślenia aspektu psychologicznego.

W końcu tarot wymaga więcej własnej pracy interpretacyjnej niż choćby niesamowicie konkretna I-Cing.

Mimo to szczególnie we Francji w XVIII i XIX w. uzyskano z pomocą tarota zdumiewające wróżby, dla których nie wystarczają jako pełne wyjaśnienie ani czynniki psychologiczne, ani zbyt często przytaczany przypadek.

Na przykład Napoleon Bonaparte regularnie zasięgał porady niejakiej madame Lenormand. Ta rezolutna dama, która zaprojektowała własny rozkład kart do tarota, nazwany jej nazwiskiem, miała zwyczaj ciskać kartami w twarz cesarzowi wszystkich Francuzów, kiedy ten nie chciał dać wiary przepowiedniom klęsk militarnych. Historia przekonała go, że nie miał racji.

Takie przykłady nie należą do rzadkości, ale nie wyrażają one trafnie istoty tarota. Jak już w przypadku I-Cing, z pewnością nie mamy tu do czynienia z instrumentem prekognicji, ale z ręką delikatnego przewodnika, która wskazuje możliwości i odkrywa alternatywy. Niewykluczone, że cesarzowi Francuzów wspomniane katastrofy militarne nie były z góry pisane; aby im zapobiec, musiałby co prawda uczynić coś więcej niż tylko uważać je za niemożliwe. Paralela między tarotem a I-Cing staje się tu oczywista: symbole wskazują na „potencjał” i żądają własnej decyzji, skoro już wiemy, co oznaczają. Dlatego też liczne książki o tarocie nie zalecają zadawania pytań biernych (np. czy wygramy na loterii itp.).

Dostęp do tych symboli jest co prawda trudniejszy niż w przypadku I-Cing, która o sobie samej mówi więcej niż tarot. Colin Wilson proponuje prosty, najgłębiej ludzki, pierwszy krok.

Trzeba wybrać odpowiadający nam rozkład, a następnie całkiem po prostu pozwolić kolorowym obrazkom, by na nas podziały. Oglądajmy je tak, jak dziecko ogląda książkę z ilustracjami, bądźmy zainteresowani, wolni od uprzedzeń i otwarci.

Ponieważ motywy pochodzą ze średniowiecza i przed-stawia się je świetlistymi barwami podstawowymi, typowymi dla tego okresu, korzystne może być wczucie się w ducha epoki. Jeśli nie jest nam ona jeszcze bliska, łatwo możemy to zmienić. Istnieją niezliczone, bogato ilustrowane dzieła, które mogą nam być pomocne przy wypełnianiu naszego ducha kalejdoskopem takich wrażeń jak: obrazy katedr gotyckich, kolorowe witraże, rzemieślnicy i chłopci, kuglarze i szlachta i wiele innych motywów. W ten sposób moglibyśmy nawiązać pierwszy kontakt z tarotem. Jeśli już takie wprowadzenie nam nie odpowiada, to możliwe, że zajmowanie się tarotem nie jest dla nas właściwe.

Elementy tarota noszą w sobie zarówno ducha zachodu, jak i średniowiecza (np. Gringonneur stworzył w 1392 r. dla szalonego króla Karola VI talię kart tarota, z której do dziś zachowało się siedemnaście kart w Bibliotheque Nationale w Paryżu), choć początki tej gry sięgają o wiele dalej w przeszłość. Dwadzieścia dwa motywy większych arkanów są podobno odwzorowaniem dwudziestu dwu obrazów zdobiących przeciwległe ściany świątyni w Memfis, w dwóch szeregach po jedenaście. Przeczuwając zniszczenie świątyni, kapłani mieli zachować te obrazy dla potomności w formie kart do gry. To interesująca teza, przy tym całkowicie zgodna z naturą ludzką. Żyłka do gry jest faktycznie o wiele pewniejszą gwarancją zachowania treści przekazu niż zapisanie go w formie przesłań, dogmatów czy testamentów.

Niektórzy przypisują rozwój tarota zajmującym się wróżbami Cyganom, jednak De Givry w swojej *Anthologie de l'Occultisme* (1931) podaje, że wzmianki o tarocie datują się w Niemczech już od 1329 r., a więc na sto lat przed przybyciem Cyganów do Europy.

W gruncie rzeczy decydujące znaczenie ma nie pochodzenie historyczne, ale okoliczność, że symbole o dużym ładunku treści ezoterycznych uosabiają duchowo-psychiczną drogę rozwoju, której przebieg będzie różny, zależnie od preferowanej tradycji.

W książce *Tarot der Eingeweihten* chemik Joachim Winckelmann wyróżnia drogi: „wolnomularską”, „spirytystyczną”, „alchemiczną” i „kabalistyczną”. Nie są to, rzecz jasna, jeszcze wszystkie.

Aby móc wysondować własną sympatię albo niechęć do tarota, trzeba się z nim bliżej zapoznać. Talia składa się z 78 kart w dwóch grupach: mniejsze arkana to karty do gry takie, jakie są dziś w użyciu (jednak oprócz liczb mają także obrazki); arkana większe to 22 karty o typowo średniowiecznych motywach (Czarownik, Śmierć, Wisielec, Pustelnik, Hierofant itd.). Pojęcie arkanów wywodzi się od łacińskiego słowa *arcanum*, oznaczającego tajemnicę.

Pięćdziesiąt sześć kart arkanów mniejszych odzwierciedla fizycznie doświadczany świat, a 22 atuty arkanów większych - głęboko tkwiące (archetypiczne) siły, które kierują losem. Można też powiedzieć, że w arkanach większych ukryte są idee, na których opiera się świat materialny. Arkana mniejsze dzielą się na cztery kolory po 14 kart, symbolizujące poszczególne kroki ku coraz większemu poznaniu. Przez arkana mniejsze doświadczamy

życia materialnego i rozumiemy coraz lepiej istniejące związki. W końcu objawia się nam równość myśli i rzeczywistości materialnej. Cztery kolory arkanów mniejszych reprezentują cztery żywioły: ogień (pałki), wodę (Kielichy), powietrze (Miecze) i ziemię (Monety) - a tym samym cztery różne drogi do zdobycia władzy nad bytem.

Jeśli odłożymy na bok Jokera (zero = Głupiec), arkana większe dadzą się podzielić na trzy grupy po siedem atutów. Siedem to liczba magiczna, ale również mająca znaczenie historyczne i matematyczne. Liczba trzy albo trójpodział z kolei odgrywa ważną rolę w wielu kulturach, religiach i naukach (Trójca św.; teza, antyteza i synteza w filozofii; świadomość, podświadomość i nadświadomość w psychologii; ciało, dusza i rozum w metafizyce; ładunek, impuls i spin w fizyce teoretycznej itd.).

Pierwsza grupa siedmiu arkanów większych odpowiada sferze świadomości oraz rzeczywistości zewnętrznej (materialnej).

Druga grupa siedmiu kart wiąże się z podświadomością. Tu zaczynamy podróż do rzeczywistości wewnętrznej (duchowej).

Trzecia i ostatnia grupa siedmiu atutów opisuje świat uniwersalny (spirytualny), dziedzinę nadświadomości albo superświadomości, jak się dziś niekiedy powiada. Prowadzi nas ona poza granice indywiduum, ku zrozumieniu i zjednoczeniu się z naturą i prawami kosmosu.

Jest jasne, że na temat każdej karty z osobna można wiele powiedzieć i wiele powiedziano. Zostawmy to jednak odnośnej literaturze.

Nam w dalszym ciągu chodzi o istotę tarota i o to, jak można do niej dotrzeć. Wiemy już, jak można wytworzyć w sobie więź z tarotem, wiemy też, że - jak w przypadku I-Cing - o wszystkim decyduje koncentracja na właściwym sformułowaniu pytania. Tasowanie kart pomaga połączyć spokój wewnętrzny z konieczną koncentracją na treści pytania.

Po przetasowaniu i rozłożeniu kart zgodnie z danym systemem przychodzi kolej na pierwszą nieświadomą decyzję: wyciągamy jedną z zakrytych, potasowanych kart. Może to być karta, do której pytający czuje „pociąg”, albo pierwsza z dwukrotnie przełożonej talii. Tu i w każdej dalszej fazie postępowania obowiązuje zasada, że najlepsza jest ta metoda, w której intuicyjnie czujemy się najmocniej. Można naturalnie opracować własne metody. W każdym razie tarot podsuwa nam nie tylko obrazki, odzwierciedlające sytuację wewnętrzną i zewnętrzną, ale także rady. Jeśli interpretacja absolutnie mija się z postawionym pytaniem, to powinniśmy się zastanowić, czy w naszym wnętrzu nie kryje się inne, ważniejsze pytanie.

Oprócz tego każdy człowiek ma swoje osobiste karty. Można się dowiedzieć, które to są, przeprowadzając obliczenia (odsylam ponownie do odpowiedniej literatury) albo też drogą bezpośrednią przez medytację. Niektórym ludziom udało się wyłowić swoje karty życia po prostu metodą spokojnego i kontemplacyjnego oglądania jednego motywu po drugim z talii tarota. I wreszcie jest taka specyficzna, indywidualna sekwencja kart, w której można odnaleźć własne życie. Jakkolwiek jest w konkretnym przypadku - tarot pozwala odkryć ducha, który „wewnętrzne siły świata w jedno sprzęga”* (wyśledzenie go było najwyższym

celem Fausta w utworze Goethego; celem, za którego osiągnięcie bohater był gotów zapłacić każdą cenę).

Jak w przypadku I-Cing, zasadnicza idea należąca do istoty tarota zakłada, że nasz duch jest bliższy przypadkowi i więcej o nim wie, niż nagi rozum byłby gotów przyznać. Całkiem możliwy jest związek między gałkami krwawnika i monetami służącymi do wróżenia z I-Cing, a różdżkami i monetami, których używali średniowieczni wróżbici tarota. Być może jest to kolejna poszlaka na korzyść ezoterycznej (dziś także właściwej fizyce) tezy, że wszystko ze wszystkim jest spokrewnione...?

Jeśli konsekwentnie przemyśleć wszystko, co do tej pory powiedzieliśmy, to nasuwa się uwaga, iż de facto żaden specjalny system wróżbiarski nie jest potrzebny. Sznurowadło powinno w gruncie rzeczy oddawać równie cenne usługi jak wahadełko, a komiksy nie gorsze niż talia tarota, gdyby tylko mieć „odpowiedniego ducha”.

W zasadzie może to być prawda. Amerykanin Ted Serios posługuje się wprawdzie przyrządem zwanym „Gismo” (prostą rurą z tektury), aby mocą ducha rzutować na nie naświetlony film obrazy; jednak naturalnie ten „parapsychologiczny katalizator” nie jest mu tak naprawdę potrzebny. Równie dobrze mógłby z niego zrezygnować albo stosować co innego (na przykład rozwiniętą rolkę papieru toaletowego). Tylko że bez jego „Gismo” nic się nie uda, ponieważ on jest o tym przekonany.

Ted Serios ma „odpowiedniego ducha” właśnie tylko wtedy, gdy trzyma swój rulon z tektury. Dokładnie tę funkcję spełnia prawdopodobnie większość pomocy ezoteryczno-paranormalno-okultystycznych. Nasz duch potrzebuje oparcia, a im bardziej konkretne, wiarygodne i wyrafinowane ono będzie, tym lepiej.

Techniki ezoteryczne niewątpliwie dają takie oparcie. Różnią się tylko sposobem mobilizowania utajonych sił ludzkiego ducha.

Tarot czyni to nawet dwójako: jego symbole stanowią „alfabet”, którym podświadomość może „literować” informacje; równocześnie stymulują one podświadomość zawartą w nich siłą.

Astrofizycy, lingwiści i matematycy pracują równie zaciekle, jak bez widocznych sukcesów nad opracowaniem tzw. Lincos (Lingua Cosmis), czyli symbolicznego języka do nawiązania kontaktu z istotami pozaziemskimi. Problem w tym, że język taki musi być jednocześnie swoim własnym metajęzykiem, to znaczy, musi sam siebie objaśniać, aby jego przesłanie było zrozumiałe. Jest to wprost niewykonalne przedsięwzięcie. Dla I-Cing i tarota trudność ta wydaje się nie istnieć. Być może ona istnieje jedynie w skrajnie racjonalnych mózgach. Komunikacja z kosmitami będzie prawdopodobnie możliwa tylko na płaszczyźnie chłodnej logiki; nasza podświadomość natomiast jest znacznie łatwiej dostępna.

Dla osoby, która myśli w kategoriach przyczynowości, trudna do przyjęcia jest ewentualność, że przypadkowo wyciągnięte z potasowanej talii karty mogłyby coś naprawdę znaczyć. Tymczasem jednak przyczynowość ukradkiem zeszła ze sceny świata (tej nawet, na której są wystawiane tylko „sztuki naukowe”).

Pozostaje jedynie -jak w fizyce kwantowej – „obserwator” (pytający) i wszechświat w żywym zwrotnym oddziaływaniu. W jaki sposób zadaje on swoje pytanie, to w końcu jego sprawa.

Azjata myśli całościowo, zapomina o sobie i akceptuje przeciwieństwa jako należące do siebie pary. Człowiek zachodu traktuje samego siebie jak pępek wszechświata; ma personalistyczną wizję kosmosu, reprezentuje punkt widzenia albo-albo i wierzy w osobowego Boga.

Kogo może jeszcze dziwić, że symbolika tarota jest bardziej egocentryczna i okrutna niż symbolika I-Cing? A jednocześnie przy bliższym przyjrzeniu się te różnice ulegają złagodzeniu. Co prawda I-Cing, jak się zdaje, udziela głównie wytwornych i mądrych rad, jak człowiek szlachetny może panować nad swoim losem i żyć w harmonii z prawami kosmosu, gdy tymczasem tarot jest pełen nie upiększonej bezwzględności; jednak to tylko pozory. Fatalne obrazy tarota (Wisielec, Śmierć, Diabeł, Wieża uderzona piorunem...) nie mają na celu obwieszczania nieuchronnych katastrof, ale wprawianie ducha w stan wzburzenia i odrywanie go od spraw codziennych.

Za to inne motywy (Pustelnik, Hierofant...) kierują nasz wzrok wprost ku niebu. Dwa punkty wyjścia, jeden cel: zwrócenie się ku sprawom istotnym.

Ponadto nie wolno przeoczyć faktu, że karty tarota przemawiają do naszego wnętrza za pomocą średniowiecznych ideogramów (stąd to wspomniane na wstępie zalecenie, by zająć się owym światem duchowym odległym od nas o setki lat w celu wprawienia się w nastrój odpowiedni do tarota).

Jeśli tak będziemy rozumieć tarota - przytoczmy raz jeszcze Colina Wilsona - starając się pojąć wewnętrzną rzeczywistość jego symboli, to możemy go traktować jako bezpośredni zachodni odpowiednik I-Cing... Tak więc krąg się zamknął.

I-Cing i tarot to prawdopodobnie dwa różne, ale nawzajem się uzupełniające podstawowe filary, na których opiera się cały gmach wyroczni (jeśli nawet wiele z nich jest starszych). Oba systemy omówiliśmy szczegółowo. Choć naturalnie wcale nie wszystko zostało powiedziane i mogą paść usprawiedliwione zarzuty, to udało nam się zapewne przybliżyć do ich zrozumienia. Tak więc pozostaje nam jeszcze tylko kończący ten rozdział przegląd wyroczni świata...

Wyrocznie świata

Kiedy cofanie się granicy lasów przed ok. 14 milionami lat sprawiło, że osiadły głównie na terenach północnoindyjskiego masywu górskiego Sziwalik *Ramapithecus* stanął przed dylematem, czy nadal być małpą, czy raczej jednak zostać człowiekiem (tak to przynajmniej widzą antropologowie), na scenie świata pojawił się nowy element.

Był to duch ze swoimi odwiecznymi prawami, jak trafnie to ujął Heinrich Heine.

Oczywiście, nie nastąpiło to z dnia na dzień, ale przez etapy pośrednie: *Australopithecus afarensis*, *Homo habilis*, *Homo erectus*, człowiek z Cro-Magnon aż po *Homo sapiens* (jeśli jesteśmy skłonni wierzyć w teorię ewolucji, nie zważając na parę brakujących ogniw).

W jaki sposób faktycznie narodził się duch - przynajmniej w niektórych mózgach - pozostanie jeszcze długo sprawą dyskusyjną. Podobnie sporna jest kwestia, czym on właściwie jest (kilkakrotnie już ją poruszaliśmy). Jeśli podążyc tropem ewolucji, to da się skleić całkowicie materialną obudowę dla naszego aparatu do myślenia i przyjąć wersję, że wszystko to jest identyczne z naszym duchem. Nawet dręczące nas wszystkich mniej lub bardziej intensywnie pytanie, jaki jest sens tego wszystkiego, można by sprowadzić do funkcji komórek nerwowych, biochemicznych związków przenoszących informacje, pobudzonych synaps itd. Materializm XIX w. święci, jak się zdaje, radosne zmartwychwstanie. Ale to tylko pozory, bo obraz ducha jako niewolnika materii jest równie płaski jak utożsamienie programu telewizyjnego z telewizorem. Bez programu nie uda się wydobyć z lampy kineskopowej nic poza bezładnym szumem wiązki promieni katodowych, owym migotaniem, przy którym tak często mają zwyczaj drzemać późni telewidzowie.

W którymś punkcie trwającego miliony lat procesu ucłowieczenia mogło dojść do syntezy materii (naszego ciała) z czymś w rodzaju „programu kosmicznego”, który tworzy podstawową strukturę wszechświata. Kto płonie żądzą dowiedzenia się czegoś więcej na ten temat, ten może od razu sięgnąć do czwartej części książki. Na razie poradzimy sobie z pomocą tego wyobrażenia zrastania się człowieka i kosmosu. Co ciekawe, także Hoimar von Ditfurth (1921-1989), naukowiec i autor bestsellerów, w swojej książce Nie tylko z tego świata jesteśmy wyznaje pogląd, że ewolucja kosmiczna odzwierciedla się w naszych mózgach. Nie dość na tym, jego zdaniem ewolucja jest procesem przyrostu zdolności poznania, która poszerza nasze horyzonty, a zarazem stale przemienia transcendencję w rzeczywistość subiektywną. Na sześć tygodni przed śmiercią, 1 XI 1989, Hoimar von Ditfurth powiedział w rozmowie z Dieterem Zillingenem, emitowanej przez kanał Bayern 3: „Duch nie narodził się w naszych głowach. Duch (kosmiczny) był zawsze...”

Jeśli chcemy przyjąć tę śmiałą koncepcję, będą nam potrzebne poszlaki przemawiające na jej korzyść. Jedną z takich poszlak są paranormalne (ezoteryczne) zdolności naszego ducha; inną - występowanie talentów bez uzasadnienia w ewolucjonistycznej zasadzie selekcji (więcej o takich talentach dowiemy się w następnym rozdziale).

Krótko mówiąc: w naszych głowach wykształciło się coś w rodzaju „ludzkiego odbiornika”, który może jednocześnie myśleć, liczyć, czuć i tęsknić za czymś wyższym. Wiedza ezoteryczna wydaje się być od pradawnych czasów owym przełącznikiem, który nastawia naszego ducha na odbiór, wyszukuje właściwe „pasmo częstotliwości” i przetwarza napływające informacje. Tu zapewne należy szukać korzeni wróżbiarstwa.

Musiało ono zawsze być czymś więcej niż tylko kłamstwem i oszustwem, mimo że stanowiło pożywkę dla szarlatanów i przesądnych.

Wiedzieli o tym już władcy antyczni. Herodot pisze, że król Lidii Krezus znany z ogromnych bogactw, był tak zaniepokojony ekspansją perską, że postanowił poradzić się wyroczni. Sceptycznie nastawiony, jak wszyscy możni i bogaci, chciał najpierw się przekonać, której wyroczni można zaufać, i rozesłał „weryfikatorów wyroczni”.

Ich zadanie polegało na tym, by setnego dnia po wyjeździe z Sardes zadać każdej wyroczni proste pytanie: „Co Krezus robi dzisiaj?”

Odpowiedź Pytii delfickiej brzmiała: „Dochodzi do moich nozdrzy woń żółwia o mocnej skorupie, warzącego się razem z mięsem jagnięcia w spiżowym naczyniu. Spiż otacza to ze wszystkich stron, od góry jak i od dołu”.

Dziwaczna ta odpowiedź była zgodna z prawdą, gdyż praktyczny Krezus na oznaczony dzień wymyślił sobie coś takiego, czego nie sposób było odgadnąć: gotowanie żółwia i jagnięcia razem w spiżowym kotle pod spiżową pokrywką.

Plutarch uważał za godne uwagi, że Pytia odpowiadała na niektóre pytania, zanim je jeszcze zadano. Podobne przypadki można odkryć na przestrzeni tysięcy lat, niestety przysypane całą górą iluzji, błagi, czarnoksiężskich sztuczek i świadomie zagadkowych wieloznaczności. Mimo to wyrocznie przetrwały wszelkie prześladowania, potępienia, kwestionowanie i odrzucanie. W Starym Testamencie znajdują się liczne złowróźbne zdania (np. w Księdze Powtórzonego Prawa, 13,6: „Prorok lub wyjaśniacz snów musi umrzeć”). Także w cesarstwie rzymskim, na przykład w czasach rządów Konstantyna (ok. 285-337 po Chr.) wróżbitom stale groziła kara śmierci.

Natura ludzka jest jednak silniejsza niż wszelkie zakazy i nawet egzekucje nie przerażają, czego dowodzi także historia wyroczni.

Chaldejski lud Akadów, który żył ok. 4000 - 2000 prz. Chr. w Międzyrzeczu (Mezopotamii) i prawdopodobnie położył podwaliny pod astrologię, równie intensywnie korzystał z wyrafinowanej „wyroczni strzał”. Oprócz tego Chaldejczycy wróżyli z kształtu obłoków, błyskawic, trzęsień ziemi, ognia i słupów dymu, tryskania wody, szumu w wierzchołkach drzew, głosów zwierząt, snów i osobistych wizji. Nie przypadkiem w późno antycznych tekstach określenie „Chaldejczyk” oznacza zarazem astrologa.

Wszystkie te tradycje ezoteryczne zapożyczyły inne ludy, dostosowując je do swojego trybu życia.

Wraz ze wzrostem potęgi państwa perskiego wiedza ta osiągnęła szczytowy rozkwit. Słowo „mag” jest pochodzenia perskiego i pierwotnie było nazwą jednego z plemion medyjskich stanowiącego kastę kapłańską, której władza duchowna była dziedziczna. Także prastara indyjska sztuka przepowiadania przyszłości była pierwotnie sztuką wyroczni. W Wedach, najstarszych tekstach indyjskiej literatury (ok. 1200 - 600 prz. Chr.), aż się roi od wróżb. Dalszy rozwój zodiaku wymyślonego przez Chaldejczyków i Persów miał być dziełem indyjskich brahmanów, podobnie jak tak zwane „magiczne lustra”, wyprzedzające kryształową kulę i nowoczesne techniki hipnozy.

W starożytnym Egipcie przepowiednie świętego byka Apisa zyskały równą sławę jak grecka wyrocznia delficka. Mimo że antyczni Hellenowie znani są ze swej kryształowo jasnej filozofii i logiki myśli i orientalna mistyka była im nie w smak, wróżbiarstwo było częścią ich religii państwowej. Rady słynnych wyroczni zasięgano we wszystkich sprawach publicznych i prywatnych; mogły z nich korzystać także zaprzyjaźnione ludy. Obok słynnej wyroczni Apollina w Delfach udzielającej odpowiedzi słownych, inny typ reprezentowała wyrocznia Zeusa w Dodonie; jej kapłani wróżyli z szumu świętych dębów lub dźwięku brązowych mis poruszanych wiatrem. Nie jest ona dziś tak znana jak delficka, jednak swego czasu miała wielkie znaczenie. W imperium rzymskim sztuka wróżenia - o ile akurat nie była prześladowana - stała całkowicie na usługach państwa. Urzędowi augurowie i strażnicy sybilińskich ksiąg losu przechowywanych w świątyni Jowisza na Kapitolu działali jedynie z

polecenia władz państwowych. Rozpowszechnionym zwyczajem było w Rzymie rzucanie losów. Słynne proroctwa sybilińskie miały swoje źródło w wyroczni kumańskiej, gdzie odpowiedzi udzielano na piśmie. Mniej zbiurokratyzowana była wyrocznia tyburyjska, której kapłani w ekstazie słuchali głosu bogów.

Wróżby mniej wyrefinowanych kulturalnie (można by też powiedzieć, zdegenerowanych) Germanów były odpowiednio radykalne: wrócono z wnętrzości składanych w ofierze zwierząt i ludzi. Tłumaczono jednak również głosy zwierząt i wrócono z rozsypanych runów.

W średniowieczu w Europie przez bardzo długi czas panował istny szal zaklęć czarnoksiężskich, w osobiwej harmonii łączący pogańską wiarę w demony i polowania na czarownice. Rządy sprawowały dobre i złe duchy, a najbardziej światli ludzie epoki oddawali się wszelkim znanym praktykom magicznym.

W XVIII w. wróżbiarstwo podobno niemal znikło z powierzchni ziemi. Ten wniosek niektórych historiografów może okazać się przedczesny, gdyż liczba okultystycznych publikacji w czasach oświecenia raczej rosła zamiast maleć. „Element nieczoteryczny” epoki stanowiła natomiast być może idąca z tym w parze skłonność do racjonalizowania wszystkiego (z tego okresu pochodzą pierwsze „naukowe” objaśnienia wampirów i innych strzyg).

Prawdziwy regres wróżbiarstwa można stwierdzić właściwie tylko w XIX w., a i wówczas jedynie w kręgu wyższych sfer i sytego mieszczaństwa. Prosty lud i wieśniacy również w tym stuleciu byli zaprzysięgłymi zwolennikami swoich tradycyjnych wróżb. Co prawda chodziło głównie o wróżby miłosne albo małżeńskie.

W wieku XX, w którym pierwszy człowiek stanął na Księżycu, ogień gwiazd jest posłuszny naszej woli, a substancja genetyczna człowieka daje się kształtować jak glina, liczba wróżbiarzy jest większa niż we wszystkich kulturach antycznych razem wziętych.

W użyciu są stare i nowe wróżby. Wciąż jeszcze ludzie wróżą z ręki i żyłek na liściach roślin, tłumaczą zjawiska przyrody i formy „przypadkowe”, patrzą w lustro albo kryształowe kule, interpretują sny albo imiona, wróżą z kart albo z drgnień mięśni. Wachlarz możliwości jest szeroki. Pojawiły się formy nowoczesne, jak np. wróżby motorowe.

Szczególny przypadek stanowi kontynent afrykański. Afryka jest klasyczną krainą wróżbiarstwa. Ludzie tamtejsi w pewnych regionach wciąż jeszcze do pewnego stopnia żyją w zgodzie z naturą, a większość tradycji afrykańskich opiera się nadal na religiach animistycznych, przypisujących duszę całej przyrodzie.

Wróżby były w Afryce od niepamiętnych czasów uznawane - i wykorzystywane - jako najbardziej przydatny instrument do walki z przestępczością. Rozróżnia się ściśle wróżby intuicyjne - kiedy np. szaman węchem wykrywa złoczyńcę - i dedukcyjne. Te ostatnie posługują się precyzyjną techniką w celu wykrycia zbrodni. Obie formy korzystają w jakiś sposób ze zdolności ducha ludzkiego, jednak ta druga czyni to w bardziej zrytualizowanej postaci, wskutek czego w większym stopniu należy do naszych obecnych rozważań.

Na Czarnym Lądzie wróży się z gałązek, drewna, noży, garnków, trucizn, korzeni, zwierząt, tarki, kart i setek innych przedmiotów. Jakkolwiek niektóre wróżby mogą się wydawać dziwaczne, każda z nich ma znaczenie dla jakiegoś ludu - i „funkcjonuje” na jego użytek.

Tak np. sudańskie plemię Azande dzień w dzień nawet dla rozstrzygnięcia najbardziej banalnych kwestii praktykuje wróżby z trucizn, które polegają całkiem po prostu na sprawdzaniu, czy dana osoba przeżyje dawkę substancji podobnej do strychniny, czy nie. Choć pod wpływem białych powoli przechodzą oni do wykorzystywania w charakterze sprawdzianu kur zamiast ludzi, nie zmienia to ich bezwarunkowej wiary w skuteczność benge (tak nazywa się ta wróżba z trucizn). Nie mając do dyspozycji dostatku trucizny i kur, mężczyzna w tej społeczności prawie się nie liczy. Jednak również ubogi Azande nie ma powodu do rozpacz, bo może skorzystać z taniej wersji, wróżby z termitów, nazywanej dakpa. I nie tylko...

W tym miejscu wydaje się wskazane przerwać wyliczanie. Ten wróżbiarski róg obfitości to oczywiście tylko wierzchołek góry lodowej. Opisaniami wróżb można by wypełnić (i już wypełniono) setki stron.

Nie potrzebujemy tego robić. Zarysowana różnorodność miała tylko pokazać, do jakiego stopnia duch człowieka jest związany z wróżbiarstwem, a raczej, na ile jest ono jego naturą. Faktycznie każda rozrywka ma korzenie we wróżbiarstwie, jest próbą zgłębienia w formie zabawy planów opatrności. Szachy były pierwotnie rytualną grą wróżbiarską, wszystkie gry w karty wywodzą się z archaicznych prawzorów, a wszelkiego rodzaju mierzenie siły nie jest niczym innym niż odmianą sądów bożych.

Tak więc znowu podjęliśmy nić przewodnią. I-Cing i tarot miały jak najprecyzyjniej naświetlić pierwotnego, przenikającego wszystko „ducha wyroczni” ze wschodniego i zachodniego punktu widzenia, niczym dwie strony tego samego medalu. Taki dualizm dobrze pasuje do naszych rozważań. Naturalnie, powyższe przedstawienie tego tematu nie rości sobie pretensji do kompletności czy wręcz „absolutnej prawdy”. Pominęliśmy z pewnością wiele szczegółów, inne zostały przedstawione w nieortodoksyjny sposób, a jeszcze inne poddano śmiałej interpretacji. Na to wszystko zgoda.

Z pewnością naszą argumentację dałoby się przedstawić także na podstawie kabalistyki, numerologii, magii runów czy geomancji (która z dużą dozą pewności była patronką tarota). Byłby to jednak być może nie tak ścisły wywód, jak w przypadku tych dwóch fascynujących systemów wróżbiarskich z ich złożoną strukturą, synchronistycznym charakterem i wypracowanym językiem symboli. Są one, jak się zdaje, podstawowymi filarami i najjaśniej manifestuje się w nich „zasada”. Ani wcześniejsze, ani współczesne, ani późniejsze systemy wyroczni nie są tak obszerne, dogłębne, precyzyjne i konkretne - jeśli postępować z nimi umiejętnie.

Tego postępowania można się nauczyć. Można je także traktować jako rozbudzanie i trening utajonych zdolności duchowych o różnorodnym charakterze. Techniki ezoteryczne mogą najwidoczniej wydobyć na światło dzienne ukryty w nas potencjał. Każda metoda to inny aspekt, zawsze w zgodzie ze specyfiką danego człowieka, który ją wybrał, tym się zapewne kierując. Astrologia czy radiestezja, I-Cing czy tarot, każdy system jest środkiem pomocniczym do nadania kształtu „sile w nas”. Przez nią możemy zyskać harmonię ze wszystkim, świadomie stosować tę harmonię i wzrastać duchowo. Już te siły, które dotąd ujawniliśmy, można bez wątplenia rozwijać, ćwiczyć i utrzymywać.

Tak więc rodzi się pytanie o wymiar tych naszych ukrytych zdolności - i o skutki ich rozbudzenia. Stajemy przy tym nieuchronnie przed problematyką dobra i zła, która jest bardziej złudna, niż można by sądzić w pierwszym momencie.

Zasadniczo praktyki i techniki ezoteryczne oraz proces ich przyswajania związane są z procesem samooczyszczenia i dojrzenia (będziemy o tym mówić bardziej szczegółowo). Jak to jednak wygląda w przypadku „naturalnych talentów” i „czarnych magów”? Od razu z góry zaznaczymy, że trzeba zachować ostrożność w klasyfikowaniu, jeśli nawet w tym czy innym przypadku ocena wydaje się uprawniona. (Takie przypadki omówimy na wstępie.)

Generalnie w dziedzinie ezoteryki powinno się raczej wyrzec myślenia tradycyjnymi kategoriami, gdyż niezależnie od tego, jakie stwarzają pozory „prawdziwi ezoterycy” i jak są oceniani przez swoich współczesnych i potomność, ich prawdziwej istoty prawie nie sposób w pełni zgłębić. Odnosi się to w równej mierze do czarowników, magów i boskich królów dawnych czasów, jak do słynnych osobistości okultystycznych z bliskiej przeszłości i teraźniejszości.

Magowie... okultyści... nadludzie

W 1934 r. aresztowano pewną kobietę pod zarzutem usiłowania zabójstwa swojego męża. Po całej serii dziwnych wypadków małżonek niemal nie padł ofiarą ostatniego z nich - linka hamulcowa w jego motocyklu nagle pękła i o włos uniknął śmierci. Wtedy zdecydował się złożyć doniesienie przeciwko żonie.

Przesłuchanie przeprowadzone przez policyjnego psychiatrę doktora Ludwiga Mayera wydobyło na światło dzienne nie tylko fakt, że młoda kobieta podjęła wcześniej pięć prób morderstwa, ale także coś innego. Coś niesamowitego... Zamachy te - i nie tylko te - dokonały się wbrew woli obwinionej. Wprawdzie przestępcy chętnie powołują się na działanie pod wpływem jakiegoś wielkiego nieznanego, ale w tym przypadku on naprawdę istniał.

Młoda kobieta spotkała go w podróży pociągiem do lekarza. Wszczęła wtedy rozmowę ze współpasażerem. Choć nie odpowiadał jej zbyt dobrze, a jego towarzystwo ją denerwowało, rozmawiała z nim, ponieważ przedstawił się jako uzdrowiciel i homeopata.

Nagle nieznajomy lekko dotknął jej ręki i kobieta zatraciła swoją indywidualność. Poczuli, że kręci jej się w głowie i jest bezsilna, podlega całkowicie woli nieznajomego. On pociągał za sznurki, a ona była tylko marionetką. Jak automat poszła za nim do pokoju w Heidelbergu. Tam dotknął jej czoła, po czym zapadła w stan uśpienia.

Wiedziała wprawdzie, że obcy wykorzystuje ją seksualnie, ale opór był niemożliwy.

Władza tego mężczyzny - którego później zidentyfikowano jako przestępcę Franza Waltera - nie ograniczała się do bezpośredniego kontaktu.

Kiedy już zaspokoił swoje cielesne żądze, pozwolił nieszczęsnej odejść - ale nie zwrócił jej wolności.

Od tej pory także na odległość kobieta była zdominowana przez demoniczną wolę Waltera. Najpierw oddała mu 3000 marek ze swoich oszczędności (co w 1934 r. stanowiło niebagatelną sumę), a następnie była przymuszana do uprawiania prostytucji.

Szczytowym przejawem władzy przestępcy nad nią były próby morderstwa, które młoda kobieta musiała podejmować na mężu, mimo że go serdecznie kochała.

Wszystkie te fakty zostały jednoznacznie ustalone przez władze, które wydały nakaz ścigania „duchowego” sprawcy morderstwa, Franza Waltera.

Psychiatra policyjny dr Mayer, który opisał ten przypadek w książce *Verbrechen unter Hypnose*, był szczególnie zafascynowany okolicznością, że kobieta rozpaczliwie walczyła z narzuconą sobie obcą wolą. Nienawidziła tego wszystkiego, co Walter wyczyniał z jej ciałem w swoim pokoju, ale nie była w stanie odtrącić go ani przedsięwziąć czegokolwiek innego. Nie mniejszy wstręt odczuwała wobec swoich licznych klientów, ale i im nie mogła wzbraniać siebie. Kilkakrotnie tak w niej narósł bunt, że była bliska zerwania duchowych pęt. Jedno jedyne „władcze słowo” Waltera wystarczyło jednak, aby przywrócić absolutną kontrolę nad ofiarą.

Wyjątkowy przypadek? Bynajmniej. Postaci takich jak Walter jest wiele w historii.

Dnia 31 marca 1865 r. do drzwi pewnego domu we wsi Sollies-Farliede we Francji zapukał obdarty żebrak, jeszcze bardziej odrażający przez swoją krzywą nogę. Prosił o coś do jedzenia i nocleg. Rodzina zamieszkująca ten dom - robotnik rolny z piętnastoletnim synem i dwudziestosześcioletnią córką - przyjęła gościa, którego powierzchowność budziła skrajny wstręt.

Nazywał się Thimotheus Castellan i utrzymywał, że jest bezrobotnym drwalem. Kiedy następnego ranka ojciec i syn udali się do pracy, w domu pozostała córka Józefina z obcym, który mimo swego niezbyt wypielegnowanego wyglądu wydawał się jednak nieszkodliwy. Aż do południa nic się nie wydarzyło.

W czasie posiłku Castellan wyciągnął nieoczekiwanie rękę i poruszył palcami, jakby dając jakiś znak.

Wtedy dziewczyna znalazła się w jego mocy.

Żebrak zaniósł ją do bocznej izby, aby uczynić z nią to samo, co dziesiątki lat później miało być także palącym pragnieniem Franza Waltera w Heidelbergu.

Józefina zachowała pełną świadomość, jednak była całkowicie bezwolna, kiedy ją gwałcono bez stosowania fizycznej przemocy. Nawet gdy do drzwi zapukał sąsiad, nie była zdolna wzywać pomocy ani wydać z siebie głosu.

Choć żyła dotąd szczęśliwie z ojcem i bratem, jeszcze tego samego dnia opuściła gospodarstwo w towarzystwie Castellana. Ten włóczył się z nią, kazał jej publicznie pokazywać sztuczki, sterując nią zdalnie ruchami rąk dosłownie jak nakręcaną lalką, i bez żadnych ograniczeń folgował swym seksualnym żądom.

Kiedy przypadkiem zdołała wydobyć się spod jego paraliżującego wpływu, uwagę żebraka bowiem odwrócili myśliwi, jego działanie trwało jeszcze przez kilka tygodni.

Co wynika z takich zdarzeń?

Po pierwsze, że istnieje ogromny, uspiiony potencjał ducha ludzkiego. Mamy ochotę a priori go potępić, gdyż takie przypadki jak dwa wyżej przedstawione nie zawierają wielu pozytywnych aspektów. Jedyne wnioski, jakie się nasuwają, jest taki, że niemożliwa do wypalenia legenda opiera się na glinianych nogach, nikt bowiem nie może być drogą sugestii zmuszony do robienia czegoś, co sprzeciwia się jego naturze, moralności albo wewnętrznej postawie. To jednak już od dawna wiedzą psychologowie, psychiatrzy i neurologowie.

Czy więc zdolności, które można określić - zależnie od stanowiska - jako ezoteryczne albo paranormalne, są złe ze swej istoty, przynajmniej jeśli są wrodzone? Nie są. Przypadki takie jak wymienione wyżej wcale tego nie dowodzą, bo w gruncie rzeczy są wyjątkami. W normalnym przypadku, jeśli można w tym kontekście mówić o normalności, każdy z nas może otworzyć skrytki swojego ducha i rozbudzić uspiione zdolności. Można ich oczywiście także nadużywać. Tylko że w normalnym przypadku takie rozbudzenie nie jest możliwe z dnia na dzień, wymaga rozwagi, dyscypliny, panowania nad sobą i wielu innych cech charakteru, które zazwyczaj nie idą w parze ze zdeformowaną, łaknącą władzy osobowością.

Do tego dochodzi jeszcze ten wzgląd, że droga do uzyskania nadzwyczajnych zdolności zmienia tego, kto nią cierpliwie kroczy, na lepsze...

Oczywiście i w tej dziedzinie zdarzają się wyjątki potwierdzające regułę i może się zdarzyć, że siłą napędową do przetrwania wszystkiego będzie opętańcza żądza władzy, jednak raczej nie jest to normą.

W odniesieniu do technik ezoteryczno-paranormalnych zachowuje aktualność odpowiedź słynnego trenera karate na pytanie, czy nie obawia się, że wśród jego uczniów znajdzie się osobnik agresywny, który potem - zdobywszy czarny pas - będzie jeszcze groźniejszy dla otoczenia. Trener powiedział: „Osobnicy agresywni nie są dostatecznie zdyscyplinowani, aby dopracować się czarnego pasa”.

Niebezpiecznie może być tylko wtedy, gdy ktoś przychodzi na świat ze zdolnościami, na zdobycie których inni muszą latami pracować ćwicząc, medytując, trenując itd. Bez takiej szkoły charakteru danej osobie może brakować niezbędnych hamulców. Osoby z nieodległej przeszłości, jak Franz Walter albo Thimotheus Castellan, ilustrują to niebezpieczeństwo równie jak osobistości historyczne, które otrzymały w kołysce „magnetyczne siły”.

Tak więc nie możemy dłużej uchylać się od odpowiedzi na trudne pytanie, co właściwie należy rozumieć przez zdolności ezoteryczno-paranormalne, i to aż do ostatniej konsekwencji. Odpowiemy prowokacyjnie: to wszystko, czym dysponujemy w głębi samych siebie.

Jakkolwiek zaskakujące bywają nasze niektóre szczytowe dokonania cielesne albo duchowe, i tak są one niczym w porównaniu z potencjałem jeszcze utajonym. Stwierdzenie, że duch człowieka jest w stanie dokonywać rzeczy niewiarygodnych, od powodowania fenomenów

paranormalnych aż do zwalczania nieuleczalnych chorób, jest już niemal banalne. Podobnie znany jest fakt, że nasze ciało w sytuacjach ekstremalnych może mobilizować siły, które trzeba nazwać nadludzkimi. Ciało i duch stanowią bowiem nierozdzielalną jedność. Ktokolwiek sądzi, że przedstawiony przez media całego świata wyczyn pewnej matki, która jedną ręką uniosła ciężarówkę, aby uwolnić spod niej swoje dziecko, daje się wyjaśnić skokowym wzrostem poziomu adrenaliny, ten jest w błędzie.

Psychika siedzi za sterami, a ciało przechodzi samo siebie. Decydującą rolę odgrywają w takich przypadkach warunki progowe, które mogą aktywizować takie wewnętrzne mechanizmy.

W pewnym kamieniołomie w Ameryce Łacińskiej gruz skalny był wsypywany do przepaści za pomocą przenośnika taśmowego. Na przenośniku tym uciął sobie w czasie przerwy drzemkę pewien robotnik; kiedy wstrząsy go obudziły, był już tylko kilka metrów od końca przenośnika, który sam się włączył - już nad przepaścią.

Z godną podziwu przytomnością umysłu nieszczęśnik ów zaczął biec w kierunku przeciwnym do ruchu taśmy, wołając jednocześnie głośno o pomoc. Po kilku minutach zauważono jego równie groteskową co śmiertelnie niebezpieczną sytuację i wyłączono silnik napędowy. Późniejsze obliczenia wykazały, że robotnik, którego sportowa wydolność była co najwyżej przeciętna, pobił światowe rekordy wszech czasów w sprincie.

Przykład ten pokazuje, że niezwykle dokonania nie muszą być dziełem ułamków sekund, ale że mogą trwać przez pewien czas - w tym przypadku kilka minut. Nie powodują one również na dalszą metę wypalenia organizmu, jak się błędnie uważa. Aby uruchomić interakcję między ciałem a duchem, która może zdziałać pozornie niemożliwe rzeczy, nie musi koniecznie istnieć rzeczywisty stan zagrożenia. Całkowicie wystarcza, jeśli uwierzymy w realność sytuacji.

Robotnicy zatrudnieni przez wielki koncern chemiczny byli na szkoleniach wciąż ostrzegani przed kwasem magazynowanym w określonych kotłach i napominani do zachowywania wszelkich środków ostrożności. Pewnego razu wskutek awarii zawartość jednego z kotłów prysnęła na pewnego robotnika, który trafił do szpitala z objawami ciężkiego oparzenia kwasem. Tyle tylko, że w momencie wypadku w kotle zamiast kwasu była jedynie letnia woda, bo akurat przeprowadzano jego mycie (ranny nie wiedział o tym).

Zawodzi tutaj wszelka fizyczna interpretacja, gdyż skóra poszkodowanego zarejestrowała tylko letnią wodę. Jego podświadomość jednak krzyczała: „Kwas, kwas!”

Z podobnymi mechanizmami mamy do czynienia codziennie, choć przeważnie nie w tak dramatycznej formie.

Każdy zna okropny odgłos, który powstaje, kiedy kreda skrobie po tablicy.

Wiemy też, co przy tym odczuwamy: dostajemy gęsiej skórki, przechodzą nas ciarki, wydaje się nam, że odpada nam szkliwo z zębów i dzieją się podobnie mało krzepiące rzeczy. Zapewne mniej uświadamiamy sobie, że większość ludzi reaguje w ten sposób - choć może nie tak silnie - już wtedy, gdy tylko jest mowa o skrobaniu kredą po tablicy. Im bardziej plastyczny jest opis, tym silniejsza reakcja.

Jest całkiem prawdopodobne, że niektórzy czytelnicy odczuwają niemiłe wrażenia już nawet tylko czytając wydrukowany tu opis skrobania kredą po tablicy, które- go przenikliwy odgłos wprawia w nieznośną wibrację zakończenia naszych nerwów.

Jakkolwiek tajemnicze, niezbadane i skryte w mroku ewolucji są takie mechanizmy, nie jesteśmy na nie skazani. Nie dość na tym, można je z powodzeniem wykorzystywać ku naszemu pożytkowi. Co nie oznacza, że musimy je naprawdę rozumieć.

Wspomniane już programowanie neurolingwistyczne (NLP) jest krokiem w tym kierunku - jeśli nawet świadomie mechanistycznym. Nie pragnie zresztą być niczym innym.

Milton Erickson, jeden ze współtwórców NLP, demonstrował to stale w swojej długoletniej praktyce. Jeden przykład jest szczególnie niezwykły.

Informuje o nim psycholog Richard Bandler, entuzjasta metody Ericksona. Przypadek ten był zapewne najkrótszą terapią, jaką kiedykolwiek przeprowadzono.

Działo się to w 1957 r. w pewnym szpitalu w Palo Alto (Kalifornia). Milton Erickson - wówczas już stary człowiek poruszający się o dwóch kulach - prowadził terapię przypadków skomplikowanych. Jak w poczekalni gabinetu lekarskiego wielu psychiatrów wraz z podopiecznymi czekało w szpitalnym hallu na swoją kolej. Lekarze wchodzili razem z pacjentami, Erickson wypowiadał kilka powierzchownych słów, wykonywał kilka gestów i na tym koniec. Potem psychiatrzy w rozmowie między sobą przeważnie dochodzili do wniosku, że okrzyczany terapeuta jest szarlatanem. Był to błędny sąd, gdyż specjaliści najwyraźniej nie mogli pojąć, co zrobił ten człowiek, który był specjalistą w jeszcze większym stopniu niż oni. Później orientowali się, że jednak coś się zdarzyło, choć nie było wiadomo co.

W ludziach, którzy stanęli przed Ericksonem tylko raz, i to na krótką chwilę, zachodziły aż nazbyt zaskakujące zmiany.

Wśród czekających był pewien siedemnastolatek, którego problemem była agresja, nierzadko znajdująca czyn-ne ujście, od wandalizmu do przemocy. W towarzystwie swego terapeuty, pewnego młodego, idealistycznego, prostoliniowego psychologa, siedemnastolatek ów czekał godzinami w szpitalnym hallu. Widział, jak wracali leczeni przed nim - niektórzy przypominali lunatyków - i zastanawiał się, co się stanie z nim samym. Liczył się ze wszystkim, od hipnozy do elektrowstrząsów. Wreszcie nadeszła jego kolej. Psychiatra i jego pacjent weszli do pomieszczenia pełnego widzów. Na środku stał stół, a za nim siedział stary człowiek o kulach. Podeszli do Ericksona, który zapytał: „Dlaczego przyprowadził pan tu tego chłopca?”

Psycholog objaśnił jego przypadek. Erickson spojrzał na swojego młodego kolegę i powiedział: „Proszę pójść na miejsce” .

Potem skierował wzrok na pacjenta i zapytał: „Czy będziesz zaskoczony, jeśli twoje zachowanie zacznie się zmieniać już w przyszłym tygodniu?”

Wściekły i zalekziony młodzieniec odpowiedział: „Będę bardzo zaskoczony!”

Na to Erickson: „Możesz odejść”.

Zmieszany psycholog oddalił się razem ze swoim podopiecznym. Obaj sądzili, że „wielki człowiek” postanowił, iż nie będzie pracował z aspołecznym pacjentem. Zupełnie uszło ich uwagi, że w ciągu tych kilku minut odbyła się terapia.

Jak się okazało, siedemnastoletni gniewny chłopiec, który wyrażał swoją frustrację aktami przemocy, już w następnym tygodniu zmienił się do głębi. Stał się nowym człowiekiem w najbardziej dosłownym rozumieniu. Psycholog, który opowiedział Bandlerowi ten epizod, przyznawał bez owijania w bawełnę, że nigdy nie zdołał pojąć, w jaki sposób Milton Erickson w niewiele więcej niż minutę zainicjował proces powrotu do zdrowia.

Przy dobrej woli można by było widzieć tu przeciwwagę do równie skutecznych, ale mniej dobroczynnych zdolności takiego Franza Waltera albo Thimotheusa Castellana.

Castellan, Walter i wiele innych „talentów naturalnych” nie przebyli drogi oświecenia, inicjacji, doskonalenia itd., jakakolwiek by ona była, ale całkiem po prostu to umieli. Korzystali więc bez skrępowań ze swej mocy.

Na czym ta moc właściwie polega? Gdzie są granice naszych zdolności i jak można je osiągnąć?

Jest na to pytanie kilka odpowiedzi.

Żaden biolog, antropolog ani lekarz nie może zgodnie z prawdą twierdzić, że potencjał ludzkich zdolności jest zbadany. Poczynając już od cudownych dzieci, których istnienie przyjmujemy jako coś oczywistego, choć jest dostatecznie niezwykle.

Każda dziedzina ma swoje cudowne dzieci.

Muzyka: Mozart stworzył wiele nieśmiertelnych dzieł, zanim jeszcze posiadał umiejętność czytania, Haendel w wieku jedenastu lat, a Haydn sześciu. Beethoven i Chopin występowali publicznie mając osiem lat, a Bach w tym wieku studiował partytury. Dziewięcioletni Mendelssohn i Liszt dawali koncerty, a „zapóźniony w rozwoju” Schubert miał aż dwanaście lat, kiedy stanął - w krótkich spodenkach - na podium koncertowym.

Literatura: W latach pięćdziesiątych naszego stulecia sensacją stał się pewien tomik poezji, który się ukazał w paryskim wydawnictwie. Krytycy prześcigali się w pochwałach, opiewali bujne bogactwo języka, głęboką muzykalność wiersza i trafność plastycznego wyrazu. Kolejną sensacją było to, że autorka tomu, Minou Drouet, miała siedem lat. Torquato Tasso nauczył się łaciny mając lat trzy, a wiersze o kunsztownej formie pisał w wieku dziesięciu. Dziewięcioletni Dante napisał swój słynny sonet do Beatrice, a Victor Hugo w wieku trzynastu lat tragedię. Tyle samo lat miał Puszkina, kiedy pisał swoje pierwsze wiersze. Rimbaud w wieku dziewiętnastu lat miał już za sobą rozkwit swojej twórczości...

Nauka: Słynny matematyk niemiecki Gauss i francuski fizyk Ampere w wieku trzech lat umieli wykonywać najbardziej skomplikowane obliczenia, mimo nieznaomości cyfr czy zgoła tabliczki mnożenia. Francuski matematyk i filozof Blaise Pascal w wieku lat dwunastu przedstawiał zdumiewające prace matematyczne, skończywszy szesnaście był autorem rewolucyjnego eseju o matematyce, a mając osiemnaście wynalazł maszynę do liczenia. Trzyletni Norbert Wiener władał doskonale trzema językami, w wieku lat dwunastu zdał

maturę, mając szesnaście otrzymał doktorat, a przed dwudziestymi urodzinami został docentem na Harvard University.

Einstein (musiała i na niego przyjść kolej) i Robert Oppenheimer już w wieku jedenastu lat byli wybitnymi matematykami i fizykami.

Angielski przyrodnik Francis Galton, siostrzeniec Darwina, w wieku czterech lat pisał do swojej siostry Adeli: „Umiem przeczytać angielską książkę. Umiem wyliczyć wszystkie łacińskie przymiotniki, rzeczowniki i czasowniki strony czynnej i znam na pamięć 52 wiersze łacińskie. Umiem trochę czytać po francusku i znam się na zegarze”.

Jeszcze większe wrażenie robi fakt, że autorem obszernej historii powszechnej był siedmioletni Thomas Barington Macaulay, późniejszy historyk brytyjski (dzieło to jest wysoko oceniane jeszcze i dzisiaj).

Wyliczenie to można kontynuować bez końca, wystarczyłoby ono, aby wypełnić resztę tej książki i wiele innych. Lepiej będzie zakończyć ten wątek, wystarczy nam stwierdzenie ogólne, że w niejednym z nas tkwi godny uwagi potencjał. No dobrze, powie ktoś, być może potencjały takie są uwarunkowane ewolucyjnie i w toku filogenezy uległy stłumieniu, np. przez naszą technologię, która w coraz większym stopniu zastępuje zdolności narzędziami.

Jednak nie jest to słuszne, bo drzemią w nas i takie talenty, których w trakcie naszego ucłowieczania chyba nigdy nie mieliśmy okazji zastosować. Jaki mogło bowiem mieć sens przejawianie zdolności typowych dla komputera czy zegara kwarcowego w ponurej epoce prehistorycznej?

Pięcioletni Benjamin Blyth zapytał swojego ojca o godzinę, a po kilku minutach od otrzymania odpowiedzi rzekł: „W takim razie jestem już na świecie 158 milionów sekund” .

Ojcu Beniamina ta „dziecięca paplanina” nie dawała spokoju, wziął więc do ręki ołówek i kawałek papieru. Po dłuższym obliczeniu poprawił swojego syna mówiąc: „Pomyliłeś się o 127000 sekund”. „Nie, nie pomyliłem się - odpowiedział chłopiec - to ty zapomniałeś o dwóch latach przestępnych”. Tak było w istocie.

Z filogenetycznego punktu widzenia jeszcze mniej przydatne są nadzwyczajne zdolności w matematyce. W tej abstrakcyjnie teoretycznej dziedzinie szczególna rola przypada liczbom pierwszym. W życiu przeciętnego człowieka tak nie jest, a mimo to ciągle pojawiają się osoby, których mózgi mają tajne ośrodki pozwalające im wykonywać igraszki z liczbami pierwszymi z łatwością, jakiej mogą im pozazdrościć nawet matematycy i komputery (!)

Kanadyjczyk Zerah Colburn umiał natychmiast powiedzieć, czy liczba dziesięcio- i więcej cyfrowa jest liczbą pierwszą, czy nie; znał także inne sztuczki w rachunkach.

Psychiatra Oliver Sachs informuje o bliźniętach z Nowego Jorku, które przebywając w szpitalu skracały sobie czas przelicytowując się dwudziestopięciocyfrowymi liczbami pierwszymi (!) Jest to jeszcze bardziej niemożliwe, o ile niemożliwość w ogóle można stopniować.

Po co, u licha, takie zdolności były kiedykolwiek potrzebne Homo sapiens?

Zdarzają się jeszcze dziwniejsze zdolności.

Wspominaliśmy już, że Rosjanka Julia Worobiewa widzi promienie rentgenowskie. Nie powiedzieliśmy jednak, jak do tego doszło i co jeszcze potrafi. Radziecka gazeta „Izwestia” opisywała jej przypadek w czerwcu 1987 r. Rosjanka ta w marcu 1978 r. doznała porażenia prądem o napięciu 380 V i została zawieszona do kostnicy jako martwa. Po dwóch dniach obudziła się tam ku ogólnemu zdumieniu. To jeszcze nie był koniec niespodzianek. Przez następne sześć miesięcy Julia nie przespała ani minuty, po czym na wiele dni zapadła w długi i głęboki sen.

Kiedy się obudziła, miała niepojęte zdolności. Robiąc zakupy odkryła, że jej wzrok przenika ludzi jak aparat rentgenowski. Zademonstrowała tę zdolność pełnemu niedowierzaniu reporterowi „Izwestii”, mówiąc mu, co zjadł na obiad, po przyjrzeniu się jego żołądkowi. Wystarczy stanąć przed nią, aby w ciągu kilku sekund dowiedzieć się, jakie tkwią w człowieku choroby, często nie znane jemu samemu. Zdolność widzenia promieni ultrafioletowych jest tylko jednym z wielu aspektów nagle ujawnionych paranormalnych zdolności niezwyklej Rosjanki. Niczym superman z komiksów umie ona przenikać wzrokiem materię stałą. Według „Izwestii” potrafiła nawet dokładnie opisać strukturę gleby przykrytej warstwą asfaltu. Nikt nie znajduje tu żadnego wyjaśnienia. Bezsporne jest tylko to, że przed porażeniem prądem Julia Worobiewa przez dziesiątki lat prowadziła całkiem zwyczajne życie.

Jak się zdaje, istnieją w nas liczne utajone programy (przyjmijmy taką nazwę), które mogą w określonych warunkach ulec aktywizacji. Jakże to są programy i jak różnorodne mogą być ich działania, tego nie wiemy.

Biologia wie od dawna, że one istnieją; wyrażano jednak pogląd, że można je zrozumieć filogenetycznie. Do tej koncepcji pasuje np. płaz aksolotl, w którym utajony jest program genetyczny, mogący przekształcić tego płaza w zwierzę lądowe - właściwie nie istniejące w rzeczywistości - skoro zwierzęciu zaaplikuje się hormon tarczycy. Jeśli program, o którym mowa, zostanie uaktywniony, to płazowi zaczynają rosnać nogi, zanikają jego skrzela i płetwa ogonowa. I oto stoi przed nami „nowy” aksolotl, gotów do życia na lądzie stałym. Nie ma w tym nic tajemniczego, jest to tylko jeszcze jeden przykład świadczący, że natura w grze o przetrwanie stawia na wiele kart, a jeszcze więcej chowa w rękawie.

O ile nawet najbardziej humanitarne i demokratyczne narody nie mają zbyt wielu zahamowań, gdy chodzi o eksperymenty na zwierzętach, o tyle jednak doświadczenia na ludziach nie mogą wykroczyć poza ściśle określone granice. Wskutek tego zdumiewające cechy wydobywają w nas na światło dzienne przeważnie nie planowane zdarzenia.

Jeśli cechy te mieszczą się w ramach możliwych do przyjęcia, to przechodzi się nad nimi do porządku. Tak więc istnieje więcej legend na temat możliwego wysokiego urodzenia tajemniczego Kaspara Hausera - o którym już słyszeliśmy, że widział promienie podczerwone - niż na temat jego nadludzkich czy też nieludzkich talentów.

Jak wiadomo, ten zagadkowy młody człowiek pojawił się w 1828 r. w Norymberdze dosłownie znikąd. Miał krwawiące stopy i nie umiał niczego powiedzieć o swoim pochodzeniu. Do dzisiaj pewne jest tylko jedno, że od urodzenia trzymano go w ciemnym pomieszczeniu. Wskutek tak nie typowego otoczenia miał zdolność widzenia w ciemności, zdolność, która ma wiele aspektów.

Nie ma nic zagadkowego w widzeniu rozgrzanych przedmiotów, które dla nas są niewidoczne w ciemności, na przykład pieca. Oko człowieka rejestruje tylko jedną oktawę spośród 64 zawartych w spektrum fal elektromagnetycznych. Zakres ten, zwany oknem optycznym, odpowiada zasadniczej części promieni słonecznych, przenikających przez atmosferę, warstwę ozonu (dopóki ją jeszcze mamy), magnetosferę itd. Z punktu widzenia ewolucji celowe jest uwrażliwienie danego gatunku na fale świetlne rozjaśniające jego otoczenie. Nie znaczy to jednak, że niemożliwe jest przestawienie się na inną długość fal, kiedy jeden osobnik z tego gatunku urodzi się i wyrośnie w innym otoczeniu. Tak można wyjaśnić zdolność widzenia promieni podczerwonych u Kaspara Hausera. To jednak nie tłumaczy, jak mógł on czytać książki w całkowitej ciemności.

Dla tej umiejętności brak interpretacji filogenetycznej, tak samo jak dla sztuczek Julii Worobiewej czy zonglerki liczbami pierwszymi w wykonaniu wspomnianych wyżej bliźniąt. Nie ma dla nich również dziś, ani nie było wówczas, wyjaśnienia przyrodniczego.

Mimo to zagadką Kaspara Hausera jest i pozostaje przede wszystkim możliwość jego pochodzenia z wielkopsiężonej dynastii Baden. W obszernym memorandum, które opracował kryminolog i prawnik Paul Johann Anselm von Feuerbach jako raport dla królowej Bawarii, Karoliny, aż się roi od możliwych koligacji, małżeństw morganatycznych, zatuszowanych błędów, otwartych testamentów i zamkniętych tchawic niewygodnych świadków. Istna lawina publikacji o przypadku Kaspara Hausera, trwająca do dziś, zawiera podobne dociekania. Natomiast właściwy, zdumiewający aspekt tej sprawy, którym są nabyte zdolności paranormalne Kaspara Hausera, bywa wzmiankowany co najwyżej jako dziwaczna okoliczność uboczna. Jeśli w ogóle wspomina się o czymś innym niż spiski arystokratyczne, to o tym, że Kaspar Hauser nie widział przedmiotów w normalnej perspektywie, typowej dla wzroku człowieka, ale dwuwymiarowo, co było zrozumiałym skutkiem jego jaskiniowego bytowania. Mniej zrozumiałymi nie chciano się zajmować. My też nie będziemy dłużej tego robić, gdyż i bez tego wystarczająco uzasadnione jest następujące stwierdzenie: drzemie w nas ogromny, różnorodny i wykraczający poza ewolucję potencjał, który może być zaktywizowany na najróżniejsze sposoby albo występować w postaci talentu.

Możemy więc przestać się zajmować naturalnymi talentami hipnotycznymi, nadzwyczajnymi zdolnościami powstałymi w wyniku zewnętrznych oddziaływań, zonglerami liczb i innymi kaprysmi przypadku i skierować uwagę na właściwe sedno sprawy: świadome rozbudzenie sił ezoteryczno-paranormalnych oraz osoby, którym - jak się wydaje - udało się to w toku dziejów ludzkości.

W tym względzie co prawda obraz nie jest jednolity. Zakres możliwych zdolności, które należałoby rozbudzić, jest wprost nieskończony i nikt, kto sam nie jest „rozbudzony”, nie może na pewno powiedzieć, po czym można rozpoznać kogoś znajdującego się na wyższej płaszczyźnie - aby pozostać przy terminologii ezoterycznej. A już zupełnie nie jest w stanie tego zrobić, gdy dana osoba stara się ukryć swoje wtajemniczenie.

Problematyka ta jest stałym tematem literatury science fiction i nawet znany autor książek z tej dziedziny, A.E. van Vogt, który najbardziej konsekwentnie się z nią zmagał, miał świadomość niemożliwości trafnego zobrazowania. Jego kolega John W. Campbell Jr., słynny wydawca Astounding Science Fiction, pisał w związku z tym w 1941 r.: „Nikt nie idzie do lekarza, aby ogłosić swoje całkowite zdrowie, ani do psychiatry, aby zademonstrować mu

psychiczne zrównoważenie, brak kompleksów, spokój wewnętrzny i całkowitą kontrolę nad własnym życiem".

Niełatwo jest wytropić ewentualnych „mistrzów Ziemi”. Kto rzeczywiście dostał się w wyższe sfery, ten prawdopodobnie oprze się także pokusie zerwania z anonimowością. Pokusie, której ulegają „normalni” geniusze, jeśli chcemy ich tak nazywać.

Albert Einstein, autor zarysu całkiem nowej wizji wszechświata i pionier nowych dróg w myśleniu, którymi nikt przed nim jeszcze nie kroczył (przynajmniej publicznie), przez całe życie spotykał się ze sprzeciwem, wrogością i jaskrawym brakiem zrozumienia. Pod koniec życia oświadczył zgorzkniały: „Gdybym mógł to przewidzieć, zostałbym hydraulikiem”.

Prawdopodobnie Einstein wyciągnął wnioski z tej późnej wiedzy, wiele bowiem przemawia za tym, że w ostatniej chwili postanowił nie publikować jednolitej teorii pola, wszechobejmującej zasady elementarnej, którą starano się odkryć przez dziesiątki lat, ale zabrał ją ze sobą do grobu. Inni być może od początku pozostali w cieniu albo wyłożyli tylko zakryte karty na stół historii. Może je zresztą i odkryli, tyle że nikt nie umiał tych kart „odczytać” ...

Tak więc zetknęliśmy się z problemem odmienności w ogóle. Doprawdy niełatwo jest zrozumieć inną osobę, nawet wtedy, gdy jest do nas bardzo podobna. Dowodzą tego stałe niepowodzenia związków partnerskich, które łączy niebo, ale na ziemi stają się piekłem.

Zrozumienie staje się całkowicie niemożliwe, gdy dana osoba wcale do nas nie jest podobna. W motywy postępowania niektórych ludzi nikt inny nie jest po prostu w stanie się wczuć. Nie bez racji powiada się: „Choćby ktoś był dla wszystkich nie wiedzieć jak zwariowany - on sam będzie się uważał za absolutnie normalnego”. Również pod tym względem historia może służyć licznymi przykładami.

Jeśli trudno jest już myśleć tak samo jak sąsiad, który może jest tylko trochę głupszy, trochę mądrzejszy albo kieruje się inną wizją życia, to jak możemy wysledzić ludzi, którzy otworzyli tajemne furtki swojego ducha? Jak zrozumieć ich działania i motywy?

Po prostu są pewne granice - przynajmniej dopóty, dopóki się ich samemu nie przekroczy. Zanim to nastąpi, obowiązuje nas inne porównanie: Gdyby kazać goryłowi opisać „nadgoryla”, rozwodziłby się nad silniejszymi mięśniami, gęstszym owłosieniem, większymi zębami itd. Człowieka goryl by nie opisał, ponieważ to dla niego niemożliwe.

I my zapewne stajemy przed podobnym problemem, kiedy mamy sięgnąć wyobraźnią w dziedziny znajdujące się poza naszym doświadczeniem, zdolnością wyobrażenia i kręgiem celów życia.

Przekazy i nauki określają cel ostateczny: oświecenie, oczyszczenie, wyniesienie ku wartościom, które nie mają w sobie już nic niskiego. Taki jest też sens niemałej liczby rytuałów i wielu aktów wiary.

Jak inaczej można na przykład zrozumieć instrukcje podające sposób czytania Tory, czyli Pięcioksięgu, przez Żydów? Teksty te trzeba odczytywać półgłosem w małym, ciasnym pomieszczeniu, dzięki czemu wierny uczy się pochylać i trzymać ramiona blisko ciała. Ręka

trzymająca księgę nie może prawie wcale oddalać się od ręki, która przewraca kartki; przepisany jest także ruch, którym zwilża się śliną palce przy przewracaniu kartek.

Trzeba palce prowadzić pionowo do ust, jak przy rozdzielaniu macy.

Jedynie w taki sposób, przez nieprzerwane zachowywanie autodyscypliny i wierności, można krok po kroku wywalczyć dostęp do prawdy. Gdyby była ona dostępna bezpośrednio, to nie rozpoznaliby się jej wcale, gdyż poszukujący nie byłby gotowy na jej przyjęcie, oczyszczony przez długie poszukiwania i zadawanie pytań. Absolutnie decydujące znaczenie ma wytrwałość. Jeśli poszukujący straci kontakt z wyższą sferą, ponieważ chce sobie ułatwić zadanie, to świetlista brama zamknie się dla niego. Jedno jedyne słowo potraktowane niedbale albo zagubione może obrócić wniwecz wszystkie wysiłki.

Takie myśli leżą u podstaw większości religii, mądrości, dyscyplin ezoterycznych i filozofii. Z pozoru wydaje się, że wszelkie nadużycia są tu wykluczone, jednak potem przychodzi na myśl - często bynajmniej nie mądre ani dobre - postępowanie niektórych osób, najwidoczniej posiadających ezoteryczną wiedzę (i moc). Pojawiają się wątpliwości. Gdzie tkwił błąd? Jak można było zdobyć wiedzę bez sumienia? Czyż procesy ezoteryczne nie oczyszczają każdego, kto przez nie przechodzi?

Na te pytania jest tylko jedna odpowiedź: nie mają one sensu. Odzwierciedla się w nich punkt widzenia osoby, która nie przeżyła inicjacji. To, co nam się jawi jako godne potępienia, złe czy diaboliczne, może być z innego punktu widzenia (świadomie nie chcę go nazywać wyższym) bez znaczenia, a nawet mieć sens. Znowu napotykamy znany problem, że w tej dziedzinie neutralny, elementarny punkt odniesienia tak samo nie może istnieć, jak w przyrodoznawstwie, i że nie można oceniać według siebie kogoś, kto jest całkiem inny.

Niech zatem przewinie się przed nami korowód kilku kontrowersyjnych osobistości, które niewątpliwie głęboko się zakorzeniły w ezoteryce i pozwalają przynajmniej przeczuwać nadzwyczajne siły. Czy to było ich zamiarem, jaki faktycznie zakres miały ich zdolności i co naprawdę działo się w ich wnętrzu, naturalnie musi na zawsze pozostać spekulacją.

To jednak, co o nich wiemy, zasługuje na uwagę i jest pełne sprzeczności. Zacznijmy od najbardziej chyba demonicznego ze wszystkich ezoteryków i okultystów.

Aleister Crowley

Miał ogromną władzę nad ludźmi, a jego słynne spojrzenie bazyliuszka umiało każdego poskromić. Poglądowy opis jego możliwości dał literacki agent Crowleya, Louis Wilkinson, w rozmowie z doradcą do spraw urządzania wnętrz w domu w Gloucestershire, gdzie Aleister Crowley mieszkał przez długie lata.

Wilkinson wątplił w magiczno-okultystyczne siły Crowleya, swojego współnika od interesów, na co doradca odpowiedział:

Inaczej by pan mówił, gdyby pan przeżył to co ja. Po obiedzie poszliśmy do pomieszczenia na pierwszym piętrze. Był tam Crowley, siedział w kucki przy ogniu. Poza nim i mną znajdowało się w tym pomieszczeniu jeszcze dwóch mężczyzn. Crowley zaczął mówić i wtedy to się zdarzyło. Jeden z mężczyzn zemdlął i upadł, a jego głowa znalazła się kilka centymetrów od ognia. Drugi podskoczył, po czym zaczął chodzić na czworakach i obwąchiwać fotele. Szczekał przy tym, wył jak pies i drapał do drzwi. Nagle pierwszy mężczyzna obudził się, wstał i wyskoczył bez słowa przez okno. Kiedy wrócił, jego ubranie było podarte, a twarz uwalana krwią. Ja sam nie mogłem się poruszyć. Kiedy przyszedłem do siebie, Crowley był już w łóżku...

Sam Crowley nie taił swojej władzy nad ludźmi, chętnie ją demonstrował - do jego ulubionych zabaw należało zamienianie sceptyków w psy - i zdecydowanie zaprzeczał, jakoby miał być zwykłym hipnotyzerem. To, co praktykował, sam nazywał „Magick”, była to nauka i sztuka wywoływania zmian według własnej woli.

Wszystko to sprawia, że raczej nie przypomina on kogoś, kto kroczy drogą wewnętrznego oświecenia i wszechogarniającej mądrości.

Renomowany „Sunday Express” uznał go pośmiertnie za najbardziej zepsutego człowieka stulecia, podczas gdy „Sunday Times” dostrzegł w nim „Picassa okultyzmu”. Był uważany za jedno z ukrytych źródeł satanicznych machinacji w III Rzeszy jak też za wcielenie bestii Apokalipsy, którą według żydowskiej Kabały symbolizuje tajemnicza liczba 666 (sam Crowley nazywał się często „Bestią”). Trzy szóstki przyporządkowuje się także antychrystowi, który dopiero ma się narodzić.

Pasują do tego obrazu takie fakty jak ten, że Adolf Hitler stale cytował książkę Aleistera Crowleya *Liber legis*, czy otwarcie przezeń głoszone credo, że jedynym sensem życia jest przyjemność, podobnie jak jego seksualna rozpusta, która budziłaby sensację nawet w porównaniu z rzymskimi orgiami albo zwyczajami na dworze Lukrecji Borgii.

Tak prezentuje się „Bestia” na pierwszy rzut oka. Chciałoby się powiedzieć, że istotnie po bestialsku. Być może ten chyba najbardziej znany mag dwóch stuleci (żył w latach 1875-1947) był w istocie taki, na jakiego wyglądał: hedonistyczny, opętany żądzą władzy, podły i bez skrupłów.

Być może jego osobowość jest po prostu niezrozumiała, ponieważ przenosimy nasze pojęcia dobra i zła w dziedzinę, w której także i one ulegają zmianie. W każdym razie Aleister Crowley stanowi dobry, jeśli nawet świadomie prowokujący przykład, jakie trudności towarzyszą ocenie kogoś, kto jest inny.

Jeśli naświetlić ze wszystkich stron jego bogate w wydarzenia życie, to opinia nie znającego miary satanisty, który na swoich sztandarach wypisał seks i praktykował pogardę dla ludzi, zaczyna się chwiać.

Waltharius widzi w Crowleyu (znanym także jako mistrz Therion) mistycznego nauczyciela terażniejszości, a dr Birven ocenia, że dzieła Crowleya na temat magii reprezentują wysoki poziom i oryginalność i zdradzają rozległe wiadomości naukowe. Nie mógł się więc Aleister

(właściwie Edward Alexander) Crowley poświęcać jedynie doskonaleniu swych seksualnych wynaturzeń. Istotnie, stale się natrafia na przejawy mniej cielesnych działań „Bestii”, mimo że nie były tak głośne.

W 1905 r. Aleister Crowley starał się zjednoczyć trzy pokrewne, ale konkurencyjne zakony: Złoty Świt (Golden Dawn), Srebrną Gwiazdę (Astrum Argentum) i jej angielską gałąź Silver Star, aby usunąć nieporozumienia, które zwłaszcza na Astrum Argentum ściągnęły niesławę. Rok później uzyskał w Chinach stopień mistrza świątyni, a w 1912 r. wraz z nadaniem 10 stopnia (najwyższy i najświętszy król) Zakonu Wschodniej Świątyni (Ordo Templi Orientis, OTO) powierzono mu reprezentację Zakonu na całą Brytanię (z Irlandią). Było to związane z nadaniem uświęconego (przez templariuszy) imienia Baphomet, którym Crowley odąd podpisywał swoje listy. Na marginesie zaznaczmy, że Baphomet to także ważna figura alchemiczna.

Ten sam Crowley, który zabawiał się skłaniając ludzi do naśladowania czworonogów, napisał wiele dzieł i traktatów, wygłaszał wykłady o filozoficznej głębi i reprezentował - choć nieco bardziej powściągliwie - pogląd, że każdy mężczyzna i każda kobieta jest gwiazdą, a najwyższym sensem naszego bytu jest przekroczenie przepaści...

Prace Crowleya na temat jogi należą do dziś do kanonu, i to nie tylko u zwolenników „nauk satanicznych”. Przeszło sześćdziesiąt lat po zetknięciu się z tymi pracami dr Israel Regardie pisał w przedmowie do książki Aleister Crowley uber Yoga: „...winniśmy respekt temu ujęciu, które zasługuje na to, by się nim delectować ze względu na jego wnikliwość i ćwiczyć według niego, choćby tylko przez jego nieograniczony racjonalizm. Jeszcze raz muszę powtórzyć, że nie znam żadnego autora nowożytnych czasów, który by podjął ten temat w tak niezwykle sposób”.

Również astrologia zawdzięcza mu równie oryginalne, jak gruntownie opracowane impulsy, które analogicznie do ukutego przez siebie terminu „Magick” połączył pod pojęciem „Astrologick”.

Kto się stara pogodzić ze sobą wszystkie obiegowe opinie na temat Aleistera Crowleya, ten odkrywa wiele sprzeczności. A przecież poruszyliśmy tu tylko nieliczne aspekty jego egzotycznej osobowości. Już po nich widać jednak, że nie jest tak łatwo zaklasyfikować posiadaczy ezoterycznej wiedzy i magicznych (właściwiej byłoby chyba powiedzieć paranormalnych) zdolności.

Ponieważ „Bestia” rozwijała swoją działalność głównie w naszym stuleciu, można z jej przejawów ułożyć przynajmniej fragmentaryczne puzzle, ukazujące złożony obraz. Wiele elementów robi wrażenie nieładnych, zdeformowanych i zboczonych, inne są dziwne, a niektóre pozwalają przeczuwać Crowleya, który sprzeciwia się swojemu własnemu stereotypowi. Czy stanowią one poszlaki przemawiające na korzyść prowokacyjnego twierdzenia, że w gruncie rzeczy możemy ocenić tylko to, co dla nas jest znane i zrozumiałe? Niewykluczone. W każdym razie jednak potwierdzają znany od dawna fakt, że istoty ludzkie nie są jednowymiarowe - i że osobowość wielowarstwowa prezentuje się na pozór sprzecznie.

Dwudzieste stulecie zna niejednego wybitnego maga. Pod pewnymi względami jeden człowiek mógłby być wprost bratem bliźniakiem Aleistera Crowleya, choć ich zewnętrzne podobieństwo byłoby niewielkie.

Georg Iwanowicz Gurdżijew

Podobnie jak Crowley, ten legendarny, urodzony w 1877 r. w Aleksandropolu (dziś Leninakan) na Zakaukaziu i zmarły w 1949 r. w Neuilly pod Paryżem człowiek, miał siłę sugestii nie mieszczącą się w żadnych tradycyjnych ramach. Rozpowszechniano też wieści o innych, nie mniej zdumiewających zdolnościach - choćby o tym, że Gurdżijew obywatel się bez snu i chciał tę zdolność przekazać także swoim uczniom - nie są one jednak tak udokumentowane, jak niewiarygodna energia psychiczna tego dziwnego człowieka.

Rom Landau pisze, że przy pierwszym spotkaniu z Gurdżijewem ogarnęła go psychiczna niemoc, która w nim niepowstrzymanie narastała. Nie mógł się nawet podnieść, wiedząc, że nogi ugną się pod nim i upadnie na podłogę. Jego znajoma pisarka przeżyła w jego obecności coś podobnego.

Landau pisze: „Ta pani i ja siedzieliśmy blisko Gurdżijewa w pewnej restauracji. Kiedy na niego spojrzała, nie pozwolił jej już odwrócić wzroku. Spostrzegliśmy, że zaczął oddychać w całkiem specjalny sposób. Byłem przekonany, że stosuje teraz jedną z technik, których się nauczył na wschodzie. Po kilku sekundach zauważyłem, że moja znajoma zrobiła się blada jak ściana. Zanosilo się na to, że zemdleje. «Ten człowiek jest niesamowity» - szepnęła mi do ucha. - «Dzieje się coś straszliwego... On tak spojrzał na mnie, że jestem teraz seksualnie podniecona. To było bestialskie...»"

Nasuwa się skojarzenie z poniżającymi zabawami Crowleya. Jednak również przypadek Gurdżijewa ma nie tylko jedną stronę. Francuz Rene Zuber, uczeń Gurdżijewa, opisuje następującymi słowami dzień powszedni w otoczeniu mistrza: „Kiedy przy stole pana Gurdżijewa zasiadały dzieci, niczym osoby dorosłe między swoimi rodzicami, było to dla nas ożywym wydarzeniem. Nie wahały się długo przed zabieraniem głosu na równi z innymi. Mistrz zręczną i subtelnie sformułowaną zachętą sprawiał, że szybko i szczerze włączały się do zabawowej albo dialektycznej duchowej ekwilibrystyki, którą dla nich obmyślał - odpowiednio do ich wieku".

A więc ta błyskotliwa osobowość ma dwa bieguny: z jednej strony hipnotyczna przemoc o seksualnym zabarwieniu, a z drugiej pełna zrozumienia umiejętność wczucia się w psychikę dziecka. Faktem jest jednak przemożna siła jego indywidualności. Szok pierwszego spotkania z tym człowiekiem, który - jak twierdzi Philippe Lavastine - z racji swej surowości w budzeniu świadomości (i swych wielkich wąsów) przypominał Bodhidharma, założyciela buddyzmu zen, dla niektórych po prostu był zbyt silny. Uciekali oni przed doświadczeniem, które mogło kryć w sobie ryzyko zakwestionowania wszystkich ich dotychczasowych wyobrażeń; takie wyznania czynili czasami później. Przeważnie jednak ludzie w ten sposób odstraszeni mieli po wsze czasy doś Gurdżijewa i przyczyniali się do przedstawiania jego satanicznych rysów.

W każdym razie z Gurdżijewem wiąże się dostatecznie wiele tajemnic i sprzeczności, aby unaocznić trudność oceny człowieka rozporządzającego rozszerzoną świadomością. Przynajmniej to ostatnie nie ulega tu kwestii.

Mimo że Gurdżijewowi wyśmienie się udało okryć zasłoną tajemnicy szczegóły swego doprawdy burzliwego życia, to jednak wiadomo, że na początku naszego stulecia pojechał do

Tybetu, po tym jak w 1896 r. został ranny w powstaniu greckich patriotów na Krecie przeciwko panowaniu tureckiemu. Na jego dzieciństwie i młodości odcisnęły swe piętno burzliwe wydarzenia i otoczenie, w którym przewijali się Turkmeni, Tatarzy, Ormianie, Irańczycy, Grecy i Rosjanie. Około dwudziestu lat wędrował przez środkową Azję, nawiedzając ezoterycznych nauczycieli, mędrców i tajne towarzystwa w poszukiwaniu sensu istnienia.

Niewątpliwie w trakcie tych poszukiwań nabył zdolności, które trudno określić inaczej niż jako magiczne; równie niewątpliwie jest to, że Gurdżijew zalicza się do świetnego kręgu najbardziej zagadkowych osobistości w dziejach. Może być stawiany na równi z Cagliostrem albo hrabią de Saint-Germain, o których jeszcze wspomnimy.

Gurdżijew był magiem i filozofem, hipnotyzerem i mistrzem ezoterycznym, pisarzem i artystą, charyzmatykiem i demonem - a prawdopodobnie na tym jeszcze nie koniec. Już tylko ta okoliczność, że Gurdżijew myślał po persku, opowiadał dowcipy po rosyjsku, a zdarzenia relacjonował po angielsku, wystarczała, aby większość ludzi wprawić w szalony zamęt. A nierzadko w panikę.

Sam jego dorobek literacki jest fascynujący. Został on spisany w okresie międzywojennym, jednak za życia Gurdżijewa był prezentowany wyłącznie w czasie odczytów wygłaszanych przed ekskluzywną publicznością, i dziś istnieje jedynie w przekładach, ponieważ oryginalne rękopisy w języku rosyjskim i ormiańskim nigdy nie doczekały się publikacji.

Krytyk Frederic Moreau pisze: „Dzieło Gurdżijewa trudno zaliczyć do określonej kategorii, moralnej, filozoficznej albo literackiej, ono obejmuje wszystkie te trzy dziedziny [...] W sumie jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju, coś na kształt monstrum filozoficznego”.

Trudno byłoby lepiej ująć ten dylemat, z którym się wciąż stykamy przy ocenie magów, okultystów i nadludzi; wróćmy jednak do faktów.

Powróciwszy na zachód, Gurdżijew założył w Fontainebleau pod Paryżem Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, na temat którego krążyły sprzeczne opinie. Wielu się nim zachwycało, ukończywszy kursy Gurdżijewa jako nowi ludzie; inni jednak stali się wrakami. Ten fenomen można obserwować także w naszych czasach u ludzi podejmujących „próby odnalezienia samego siebie” i temu podobne. Wszystko chyba zależy od tego, kto czego próbuje.

Wraz ze swoim współpracownikiem, przyrodnikiem, dziennikarzem i pisarzem Piotrem Demianowiczem Uspieńskim, Gurdżijew w każdym razie dostarczał dzięki swej szkole tematu do rozmów, który zachował świeżość do dziś.

W 1920 r. był w Niemczech, gdzie łączono go z Towarzystwem Thule Karla Haushofera, osławionym przez późniejsze członkostwo w nim Hitlera, Himmlera, Goringa i ideologa partii hitlerowskiej Alfreda Rosenberga. O co jednak trudno obwiniać Gurdżijewa, nawet gdyby istniał ów domniemany związek.

Nauki Gurdżijewa łączyły w sobie grecko-prawosławny reżim klasztorny, sufizm, kosmologię kabalistyczną, myśl neoplatońską, mistykę liczb, buddyzm, psychologię i wiele innych elementów, które trzeba by było wyodrębnić (o ile to w ogóle możliwe).

Praktyczna strona jego działalności polegała na ćwiczeniach psychologicznych w formie rytmicznych tańców i rytuałów ruchowych. Ten przypuszczalnie prastary, choć robiący wrażenie ultranowoczesnego system - bardzo skuteczny - ma również w naszych czasach wielu zwolenników, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii.

Gurdżijew sam określał swój system nie jako mozaikę, ale niepodzielną całość. Skojarzenia ideowe z najnowszymi odkryciami przyrodznawstwa, o których już wspominaliśmy, ponieważ odzwierciedla się w nich podstawowa idea ezoteryczna całości uniwersalnej, są dopuszczalne, jeśli wręcz nie oczywiste.

W każdym razie zajmowanie się życiem G.I. Gurdżijewa podobnie jak jego wieloaspektową spuścizną literacko-filozoficzno-kosmologiczną pokazuje, że ze skomplikowanego, wielowarstwowego źródła można wprawdzie wydobyć różne sprawy, jednak zawsze tylko takie, które są znane nam samym.

Tak więc znowu jesteśmy przy problematyce obiektywnej oceny. Mimo wszystko aura Gurdżijewa i jego tytaniczna, na swoje czasy ledwo zrozumiała wiedza przyciągały osobistości tej rangi co Aldous Huxley, J. G. Bennet (fizyk, uczeń Einsteina), Arthur Koestler albo A. G. Orage (słynny angielski krytyk literacki).

Zasadnicza teza Gurdżijewa, jakoby istoty ludzkie były „śpiącymi maszynami”, kryje w sobie prawdopodobnie głębsze przemyślenie, niż można przypuszczać w pierwszej chwili. Istotnie, twierdzenie ezoteryczno-mistyczne, że nasza świadomość na jawie nie jest niczym innym niż permanentnym stanem transu, z którego tylko nieliczni kiedykolwiek się budzą, pokrywa się z wnioskami badań nad mózgiem, rozumieniem psychologii i neurofizjologii.

Z którejkolwiek strony będziemy rozpatrywać tego dziwnego człowieka i jego nie mniej dziwne dzieło - i jedno, i drugie wymyka się skatalogowaniu. Można łatwo zbyć Gurdżijewa jako szarlatana, jednak nie byłoby to słuszne. Zbyt wiele dowodów świadczy o jego nadzwyczajności. Podobnie można powiedzieć o jego działalności literackiej i scholastycznej.

Pozostaje właściwie tylko takie wyjście, aby uznać wprawdzie jego ezoteryczne zdolności, ale zarazem napiętnować jego samego za ich nadużycie. Wyjście takie jest jednak możliwe tylko wówczas, gdy pilnie baczymy, by nie zsunęły się nam klapki z oczu i aby nasz kąt widzenia pozostał ograniczony.

Następujący epizod zademonstruje, że Gurdżijew nie wykorzystywał swoich talentów wyłącznie do tego, by telepatycznie pobudzać seksualne receptory atrakcyjnych autorek, co widocznie stało się wtedy w restauracji (jeśli nawet być może nie było to aż tak zamierzone, jak to odczuwała znana ze skrajnej wrażliwości na takie bodźce młoda kobieta).

Przeżycie Amerykanina Fritza Petersa w związku z Gurdżijewem w 1945 r. w Paryżu należy do innej kategorii. Do tego chodziło tu o proces świadomy, zamierzony, celowy i niemożliwy do błędnego zinterpretowania.

Peters, zdemobilizowany żołnierz, przyszedł do słynnego emigranta rosyjskiego, którego znał z dawnych czasów, i o którego zdumiewającej karierze oczywiście wiedział, aby prosić go o pomoc. Amerykanin nie mógł przezwyciężyć grozy i psychicznego ciężaru przeżyć frontowych. Czuł się pusty, wypalony, skończony.

Bliski wewnętrznego załamania odwiedził Gurdżijewa i poprosił o aspirynę, jednak jej nie otrzymał. Gurdżijew zabrał się do parzenia kawy na oczach całkowicie roztrzęsionego żołnierza, który opadł na fotel w kuchni. Potem odwrócił się i skierował wzrok na Petersa, w którym dokonana się zdumiewająca przemiana. Jak gdyby został włączony do niewidzialnego gniazdka, poczuł przypływ energii, której nigdy nie uważałby za możliwą. Zmęczenie opadło z niego jak płaszcz, przestał się czuć wyjałowiony, przygnębiony i zrozpaczony. Po kilku minutach był całkowicie nowym człowiekiem, wypełnionym radością życia i wewnętrzną siłą, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał, nawet w swoich najszcześniejszych chwilach.

Odtąd Peters zaklinał się na wszystkie świętości, że jego dawny przyjaciel z czasów młodości posiada umiejętność bezpośredniego przelewania energii z człowieka na człowieka. Przypominał sobie nawet, że w ciągu tych kilku minut w kuchni od Gurdżijewa wychodziło intensywne niebieskie światło.

Jeśli nawet zmysły Amerykanina być może w tym punkcie splątały mu psikus, to sukces pozostaje niezaprzeczalny. Godne uwagi jest także działanie terapii na samego Gurdżijewa. Peters opisuje, że Rosjanin w czasie „przesyłania energii” stopniowo zapadał się w sobie, a pierwsze oznaki lekkiego zmęczenia narastały aż do zupełnego wyczerpania. Peters nigdy przedtem nie widział człowieka, który by robił wrażenie tak wyczerpanego, jak Gurdżijew na koniec tego zdumiewającego procesu.

Amerykanin miał wrażenie, że ubytek sił u Gurdżijewa przebiegał równoległe do jego własnego ożywienia, i chyba tak też było w istocie. Kiedy proces ten się zakończył, Gurdżijew powiedział z trudem: „Teraz wszystko z pa-nem w porządku... Proszę uważać na to, co pan je... Muszę iść...” I wytoczył się z pokoju. Po kwadransie wrócił, znowu pełen energii. Robił wrażenie młodzieńcze, był żwawy, pełen sił i w dobrym humorze. Z uśmiechem powiedział: „Dobrze, że się spotkaliśmy...”

Fritz Peters nigdy nie mógł zapomnieć tego przeżycia i zawsze wyrażał przekonanie, że Gurdżijew jest nie tylko człowiekiem o zdolnościach magicznych, ale że używa ich dla dobra swoich bliźnich dosłownie „kosztem siebie”.

W tym przekonaniu nie był odosobniony, nie jest także i dzisiaj.

Gurdżijew, który w owych czasach dobiegał już siedemdziesiątki, emanował wprawdzie wyniosłością starca, ale zarazem miał zwinność szermierza. Wielu z tych, którzy go wówczas znali, tak właśnie go opisuje.

Tyle na temat tej znaczącej osobistości, odległej od codzienności, przeciętności i nie poddającej się ocenie.

Aleister Crowley i Georg Iwanowicz Gurdżijew są (świadomie prowokująco dobranymi) wzorcowymi przykładami trudności w zaklasyfikowaniu wybitnych indywidualności posiadających jednoznacznie ezoteryczną wiedzę.

Mimo że obaj żyli w naszym stuleciu, ich działalność jest znana i udokumentowana, a obaj też wiele publikowali, brak jest jednomyślnego poglądu na ich temat. To i tylko to jest sednem sprawy. Jeśli się zmusimy do największego obiektywizmu, jaki tylko jest możliwy, przezwyciężając już niemal siebie, to zapewne przyjdzie przyznać, że nasze kryteria pod jakimś względem zawsze będą niedostateczne. To, co według nas zasługuje na potępienie, nie

musi być takie z innego punktu widzenia - i na odwrót. Zgodnie z teorią informacji część systemu ani nie może poznać całego systemu, ani się od niego odłączyć. „Prawdziwi” ezoterycy - do których chcemy zaliczyć wymienionych - znajdują się bez wątpienia poza naszym systemem, choć ten wniosek nie ma oznaczać ani zgody na nieograniczone stosowanie wszelkich możliwych sił, ani służyć obronie Crowleya, Gurdżijewa i innych.

Nasze wystąpienie jest jedynie skierowane przeciwko skłonności do zaszufadkowania osób, o których wiemy coś konkretnego (albo coś, co za konkretne uważamy).

Jeśli cofniemy się dalej od naszych czasów w przeszłość ezoteryki, to pokusa ta osłabnie, gdyż posiadane informacje nabiorą bardziej legendarnego charakteru.

Wyłoni się jednak inna pokusa, by je wszystkie razem wygnać w krainę mitu. Jej także nie powinniśmy ulegać.

Przedtem jednak przedstawimy jeszcze dwie osobistości ezoteryczne z pogranicza legendarnej przeszłości i trzeźwej teraźniejszości. Obu nie można odmówić aury misterium, tak samo jak Crowleyowi czy Gurdżijewowi, tyle że nie kojarzy się ich głównie z demonizmem seksualnym, jak wyżej wymienionych.

Skoro pierwszeństwo należy się damom, obiektem naszej uwagi niech będzie

Madame Bławatska

(Helena Pietrowna von Hahn)

Zimą 1941 r. wydawało się, że panowanie swastyki nad Europą jest nieodwołalne. Teraz nadchodziła kolej Rosji, a resztę świata, jak się zdawało, czekał nie lepszy los. Na terenie już obecnie wielkiego i jeszcze niepowstrzymanie rozrastającego się hitlerowskiego imperium wdrażano liczne programy mające na celu eliminację „bezwartościowego” życia. Należało oczyścić przestrzeń dla ekspansji własnej „rasy panów” jak również - co trzymano jeszcze w tajemnicy, choć było to żelazną doktryną - dla „nadludzi i boskich królów z dalekiego Agartha”, którzy mieli zstąpić na ziemię po „ostatecznym zwycięstwie”. SS-Stabsführer Otto Ohlendorff, kierownik centralnego wydziału II Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i grupy operacyjnej D, nie tylko brał to zadanie na serio, ale realizował je z gorliwością, która budziła uznanie nawet u jego bezwzględnych przełożonych i kolegów. Heinrich Himmler nazywał byłego adwokata Ohlendorffa rycerzem św. Graala w NSDAP.

Posiadacz tego, nawet w III Rzeszy nieco egzotycznego tytułu honorowego był niewątpliwie intelektualistą. Równie niewątpliwe jest to, że zaliczał się do grona zwolenników Madame Bławatskiej, a ściślej, jej teozoficznej nauki. Choć ta nauka od 1937 r. była oficjalnie popierana w hitlerowskich Niemczech, fanatyzm Ohlendorffa przybierał takie rozmiary, że budził zdziwienie nawet wśród prominentów SS. Zwłaszcza SS-Generalleutnant Heinrich Miiller (Miiller z gestapo), któremu trudno byłoby zarzucić nadmiar wrażliwości, okazywał troskę z tego powodu.

Cóż więc mogło fascynować kogoś o wysokim wykształceniu i umyśle całkowicie zainfekowanym bakcylem hitleryzmu w teoriach ezoterycznych kobiety zmarłej w 1891 r. w

Londynie -która zapewne nie zaprzętała sobie głowy czymś takim jak higiena rasy i ludobójstwo? Pouczające będzie prześledzenie tej kwestii jak również dróg życia tej wywołującej dziś podobnie jak za życia dyskusje rosyjskiej awanturnicy (jak sądzą niektórzy) czy też ezoteryczki, okultystki i filozofa (według innych).

Urodzona w 1831 r. w Jekaterynosławiu na Ukrainie miała od wczesnego dzieciństwa talenty medium. Jak informują biografowie, zawsze otaczały ją spirytystyczne fenomeny.

Skończywszy ledwie siedemnaście lat, zaślubiła w Tyflisie rosyjskiego generała N.W. Bławatskiego, mocno dojrzałego mężczyznę liczącego sobie, jak mówią, siedemdziesiąt wiosen. Małżeństwo to chyba nie całkiem dobrowolnie doszło do skutku, gdyż po niewielu miesiącach młoda żona uciekła od swego tak doświadczonego małżonka. W przebraniu marynarza udała się do Konstantynopola, gdzie jej ślad ginie aż do roku 1873. Posiadamy jedynie fragmentaryczne informacje, że Helena w Turcji poznała rosyjską hrabinę Kisielewą i towarzyszyła jej w podróżach po Bałkanach, do Grecji i Egiptu. W Kairze Helena Bławatska zetknęła się z koptyjskim magiem Paulem Metamonem.

Po kilku miesiącach studiów kontynuowała swoją wieloletnią odyseję z kraju do kraju i z kontynentu na kontynent. Kilkakrotnie próbowała dostać się do Tybetu, kraju, który także i dzisiaj jeszcze wywiera ogromny wpływ na ezoteryków (albo ludzi, którzy się za nich uważają), zawróciły ją jednak władze brytyjskie. Nadal nie ma jedności co do tego, czy ostatecznie powiodła się jej jedna z prób przedostania się do Tybetu w przebraniu.

Niejasności, ciemne plamy i sprzeczności rzucają cień na jej biografię do roku 1873, w którym - jak twierdzi większość komentatorów - zaczęła się właściwa historia teozofii i Towarzystwa Teozoficznego.

Helena Bławatska opuściła więc Stary Świat, który tak długo i tak krętymi ścieżkami przemierzała, i 7 lipca 1873 r. przybyła do Ameryki. Już w następnym roku została przyjęta do grona skupionego wokół braci Eddy (rodzinie Eddy przypisuje się założycielstwo nowoczesnego spirytyzmu).

Członek tej grupy, dziennikarz Henry Steel Olcott, był pod tak wielkim wrażeniem medialnych zdolności Heleny, że wprowadził ją do środków masowego przekazu, a później wraz z nią założył odrębne koło spirytystyczne pod chwytliwą nazwą Miracle Club. W 1875 r. ów „klub cudów” przekształcił się w Towarzystwo Teozoficzne.

Jego celem nie był już czysty spirytyzm i dramatyczne seanse, ale badanie wszelkich nauk i praktyk magicznych.

W 1877 r. Helena Bławatska wystąpiła publicznie z książką o 1300 stronach *Isis Unveiled*, którą można traktować jako pierwszą próbę wzięcia w obronę starych religii przed obiegowymi przesadami i oddzielenia ziarna od plew, a więc odróżnienia rzeczywistej religii od kuglarstwa. Krytycy wskazywali na niechętną postawę

Heleny Bławatskiej wobec chrześcijaństwa, jak również klasycznej nauki i nie mogli zaakceptować reprezentowanego przez nią ujęcia reinkarnacji, dalekiego od wszelkich obiegowych doktryn. W jej pismach napotyka się również wszędzie nieortodoksyjne traktowanie twierdzeń ezoterycznych - na przykład Madame Bławatska uznawała trojką

zasadę (konstytucji) świata, gdy w okultyzmie prawie wszędzie jest mowa o siedmiokrotnej zasadzie - jednak w tej dziedzinie zapewne prawie nie ma jednoznacznych kryteriów.

Tymczasem wokół jej osoby i działalności wybuchło takie zamieszanie, że razem z Olcottem uciekła do Indii, gdzie w 1879 r. przeszli na buddyzm.

W następnych latach Madame Bławatska pojechała do Niemiec. Tam w 1884 r. doszło do utworzenia pierwszego niemieckiego Towarzystwa Teozoficznego. Równocześnie zaczęła pisać swoje główne dzieło *The Secret Doctrine*. Zmarła niewiele lat później - w 1891 r.

Ten zwięzły życiorys niezwyklej kobiety przypomina raczej życie sław kabaretowych a la Houdini niż tajemniczej osobistości, która miała pozostawać w łączności z „mistrzami świata”. Jeśli jednak sięgnąć głębiej, to ten stereotypowy pogląd co najmniej ulegnie zachwianiu. W tym celu trzeba poznać jądro filozofii albo nauki Madame Bławatskiej.

Nauki, która np. SS-Stabsführera Ohlendorffa dopingowała do jeszcze krwawszych „dokonań”, ale jednocześnie do głębi zachwycała takich ludzi jak irlandzki poeta, dramaturg, bojownik o wolność i laureat Nagrody Nobla William Butler Yeats (Yeats przystąpił do Towarzystwa Teozoficznego w momencie, w którym reputacja Madame Bławatskiej była najbardziej nadszarpnięta na skutek ataków ze strony Society for Psychical Research).

A więc najpierw ona sama twierdziła zawsze, że przekazywane przez nią myśli dotarły do niej z ukrytego źródła, a ściślej biorąc, zostały jej podyktowane, podobnie jak znany na całym świecie materiał Seta, o którym pisałem szczegółowo w mojej książce *Niewytłumaczalne zjawiska*. Co się tyczy Madame Bławatskiej, to mówi ona o skarbnicy prastarej wiedzy, strzeżonej przez tajnych mistrzów (Mahatmów) w Himalajach, którą odsłaniają oni tylko selektywnie i w niewielkich dawkach. Takim częściowym ujawnieniem są, zdaniem Towarzystwa Teozoficznego, np. *The Mahatma Letters to A.P. Sinnet* (wyd. A.T. Barker, Theosophical Publishing House, Londyn 1932) - i oczywiście *The Secret Doctrine* samej Madame Bławatskiej.

Zdaniem „oświeconych” ludzi o żadnym odsłonięciu nie może tu być mowy, ale co najwyżej o myśleniu życzeniowym. Ludzie zawsze tęsknili za mistrzem albo guru, który jako najwyższa instancja nadałby sens chaosowi życia. Jeśli należał - jak Mahatmowie z Tybetu - do Kumarów (wg Alice Bailey najwyższych, świadomych istot pełnych „niebiańskiej czystości”), tym lepiej.

Już Platon mówi w swoim *Państwie* o mądrych, boskich królach, którzy mając wgląd w istotę spraw, mogą poznać „rzecz samą w sobie” i odpowiednio zdecydować. Tego pragnienia nie zdołał zniweczyć żaden dyktator ani żadne odkrycie naukowe (nawet wnioski nowej fizyki, że nikt nie może poznać „rzeczy samej w sobie”). Nasuwa się rozsądna i konieczna teza o poszukującym duchu człowieka, który sam tworzy swoich mistrzów, guru lub bogów. Czyni ona z teozofii wehikuł, który jedynie przetransportował na zachód starą wschodnią ideę okultystycznego mistrza. Niestety, wielka tragedia nauki, jak słusznie zauważył angielski biolog, zoolog i anatom Thomas Henry Huxley (1825-1895), polega na tym, że piękne hipotezy są unicestwiane przez brzydkie fakty. Dotyczy to nie tylko przyrodoznawstwa.

Takim brzydkim faktem jest w danym przypadku okoliczność, że stale ludzie jakąś drogą dochodzą do tajnej wiedzy - która przecież ma istnieć jedynie w naszych życzeniach - i mogą się poszczycić namacalnymi rezultatami.

Szczególnie dobitnym przykładem jest znany nam już Gurdżijew. W książce wydanej w 1968 r. *Secret Talks with Mr. G.* (Institution for the Development of Harmonious Human Beings Publishers, Nevada, USA) przedstawiono drobiazgowo, jak Gurdżijew szukał zasad „obiektywnej magii”, faktycznie znalazł źródła wiedzy ezoterycznej i przez to już w młodych latach wykształcił te siły, których mu dziś nie odmawiają nawet skrajni sceptycy: między innymi telepatię, hipnozę, psychometrię (zdolność odczytywania duchem „wspomnień” przedmiotów martwych, o której więcej piszę w książce *Niewytłumaczalne zjawiska*) i wiele innych. Nie inaczej opisuje swój rozwój sam Gurdżijew w tej książce i w swoim własnym monumentalnym dziele.

Na uwagę zasługuje fakt, że Gurdżijew na przykład swoją metodę rytmicznego tańca opracował na wzór pewnego aparatu ezoterycznego, który odkrył w turkiestańskim klasztorze. Była to siedmioramienna kolumna, której ramiona wyciągnięte w bok miały po siedem przegubów. Przyrząd ten o podstawie w formie trójnogu byłby na miejscu w każdej izbie tortur; jego zadaniem zaś było unaocznianie kapłankom postawy ciała przy świętych tańcach. Mechaniczna kolumna była stara, a zawarta w niej wiedza jeszcze starsza, jej działania jednak nie nadwerzężył ząb czasu. Co Gurdżijew demonstrował praktycznie.

Wracając do Mahatmów Madame Bławatskiej, to z punktu widzenia zdrowego rozsądku musieli być urojeniem, istniejącym jedynie w mózgach mistyków wrogich temu światu. Jeśli tak, to „ukryci mistrzowie” (ani ich wiedza) nie mogli pozostawić żadnych śladów.

Jak się jednak zdaje, takie ślady istnieją, choć nasze ograniczenie sprawia, że aby je dostrzec, musimy nadziać się na nie nosem.

Zanim zapuścimy się w nęcący gąszcz teorii spisku światowego i przypiszemy z pewną ulgą niezrozumiałe zakręty historii ludzkości tajnym intrygom wolnomularzy, templariuszy, dziewięciu nieznanym, assasinów, Mahatmów i kogo tam jeszcze, powinniśmy nacisnąć hamulec. Wprawdzie na równie krwawy co absurdalny przebieg dziejów ludzkości składa się nieprzerwany ciąg skrajnie nieprawdopodobnych przypadków - można doprawdy powiedzieć, że ledwo jeszcze były możliwe - jednak tępota i brutalność gatunku *Homo sapiens* całkowicie wystarczają jako wyjaśnienie. Nie, nie potrzebujemy posuwać się za daleko.

Nam wystarczy prosta odpowiedź na nie całkiem proste pytanie: czy można z całą pewnością wykluczyć czysto teoretyczną szansę istnienia istot o poszerzonym horyzoncie i świadomości - przy czym nie ma tu mowy o deliriach LSD? A tym samym także istnienia wiedzy, która nie musi być większa od naszej znanej od dawna, ale po prostu tylko inna?

Wracamy więc do teozofii Madame Bławatskiej. Właściwie nie jest to całkiem jej teozofia, bo chodzi tu o prastare pojęcie filozofii mistycznej. Jest to słowo greckie i oznacza boską mądrość. Od „normalnej” mistyki teozofia różni się punktem widzenia, przy czym preferuje ona intuicję, fantazję i bezpośrednie przeżycie w stosunku do sposobu myślenia analityczno-logicznego. Tak więc korzenie teozofii znajdują się w starożytnym Oriencie. Nie będziemy szczegółowo omawiać rozwoju, rozpowszechnienia i odgałęzień myśli teozoficznej.

Poprzestaniemy na definicji Madame Bławatskiej.

W *Glossary of Theosophy* nazywa ją ona „...religią mądrości [...] podstawą i ekstraktem wszystkich religii i filozofii świata, nauczana i praktykowana przez niewielu wybranych,

odkąd człowiek zaczął myśleć". Tradycyjne definicje odrzuca jako nonsens, przypisując je niewiedzy, przesądom religijnym i zafalszowaniu prawdziwego ducha dawnych filozofów i wczesnych różokrzyżowców.

Obok tego nieortodoksyjnego ujęcia „nowa” teozofia Madame Bławatskiej żąda, aby nie tylko wierzyć, ale poznawać i myśleć (przez co w istocie zasadniczo się różni od „starej”).

Nie dość na tym, Rosjanka była przekonana, że w każdym człowieku tkwi dar jasnowidztwa i innych dokonań. Te ukryte zdolności można rozbudzać i ćwiczyć, dzięki czemu między innymi można byłoby też świadomie wejrzeć w świat niewidzialny.

Ta nowa, „nowoczesna” postać teozofii patronowała praktycznie wszystkim powstałym po 1875 r. systemom okultystycznym i ezoterycznym, jeśli nawet pojęcie teozofii częstokroć bywa dyskretnie przemilczane.

No dobrze, tradycyjne przekazy w nowej szacie nie są czymś aż tak nadzwyczajnym. W tym przypadku nadzwyczajny jest jednak sposób, w jaki doszło do tej odnowy.

Jak już wspomnieliśmy, kontrowersyjne wnioski i twierdzenia wysuwane przez Madame Bławatską, ale także jej niezaprzeczalne zdolności paranormalne pochodzą od wspomnianych nieśmiertelnych mistrzów, Mahatmów, których uczennicą (chela) została ona w Tybecie, jak sama twierdziła. Być może istnieją tu paralele z owymi tajemnymi nadludźmi, o których stale wspominali templariusze w XVIII w., a może i nie.

W każdym razie nowa teozofia miała zawierać wizję świata zapisaną w „najstarszej księdze świata” Dzyan, której treść Madame Bławatska poznała za pośrednictwem Mahatmów i przekazała ją w *The Secret Doctrine*, ściśle biorąc, sześć Cohans (strof) z Dzyan.

Rudolf Steiner, którego trudno posądzać o jakiegokolwiek powiązania z czarną magią (jego antropozofia uchodzi za ideę twórczą, pozytywną i zwróconą ku ludziom), powiedział w 1910 r. o księdze Dzyan: „Są takie części strof Dzyan, których jeszcze długo nie uda się w pełni zrozumieć, którymi jeszcze długo należy się żywić, należące do największych objawień w dziejach rozwoju ludzkości”.

Same Cohans nie są łatwe w odbiorze i również interpretacje Madame Bławatskiej wymagają koncentracji. Nie mniej rozwichrzone wydają się ewolucjonistyczne tezy o siedmiu rasach prehistorii, cyklach rozwojowych, nadludziach i rasach zwierzęcych z księgi Dzyan. Kolejną przeszkodą na drodze do poważnej oceny jest rola teozoficznej teorii ewolucji w rasistowskim szaleństwie III Rzeszy i ówczesnej „nauce państwowej”, lodowej kosmogonii Horbigera.

Niewątpliwie jest faktem dyskwalifikującym teozofię, że wśród siedmiu ezoterycznych ras pierwotnych na piątym miejscu wymienia się Aryjczyków, którym towarzyszy „niższa rasa” Semitów, również mająca piątą rangę. Fatalnie się to kojarzy z owymi dwunastu laty, których właściwie miało być tysiąc, kiedy takie tezy można było znaleźć w oficjalnej teorii rasy i narodu. Są zresztą także u Aleistera Crowleya, Rudolfa Steinera (1861-1925), okultystki i pisarki Dion Fortune (Violet Mary Firth, 1891-1946) i innych.

Jest oczywiste, że takie wyobrażenia pozwalają zbudować pozornie racjonalną podstawę dla ideologii o rasie panów i w konsekwencji dla masowego wyniszczania „niższych ras”, choć

trzeba zaznaczyć, że w myśli teozoficznej nigdzie nie znajdzie się wezwania do takich potworności.

Z tego punktu widzenia wiele ideologii, wierzeń, a nawet dyscyplin naukowych zawiera potencjał, który może być niewłaściwie zrozumiany albo - co gorsza - czynnie wprowadzony w życie ogniem i mieczem przez fanatyków, szaleńców, sprowadzonych na manowce, sadystów i inne jeszcze odmiany człowieka. Wystarczy choćby wspomnieć krwawe ślady, jakie pozostawiły po sobie w dziejach na przykład niektóre prądy religijne.

Helena Bławatska miała, jak się zdaje, świadomość tego zagrożenia, gdyż stale wyrażała pogląd, iż praktyczny okultyzm nie powinien być szeroko dostępny, aby nie przygotowani nie byli wystawieni na pokusę sprawowania władzy nad innymi ludźmi.

W tym miejscu wydaje się wskazana chwila wytchnienia. Omawiając z pewnością niecodzienną osobę Heleny Bławatskiej, niepostrzeżenie dostaliśmy się w otchłań dziwnych teorii, wypaczonych poglądów na ewolucję człowieka, projekcji freudystowskich aż do potworności z niezbyt odległej przeszłości. Czy my w ogóle jeszcze mówimy na temat?

Sądzę, że tak.

Przypomnijmy sobie nic przewodnią, która ma łączyć różne aspekty wiedzy ezoterycznej. Jej początkiem były najbardziej znane ezoteryczne metody (od astrologii przez radiestezję po wróżbiarstwo). Szybko się przy tym okazało, że w gruncie rzeczy istnieje tylko jeden punkt zasadniczy, którym jest człowiek. Na istotę wiedzy ezoterycznej składają się jego nie zbadane zdolności i jego utajony dar wchodzenia w interakcję z ukrytymi zasadami kosmicznymi.

Powstało więc pytanie o zakres naszych własnych ukrytych zdolności i o ich oddziaływanie na otoczenie.

Zapoznaliśmy się z dwiema zasadniczo różnymi kategoriami ludzi o nadzwyczajnych (można by też powiedzieć, paranormalnych) cechach: z jednej strony z talentami naturalnymi, których motywy były jasne, przekonujące i najgłębiej ludzkie, co pokazało niepojętą nadużywanie przez nich swoich zdolności; z drugiej z osobami poszukującymi wiedzy ezoterycznej. Tutaj sprawy nie przedstawiają się tak prosto.

Ocena jest trudna czy zgoła niemożliwa, granice między mistyką a szalbierstwem płynne, wyższa prawda nie daje się jasno oddzielić od wyższego nonsensu, a jeden punkt widzenia wydaje się wykluczać drugi, choć właśnie dualizm jest zasadniczą cechą wiedzy ezoterycznej (podobnie jak przyrodoznawstwa).

Pozwólmy zatem, aby życie i działalność tajemniczych osobowości z grona ezoteryków przemówiły same za siebie. Do tego tematu księga Dzyana należy tak samo jak tańce Gurdżijewa albo rozpusta Aleistera Crowleya. Żadna z przytoczonych biografii nie rości sobie pretensji do kompletności czy nieomyślności. Przeciwnicy mogą wysunąć taki czy inny zarzut, zwolennicy inaczej rozłożyć akcenty. Zdemaskowane oszustwa przeplatają się z niezaprzeczalnymi fenomenami paranormalnymi i ezoterycznymi, polityczne machinacje z okultystycznymi dogmatami - pole jest równie rozległe jak zwodnicze.

Kto bezrefleksyjnie przeżuwa obiegowe opinie, ten stąpa, takie jest moje osobiste zdanie, po kruchym lodzie. Kontrowersje należą do natury rzeczy. Gdyby ich nie było, nie mielibyśmy

do czynienia z magami, okultystami i nadludźmi albo też sławnymi osobistościami, które mimo wszystko były uważane za nadzwyczajne przez wielu ludzi - także tych o najwyższym wykształceniu i inteligencji (co trudno byłoby nazwać czymś codziennym).

Już tych kilka przykładów pokazuje, że nie powinno się bez namysłu zbywać wzruszeniem ramion ani Madame Bławatskiej, ani innych. Dzieje tak zwanej „rzeczowej” nauki dowodzą, że to, co zwariowane, często może być prawdziwe, jeśli nawet niekoniecznie każdy narwaniec musi być zaraz geniuszem. W każdym razie w wizji świata Madame Bławatskiej nie brakuje zwariowanych elementów. Pytanie tylko, czy są one faktycznie zwariowane, czy my je po prostu widzimy pod niewłaściwym kątem?

Na to pytanie nie możemy jeszcze odpowiedzieć nawet zdecydowanym „być może”. Mimo to trzeba było je zadać, jeśli nawet na razie zawisło w powietrzu. Wrócimy do niego, kiedy w czwartej części książki, zatytułowanej Wiedza ezoteryczna w zwierciadle nauki, podejmiemy odważną próbę spojrzenia na ezoteryczne prawdy i odkrycia z doprawdy nieortodoksyjnego (jak na wiedzę ezoteryczną) punktu widzenia (dla „poważnej” nauki stanowi on prawie kamień obrazy...). Wytropimy przy tym dalsze interesujące związki, na razie jednak cierpliwości. Poprzestaśmy na stwierdzeniu, że naprawdę nie odbiegliliśmy od tematu. Przewija się przed nami w dalszym ciągu kalejdoskop zagadkowych - albo co najmniej kontrowersyjnych - postaci ezoteryków i okultystów, których tajne odkrycia, mistyczna wiedza i siła ducha są przedmiotem dyskusji. Zanim zanurzymy się w pomroce dziejów, skierujemy jeszcze światło rampy na drugą wspomnianą osobistość z przełomu wieków.

Fulcanelli (Jean-Julien Champagne?)

Mimo że oficjalne źródła podają daty jego życia na 1877-1932, a grób jego można znaleźć na paryskim cmentarzu Arnomeille les Gonesse, stale krążą pogłoski, że go tam nie ma. Słynny alchemik i pisarz ezoteryczny, w którego gronie uczniów byli między innymi równie renomowani ezoterycy francuscy Eugene Canseliet i Jules Boucher, podobno nie leży na wymienionym cmentarzu, ani na żadnym innym, a to z bardzo prostego powodu: ponieważ jest nieśmiertelny, jak twierdzi wielu. Nawiasem mówiąc, nie jedyny to taki ezoteryk.

Louis Pauwels i Jacques Bergier reprezentują pogląd, że jego tożsamość na zawsze pozostanie zagadką. I co o tym wszystkim myśleć?

Jeśli przyjąć, że poszlakami wskazującymi na nieśmiertelność jest lekki bzik, niekonwencjonalne zachowanie i egzotyczna powierzchowność (podobne cechy można odkryć także u innych „nieśmiertelnych”), to wówczas Fulcanelli/Champagne mógłby przejść do następnego etapu eliminacji.

Kazał on wszak swoim uczniom brać do łóżka wielkie worki z węglem, aby mogli zrozumieć prawdziwą naturę ognia. Można odkryć i inne ekscentryczności, które wyrwane z kontekstu robią raczej niepoważne wrażenie; powinniśmy jednak wystrzegać się - zwłaszcza w dziedzinie wiedzy ezoterycznej i okultyzmu - oceny choćby najdrobniejszego szczegółu w oderwaniu od całości.

Choć ujawniono jedynie małą część elementów puzzli, składających się na obraz Fulcanello, to już one dają do myślenia.

Podobnie jak całe jego dzieje, o ile w ogóle są znane - i jeśli kojarzy się z nimi właściwą osobę...

W latach dwudziestych w Paryżu pojawiło się dosłownie znikąd nazwisko Fulcanelli. Okultyści, ezoterycy i alchemicy oraz osoby zainteresowane tymi dziedzinami szeptały między sobą: „Jest wśród nas prawdziwy mistrz”.

W mieście zaczęło huczeć od pogłosek. Kim był ten tajemniczy człowiek, który miał posiadać kamień filozoficzny i eliksir młodości? Snuto domysły, że znajduje się on w otoczeniu bardzo wówczas znanego ezoteryka Eugene Canselieta. Podejrzenie padło na należącego do tamtejszej bohemy artystę Jeana-Juliena Champagne, który był o 22 lata starszy od Canselieta i mieszkał z nim w tym samym domu.

W różnych kręgach krążyły rozmaite wersje, ale tajny mistrz zachował swoje incognito.

Było tak do 1926 r, w którym to roku ukazała się książka *Le mystere de cathedrales*. Jej autorem był Fulcanelli. Wydana pierwotnie w luksusowym wydaniu w ograniczonej liczbie 300 egzemplarzy przez Jeana Schemita, Rue Lafitte 45, uchodzi dzisiaj za rzadkie fundamentalne dzieło na temat zagadek wielkich katedr, których budowniczym - podobnie jak sam Fulcanelli - jakby znikąd pojawili się na scenie świata. Przedmowę do tej książki napisał Eugene Canseliét, a 36 ilustracji było dziełem Jeana-Juliena Champagne. Zawołowane aluzje Canselieta zawarte w przedmowie, który wskazywał między innymi na fonetyczne pochodzenie alchemicznego nazwiska Fulcanelli od imion bogów Wulkana i Heliosa, na nowo rozпалиły dyskusję. Przypuszczano, że Fulcanelli jest potomkiem francuskiej dynastii Walezjuszy, którzy zajmowali się mistyką i magią. Wprawdzie od śmierci Henryka III w 1589 r. uważano ją za wygasłą, ale oczywiście nie może to dotyczyć kogoś, kto jest nieśmiertelny.

Rozpatrywano wielu kandydatów do roli Fulcanellego, odrzucając ich potem jednak. Byli wśród nich ezoteryczny księgarz i okultysta Pierre Dujols (on sam pisał pod pseudonimem Magophon), praktykujący alchemicy F. Jolivet Castellet i D. Jaubert, jak również występujący pod pseudonimami Auriger i Faugerons czy wreszcie pisarz J.H. Rosny starszy.

Najbardziej prawdopodobna jest i pozostaje kandydatura Jeana-Juliena Champagne. Jego artystyczna żyłka mogła go skłonić do studiowania sztuki katedr i interpretacji ich ukrytego ezoterycznego przesłania i symboliki. Sprzeciwia się temu jednak fakt, że Champagne miał opinię zarozumialca, pijaka i nie strudzonego żartownisia, którego trudno było posądzać o autorstwo równie rewolucyjnego co fundamentalnego dzieła *Le mystere de cathedrales*. Co gorsza, dyskwalifikowały go jego własne przechwałki, jakoby to on właśnie był Fulcanellim. Takie postępowanie było bowiem w jaskrawej sprzeczności z ezoterycznym i alchemicznym nakazem milczenia.

Co prawda, gdyby jednak faktycznie był Fulcanellim - w razie nieśmiertelności do dzisiaj - to owe przechwałki pozwoliłyby o wiele skuteczniej zachować jego tożsamość w tajemnicy niż jakiegokolwiek zaprzeczenia albo ponure milczenie w tej sprawie.

Jean-Julien Champagne zmarł na gangrenę w wieku 55 lat po wielu latach alkoholowych ekscesów. Na jego nagrobku widnieje napis: „Tu spoczywa Jean-Julien Champagne, apostoł nauk hermetycznych, 1877-1932”.

Jeśli tak jest istotnie, to trudno mu także przypisywać autorstwo dwutomowego dzieła *Les demeures philosophales*, które pod nazwiskiem Fulcanellogo ukazało się na trzy lata przed śmiercią Champagne.

Choroba, alkoholizm i permanentny upadek nie pozwoliłyby mu opracować tego dogłębnego studium specjalnych elementów architektonicznych (np. ornamentów stropowych) w domach i zamkach wznoszonych od XII do XV w., zawierającego gruntowną analizę zaszyfrowanej w nich wiedzy alchemicznej.

Tożsamość Fulcanellogo nie została ustalona do dzisiaj. Wiele osób, nawet w naszych czasach, twierdziło, że go spotkały, co by oznaczało, że osiągnął czcigodny wiek wynoszący niemal 130 lat (o ile to rzeczywiście Champagne i o ile jego data urodzenia odpowiada prawdzie).

Canseliet nieugięcie twierdził, że widział ostatni raz swojego mistrza Fulcanellogo w 1954 r. i że mimo swoich prawie 80 lat robił on wrażenie młodego człowieka. Istnieją informacje o podobnych spotkaniach, niektóre z nich są - łagodnie rzecz ujmując - dziwne...

Tak np. Jacques Bergier pisze o spotkaniu z pewnym niepokojącym nieznajomym, który go prosił o przekazanie pewnego ostrzeżenia fizykowi Andre Helbronnerowi. Bergier, który był wówczas asystentem Helbronnera, aż do swojej śmierci w 1979 r. wyrażał przekonanie, że ostrzegającym był Fulcanelli.

Okoliczności tego zdarzenia, które nastąpiło w paryskim laboratorium badań nad gazem, są niewytłumaczalne.

Nieznajomy ów prosił Bergiera, aby ostrzegł świat za pośrednictwem profesora Helbronnera przed niebezpieczeństwem, jakie niesie rozbicie uranu. Człowiek ten wydawał się posiadać zarówno prastarą wiedzę, jak znajomość energii jądrowej. Tę ostatnią dopiero po latach można było poddać weryfikacji, gdyż w momencie sformułowania przestrogi był dopiero rok 1937. Pierwiastek pluton został wyodrębniony dopiero w 1941 r. przez fizyka Glenna T. Seaborga w Berkeley-Institut (Kalifornia), a pierwsza bomba atomowa wybuchła w 1945 r. na pustyni w Nowym Meksyku.

Nieznajomy (Fulcanelli?) jednak już w 1937 r. znał pierwiastek 94, jak początkowo nazywano pluton, i wiedział, co można z nim zrobić.

Po zakończeniu wojny w 1945 r. raportem Bergiera z 1937 r. zajęła się OSS (Office for Strategic Services, organizacja wcześniejsza od CIA) i urządziła prawdziwe polowanie na Fulcanellogo. Obawiano się zdrady tajemnic atomowych „drugiej stronie”, tym bardziej że chodziło o osobę, która te tajemnice posiadała najwyraźniej już wówczas, kiedy się ich samemu jeszcze nie miało.

Nie udało się wpaść na trop Fulcanellogo.

Bergier miał pamięć fotograficzną i jego informacje były tak precyzyjne (mógł powtórzyć każde słowo), że naukowcy (i funkcjonariusze OSS) przeżuwali je długo i bezowocnie. W każdym razie żadnego oficjalnego stanowiska w tej sprawie nie podano do publicznej wiadomości.

Na entuzjastach science fiction być może zdarzenie to nie zrobi wielkiego wrażenia, ponieważ przypomina ono jeden z klasycznych przykładów świadczących o proroczej mocy tego gatunku literackiego.

W 1944 r. funkcjonariusze FBI przewrócili do góry nogami biuro J. W. Campbella juniora, naczelnego redaktora słynnego magazynu Astounding Science Fiction, ponieważ w jego piśmie ukazało się opowiadanie noszące znamiona „zdrady stanu”. Jego tytuł brzmiał Deadline, a autorem był pisarz science fiction Cleve Cartmill. Opisał on ni mniej ni więcej tylko bombę atomową, nad której wyprodukowaniem rząd USA majsterkował wówczas w najściślejszej tajemnicy w ramach znanego dziś projektu Manhattan. Mimo to można było w „Astounding” poznać szczegóły tej superbomby, której zdążyły jeszcze uniknąć hitlerowskie Niemcy, ale nie imperialna Japonia. Było jasne, że doszło do zdrady tajemnicy państwowej. Campbell i Cartmill zdołali jednak niezbitnie wykazać, że wszystkie ich informacje pochodziły z opublikowanych już wówczas naukowych artykułów na temat energii atomowej, a opowiadanie opierało się jedynie na zręcznej ekstrapolacji.

Amatorzy polowania na zdrajców musieli obejść się smakiem. Campbell nie dał urzędnikom rządowym nawet satysfakcji zakazania mu przynajmniej na przyszłość wszelkich publikacji na ten temat, argumentując, że nagle zapadnięcie milczenia byłoby jeszcze bardziej podejrzane i dopiero obudziłyby czujność wrogich agentów.

Czy ostrzeżenie Fulcanello nie mogłoby mieć podobnego wyjaśnienia?

Nie, gdyż rok 1937 to nie 1944. To, co mógł zrobić mający naukowe przygotowanie, inteligentny i pomysłowy pisarz science fiction na rok przed Hiroszimą i Nagasaki, siedem lat wcześniej było niepodobieństwem. Aby wówczas przepowiedzieć atomową burzę ogniową, trzeba było być jasnowidzem - albo posiadaczem nieznaną wiedzy...

Z jakiegokolwiek strony oglądać złudny obraz osoby Fulcanello i okoliczności jego sporadycznych pojawień się (którym nierzadko towarzyszyły niewiarygodne demonstracje alchemiczne), to w ostatecznym rezultacie wynika z tego więcej pytań niż odpowiedzi. Już tylko interpretacje jego dwóch dzieł *Le mystere de cathedrales* oraz *Les demeures philosophales* zapełniają całe biblioteki. W połączeniu z zagadką jego życia (które może jeszcze trwa, kto wie?) powstaje z tego gordyjski węzeł tropów, wskazówek, błędów, ślepych uliczek, fatamorgana i czego tam jeszcze. Jeśli nie mamy do czynienia z szalbierstwem o tytanicznych rozmiarach, które zasługiwałoby na osławione określenie „spisek światowy”, to pozostaje nam tylko osąd Louisa Pauwelsa i Jacquesa Bergiera: Fulcanelli jest zagadką.

I to w naszym stuleciu!

O ileż więc trudniejsza jest sprawa innego „nieśmiertelnego”, który mógłby być młodszym (o stulecia) bratem Fulcanello. Być może jest nim jeszcze.

Hrabia de Saint-Germain (Claude- Louis de Saint-Germain)

Jeśli wierzyć historiografom, ten alchemik, poeta, artysta, uniwersalny uczonek, wirtuoz języka, dyplomata - ale także awanturnik, szarlatan, szalbierz, oszust i temu podobne - zmarł w 1780 lub 1784 lub 1874 (!) roku albo...?

Mimo to dziesiątki lat później usiłowała go ująć komisja powołana przez Napoleona III (1808 - 1873); w 1897 r. słynna francuska śpiewaczka Emma Calve napisała mu osobistą dedykację na fotografii; a Madame Bławatska wielokrotnie mówiła o nim jako o jednym z ukrytych nieśmiertelnych mistrzów świata. Nie będziemy rozstrzygać kwestii, jak należy oceniać paryżanina Richarda Chanfray, który w 1972 wystąpił w telewizji francuskiej podając się za hrabiego de Saint-Germain i przemienił ołów w złoto za pomocą turystycznej kuchenki gazowej.

Historia życia hrabiego jest pod każdym względem zagadkowa, niezgłębiona i równie nieuchwytna jak powietrze.

Pierwsze wzmianki na temat człowieka, który sam o sobie mawiał, że od króla Cyrusa w Babilonie otrzymał magiczną laskę Mojżesza i stał się przez to jednym z nieśmiertelnych oświeconych, znane są od ok. 1740 r. Na wiedeńskim dworze w zblazowanym towarzystwie wysoko urodzonych tematu do rozmów dostarczał pewien młody szlachcic, który zamiast pieniędzy nosił zawsze przy sobie garść diamentów, chodził ubrany ekscentrycznie, ale ze smakiem, i roztaczał wokół siebie aurę tajemnicy. Podobnie było nieco później w Paryżu, gdzie zaczęła się jego legenda (o ile to jest rzeczywiście legenda).

Na wieczorku u niemłodej już hrabiny de Gregory, gdzie hrabia de Saint-Germain bawił jako gość, doszło do osobliwej rozmowy między nim a gospodynią.

„Hrabio - spytała owa dama - czy nie spotkaliśmy się już w Wenecji, gdzie mój nieboszczyk mąż był ambasadorem? A może to był pański ojciec?” „Nie – odparł hrabia de Saint-Germain. - Ja sam miałem ten zaszczyt, czcigodna hrabino. Pani uroda pozostawiła we mnie do dziś niezatarte wrażenie”.

Szarmancki komplement bynajmniej nie zwiódł bystrej starej damy ani jej pamięci, która jej podpowiadała, że tamten hrabia musiał mieć co najmniej czterdzieści lat, gdy ona była młodą dziewczyną.

W przeciwieństwie do niej, on nie postarzał się ani o jeden dzień.

„Jak to możliwe?” -zawołała stropiona hrabina. „Madame - powiedział z uśmiechem gość - ja już nie jestem taki młody”. (Ściśle biorąc, musiał mieć ponad sto lat, gdyż spotkanie na dworze w Wenecji nastąpiło około 1670 r.)

Takich historii jest całe mnóstwo. Oczywiście, to nie żadna sztuka opowiadać o sobie, szczególnie w dobrym towarzystwie minionych stuleci, że się ma 3000 lat, znało osobiście Poncjusza Piłata i dwunastu apostołów, kamień filozoficzny nosi w kieszeni, albo że się jest reinkarnacją Christiana Rosencreutza, pierwszego brytyjskiego męczennika św. Albana, czy Rogera albo Francisa Bacona (1214-1292 i 1561-1626).

Za daleko odbieglibyśmy od tematu, gdybyśmy chcieli relacjonować ze wszystkimi szczegółami całą tak fascynującą karierę egzotycznego hrabiego. Do jego znajomych zaliczali

się wszak Cagliostro, Casanova, dr Mesmer, Wolter i królowa Maria Antonina (którą ostrzegał przed rewolucją francuską), a i przeciwników nie potrzebował się wstydić.

W każdym razie obracał się stale w najwyższych kręgach, spełniając, co dowiedzione, liczne misje dyplomatyczne i polityczne, również sekretne, i pod każdym innym względem bynajmniej nie przypominał bogatego próżniaka skłonnego do spleenu.

Wszystko to jednak nie kwalifikuje go jeszcze do zaliczenia do hipotetycznych magów, okultystów czy nadludzi.

Inne cechy owszem. I tak hrabia mówił przynajmniej po francusku, angielsku, niemiecku, włosku, hiszpańsku, rosyjsku, portugalsku, arabsku, turecku, persku, chińsku, hindusku i w licznych starych językach, którymi władają jedynie eksperci. Posiadał wiedzę medyczną, jaka i dziś byłaby nie do pogardzenia (i często ją demonstrował), miał nie tylko orientację w dosłownie wszystkich naukach, ale znacznie wyprzedzał swoich współczesnych, grał na wielu instrumentach muzycznych, był świetnym jubilerem i złotnikiem rozporządzającym anachroniczną wiedzą o metalurgii (której nikt nie rozumiał), a także utalentowanym malarzem. Zajmował się ponadto wytwórstwem tkanin i porcelany. To imponujący bilans; sceptycy przypisują jego ogromne wiadomości całkiem po prostu „doświadczeniu”. Takiego doświadczenia jednak - chciałoby się odpowiedzieć - prawie nie sposób było zgromadzić w ciągu jednego tylko życia, przy pełnym przestrzeganiu dworskiej etykiety.

W każdym razie hrabia de Saint-Germain z całą pewnością nie pozorował niczego, i na to bowiem potrzeba by mu było dziesiątków (setek?) lat przygotowań. Informacje o jego pochodzeniu, wizji świata i wiedzy okultystycznej można wyłowić z jego słynnego dzieła *Die heiligste Trinosophie*, które uchodzi za jeden z najważniejszych przyczynków do mistycznej tradycji zachodu. Laik prawdopodobnie jest w stanie przyswoić sobie z tego jedynie okrucy, w porównaniu z całością obrazu.

W każdym razie hrabiego de Saint-Germain nie sposób zbyć kilkoma słowami ani zaszufladkować. Jego osobowość przybierająca coraz to nową postać wymyka się ostatecznej klasyfikacji (szczególnym żartem było składanie przezeń wizyt w jednym przebraniu, by opuściwszy towarzystwo, wchodzić po chwili innymi drzwiami w drugim przebraniu jako kto inny, tak że nikt go nie poznawał).

Czy był adeptem różokrzyżowców, masonem wysokiej rangi, kawalerem maltańskim, oświeconym i alchemikiem, czy wszystkim po trosze? Dokładnie nigdy się tego nie dowiemy. Czy fakt, że nigdy nie jadał w towarzystwie, był obliczony na efekt widowiskowy, wynikał z tajemnych przyczyn czy po prostu, jak sądzi Colin Wilson, z wegetarianizmu hrabiego? (W każdym razie pewnego razu powiedział on do Giacomo Casanovy: „Moje pożywienie nie nadaje się dla żadnego człowieka”.) Jak się zdaje, jest faktem, że postać hrabiego wciąż się przewija przez stulecia. Jest nie zmieniony, tajemniczy i zawsze o jeden krok wyprzedza epokę. Przepowiedział rewolucję francuską, ostrzegał króla Szwecji Gustawa III w 1789 r. przed nadchodzącym zagrożeniem, a kronikarce Mademoiselle d'Adhemar obiecał, że spotka się z nią jeszcze pięciokrotnie, co też nastąpiło. Ostatnie spotkanie miało miejsce w 1820 r. w noc poprzedzającą zamordowanie księcia de Berry. Także wówczas de Saint-Germain wyglądał na czterdzieści kilka lat. Dziwne to wszystko; z jakiegokolwiek punktu widzenia na to spojrzemy, jedynym „rozsądnym” wytłumaczeniem musiałoby być trwające setki lat sprzysiężenie albo żart wielu nieraz wysoko postawionych osób. Jedno jest pewne: nie da się go dla ułatwienia w całości racjonalnie zanegować.

Pozostawił bowiem ślady, nawet tam, gdzie by się ich nikt nie spodziewał. Na młodym Karolu Mayu osoba hrabiego de Saint-Germain wywarła tak głębokie wrażenie, że niektórymi z jego właściwości obdarzył wymyślone przez siebie postacie. Bezmiar talentów i zdolności Old Shatterhanda czy Kara Ben Nemsi nie przypadkiem odzwierciedla faktyczną uniwersalność hrabiego. Okoliczność, że saski literat u szczytu swej literackiej kariery z całą powagą utożsamiał się z postacią Old Shatterhanda i Kara Ben Nemsi, ilustruje znany w psychologii proces projekcji. Nie da się w każdym razie zaprzeczyć, że Karol May wnikliwie badał źródła na temat hrabiego de Saint-Germain. Inną wskazówką może być pseudonim Ernst von Linden, przybrany początkowo przez Karola Maya: baron tego nazwiska spotkał się niegdyś w Wiedniu z hrabią de Saint-Germain (można o tym przeczytać w książce Franza Graffera *Kleine Wiener Memoiren*, część II, Wiedeń 1845). Fakt, że Karol May w późniejszych latach odwrócił się od swojego podziwianego idola, a nowelę o hrabim Aqua benedetta (opublikowaną pierwotnie w drezdeńskim tygodniku „Frohe Stunden”) opatrzył nowym, mało pochlebnym tytułem *Ein Furst des Schwindels*, świadczy o tym, do jakiego stopnia intrygowała go ta tajemnicza postać. Badacze twórczości Karola Maya, jak wiedeńczyk Peter Krassa, dostrzegają w tym zwrocie próbę Karola Maya uwolnienia się od swojej własnej, niedawnej kryminalnej fazy w życiu i przewyciężenia jej także w literaturze.

Krótko mówiąc, mamy cały kalejdoskop opinii na temat człowieka, którego nawet (oficjalna) data urodzenia nie jest znana. Zazwyczaj wymienia się wprawdzie rok 1710, padają jednak także inne daty, jak np. 1707.

Jeśli nawet sam hrabia de Saint-Germain nie był nieśmiertelny, to w każdym razie jego mit nie poddaje się upływowi czasu. Tajemniczy człowiek zadrwił sobie ze swoich współczesnych, kazał potomnym łamać głowy nad własną zagadką, a w XX wieku wystąpił nawet w telewizji.

Mniej sprzeczności wiąże się z osobą współczesnego hrabiemu jego przyjaciela i ucznia, o którego oszustwach, awanturniczym trybie życia, a przede wszystkim śmierci mamy pewne informacje. Mimo to zasługuje on na wzmiankowanie.

Hrabia Cagliostro (Giuseppe Balsamo)

Awanturnik Balsamo-Cagliostro, chodzący po ziemi w latach 1743-1795, był niewątpliwie kryminalistą (także według obecnych kryteriów, a nie tylko osiemnastowiecznych, z epoki, w której zbrodnią zasługującą na śmierć była kradzież bochenka chleba przez głodnego).

Cagliostro był zamieszany w rozmaite szalbierstwa, które uprawiał rutynowo, oszukując arystokratów i bogatych mieszczan. Przez większą część swego życia uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, a zakończył je w lochach Castel San Leo koło Montefeltro. Oskarżony i skazany za wolnomularstwo i kacerstwo, ostatnie lata swego burzliwego życia przecierpiał w cuchnącym lochu, do którego każdy lokator wchodził tylko jeden jedyny raz przez otwór w suficie. Okrutną ironią losu było w jego przypadku to, że trafił tam za „przestępstwo”, które dziś nazwano by wolnomyślicielstwem, gdy tymczasem świeckie przewiny hrabiego także i w naszych czasach wystarczyłyby całkowicie, aby na przykład

przed sądem USA uzyskać jeden ze zwykłych tam oryginalnych wyroków „dwustu pięćdziesięciu lat więzienia i potrójnego dożywocia”.

Niewątpliwie był to przestępca, więc po co w ogóle brać go pod uwagę? Ponieważ był zamieszany w słynną polityczną aferę z naszyjnikiem królowej Marii Antoniny albo ponieważ zainspirował wielu poetów, wśród nich Dumasa i Goethego?

Nie, podobną sławą mógłby się poszczycić i Czyngis-chan czy Billy Kid. Cagliostro jest jednak kimś więcej niż tylko zwykłym oszustem, szarlatanem i złodziejem, któremu jego własny mit nadał demoniczne rysy, a pisarze zapewnili nieśmiertelność (przynajmniej w literaturze).

Z pozoru jest typowym przedstawicielem XVIII wieku: błyskotliwy, naiwnie przebiegły, chciwy i wspaniałomyślny, przesądny, mistyk i wizjoner. Idealny reprezentant dekadenceckiego społeczeństwa, a jednocześnie pasożyt na jego miarę. Potentaci władzy i pieniądza nie tylko szli na lep jego genialnych manipulacji, ale wręcz się o to prosili.

Jak dotąd wszystko wydaje się zwyczajne i „normalne”. Jednak niezupełnie tak było, obraz bowiem zakłóca element dziwaczności. Klimat epoki sprzyjał ekscesom, mistykom, oświeconym i dziwakom. Nie wolno im było jednak wprowadzać rzeczywistego zamętu do biegu spraw. Cagliostro naruszył tę regułę. Kiedy 14 listopada 1776 r. odbywało się ciągnięcie angielskiej loterii państwowej, był na nim obecny Cagliostro i szkocki arystokrata lord William Scott z żoną (w rzeczywistości „lord” był oszustem, a „mylady” jego kochanką Mary Fry, z którą miał troje nieślubnych dzieci).

Uczynny Cagliostro podał liczbę 20, na którą Scott postawił i wygrał. Trzy dni później Cagliostro wskazał inną szczęśliwą liczbę, która przyniosła „lordowi” pokaźną kwotę stu luidorów. Kolejne ciągnięcie odbyło się 18 listopada 1776 r. Tym razem przyjaciele przypuścili szturm na Cagliostra, który wymienił dwie liczby. Dzięki nim podupadły aktor Domenico Aurelio Vitellini, zubożała dama do towarzystwa Madame de Blevary i - notabene - „lord” i „lady” Scott wygrali mały majątek.

Taki „sabotaż” wobec uświęconej loterii królewskiej zawiódł Cagliostra do więzienia. Opuścił potem Anglię, by podróżować po świecie, i znalazł się we Francji, gdzie wywołał sensację swoimi niewytłumaczalnymi zdolnościami uzdrowicielskimi. Jego metoda fizycznej regeneracji człowieka zaskarbiła mu przyjaźń kardynała Rohana. Dostał się na dwór francuski, gdzie zastąpił słynnego, i dziś uznawanego magnetyzera i lekarza doktora Franza Antona Mesmera (1734-1815), twórcę mesmeryzmu.

W biografii Cagliostra można odkryć mnóstwo innych sprzeczności tego rodzaju - o ile chce się je odkryć. Drobnym, ale znamionym szczegółem jest to, że niechętni mu opisują Cagliostra jako pyszniącego się strojem, obwieszzonego biżuterią, przeważnie w trójgraniastym kapeluszu z piórami na głowie, natomiast przyjaciele i zwolennicy - równie jednogłośnie - mówią o jego prostym i naturalnym ubiorze. Ciem en te Vanetti zanotował w swoim dzienniku: „Jego (Cagliostra) strój był schludny, wszelako bez żadnego luksusu”. Podobnie bezsensowne sprzeczności charakteryzują różne wizerunki Cagliostra, czy to obrazy, sztychy, czy posągi. Jeśli się przyjrzeć popiersiu autorstwa Houdona z muzeum w Aix-en-Provence, wydrukowanemu w Londynie sztychowi Francesco Bartolozziego czy portretowi pędzla J.B. Chapuy, to nikomu nie przysłoby do głowy, że mogłyby one

przedstawiać jedną i tę samą osobę. Również w opisach występują skrajne rozbieżności, i to nie tylko w odniesieniu do stroju.

Cagliostro budzi wyłącznie skrajne odczucia: dla jednych był idolem, dla innych diabłem wcielonym. Między tymi dwiema skrajnościami nie było żadnych opinii pośrednich. Także i jemu samemu obce były półtony. Oszukiwał bez skrupułów, był jednak zarazem gotów do pomocy, szczerze rozdzielając rady, lekarstwa i pieniądze. W dodatku stronił od występku, co w rozpustnym wieku XVIII było wprost perwersją. Nawet najzagorzalsi wrogowie nic nie wspominają o jego miłostkach. Cagliostro pozostał wierny swojej żonie nawet wtedy, gdy przeszła na stronę jego oponentów.

Jest dowiedzione, że zakon kawalerów maltańskich wtajemniczył go w tajemnice św. Jana, objawienia Kabały i nauki okultystyczne. Zainicjowany przezeń w 1785 r. egipski rytuał wolnomularstwa jest praktykowany do dzisiaj (wywodzi się zeń rytuał Memfis-Misraim, którego wielkim mistrzem był także Rudolf Steiner). Rytuał ten podniósł liczbę stopni wyższych do dziewięćdziesięciu i pozwolił - zupełna nowość - na uczestnictwo także kobiet. Jedno jest pewne, że o nadzwyczajnych zdolnościach Cagliostroa jednogłośnie zaświadcniają przyjaciele i wrogowie.

Pozwólmy zatem hrabiemu Cagliostro dalej wędrować przez pełną zamęt, wątpliwą przeszłość, której w jego przypadku - w przeciwieństwie do jego mistrza, hrabiego de Saint-Germain - żaden most nie łączy z dniem dzisiejszym. Cagliostro jest i pozostanie martwy. Niech na nim zakończy się korowód hipotetycznych magów, okultystów lub nadludzi.

Może teraz paść zrozumiały zarzut, dlaczego podaliśmy tylko taki jednostronny wybór? Wymienione osoby są wprawdzie sławne, ale cieszą się złą sławą. Czy nie ma więcej ezoterycznych osobistości wysokiej rangi? A gdzie Hermes Trismegistos, Rudolf Steiner, Arthur Machen, Karl Haushofer, Mistrz Eckhardt, Dietrich Eckart i Friedrich Hielscher?..

Aby sprawiedliwości stało się zadość, na uwagę zasługiwaliby także tacy ludzie jak Paul Twitchell (1908-1971), amerykański założyciel nowoczesnego ruchu Eckankar (ECK), albo Samuel Lidell McGregor Mathers (1854-1918), który rzekomo otrzymał inspiracje dla swojej wiedzy okultystycznej od „ukrytych mistrzów” i nie przeżył spotkania z jednym z nich (według żony Mathersa), czy dr John Dee (1527-1608), jedyny mag nie posiadający sił okultystycznych.

Jest to słuszne, ale nie zbliża nas do celu. Nawet przedstawienie biografii wszystkich znanych ezoteryków nie pozwoliłoby na ostateczną ocenę ich działalności, zdolności, a przede wszystkim ich faktycznej wiedzy. Dlatego wybraliśmy drogę w przeciwnym kierunku. Poprosiliśmy na stanowisko diagnostyczne tych, którzy są znani (i budzą kontrowersje), na temat których istnieje obszerny materiał i których nazwiska i dzisiaj skutecznie rozpalają różnice zdań o wszelkich stopniach nasilenia. Dokonany wybór jest - już to powiedziałem - wyrywkowy, prowokacyjny, zawężony... ale i reprezentatywny. Podane życiorysy mogły być jedynie fragmentaryczne, a w poszczególnych punktach zasługiwać nawet na krytykę, jednak nie to jest istotne. Istotne było zastosowanie kryterium uwzględniającego nie tylko jedną stronę. O ile w ogóle istniała więcej niż jedna strona. Jestem przeświadczony, że to ostatnie możemy uznać za pewne. Nie dość na tym: w przypadku wszystkich naszych „kandydatów” istnieje uzasadnione przypuszczenie, że mają oni więcej stron. Sądzono, że o takich osobistościach jak rozpatrywane w gruncie rzeczy wiele wiadomo, a tymczasem...! No dobrze, ale co z tego wszystkiego wynika?

Czy oni są wśród nas?

Wróćmy jeszcze na krótko do korzeni. O ile na zachodzie od czasu oświecenia, rewolucji przemysłowej i technokratycznych orgazmów święci triumfy „racjonalność” tego, co poznawalne, która nam przyniosła zniszczenie środowiska i zdolność wielokrotnego unicestwienia życia na Ziemi, niedawno „zredukowaną” do możliwości zabicia jedynie 60 miliardów ludzi, to na wschodzie od tysiącleci panuje przekonanie, że wszystkie procesy na Ziemi podlegają kierownictwu na wyższej płaszczyźnie poznania.

Filozofia ta przybrała tam postać legendy, mówiącej, że rytmem przyływów i odpływów historii sterują istoty inteligentne, których najniższy szczebel („egzekutywa”) ma obowiązek sporadycznego kontaktowania się z ludzkością. Jeśli wziąć pod uwagę krwawe szaleństwo, charakteryzujące Homo sapiens i jego działalność, to również dla liberalnego człowieka cywilizowanego może nieść pewną pociechę wyobrażenie mądrego, choć nie zbadanego kierownictwa. Oprócz tego psychologicznie zrozumiałego aspektu sprawa ma jednak jeszcze inny, który się streszcza w pytaniu: czy coś w tym jest? Od nierównie krótszego czasu niż ludziom wschodu również i zachodniej mistyce nieobce są takie wyobrażenia, a przy krętych ścieżkach historii straszy wiedza tajemna, sekretne towarzystwa, inicjowani adepti, magowie i wtajemniczeni.

10 lutego 1969 r. w „London Evening News” ukazał się artykuł Do these Supermen Exist?, którego autor w ramach recenzji z książki przedstawił równie inteligentne jak zwięzłe podsumowanie materiałów dostępnych na zachodzie. Niewiele można do tego dodać także i dzisiaj, po upływie przeszło dwudziestu lat.

Przytoczymy pokrótce treść tego artykułu.

Od niepamiętnych czasów na wschodzie istnieje obiegowe wyobrażenie, że prawdziwe rządy nad światem sprawuje z ukrytego miejsca grupa mędrców, boskich królów albo mistrzów. Choć mówi się o kilku ośrodkach albo markas („domach siły”), to jednak najważniejszą rolę odgrywa ośrodek położony na wyżynach środkowej Azji, a ściślej w Tybecie.

Ta obfitująca w szczegóły legenda dotarła na zachód w czasie wypraw krzyżowych. Odnowili ją różokrzyżowcy w 1614 r., a w czasach nowożytnych tchnęli w nią nowe życie tacy ludzie jak Madame Bławatska, francuski dyplomata Louis Jacolliot, angielski pisarz Talbot Mundy (autor The Nine Unknown) czy podróżujący po Mongolii Ferdynand Antoni Ossendowski.

(Także w norymberskich procesach zbrodniarzy wo-jennych była mowa o takich ośrodkach w związku z osławionym „dziedzictwem przodków”. Wymieniano takie nazwy jak Shambala, Agartha, Shangri La, jednak nie przyjęto ich do wiadomości, a później je zbagatelizowano, pominięto albo po prostu przypisano szaleństwu kierowniczych osobistości ponurej sławy urzędu do spraw badań. Uwaga autora.)

Wracając do artykułu:

We wspomnianych ośrodkach działają ludzie, których rozwój mógł przewyższyć znacznie każdą normalną płaszczyznę. Są oni namiestnikami potęg niedostępnych ludzkiej zdolności pojmowania.

Przy pomocy emisariuszy, którzy mieszają się z ludźmi, podejmują oni interwencje w dzieje świata oraz bez zwracania uwagi, ale konsekwentnie pracują nad Wielkim Dziełem (Magnum Opus), którego naturę można w najlepszym razie tylko w ogólnych zarysach przeczuwać, o ile to w ogóle możliwe. Jest oczywiste, że chodzi tu o pewien rodzaj ewolucji, która jednak niewiele ma wspólnego ze znanym nam pojęciem.

Po oddaniu sprawiedliwości licznym publikacjom na ten temat, wydawanym na przestrzeni stuleci aż do czasów obecnych, autor artykułu dochodzi do wniosku, że z owego odległego i tajemniczego źródła płynie nieprzerwany strumień impulsów, które wywarły swój wpływ na rzeczy dobrze nam znane albo je zainicjowały. Kilka nie uporządkowanych przykładów: poezja arabska, ponowne ożywienie kultury po Czyngis-chanie, sztuka trubadurów, renesans i masoneria, kościelne zakony i wysoka kultura Saracenów; ba, nawet pojawienie się Jokera w naszych kartach do gry ma się wywodzić z hipotetycznych mistycznych źródeł.

Przy intensywnym badaniu okaże się, że wyobrażenia zawarte w psychologii Junga i Freuda pojawiły się już w XI stuleciu; są i inne anachronizmy, których klasyczna nauka „nawet nie ignoruje”.

Autor artykułu w gazecie wyciąga wniosek, że są poszlaki wskazujące na interwencje w krytycznych fazach historii ludzkości. (Jeśli wziąć pod uwagę, ile razy Homo sapiens choćby tylko po drugiej wojnie światowej ledwo zdołał się ocalić, to podobna idea nie wydaje się aż tak szalona.) Tyle powiemy, dodając drobne uwagi, na temat owej analizy zamieszczonej w gazecie z 1969 r.

Czy ona wspiera nasze dotychczasowe rozważania? A co z tym szerokim spektrum wiedzy ezoteryczno-okultystycznej (i zdolności, które pozwala zdobyć), nie układającym się w łańcuch rozwojowy „Wyprawy krzyżowe... Różokrzyżowcy... Madame Bławska... Bulver-Lytton... S.L. Mathers... Aleister Crowley... Adolf Hitler” (który można by skonstruować na podstawie tego, co wyżej powiedziano)?

Na te pytania nie ma odpowiedzi. Zresztą wcale jej być nie musi. W gruncie rzeczy wszystkie przeprowadzone rozważania były tylko grą służącą wprowadzeniu zamieszania (niech mi czytelnik wybaczy, gdyż tkwi w tym zamiar służący poznaniu). A gdzie olśnienie? To całkiem proste: Daliśmy się mimo wszystko sprowadzić na manowce i skłonić do robienia w dziedzinie wiedzy ezoterycznej tego, od czego, jak sądziliśmy, udało nam się już uwolnić. Zabraliśmy się do tworzenia kategorii, powyciągaliśmy szuflady, aby poukładać porządnie „części składowe” wiedzy ezoterycznej, i ustanowiliśmy „logiczne” związki.

Taka wizja jest bardzo kusząca, nie da się zaprzeczyć. Wygodniej jest widzieć w hrabim de Saint-Germain posiadacza tajemnicy, który wprawdzie dziwnie się zachowuje (przynajmniej dla tych, którzy tajemnicy nie posiadli), ale jednak przez stulecia trzyma ręce nad oszalałą ludzkością, niż nie widzieć w ogóle żadnego oparcia.

Wygodniej jest przyjąć istnienie jakiegoś tybetańskiego dyrektoriatu nadludzi niż wziąć na siebie odpowiedzialność za stan naszej sponiewieranej planety.

I co najlepsze, nie trzeba już wyjaśniać tego, co niezrozumiałe. Nareszcie można dać spokój takim absurdom, podobnie jak twierdzeniom, że III Rzeszę można wyjaśnić przez kryzysy gospodarcze, że niewyobrażalna nieudolność możliwych wszech czasów wynika po prostu z omylności ludzkiej albo wręcz że fenomen władzy można by jakoś pojąć.

Dość tych ślepych uliczek, złudzeń i archetypicznych wyobrażeń sennych. Spotkanie z Crowleyem, Gurdżijewem, Madame Bławatską, Fulcanellim, hrabią de Saint-Germain i Cagliostrem nie powinno sprzyjać czemuś takiemu.

O cóż więc chodziło?

O konkretną konfrontację z ciasnotą naszej świadomości. Wyżej wymienieni nie są codziennymi typami, a ich sił nie można zanegować, ale je co najwyżej umniejszyć. Wypisali oni na swoich sztandarach wiedzę tajemną, rozwinęli w sobie zdolności okultystyczne, robili dziwne rzeczy, a jeszcze dziwniejsze głosili. Ich życie jest znane i skłania zarówno do podziwu, jak i oburzenia. Nie byli oni - jeśli chce się zachować całkowity obiektywizm - ani dobrzy, ani źli, tylko inni. Równie dziwne są myśli, które reprezentowali. Pochodzą one ze źródeł, których dna nie sposób dojrzeć. Jeśli zbliżyć się do tego wszystkiego z aparatem przyrodnika, to mogą z tego wynikać zagmatwane teorie.

Zaznajomiliśmy się z najobszerniejszą i najbardziej spójną wewnątrznie z tych teorii, mówiącą o owych „mistrzach świata”. Można byłoby stworzyć dowolnie wiele innych, ale po co?

Poruszałibyśmy się tylko w kółko, podobnie jak pies, który się kręci za swoim ogonem. Kto zechce uchwycić wiedzę ezoteryczną, zawsze będzie chybiał. Kluczowym słowem jest akceptacja. Wymuszenie poznania jest równie niemożliwe, jak skoncentrowanie się na rozluźnieniu.

Na zrozumienie wpada się w najprawdziwszym sensie tego słowa. W naszych czasach na ustach wielu jest określenie „fizyka chaosu”, które wygląda na sprzeczność samą w sobie (i jest nią z punktu widzenia semantyki).

Opierając się na „równaniach fraktali” i „atraktorach” fizyka Benoit Mandelbrota jak również na innych mate-matycznych dziwactwach, w których - jak należało się spodziewać - kierownicza rola przypada komputerom, ujawniono tkwiący głęboko pod powierzchnią rzeczy porządek, którego nikt nie przewidywał. Jeśli w trakcie specjalnych procesów rozkłada się struktury na coraz mniejsze części składowe, to w symulacji komputerowej po długiej fazie dzikiego nieładu nagle ukazuje się harmonia. Mini-mini-ministruktury zaczynają nagle wyglądać tak jak wielka struktura początkowa.

Carl Sagan, naukowiec i pisarz, kończy swoją powieść science fiction pod tytułem Kontakt rozdziałem Podpis Autora. Podpis ten to nieoczekiwane pojawienie się porządku na nieskończenie odległym miejscu po przecinku owianej tajemnicą i niemożliwej do obliczenia do końca liczby p.

Wszystko to brzmi trochę ezoterycznie, fikcja powieściowa i „trzeźwa” rzeczywistość fizyki chaosu, prawda?

Tak więc w pewien sposób krąg się zamknął, znowu posunęliśmy się o kilka kroków. W dalszym ciągu obraz nie jest jednolity, jednak od początku nie należało się tego spodziewać. Elementy puzzli są zbyt różne, a związek między nimi nieokreślony. A jednak zawsze i wszędzie przebłyśnie jeden wiążący element: duch człowieka.

Posługuje się on astrologią i radiestezją, wróżbami i interpretacją języka symboli, aby połączyć się z owym uniwersalnym oceanem informacji, o którego naturze mamy zamiar spekulować w czwartej części, zatytułowanej Wiedza ezoteryczna w zwierciadle nauki.

Jednak to jest, jak się zdaje, tylko początek, a raczej jeden z początków. Jeśli się pracuje z dostateczną determinacją - i wystarczająco długo - nad rozszerzeniem własnej świadomości, wizji świata, horyzontu (punkty wyjścia mogą być różne), to w większości przypadków pojawią się rezultaty. Pokazuje to wiele technik psychologicznych, medytacyjnych, ostatnio wspomaganych przez tak zwane mind machines. Mniej jasne jest, jakich należy spodziewać się wyników, kiedy poszukujący wybiera drogę wiedzy ezoterycznej.

Jasne jest tylko, że coś się dzieje.

Na rodzaj tych odkryć, transformacji albo dalszego rozwoju wpływa zapewne wiele czynników: wewnętrzna postawa, dojrzałość osobista, wybór kierunku wiedzy tajemnej itd. Na końcu poszukiwań (jeśli one kiedykolwiek się kończą) znajduje się wielki znak zapytania. Dla samego ezoteryka może on coraz bardziej maleć, a nawet całkiem zniknąć, dla wszystkich innych pozostaje.

Ani Aleister Crowley, ani Cagliostro nie kwalifikują się do wielkiej księgi dobroczyńców, świętych i naprawiaczy świata. Jednego nie można im jednak odmówić: zetknęli się z czymś, co ich odmieniło.

W przypadku wszystkich ezoterycznych technik i metod widać, że wiedza tajemna zmienia ezoteryka. Spotkanie ze sławnymi magami, okultystami i nadludźmi pokazało, że zmiany te mogą być bardzo wyraźne, bardzo głębokie i egzotyczne. Kto zdaje sobie z tego sprawę, przed tym nie pozostaną zamknięte żadne z wielu różnych drzwi do wiedzy ezoterycznej.

Które z nich otworzyli Aleister Crowley albo hrabia de Saint-Germain, tego nie wiemy. Również ich „ezoteryczna forma zewnętrzna” z pewnością nie jest jedyną możliwą ani -co jeszcze pewniejsze - ostateczną. Sama wiedza ezoteryczna wprowadza rozróżnienie między inicjowanymi a mistykami.

Inicjacja jest procesem niezgłębionym, absolutnie intymnym, stopniową i długotrwałą przemianą ducha i ciała. Prowadzi ona do intuicyjnego zrozumienia misterium i do nabycia wyższych właściwości (włącznie z uniwersalną wizją świata i nieśmiertelnością). Rzadko manifestuje się na zewnątrz, a jej głównymi podporami są wewnętrzne oświecenie i dystans. Inicjowany kontroluje i opanowuje siły, których niewolnikiem jest mistyk. Inicjowanych nie może rozpoznać nikt poza innymi inicjowanymi, mistycy natomiast są teatralni, prezentują swoje siły na pokaz, przeżywają ekstazy i wywołują gwałtowne reakcje w swoim otoczeniu jak również u potomności. Mistycy ujawniają symptomy wielkich tajemnic, do których inicjowani zbliżyli się w długiej ascezie i opanowaniu siebie (i które zachowują dla siebie). Jeśli zaakceptujemy ten podział - a raczej nie pozostaje nam nic innego - to stanie się jasne, że nawet wielkie ezoteryczne osobowości reprezentują tylko jedną stronę. Ale już ona jest fascynująca i zróżnicowana. Równocześnie można dostrzec granice.

Próba zobaczenia, co się kryje za mistycyzmem, ma tyleż szans powodzenia, co próba sprawdzenia, co jest za granicą wszechświata (tak zwaną „czerwoną granicą”). Przyrodznawstwo w ogóle nie podejmuje nawet takiej próby, ale wybiera drogę dedukcyjną analizy praw obowiązujących w obrębie naszego kosmosu. Jeśli udałoby się je zrozumieć, to może znalazłyby się wskazówki, jak wygląda to, co nieznanne. W taki sam sposób powinno się też podchodzić do wiedzy ezoterycznej. Oferuje ona naszemu duchowi szeroką gamę środków pomocniczych do poznania nowych związków.

Część II

Zrozumieć świat przez wiedzę ezoteryczną

Rzeczywistość niematerialna

Jesienią roku 1966 Towarzystwo Astronomiczne Uniwersytetu Cambridge w Anglii rozesłało zaproszenia na odczyt astrofizyczny szczególnego rodzaju. Referent, niejaki John Bradbury z Ashton-under-Lyne, mówił o rewolucyjnie nowej kosmologii. Mimo że z zawodu był pedikiurzystą, potrafił na poparcie plonu swoich długoletnich studiów naukowych przedstawić kompletną - również nowego rodzaju - teorię matematyczną. Skonstruował też specjalny teleskop, za pomocą którego można było zobaczyć to, co odkrył, choć były i problemy.

Przed audytorium uważnie słuchających astronomów prelegent przeszło godzinę roztaczał obraz wszechświata pokrytego powłoką z rudy metalu, a i pod innymi względami nie całkiem odpowiadającego ortodoksyjnym wyobrażeniom. Na przykład wszechświat dzieli się na próżnię, półpróżnię i ćwierćpróżnię, Księżyc od Ziemi dzieli tylko 330 km, a do tego otacza go warstwa tworzywa siarkowego, forma natomiast Ziemi i Księżyca przypomina nie spłaszczoną kulę, ale wypukłą soczewkę. Dość chłodne Słońce znajduje się już o 600 km od nas, a jego promienie nie mają szybkości światła (jednak 300000 km/s), ale nieskończoną. Światło ma - według Johna Bradbury'ego - tylko jeden kolor, mianowicie zielony, w którym są zawarte wszystkie inne, i jest per definitionem „oświetloną ciemnością”. Tak wygląda w zarysie jedynie bardzo wrywkowo przedstawiona kosmogonia Bradbury'ego.

Wśród słuchaczy był Patrick Moore, renomowany angielski astronom, astrofizyk, planetolog i selenolog. W swojej książce *Can You speak Venusian?*, którą zadedykował niezależnym myślicielom - ludziom, którzy niewzruszenie kroczą niekonwencjonalnymi drogami - informuje on o tym godnym uwagi wieczorze.

Nie mógł nie odczuwać respektu dla śmiałego i sprzeciwiającego się wszystkim uznanym teoriom rozumowania Bradbury'ego. Także koledzy Moore'a uhonorowali ogromną pracę myśli, którą prelegent wyłuszczył w swoich wywodach i następującej po nich dyskusji, szczerą, długotrwałą owacją.

Późniejsza osobista rozmowa, jaką Patrick Moore przeprowadził z „niezależnym myślicielem” Bradbury'm, również wywarła bardzo pozytywne wrażenie na profesorze. Nie

przeszkadzała w tym egzotyka tematu. Astronoma łączyła bowiem z pedikiurzystą cechą, która o wiele za rzadko jest wspólna specjalistom tej samej dyscypliny: odwaga przekraczania granic w myśleniu.

Oczywiście, Patrick Moore nie mógł się zgodzić z ideami Bradbury'ego. Co jednak mógł zaakceptować, to gigantyczną i absolutnie poważną - z subiektywnego punktu widzenia - pracę badawczą rozmówcy. John Bradbury był bez wątpienia prawdziwym pionierem. Nigdy nie twierdził, że cały świat (przynajmniej naukowy) sprzysiągł się przeciwko niemu, aby go zniszczyć. Zamiast tego szlifował swoje teorie, cierpliwie konstruował teleskopy, specjalne soczewki i inne przyrządy i pokładał ufność w przyszłości. W głębi duszy będąc prawdziwym naukowcem, choć nie ortodoksyjnym, Mr. Bradbury objaśnia równie szczegółowo jak logicznie swoją koncepcję w wykładach na uniwersytetach, w audycjach radiowych i występach w telewizji. Bynajmniej nie ignoruje on najnowszych odkryć nauki, ale włącza je do swojej wizji świata - jeśli nawet pod innym kątem widzenia. Jego przekonaniem nie udało się zachwiać lądowanie na Księżycu, które nastąpiło trzy lata po wspomnianym od-czycie. Dla niego w dalszym ciągu Księżyc jest zbudowany z węgla i unosi się 330 km nad Ziemią, okryty powłoką z tworzywa siarkowego. W przeciwieństwie do fantastów - od których Patrick Moore zdecydowanie odróżnia niezależnych myślicieli - John Bradbury umie także uzasadnić swoje stanowisko: wyprawa księżycowa Apollo zbieżyła z kursu wskutek oddziaływania zewnętrznych sił magnetycznych i ostatecznie wylądowała w Tybecie, na terenach o nadzwyczaj rozrzedzonym powietrzu. Podróż powrotna przebiegała tą samą drogą. Nie mogło być inaczej, gdyż w razie kontynuacji lotu w pierwotnym kierunku rakieta Apollo najpierw natknęłaby się na warstwę płynnego powietrza, następnie musiałaby się przedrzeć do ćwierćpróżni, a następnie pomknęłaby przez właściwą próżnię, aby się rozbić o powłokę z rudy metalu, która otacza kosmos.

W przedmowie do wspomnianej książki o niezależnych myślicielach i niezależnych (od klasycznej nauki) konstrukcjach myślowych Patrick Moore dystansuje się, co zrozumiałe, od większości teorii. Nie podoba mu się ani Ziemia w kształcie krążka, ani wersja mówiąca o dzikich kolizjach planet w najnowszej przeszłości Układu Słonecznego. Jego nadzieje na wynalezienie perpetuum mobile są nikłe, a metodę zapobiegania trzęsieniom ziemi przez rozłupanie Księżyca ma za nic.

Wiele natomiast znaczy dlań kwestionowanie tradycyjnych poglądów. Granice między tym, co dowiedzione, a czystą spekulacją są bowiem płynne. I bardzo, bardzo trudne do przeprowadzenia. „Pewna wiedza” dostatecznie często okazuje się tylko rezultatem wnioskowania.

Zgoda, jesteśmy w stanie rozkładać światło dalekich galaktyk, metodą spektrograficzną badać skład obłoków gazu na skraju wszechświata (to określenie samo w sobie jest kontrowersyjne) i analizować próbki Księżyca, Ziemi i Wenus. Sondy kosmiczne nadsyłają informacje z zewnętrznych planet Układu Słonecznego, a komputery wzmacniają je, aby można z nich było coś wyczytać.

Tym samym weszliśmy już niepostrzeżenie na grząski grunt. Na temat makijażu wszechświata, który śledzimy na różne sposoby, nie mamy ostatecznej wiedzy, a w tym, co jest nam znane, panują rozbieżne opinie. Prawie codziennie trzeba wyrzucać za burtę „pewną wiedzę”.

Jeszcze niewiele lat temu sądzono, że gwiazdy powstają w drodze kondensacji z gazowego wodoru. Symulacje komputerowe wykazały jednak, że w hipotetycznym procesie zagęszczania z wodoru nie powstaje kula, która zaczyna płonąć pod ciśnieniem swojej własnej masy, a więc staje się gwiazdą, ale torus, czyli bryła podobna do pierścienia.

W 1989 r. astrofizycy dokonali kłopotliwego odkrycia, że nawet pochodzenie pierwiastków nie jest takie, jak dotychczas zakładano. Do tej pory przypuszczano - nie, było to już dogmatem - że cała paleta pierwiastków wytapiała się w tyglu nowych, a wybuchające supernowe wyrzucały je w kosmos. Jak wiadomo, planety, na których istnieje życie, jak nasza, są przesycone różnymi pierwiastkami, w innym przypadku nie mogłoby być wirusów ani laureatów Nagrody Nobla. Od niedawna wiadomo, że ta teoria nie może być słuszna, bo żeby utrzymać ją przy życiu, powinno stale eksplodować sześćdziesiąt razy więcej słońc, niż to faktycznie się dzieje.

Skoro już jednak istniejemy, to trzeba było skłecić jakieś nowe wyjaśnienie tego irytującego faktu.

Wyjaśnienie takie już istnieje. Czekają jeszcze próba praktyki, w której mogą się naprawdę ostać tylko bardzo nieliczne hipotezy, gdyż, jak powiedział już Einstein: „Miliony doświadczeń nie mogą w sposób absolutny udowodnić teorii względności, za to wystarczy jedno, aby ją już jutro obalić”.

Niemożność udowodnienia czegokolwiek jest bowiem ultimate crux. Bezpośrednio nie można udowodnić ani tego, że Ziemia krąży wokół Słońca, ani że świat w ogóle istnieje. Kogo to nie przekonuje, ten niech spróbuje obalić pogląd głoszony przez filozofię solipsyzmu, że wszechświat istnieje tylko w naszej własnej głowie.

To była demagogia, przyznajmy, choć nie do tego stopnia, jak się z pozoru wydaje. Nawet arcykonserwatywni fizycy natychmiast zgodzą się z twierdzeniem, że nie możemy nic pewnego wiedzieć na temat obecnego stanu wszechświata. To całkowicie logiczne, skoro przecież informacje na ten temat otrzymujemy drogą pośrednią. Ich przesyłanie dokonuje się - jeśli pominąć „kosmiczny kit”, ponieważ z przesyłaniem informacji nie ma on nic wspólnego - co najwyżej z szybkością światła. W codziennym życiu opóźnienie wyrażające się w mikro- czy nanosekundach nie gra roli. Jednak odbierany przez nas obraz Księżyca ma zawsze już ok. 1,5 sekundy, Słońca osiem minut, a odległe układy galaktyk widzimy takie, jakie były przed milionami albo miliardami lat. Spojrzenie w głąb kosmosu jest automatycznie spojrzeniem w daleką i najdalszą przeszłość - aż do owej wczesnej fazy wszechświata, kiedy był on jeszcze nieprzenikniony dla fal świetlnych, gdzie musi się kończyć wszelka obserwacja.

Słowem, nie mamy najmniejszego pojęcia, co teraz na przykład dzieje się w mgławicy Andromedy odległej o dwa miliony lat świetlnych ani czy ona jeszcze w ogóle istnieje. Gdyby nasze Słońce wybuchło, moglibyśmy jeszcze przez osiem minut krzepić się jego blaskiem, zanim Ziemia zamieniłaby się w wypaloną bryłę żużla (bez obawy: takiego obrotu spraw należy oczekiwać dopiero za jakieś pięć miliardów lat).

Mimo tej niepewności można oczywiście zakładać, że kosmos w zasadzie jest taki, jak oczekujemy, i że nie zmienia swojego zachowania radykalnie z dnia na dzień oraz że jego prawa obowiązują wszędzie. Jest tylko ten problem, że bardzo niewiele tych praw znamy, a te, które znamy, są zawsze skore do sprawiania nam niespodzianek.

Czy powinniśmy więc wylewać dziecko z kąpielą i wszystko odwracać na lewą stronę? To jest droga „niezależnych myślicieli”. Zwracają się oni do absolutnych korzeni, niekiedy do czasów sprzed Big Bang (prawybuchu), o ile w ogóle uznają tę hipotezę; wątpią we wszystko i zaczynają od nowa. Wskutek tego trudno jest obalić ich poglądy konwencjonalną argumentacją, co przyznaje Patrick Moore w swojej książce.

Komu więc powinno się ostatecznie zawierzyć? „Aprobowanym” ekspertom? To by oznaczało, że:

- księżycy Marsa są sztucznymi tworam, jak uważał czołowy astronom rosyjski dr Josif Szklowski;

- tradycyjna biologia i genetyka nadaje się do wyrzucenia, jak sądził naczelny biolog sowiecki Trofim Denisowicz Łysenko (jego mętne idee o dziedziczeniu i przemianie gatunków zdominowały rosyjską biologię od lat trzydziestych aż do upadku Chruszczowa w 1964 r. i powodowały jedną katastrofę w rolnictwie ZSRR po drugiej, cofając tę gałąź gospodarki Kraju Rad o wiele lat), albo

- że reakcja syntezy jądrowej przebiegająca wewnątrz Słońca da się przeprowadzić na domowej kuchence (aby przytoczyć kolejny blamaż, tym razem z zachodu).

Takie i inne wpadki nauki równoważy ogromna góra odkryć, które także w praktyce zdały pomyślnie egzamin, od wielokrażka po tranzystor...

A jak przedstawia się sprawa genialnej intuicji laików? Oczywiście, niewiele argumentów można przytoczyć na poparcie tezy, że Ziemia ma kształt kładka; mało również prawdopodobne, aby zdały się na coś przekłady dzieł Szekspira na język „wenusjański” i „plutoński”, którymi służy niejaki Mr. Bernard Byron z Romford w Anglii. Z innej strony jednak trzeba wziąć pod uwagę, że:

- laik, nauczyciel gimnazjalny Georg Friedrich Grotefend, zdołał odcyfrować pismo klinowe, nad którym próżno się biedziły całe legiony fachowców;

- amator Hapgood odkrył dryf kontynentów, a dyletant Boucher de Perthes kulturę paleolitu.

Z takich przypadków także można zestawić imponującą listę, na której czele prawdopodobnie znalazłby się okazowy niefachowiec, odkrywca Troi, niemiecki kupiec Heinrich Schliemann.

A więc pat?

Tylko wtedy, gdy koniecznie będziemy się upierali przy noszeniu kłapek na oczach. Jest faktem (w tym kontekście to słowo wydaje się nie na miejscu), że nie rozumiemy powstania wszechświata ani życia, istoty czasu, natury grawitacji, zachowania cząstek elementarnych, a nawet przebiegu naszej własnej historii. Gdziekolwiek zaczniemy zdecydowane poszukiwania, tam w ostatecznym rezultacie natrafimy na księgę o siedmiu pieczęciach. Wprawdzie wątpić należy, aby „niezależni myśliciele” zazwyczaj głębiej wnikali w tajemnicę wszechrzeczy niż badacze w białych kitlach laboratoryjnych i matematycy za klawiaturami komputerów, powinniśmy się jednak wystrzegać utożsamiania tego, co fantastyczne, z tym, co absurdalne.

Wszyscy wiemy, jak absurdalna wydawała się przez setki lat myśl, że Słońce mogłoby nie krążyć wokół Ziemi, i jakim uznaniem równie długo cieszył się model wszechświata - ogromnego mechanizmu zegarowego. Obie te postawy były logiczne, zrozumiałe, zgodne z wszelkimi obserwacjami - jednak błędne.

Ten dobrze znany dylemat także w naukowym świecie skłania do poszukiwań możliwego rozwiązania. Filozof nauki Paul K. Feyerabend - jeden z najradykałniejszych krytyków swego dawnego nauczyciela Karla Poppera - opracował „dadaistyczny” model teorii poznania. Wyróżnia on z urzekającą prostotą dwie metody postępowania: z jednej strony poprawną z punktu widzenia logiki, a z drugiej użyteczną. Na pytanie o „prawidłową” metodologię badań naukowych rezultat swoich przemyśleń wyraził on następującymi słowami: „Anything goes”.

Taki sposób patrzenia na sprawy wniósł do chłodnej, abstrakcyjnej nauki humanistyczną wizję świata, jeszcze przed zasadą nieoznaczoności i paradoksem obserwatora.

„Nie istnieje nauka sama w sobie”, takie przekonanie wyrażał uczony, „jest ona tylko jednym z aspektów całościowej rzeczywistości człowieka”.

Chciałoby się rzec, wielkie słowa, wypowiedziane z całym spokojem. „Całościowa rzeczywistość” zawsze nawiedzała umysły myślicieli, poetów i filozofów. Naukowcom się wydawało - zwłaszcza w XIX w. - że jest ona już bliska na wyciągnięcie ręki, ale w XX w. przekonali się, że to niemożliwe. Tego gorzkiego wniosku wielu nie jest w stanie zaakceptować. Thomas S. Kuhn, teoretyk nauki, wyraził to krótko i zwięźle: „Przeciwnicy nowych paradygmatów nie dają się przekonać, tylko wymierają”.

Dziś już w większym czy mniejszym stopniu oni wymarli. Oprócz dziwacznej tezy nowej fizyki, że to, czego się nie obserwuje, de facto nie istnieje, uznawane są dalsze subiektywne komponenty jako części składowe dalszego rozwoju nauki. Tak więc elementy społeczne, psychologiczne, etniczne, ekonomiczne, religijne, społeczne i irracjonalne zawiera nawet hipoteza dotycząca częstości występowania antymaterii we wszechświecie.

Akceptacja tego wniosku przyczynia się wprawdzie do zasypania przepaści dzielącej nauki humanistyczne od ścisłych, nie sprawia jednak, by „całościowa rzeczywistość” stała się bardziej uchwytana. Kto ją zaatakuję środkami materialnymi, temu też zapewne odśloni swój aspekt materialny, będący tylko skromnym wycinkiem nie zbadanej całości.

Jest całkiem oczywiste, że istnieje o wiele większa rzeczywistość niematerialna, która wykracza również poza klasyczną dziedzinę energetyczną fal materii, spektrum elektromagnetycznego i wszelkich innych rodzajów promieniowania. Trzeba się tylko do niej zbliżyć...

O ile przyrodoznawstwo z godnym podziwu samozaparciem stara się przeskoczyć swój własny materialistyczny cień i taśmowo produkuje modele kosmologiczne o metafizyczno-mistycznej niejasności (później bliżej je poznamy), o tyle ezoteryczne rozumienie świata od dawna nie wymagało kurczowej ekwilibrystyki mózgu ani intelektualnej auto kastracji.

Dla mędrców wschodu i zachodu kosmos nigdy nie był ogromnym zegarem, ale raczej wszechogarniającą myślą. Prawie nie zmagali się oni z problematyką alternatywy albo-albo, nie dręczyły ich wątpliwości w sens bytu, jakkolwiek okrutny i krwawy miałby on być, i nie

obawiali się ani ostatecznego „końca” po zagładzie materialnej powłoki, ani owego bezgranicznego opuszczenia Homo sapiens w bezgranicznym i bezgranicznie wrogim wszechświecie, co niekiedy odczuwają przyrodnicy.

Dlaczego mamy czuć się samotni, drżeć z lęku przed spotkaniem z wielką Nicością, przeżywać zwątpienie na myśl o bestialstwie ludzkości czy popadać w rezygnację z powodu braku odpowiedzi na „ostateczne pytanie”, skoro przecież wszystko to musi być przyporządkowane tylko jednej sferze naszej egzystencji?

Sferze materialnej, w którą zazwyczaj jesteśmy tak bardzo uwikłani, że nie możemy poznać niczego, co leżałoby poza jej ciasnymi granicami. Nie dość na tym, społeczeństwo kształtuje w nas, przez wychowanie do „praktycznego życia”, „zdrowy rozsądek” (jakikolwiek miałby być jego ostateczny rezultat, włącznie z hołubieniem przestępców i szaleństwem rasizmu), abyśmy odwracali od tego wzrok. Złośliwy dowcip na temat psychoterapii: „Psychiatra stara się doprowadzić pacjenta do stanu, w którym przestaje dostrzegać to, co jest”. W odniesieniu do ezoterycznej wizji świata większość ludzi (szczególnie „oświeconych”) jest takimi pacjentami.

A przecież jest dostatecznie wiele do zobaczenia, jeśli mamy odwagę. Większość tych spraw niesie o wiele więcej sensu i pociechy niż lodowaty bezsens świata materialnego i materialistycznego z jego tak zwanym rozsądkiem i przewidywalnym końcem...

Życie nie kończy się nigdy

Kiedy w 1922 r. angielski biznesmen Ernest Dyer podstępnie zamordował swojego współnika Erica Tombe w ujeżdżalni, którą wspólnie prowadzili, czuł się absolutnie bezpieczny. Nie było świadków ani krwawego czynu, ani usuwania zwłok. Dyer ulokował swojego byłego współnika na wieczny spoczynek w jednym z czterech dołów kloaczych w stadninie w Kenley i wielką kamienną płytą zasunął to pełne grozy miejsce pochówku.

Morderca z całym spokojem przeniósł się jakiś czas potem do Scarborough, gdzie pokrywał koszty swojego utrzymania wystawiając fałszywe чеки. Ten proceder nie pozostał nie odkryty i pewnego dnia do drzwi Dyer’a zapukała policja, aby zażądać wyjaśnień w sprawie jednego ze sfalszowanych przezeń środków płatniczych. Oszust najwidoczniej nie miał mocnych nerwów niezbędnych mordercy, bo zastrzelił się, zanim jeszcze policjanci zdążyli przyjść do słowa. Najwidoczniej sądził, że odkryto jego zbrodnię w Kenley. Zbrodnię faktycznie odkryto, jednak w tak dziwnych okolicznościach, że prawdopodobnie sprawca nigdy nie trafiłby przed sąd, gdyby tylko zachował nieco zimnej krwi. Krótко po śmierci Erica Tombe jego matka zaczęła się śnić, że jej syn nie żyje i że jego ciało leży w dole z kamienną płytą na twarzy, a ściślej biorąc, na ustach. Od dłuższego czasu nie miała kontaktu z synem, nie wiedziała ani gdzie przebywał przez ostatnie lata, ani że prowadził do spółki z tamtym człowiekiem koński interes.

Pod wpływem nalegań żony ojciec Eryka wybrał się na poszukiwania syna. W końcu trafił do stadniny w Kenley, gdzie ślad się urywał. Rodzina Tombe zwróciła się więc do władz. Nie trzeba wyjaśniać, co sądzi policja o zbrodniach, które się komuś przyśniły. Mimo to w końcu poddano przeszukaniu teren stadniny koni, prawdopodobnie głównie po to, aby się wreszcie odczepić od „rozhisteryzowanych rodziców”. Przy tej okazji odnaleziono zwłoki.

Czy byłyby spekulacje na temat możliwego dalszego toku tej sprawy, gdyby sprawca nie wpadł w panikę. Nie są raczej natomiast inne spekulacje w związku z kwestią, jak matka Tombe'a mogła śnić o morderstwie po jego dokonaniu?

Nawet gdyby zignorować opóźnienie w czasie albo przyjąć założenie, że informacja ta po prostu kilka dni drzemała w podświadomości pani Tombe, to jednak nie może tu chodzić o telepatyczny kontakt między umierającym synem a jego matką. Eric Tombe został bowiem zabity od tyłu ze strzelby śrutowej, w żadnym razie nie mógł widzieć swojego współnika-mordercy, a śmierć nastąpiła tak nagle, jak to jest nieuniknione przy strzale w potylicę.

Skąd więc pochodziła ta informacja?

Wówczas można było przejść nad tym pytaniem do porządku. Sprawca sam sobie wymierzył sprawiedliwość, czego jeszcze można było chcieć? Propozycję powołania się na treść snu jako na dowód przed sądem w procesie o morderstwo każdy prokurator potraktowałby jako osobistą zniewagę.

Czasami jednak nie daje się uniknąć takich przykrości. W 1979 r. sędziowie i przysięgli stanu Illinois stanęli przed drażliwym zadaniem oceny zeznania złożonego przez ducha. Obrońca zgłosił od razu sprzeciw z uzasadnieniem, że duchy nie są dość wiarygodne, jednak sędzia Frank W. Barbero sprzeciw oddalił.

Przysięgli, co zrozumiałe, czuli, że sprawa ich przerasła. Nie doszło do wydania werdyktu i przypadek ten musiał być ponownie rozpatrzony. W drugim postępowaniu oskarżony Allan Showery został uznany za winnego.

W aktach sprawy zostały utrwalone dziwne okoliczności tego procesu, który nie miał precedensu w bogatej historii amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Teresita Basa, 48-letnia pielęgniarka pochodzenia filipińskiego, została 21 lutego 1977 r. brutalnie zamordowana w swoim mieszkaniu w Evanston (Illinois). Sprawca, który włamał się do domu, pozbawił ją przytomności chwytem judo, rozebrał i zasztyletował z taką pasją, że nóż dosłownie przebił ją na wylot. Następnie ułożył zwłoki w pozycji każącej domyślać się zgwałcenia i podpalił mieszkanie, aby zatrzeć ślady.

Ten zamiar się powiódł, toteż policja błądziła po omacku.

Dwa tygodnie później jedna z koleżanek Teresity ze szpitala Edgewater, gdzie pracowała zamordowana, powiedziała do terapeutki Remy Chua: „Teresita musi się przewracać w grobie. Szkoda, że nie może powiedzieć policji, kto to zrobił”.

Chua, również Filipinka, odpowiedziała z całą powagą: „Ona może do mnie przyjść we śnie, ja się nie boję”.

Kilka dni później jej odwaga została wystawiona na próbę, Teresita bowiem rzeczywiście zaczęła się śnić Remy Chua. Pewnej nocy mąż tej ostatniej słyszał, jak Remy mówiła przez sen dziwnym głosem: „Ja jestem Teresita Basa. Chcę o czymś poinformować policję...”

Słowa te, których terapeutka nie pamiętała po przebudzeniu, wypowiedziała ona w języku tagalskim, używanym przez tubylców na Filipinach. Zdezorientowani małżonkowie postanowili milczeć.

Dwa tygodnie później Teresita znowu się zjawiała i ustami Remy Chua wymieniła imię mordercy: Allan.

Po kilku dalszych dniach stała się bardziej rozmowna. Nie poprzestała na imieniu, opowiadając ściśle przebieg zajścia: Allan „Al” Showery zakradł się do jej mieszkania pod pozorem naprawy telewizora. W rzeczywistości chodziło mu o jej biżuterię, którą miał zamiar podarować swojej przyjaciółce. Tak też zrobił po morderstwie. Teresita podała nawet numer telefonu osób mogących zidentyfikować biżuterię.

Dla małżonków Chua tego było już za wiele i poszli na policję, gdzie jednak nie wzbudzili zbytniego entuzjazmu. Po kilku dniach policjanci z braku jakiegokolwiek innego tropu poddali przesłuchaniu Allana Showery. Ten zeznał, że obiecał Teresicie naprawę jej telewizora, potem jednak zapomniał o tym. Przyjaciółka Showery'ego zeznała, że dał jej pierścionek jako „spóźniony prezent gwiazdkowy”.

Sprawa nabrała rumieńców dopiero dzięki przekazanemu we śnie numerowi telefonu. Należał on do krewnych zamordowanej, którzy byli w stanie zidentyfikować pierścionek i pozostałą biżuterię. W obliczu tych równie jednoznacznych jak niewytłumaczalnych dowodów Showery się załamał i przyznał do zbrodni.

Tym sposobem doszło do pierwszego „spirytualnego zeznania świadka” w dziejach amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

Kiedy za Allanem Showery zamknęły się bramy więzienia, niezwłocznie opuszczono na ten niewygodny przypadek kryminalny kurtynę zapomnienia.

To sprawdzony sposób postępowania w przypadku wszelkich wskazówek dotyczących spraw nie wyjaśnionych. Wydaje się on być tym pilniejszym nakazem chwili, im trudniej jest odrzucić zagadkowe sprawy jako urojenie.

Frederick Bond, architekt, archeolog i znawca budowli gotyckich, był jednym z tych, którzy musieli na własnej skórze doświadczyć działania tego bezwiednego mechanizmu obronnego. W 1907 r. powierzono mu tyleż zaszczytne, co niemożliwe do wykonania zadanie wydobycia na światło dzienne pozostałości opactwa Glastonbury w Somerset w Anglii.

Zadanie to było niewykonalne z tego względu, że opactwo założone w V w. przez św. Patryka właściwie znikło z powierzchni ziemi. Większość pierwotnych budowli zniszczyli do szczętu żołnierze Henryka VIII, a to, co jeszcze się ostało, padło ofiarą wojen i katastrof żywiołowych. Mający wówczas 43 lata Bond nie rozporządzał ani najlichszymi bodaj wskazówkami, jak opactwo wyglądało, zanim Henryk VIII rozkazał zburzyć budowle słynne swoim cudownym ukształtowaniem i pięknem architektury, ani też wystarczającymi środkami, aby kazać przekopać pół kraju.

Po prostu stał na straconej pozycji, mając za mało informacji, za mało czasu, za mało pieniędzy.

Każdy inny specjalista na jego miejscu by zrezygnował, ale Frederick Bond postawił na „ezoteryczną kartę”. Udał się do swojego przyjaciela i okultysty nazwiskiem John Bartlett, który był piszącym medium. W czasie seansu w biurze Fredericka Bonda w listopadzie 1907 r. Bartlett wszedł w kontakt z mnichem Johannesem Bryantem, żyjącym w XVI w.

Ten przemawiał w imieniu astralnych strażników opactwa, zwanych się Towarzystwem Avalon. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że Avalon, świątynia celtyckich druidów, według legendy znajduje się w pobliżu Glastonbury i że Józef z Arymatei miał tam zawieźć świętego Graala. Ręką Bartletta zmarły mnich narysował ze wszystkimi szczegółami plan zburzonego opactwa. Mimo że plany były nad wyraz dokładne, Frederick Bond nie mógł w nie tak od razu uwierzyć, bo sprzeciwiały się jego wiedzy specjalistycznej o starych klasztorach - a także wszystkiemu, co było dotąd wiadomo.

Mimo to zdecydował się na skok na głęboką wodę. Przy istniejących ograniczeniach finansowych i czasowych było w gruncie rzeczy wszystko jedno, w którym miejscu niczego nie znajdzie. Poleciał więc robotnikom kopać według nieortodoksyjnych planów.

Już w pierwszym tygodniu wykopaliska odsłoniły to, czego nikt nie spodziewał się znaleźć: fundamenty kaplic, ścian, wież, bram i odłamki kolorowego szkła. Sława Fredericka Bonda sięgnęła zenitu, a zaginione opactwo Glastonbury zaczęło kawałek po kawałku wyłaniać się spod ziemi. Ponieważ archeolog nie miał złudzeń co do tego, jak zareagowałyby czynniki oficjalne i jego koledzy z kręgów naukowych, gdyby zdradził źródło swojego niewiarygodnego sukcesu, udzielał wymijających odpowiedzi powołując się na know-how, intuicję i łut szczęścia.

Dziesięć lat później Bond poczuł się na tyle pewny swej pozycji, że ogłosił prawdę. Przeliczył się jednak, nie biorąc pod uwagę zasady, że „nie może istnieć to, co istnieć nie powinno”.

W książce *The Gate of Remembrance* odkrywca zdradził, jakie informacje kierowały łopatami jego archeologicznego zespołu.

Od tej chwili nie zainteresował się nim nawet przysłowiowy pies z kulawą nogą. Jego reputacja była przekreślona, odebrano mu kierownictwo wykopalisk wszelkiego rodzaju, jego środki finansowe wyschły, a pensja skurczyła się do dziesięciu funtów tygodniowo.

Kiedy w 1922 r. nareszcie sprawa całkiem ucichła, dokończono dzieła zniszczenia prawie już nie istniejących resztek kariery Bonda: Towarzystwo Badań i Restauracji Opactwa Glastonbury zostało potajemnie i bez rozgłosu rozwiązane, a Frederickowi Bondowi zakazano, aby kiedykolwiek jego noga stanęła na terenie opactwa, które bez jego udziału nigdy nie ujrzaloby światła dziennego. Architekt i archeolog Bond wyjechał do Ameryki, gdzie przeżył w zgorzknieniu ostatnie dwadzieścia lat swojego życia. Gdyby zdecydował się sam pozostać w świetle ramпы, jego nazwisko do dziś byłoby wypisane złotymi zgłoskami w annałach archeologii.

Niewygodny fakt, że Bond dosłownie wykopał z ziemi dowód swoich twierdzeń, przestał wywoływać dyskusje.

Należałoby jednak przedyskutować jeszcze i inne sprawy. Na przykład liczne wizje gospodyni domowej E.F. Bullock z Manchester w Anglii.

W 1934 r. przypadek tej wówczas 44-letniej kobiety wywołał dużą sensację, ponieważ jej ciało nawiedzały podobno wcześniejsze wcielenia z wszystkich epok i stron świata. Nie byłoby w tym nic szczególnie nowego, gdyby nie to, że pani Bullock po prostu „przemieniała się” w osoby, które w niej „mieszkały”.

Demonstrowała to między innymi przed gronem International Institute of Physical Research w Londynie. Naukowcy tego instytutu nie mieli złudzeń co do tego, że szarlatani i sztukmistrze są często w stanie wywieść w pole nawet najbardziej uczonych badaczy i najbardziej wyrafinowane urządzenia kontrolne. Miał to uniemożliwić udział odpowiedniego eksperta.

Był nim impresario teatralny LM. Leon, człowiek, który znał wszystkie sceniczne sztuczki i którego nie mógł zmylić żaden makijaż. Wspomagał go W.T. Baker, dyrektor przedsiębiorstwa Colour Photographs Limited, który miał wszystko sfilmować.

Przed tym równie kompetentnym co sceptycznym audytorium pani Bullock wprawiła się w trans drogą autosugestii.

W mgnieniu oka zaczęły się dziać rzeczy niewiarygodne: rysy twarzy kobiety zmieniły się, oczy stały się bardziej skośne, kości policzkowe wysunęły się do przodu, a twarz odmłodziła. Naukowcy i obydwaj eksperci z branży artystycznej ujrzeni przed sobą młodą Indonezyjkę. W czasie gdy Baker jednocześnie filmował zdarzenie i bez wytchnienia robił zdjęcia, przemiana pani Bullock postępowała dalej. Młodość ustąpiła miejsca starości. Na twarzy niedawnego dziewczęcia pojawiły się bruzdy, worki pod oczami i zmarszczki, sygnął się także wąs i pani Bullock przedzierzgnęła się w prastarego Chińczyka. To nie był jeszcze koniec niesamowitych wydarzeń. Po chwili włosy zaczęły się kręcić, a skóra pociemniała; przed kamerą siedział, spoglądając wyniośle i ponuro z góry na naukę XX w., zuluski wojownik z Afryki.

Próżno by szukać racjonalnego wyjaśnienia dla zagadki pani Bullock, podobnie jak oficjalnego stanowiska w tej sprawie.

Aby takie stanowisko na temat tamtego świata zostało publicznie ogłoszone, musiałoby zdarzyć się coś więcej niż tylko odkopanie zaginionego klasztoru czy wygibasy jakiejś Angielki, nie pierwszej już zresztą młodości.

Na przykład „inwazja duchów” na linię lotniczą. Czy to zbyt dziwaczny pomysł? Wcale nie.

John Fuller, dziennikarz amerykański, lecąc w marcu 1974 r. Scandinavian Airlines ze Sztokholmu do Kopenhagi, rozmawiał z pewną stewardesą, która mu opowiedziała bardzo dziwną historię, zasłyszaną od pewnego agenta ochrony British Airways. W samolotach Eastern Airlines dochodziło wręcz regularnie do materializacji członków załogi maszyny należącej do tego przedsiębiorstwa, która w 1972 r. rozbiła się w Everglades (Floryda). Zjawy te były tak cielesne, uchwytnie i realne, że opowieści o nich krążyły wśród personelu latającego wszystkich linii.

Fuller, profesjonalista całą gębą i bynajmniej nie okultysta, spytał dziewczynę, dlaczego historia z duchami ograniczała się tylko do Eastern Airlines. Zazwyczaj takie opowieści szerząc się przybierają rozmaite wersje, a podawane z ust do ust szczegóły są wzbogacane

przez kolejnych opowiadających i dostosowywane do ich otoczenia. W przypadku tej pogłoski należało właściwie spodziewać się, że duchy nieuchronnie nawiedzą też inne towarzystwa lotnicze.

Stewardesa zastanowiła się chwilę, po czym odpowiedziała: „To ciekawa myśl. A może ta historia dlatego jest opowiadana zawsze tak samo, że dzieje się naprawdę na pokładach maszyn Eastern Airlines?”

Oboje się roześmieli.

Osobliwa niezmiennosc tej legendy zajmowała Fullera jeszcze przez pewien czas, bo była nietypowa, ale potem zapomniał o tej sprawie. Bardziej niż duchy podróżujące samolotami zajmowała go aktualna praca nad artykułem o awarii nuklearnej w pobliżu Detroit i ponurych perspektywach utraty kontroli nad energią jądrową w skali całego globu. Na nowo zagłębił się w pracy nad pisaniem *We Almost Lost Detroit*.

Rok później leciał samolotem Eastern Airlines z San Juan do Nowego Jorku. Żartem spytał stewardesę, czy słyszała o duchach na swojej linii lotniczej.

„To wcale nie jest zabawne - odparła młoda kobieta z nieoczekiwaną gwałtownością. - Ja sama je spotkałam”. Chcąc zatrzeć przykre wrażenie dziennikarz przeprosił kobietę, ale zarazem już połknął bakcyla ciekawości. Poprosił rozmówczynię, aby mu coś o tym opowiedziała. Ta się zgodziła po długim wahaniu, pamiętając, że wówczas zgłoszenie zwierzchnikom niesamowitego wydarzenia przyniosło jej same kłopoty, nie mówiąc o radzie, by poszła do psychiatry. Nie ona jedna, jak się później dowiedziała, otrzymała takie zalecenie. Tym razem zaintrygowany John Fuller nie dał się odciągnąć od tej sprawy żadnemu innemu tematowi. Wszczął własne dochodzenie i wy dobył na światło dzienne rzeczy nie do uwierzenia.

Za daleko odeszlibyśmy od tematu, gdybyśmy chcieli przedstawić jego wytrwałą, drobiazgową pracę dziennikarską, w której nie zawahał się także nawiązać kontaktu z zaświatami za pomocą planszy Ouija jak również przeprowadzić badania szczątków rozbitego samolotu w instytutach parapsychologii. On sam przedstawił ją szczegółowo w książce *The Ghost of Flight 401*.

Wynik jego dociekań był jednoznaczny: członkowie załogi (pilot Bob Loft i nawigator oraz drugi oficer Don Repo) z rozbitego Jumbo-Jeta odbywającego lot 401 materializowali się stale w samolotach tej samej linii lotniczej i tego samego typu, które miały na pokładzie elementy wraku nieszczęsnej maszyny.

Wielu świadków należało do najlepiej wykształconego personelu latającego - rekrutowali się przeważnie spośród pilotów lub techników - mieli długoletnie doświadczenie w lataniu i dobry dar obserwacji. Także inni świadkowie są absolutnie wiarygodni. Opisy są ściśle zgodne ze sobą, choć pochodziły od osób nie mających kontaktu, i zawierają szczegóły nie znane opinii publicznej.

Niezależnie od siebie na pokładach niektórych samolotów Eastern Airlines odprawiano egzorcyzmy (w wyniku których duchy zjawiały się jeszcze częściej).

Każdy z zapytywanych przysięgał na wszystkie świętości, że spotkał zmarłych, i podawał identyczne okoliczności towarzyszące, zwłaszcza na dolnym pokładzie (spadek temperatury do zera w czasie trwania fenomenów, przynajmniej w subiektywnym odczuciu).

Wiele jeszcze można by o tym mówić. Na uwagę zasługują także dodatkowe okoliczności. Na przykład w trakcie seansów zasięgnięto od zmarłych informacji na temat katastrofy samolotu, zachowania się załogi, problemów ze sprzętem itd., dla których nie ma wyjaśnienia, ale które potem mogły zostać potwierdzone.

Nasuwa się skojarzenie z zagadkowymi i do dziś tajemniczymi zdarzeniami towarzyszącymi katastrofie angielskiego sterowca „R 101”. (W mojej książce *Niewytłumaczalne zjawiska* poświęciłem cały rozdział temu przypadkowi, gdzie również zgłaszali się z zaświatów członkowie załogi statku powietrznego, by przekazać zdumiewające zeznania i opinie). W każdym razie, także po tym jak wieści o „lotach z widmami” przedostały się do opinii publicznej, liczba pasażerów Eastern Airlines nie zmalała, jak się obawiano (stało się raczej wprost przeciwnie), a „Eastern L-1011 Whisperliners” uchodzą w dalszym ciągu za najlepsze technicznie pasażerskie liniowce.

Krótko mówiąc: wszystko uległo normalizacji.

Teraz mimo woli nasuwa się pytanie, dlaczego takie udokumentowane, dość przekonujące i stale się pojawiające argumenty na rzecz dalszego życia po śmierci przechodzą bez żadnych konsekwencji. W końcu człowiek tęskni do nieśmiertelności i lęka się ostatecznego końca. Niewiele pociechy i nadziei niosą twierdzenia nauk przyrodniczych, że nic nie może całkiem zniknąć z wszechświata i że „dalej żyjemy” po śmierci przynajmniej w postaci nie uporządkowanego promieniowania cieplnego.

Mimo to przechodzi się do porządku dziennego nad ewentualnymi dowodami możliwości spełnienia największego ze wszystkich pragnień. Szczególnie dobitnie to orwellowskie rozdwojenie jaźni przejawia się w zignorowaniu „eksperymentu Delpasse'a”, czysto naukowego doświadczenia, które jednoznacznie wykazało, że nasz duch trwa nadal jako struktura także i wtedy, gdy ciało jest nieodwracalnie zniszczone (bliższe szczegóły na ten temat - tej wskazówki niestety nie mogę pominąć - podałem w mojej książce *Niewytłumaczalne zjawiska*).

Jest to osobliwa sprzeczność, wynikająca niewątpliwie z poruszonej już kwestii rozbicia światopoglądu na nauki humanistyczne i przyrodnicze, na co choruje nasza cywilizacja (i globalny ekosystem).

Ponieważ tradycja jest niezmiernie stabilna, jeśli nawet drwi sobie z faktów, większość z nas koncentruje się na sprawach dziejących się tu i teraz, ma nadzieję na transcendencję albo woli nie wiedzieć zbyt dokładnie, co nas czeka. Nie są pod tym względem wyjątkiem logicznie analizujący, zachowujący chłodny dystans naukowcy. Ponieważ są oni ludźmi, to z wielkim trudem im przychodzi przestawienie myślenia na inne tory. Do tego dochodzi jeszcze, aby użyć terminu zaczerpniętego z fizyki, bezwładność masy nagromadzonej wiedzy, utrwalałych dogmatów i z trudem wypracowanych paradygmatów.

Problematykę tę ilustruje następujące przysłowie:

Przez jeden fakt umarła teoria. Wskutek tego zaginęła koncepcja.

Bez koncepcji nie mogła przeżyć nauka. Utrata nauki pozbawiła gruntu pod nogami filozofię.

A wszystko z powodu jednego jedyne faktu...

Sporadycznie zdarzają się naturalnie próby uwzględnienia nawet najbardziej niemiłych faktów. I tak niemiecki psychiatra dr Schrenck-Notzing i słynny angielski fizyk, przez pewien czas przewodniczący Royal Society, sir William Crookes, ogłosili po wieloletnich badaniach swoje absolutne przekonanie, że materializacje się odbywają, choć zapewne należą do białych kruków (albo czarnych owiec, zależnie od punktu widzenia). Kto kroczy drogą ezoteryki, nie odmawiając „normalnej” nauce racji bytu, temu poszlaki świadczące o nieśmiertelności ducha czy też duszy nie staną kością w gardle.

W jego pojmowaniu świata jest na to miejsce. Dla kogoś takiego jest nawet możliwe „rzeczowe” rozpatrzenie tego problemu, przez co należy rozumieć nie tyle dociekania na temat ustroju społecznego na tamtym świecie czy gęstości materii duchowej, ale całkiem po prostu rozszerzenie duchowej bazy operacyjnej.

Nie oznacza to co prawda zniesienia wszelkich granic i ograniczeń. Na przykład lekarz i badacz reinkarnacji dr Carl A. Wickland usilnie ostrzegał przed niebezpieczeństwem wiary w powtórne narodziny. Jego płomienny apel przeciwko temu „niebezpiecznemu zabobonowi” niewiele ma jednak wspólnego z odrzuceniem, na jakie napotyka zazwyczaj reinkarnacja w „kołach oświeconych”. Wprost przeciwnie, dr Wickland jest zdania, że wewnętrzne przeświadczenie, iż i tak jeszcze raz się urodzimy, mogłoby niepotrzebnie utrudnić ten właśnie proces.

To oryginalny punkt widzenia, który osądzić może zapewne każdy tylko na swój własny użytek. Dla tych, którzy z natury zawzięcie czepiają się materii - a tym samym swojej własnej nieuniknionej zagłady w dalszej lub bliższej przyszłości - takie myślowe zabawy są co prawda niedostępne.

Jest to godne ubolewania, żyjemy bowiem w osobliwym społeczeństwie, które robi wszystko, co tylko można wymyślić, aby proces narodzin przebiegał jak najbardziej perfekcyjnie; za to zejście z tego świata zostało uznane za akt godny napiętnowania, którego każdy powinien dokonywać w swoim zakresie tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, co mu jeszcze utrudnia chytrze wymyślona „maszyneria podtrzymywania życia”.

Doprawdy potrzebna jest szersza wizja świata.

Taka wizja świata, w której przypadki podobne do przytoczonych nie muszą być oszustwem ani manipulacją środkami masowego przekazu, która pozwala zaprzestać starań o racjonalne wytłumaczenie zapewne najbardziej znanego i najczęściej badanego przypadku reinkarnacji Bridey Murphy-Ruth Simmons, i która dopuszcza wieczne życie dla wyznawców wszystkich kierunków wiary.

Wizja świata zakorzeniona nie „tylko” w głowach ezoteryków i okultystów.

Wernher von Braun, słynny ojciec astronautyki amerykańskiej, stwierdził lapidarnie: „Wszystko, czego mnie dotąd nauczyła i nadal uczy nauka, umacnia moją wiarę w dalsze trwanie naszej duchowej egzystencji po śmierci”.

John C. Eccles, laureat Nagrody Nobla i badacz mózgu, powiedział: „Fałszywe jest dogmatyczne stwierdzenie, że ze śmiercią mózgu wszystko się kończy, także jaźń [...] wszystkie nasze głębsze, emocjonalne, subtelniejsze przeżycia nie muszą ulegać zatracie z tą chwilą, gdyż, jak sądzę, są one zapisane w świadomości, a nie w mózgu”.

Hoimar von Ditfurth sformułował to być może w sposób najszerszy i najbardziej uniwersalny: „Z tego punktu widzenia ewolucja osiągnie swój naturalny koniec w momencie, w którym kosmos połączy się z zaświatami”.

Gdzie jednak w takim razie, zadajemy sobie pytanie, jest granica między „naukowym” a „ezoterycznym” pojmowaniem świata?

W naszych głowach, gdzieżby indziej?

Kiedy kanonik Mikołaj Kopernik w 1512 r. odkrył, że centrum Układu Słonecznego - a tym samym ówczesnego kosmosu - stanowi Słońce, a nie Ziemia (człowiek), pojawiło się pierwsze pęknięcie na podziale, dotąd wynoszącym nas ponad resztę stworzenia. Dzisiaj ten podział od dawna należy do przeszłości, co się przyznaje; jednak nie całkiem jeszcze zostały przyswojone logiczne konsekwencje tego faktu.

Musiało minąć prawie pięćset lat, zanim fizyk i matematyk David Bohm, jeden z czołowych naukowców doby nowożytnej, w wywiadzie przeprowadzonym w Londynie przez zajmującego się sprawami nauki francuskiego dziennikarza Patrice van Eersel wygłosił następujące „potworności”:

Porządek zawarty implicite we wszechświecie jest bez wątpienia tym, co naszą świadomość porusza przede wszystkim, gdyż ona sama wydaje się fundamentalnie przynależna do tego porządku. Jednak nasza zmysłowa inteligencja staje natychmiast między nami a pierwotną rzeczywistością, aby ją nam przekazać w sposób wprowadzie zróżnicowany, ale zarazem jako coś obcego. To właśnie jest straszną iluzją zwykłego, „zdrowego rozsądku” [...] Emocja jest z pewnością sposobem znalezienia dojścia do zawartego implicite porządku [...] Moim osobistym zdaniem jest dość grubą iluzją dostrzeganie w każdym człowieku niezależnej rzeczywistości. Na określonej płaszczyźnie my wszyscy pochodzimy od jednego i jedyne go w swoim rodzaju bytu [...] Niestety, w najmniejszym nawet stopniu nie wydaje się, aby nasi współcześni wybierali drogę prowadzącą do zrozumienia tej oczywistej prawdy. Przez to nasza planeta znajduje się w realnym, wielkim niebezpieczeństwie.

To fascynujące myśli, tylko - czy nie słyszeliśmy ich już z innego źródła?

W szkołach mądrości Dalekiego Wschodu uczą się, że świat materialny jest tylko pozorem, grubo ciosanym tworem pełnym luk i nierówności, który mógł powstać - i trwać - tylko dzięki niedoskonałości i ograniczoności naszych zmysłów. Ta niedoskonałość ma jednak pewien sens. Wskazuje ona człowiekowi zadanie i cel jego życia: rozwijanie własnych zdolności

spirytualnych dla osiągnięcia wyższego szczebla świadomości, stanu, w którym dochodzi do włączenia się w kosmiczną wszechświadomość.

Śmierć jest jedynie krokiem na tej drodze przeznaczenia. Zachodnie filozofie są nieco bardziej elitarne. Np. teoria wędrówki dusz niezapomnianego Pitagorasa zawiera, mimo pokrewieństwa z myślą azjatycką, drobne różnice w stosunku do buddyjskiej filozofii reinkarnacji. Według pitagorejczyków istnieje hierarchia nieśmiertelności. Im bardziej świadomie i twórczo żył dany człowiek, tym więcej świadomości będzie miał po śmierci. Ten pogląd przetrwał tysiące lat i znajduje się na przykład wyrażony *explicite* u Goethego. Przeznaczenie i owszem, ale według indywidualnej hierarchii. Pitagoras, jak sam utrzymywał, pamiętał swoje wcześniejsze żywoty - miał być np. Euforbosem, kapłanem Apollina czy zgoła synem samego boga światła - co nie dziwiło jego zwolenników zważywszy wysoki szczebel świadomości mistrza.

Różnice dzielące te koncepcje reinkarnacji odzwierciedlają różnice w mentalności wschodu i zachodu, wczoraj i dziś. Wschód przydaje ducha światu fizycznemu i zadowala się tym, że widzi w tym ostatnim jedynie pozór łudzący nasze zmysły, natomiast zachód w ponownych narodzinach i tamtym świecie odkrywa również wyzwanie do dociekań i pracy nad sobą. W gruncie rzeczy chodzi zapewne o dwie strony jednego i tego samego medalu, na którym wybite są słowa: „Życie nie kończy się nigdy - i ma sens”.

Przyrodnicze, racjonalne pojmowanie świata dostrzega na horyzoncie przebłyski planu kosmicznego i rzuca się do ataku w tym kierunku, jakby chcąc osiągnąć złote naczynie na końcu tęczy - ale tęcza jest zawsze daleko. Według ezoterycznego, spirytualnego pojmowania świata tęcza i złote naczynie stanowią jedną nierozzerwalną całość.

Nie ma bytu bez wieczności i nie ma wieczności bez przeznaczenia. Jego natura jest jednak wielką zagadką...

Wszystko jest przeznaczeniem - przeznaczenie jest wszystkim...

Wpewnej starej sufickiej przypowieści - można by ją też nazwać bez respektu anegdotą - został przedstawiony problem ostatecznego ustalenia przyczyny i skutku: Nasrudin wybrał się na konną przejażdżkę i po drodze zauważył grupę jakichś jeźdźców. Ponieważ sądził, że to rozbójnicy, popędził konia i ruszył galopem w inną stronę. Podejrzani jeźdźcy byli w rzeczywistości przyjaciółmi Nasrudina i jego ucieczka ich zastanowiła. Sądząc, że może potrzebuje pomocy, ruszyli w ślad za nim. Nasrudin, zauważywszy pogoń, wpadł w popłoch, pognął konno na cmentarz, przeskoczył jego mur i ukrył się za jednym z nagrobków. Kiedy ścigający dotarli do muru cmentarza, spytali przykucniętego za nagrobkiem przyjaciela: „Czemu się kryjesz, Nasrudinie, i co ty tu w ogóle robisz?”

„To bardziej skomplikowane, niż sądzicie - odpowiada Nasrudin przyjaciołom. Ja tu jestem z waszego, a wy z mojego powodu”.

Ta zwięzła historyjka pokazuje dobitnie, jak trudno jest ustalić, co jest przyczyną czego i jaki obrót wezmą wydarzenia - jednym słowem: o co w ogóle chodzi.

Według sufity, mistyków islamu, których nauka być może wywodzi się od zoroastrizmu Persów pozostałych w kraju, kiedy muzułmanie podbili ich kraj, istnieje tylko „droga” (tariqa). Duch człowieka jest emanacją pierwiastka boskiego i dąży do ponownego zjednoczenia ze swoim (boskim) pochodzeniem.

Taki punkt widzenia, w zasadzie właściwy także azjatyckim naukom, nie pyta o przeznaczenie bytu, ale je zakłada. Pułapki przyczynowości, z którymi od tysięcy lat walczą filozofowie zachodu, a od dziesiątków lat fizycy, tracą znaczenie.

U nas idea oddania się nieosobowej wszechobejmującej woli stwórczej nie ma wykształconej tradycji, chcąc nie chcąc trzeba to przyznać. Ani w filozofii, ani religii czy ezoteryce (a już najmniej w naukach przyrodniczych).

Mamy we krwi indywidualizm, a tym samym również potrzebę nie tylko zaakceptowania naszego własnego przeznaczenia, ale i zrozumienia go w jakiś sposób. Nie mogło to się udać bez trudności.

Wyszły one na jaw - i nadal dają znać o sobie - w postaci dylematu między determinizmem (fatalizmem) a wolnością woli (chaosem). Przepaść między obu tymi koncepcjami jest z pozoru nie do pokonania, co się manifestuje we wszystkich dziedzinach życia, choćbyśmy sobie tego nie uświadamiali. Dość pomyśleć o prawie karnym, które początkowo zakładało absolutną wolność woli człowieka i nakładało odpowiednio drakońskie kary za jego czyny, gdy dzisiaj dołączył się element determinizmu, sprawiający, że w coraz mniejszym stopniu odpowiedzialnością za zbrodnię obarcza się sprawcę, a nawet, co wręcz groteskowe, coraz bardziej przypisuje się ją ofierze (hasło: „wiktymologia”).

Podobne tendencje rozwojowe wielu współczesnych ludzi, ze względu na wpojone im wewnętrzne postawy, uznaje za zjawisko sprzeczne z naturą, które umacnia w nich wrażenie, że żyją w świecie pozbawionym sensu. Albo też w epoce pozbawionej sensu, do którego to wniosku tak wielu dochodzi.

Trudno uznać za zadowalające obowiązujące dziś równanie: więcej wiedzy, komfortu, dobrobytu = mniej wartości, sensu, sprawiedliwości. Sporadycznie udawało się przetrząść mosty między tymi tak z pozoru niemożliwymi do pogodzenia przeciwieństwami. Filozof Franz Austeda uważa postulat wolności woli za bezsensowny, ponieważ takie pojęcia jak odpowiedzialność, wina, obowiązek czy kara stają się możliwe do przyjęcia dopiero przy założeniu determinizmu.

Wygląda to na sprzeczność, ale Austeda precyzuje swój tok myśli: „Jedynie przez determinizm, przeznaczenie, również wola nabiera charakteru zgodnego z prawami i przestaje się manifestować w sposób pozbawiony reguł i przypadkowy. Swobodne decydowanie - w sensie «bezprzyczynowe» - nie byłoby określane przeze mnie, nie zależałoby od mojej osobowości, moich życzeń. Takiej wolności chyba nikt by nie pragnął”.

Większość zapewne się z tym zgodzi.

Pragniemy wolności i sensu.

Kim jednak jesteśmy?

Jeśli przyjrzymy się sobie z takim obiektywizmem, na jaki nas tylko stać, to wkrótce odkryjemy, że nie istnieje jedno Ja. Człowiek ma inną osobowość przy pracy, inną w zaciszu domowego ogniska, w walce płci związku partnerskiego, na urlopie, za kierownicą czy przed telewizorem. W gruncie rzeczy osobowości jest bez liku. Każdy rozmówca, partner seksualny czy jakikolwiek inny ma odmienny obraz jednego i tego samego człowieka. Jest to codziennym zjawiskiem; ulubiony chwyt komediowy polega na tym, że dwie osoby mówiąc o trzeciej nagle zaczynają się zastanawiać, czy faktycznie mają na myśli tę samą osobę.

Niekiedy ten porządek ulega zakłóceniu i robimy rzeczy dziwne. Potem zazwyczaj się tłumaczymy: „To nie byłem ja... Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło...”, czy podobnie.

W rzeczywistości wszystko to jest po prostu kwestią płaszczyzny świadomości, na której się znajdujemy w danym momencie. Zazwyczaj wszystkie te płaszczyzny mają odniesienie do naszej osobowości, są ukierunkowane na ego, jak mówi psychologia. Możemy jednak wznieść się ponad nie albo zanurzyć pod nim. Jest to jednym z celów wiedzy ezoterycznej, jeśli nie celem zasadniczym. Można dążyć do niego wieloma drogami, wschodnimi czy zachodnimi, przez medytację, zagłębianie się w siebie, okultystyczny spirytualizm albo czysty racjonalizm.

„Szukaj gry, w którą warto jest grać” - tak brzmiała odpowiedź wyroczni na pytanie o sens bytu.

Życie oferuje dość takich gier.

Pisma hinduistyczne zawierają informacje o grze kosmicznej, o transformacji lila i nitya, o tańcu boga-niszczyciela Sziwy, który stale rozbija jedność początków na wielowątkowość świata przez stosowanie siły trzech guna.

Hermann Hesse przedstawia grę gier – „Grę szklanych paciorków”, będącą syntezą wszystkich elementów doświadczenia ludzkiego. Matematyczni myśliciele mogą widzieć „swoją drogę” wytyczoną w pracach Johanna von Neumanna albo Norberta Wienera - ale równie dobrze u Godela, Eschera czy Bacha. Zainteresowani psychologią mogą znaleźć swoje olśnienie u doktora Erica Bernesa, autora pozycji *Spiele der Erwachsenen*.

Droga jest, jak wiadomo, czymś wtórnym; jest ona także, co również wiadomo, celem. Jak on wygląda, to zasadnicza zagadka. Zamiar odsłonięcia go przypomina przysłowiową próbę wiania morza do czary. Co dziwne, takie paradoksy dręczą stale „trzeźwych” naukowców, nie zaś „irracjonalnych” ezoteryków.

Człowiek racjonalny wymaga jednoznacznych wyjaśnień, i na tym koniec.

Karol Marks apodyktycznie stwierdził, że historia wszystkich znanych społeczeństw była w przeszłości i jest w teraźniejszości areną walki klasowej. Naturalnie nie jest to fałszywe stwierdzenie, ale tylko częściowo słuszne. De facto każdy rozwój jest rezultatem skomplikowanego splotu czynników. W innym razie można by bowiem z równym powodzeniem zidentyfikować jako jedyny motor napędowy dziejów ludzkości postęp medycyny, szerzenie się epidemii, doskonalenie sztuki budowy dróg i mostów, poprawę komunikacji, upowszechnienie higieny, rozwój środków transportu czy cokolwiek innego.

Przy pewnej wyobraźni za tajemne przyczyny wszystkiego można by uznać nawet muzykę, stomatologię czy uszlachetnienie naszej odzieży.

„Tak nie można”, zawoła racjonalista i zacznie się zastanawiać, czy w poszukiwaniu jednego zębatego koła, które wszystko napędza, nie można się aby zagalopować. Ezoteryk w ogóle nie zaczyna poszukiwać, ponieważ wie, że takiego jednego koła nie ma. Istnieje wiele kół zębatych większej rzeczywistości, która wprawdzie nie jest „kosmicznym zegarem”, ale nie jest także chaosem.

To, co niezrozumiałe, nie jest bezsensowne, a to, co pełne sprzeczności, nie jest niemożliwe. Takie pojmowanie świata pozwala być w o wiele większym stopniu w zgodzie z rzeczywistością niż paradygmaty „wszystko albo nic” bezdusznej technokracji, która przemocą przekształca to, co jej jest nie w smak, i nie chce zrozumieć, że istnieją sprawy niepojęte. Wszystko to wprawdzie nie naświetliło klasycznej filozofii karmy, ale nie to było naszym zamiarem. W gruncie rzeczy nie potrzebuje ona objaśnienia. Każdy ma chyba ogólne, a prawdopodobnie także osobiste pojęcie, co może oznaczać karma dla nas wszystkich - i dla niego samego. Chodziło nam tylko i wyłącznie o stwierdzenie, że harmonijne pojmowanie świata nie jest możliwe bez przeznaczenia. Taka wizja świata pozwala żyć w zgodzie z naturą i z sobą samym, więcej, może ona nawet patronować praktycznym a niezwykłym rozwiązaniom.

Japoński inżynier Ryiichi Tomita - wybitny naukowiec i utalentowany artysta sławny w świecie - skonstruował mały trójkołowy pojazd ze śmigłem, który nazwał „trójkołowcem pokonującym wiatr”. Ku zdumieniu naukowców i laików aparat ten o własnej sile poruszał się pod wiatr. Zastanówmy się: nie miał silnika i wykorzystywał siłę wiatru do lotu w przeciwnym kierunku.

Zapewne każdy technik, któremu zlecono by wymyślenie takiego przyrządu, odmówiłby, wołając spontanicznie: „To absolutnie niemożliwe”.

A mimo to bezsilnikowy trójkołowiec Tomity pokonuje wiatr. Czy Tomita odpowiada naszym wyobrażeniom człowieka ezoterycznego, trudno powiedzieć. Z pewnością jest on jednak jedną z rzadkich osobistości, które mają stronę i naukową, i ezoteryczną, w dodatku, jak się zdaje, na równych prawach.

Nie inaczej manifestuje się ezoteryczne rozumienie świata.

No dobrze, czy my jednak mimo wszystko nie odbiegliśmy od tematu? Co mają wspólnego teoria gier, rozważania historyczne i nie napędzane pojazdy drwiące sobie z wiatru z naszym przeznaczeniem?

Wszystko i nic.

Nic, jeśli przyjmiemy założenie, że przez pojęcie „przeznaczenia” rozumiemy instrukcję obsługi; wszystko zaś, jeśli będziemy je interpretować jako niewidzialny motor wszelkiego bytu, jako szablon mikro- i makrokosmosu, jako porządek w przeciwieństwie do chaosu.

Mówiąc bardziej konkretnie, każdy z osobna może zignorować „strumień losu” albo uznać jego istnienie.

W tym pierwszym przypadku będzie on nas unosił mimo naszej desperackiej szamotaniny. W drugim można „płynąć” określić kierunek. Jaki, to nie jest z góry przesądzone, wszystkie jednak implikują w sposób konieczny istnienie jednej siły decydującej o wszystkim.

Einstein ani przez chwilę nie mógł się pogodzić z chaosem wczesnej fizyki kwantowej. Nigdy nie odwołał swojego słynnego zdania „Bóg nie gra w kości”. Być może dziś by powiedział: „Bóg wprawdzie gra w kości, ale ustanawia też reguły”.

Dualizm falowo-korpuskularny (zachowanie się fal jak cząstek i cząstek jak fal w zależności od przeprowadzanego eksperymentu) doprowadził fizyków dosłownie do obłędu; w końcu w Kopenhadze zgodzili się oni na sformułowanie: „Czymkolwiek to jest, nie możemy tego poznać. Zależnie od naszego podejścia ukazuje się w taki albo inny sposób. To wszystko”.

No właśnie. Także przeznaczenia nie możemy zdemaskować, ale możemy się do niego zbliżyć na nasz osobisty sposób. Podstawowy warunek wymaga tylko, aby je przyjąć jako maksymę, zasadę kosmiczną, filozofię życia, pociechę i nadzieję, jako wielkość abstrakcyjną czy cokolwiek bądź.

Wszystko inne jest sprawą tak osobistą jak nasza karma, nasze własne przeznaczenie. Jane Roberts, słynna medialna rozmówczyni tajemniczego, ale zasługującego ze wszech miar na poważne traktowanie wielowymiarowego Seta, rozumie nasze kosmiczne przeznaczenie jako budowę osobowości wokół zarodków astralnych - zwanych aspektami - jeśli nawet pojęcie karmy ani podobne w materiałach Seta prawie nie występuje.

Kalifornijski fizyk i specjalista w dziedzinie technologii laserowej Samuel Bousky traktuje symboliczną Kabałę jako metafizyczny system zapisu danych, w którym jest utrwalona podstawowa zasada stworzenia.

Wszystkie inne kierunki są równie fascynujące i uzasadnione. My jednak zadowolimy się wnioskiem, że wszechświat nie może być pozbawiony przeznaczenia (przynajmniej nasz), ponieważ w chaosie nie mogłoby istnieć nic, co na temat chaosu snułoby rozmyślania. Ten jeden niezaprzeczalny fakt jest już mocną poszlaką - jeśli nie dowodem - na rzecz pierwiastka karmicznego egzystencji. Sama karma jest „sprawą prywatną”.

Teraz brakuje nam jeszcze tylko przejścia do praktyki. Od ezoterycznego pojmowania świata do bardziej spełnionego życia dzięki takiemu pojmowaniu...

Część III

Wiedza ezoteryczna pomaga w ZYCIU

Czar dekadencji i prawdziwa magia

Rzadko się zdarza, by los stanął na przeszkodzie mędrcomi.

Seneka, O niezłomności mędrca*

Hoimar von Ditfurth powiedział, mając na względzie nasz globalny taniec śmierci, że jesteśmy „istotami przejściowymi”. Laureat Nagrody Nobla Konrad Lorenz wypowiedział jeszcze bardziej gorzkie słowa, wyryte na tablicy zawieszanej we frankfurckim ogrodzie zoologicznym: „Istnieje ogniwo pośrednie między małpą a człowiekiem: my nim jesteśmy!”

Takie sformułowania są bez wątpienia słuszne z punktu widzenia wszechświata, ale dla nas, ludzkich jednostek, raczej deprymujące. My żyjemy tu i teraz, uwięzieni w diabelskim kręgu cywilizacji, i należymy do pokolenia, które właśnie jest na najlepszej drodze do zamordowania swoich wnuków; tak to określił Hoimar von Ditfurth na kilka tygodni przed śmiercią.

Sami to wszystko wiemy, choć wolelibyśmy nie wiedzieć.

Wielu szuka wyjścia odwracając się od nauki i techniki, które właśnie pracują nad ukształtowaniem kolebki ludzkości na wzór Księżyca pod względem przyjaznych życia warunków.

W urzędzie finansowym RFN jest obecnie zarejestrowanych ponad 100000 wrózek i jasnowidzów, co trzy-krotnie przekracza liczbę 35 000 ewangelickich i katolickich proboszczów w RFN. W siedemdziesięciu miastach tego kraju regularnie odbywają się sabaty czarownic. Dziesięć milionów Amerykanów otwarcie uprawia czarną magię, a według statystyki na całym świecie jest co najmniej 100 milionów praktykujących okultystów.

Wielki wzrost zainteresowania wiedzą tajemną i okultyzmem można stwierdzić zwłaszcza u młodzieży. W szkołach odbywają się seanse spirytystyczne, na prywatkach krąży już nie tylko skrzę, ale także plansza Ouija, a na stół wyklada się nie tylko części garderoby przy rozbieranym pokerze, ale i karty do wróżenia.

Odzywają się głosy przestrogi. Psychologowie demaskują młodzieżowy okultyzm jako ucieczkę w inny świat (wewnętrzny), ponieważ ten rzeczywisty jest tylko źródłem frustracji. Analizy trendów rozwojowych przedstawiają drogę od agresywnej muzyki heavy metal przez kontakty z zaświatami po satanizm i jeszcze bardziej ponure sprawy.

Pojawiają się historyczne opracowania, dziwnym trafem spóźnione o przeszło czterdzieści lat. Nagle przypominamy sobie o okultystycznym podłożu III Rzeszy, którego próżno by szukać w oficjalnych dziełach na temat historii najnowszej, zawierających co najwyżej bardzo wstydlive (i zniekształcone) aluzje; wskazuje się na rasizm takich ezoteryków jak baron Julius Evola czy Madame Bławatska -choć nie mieli oni nic wspólnego z holocaustem - i podejrzewa się czarną mszę w każdym domu.

Tym sposobem w najlepszym razie przyznajemy się do dezorientacji, typowej dla naszej epoki, ale jej nie usuwamy. Którędy zatem wiedzie właściwa droga?

Co jest gorsze: śmierć środowiska, drapieżny kapitalizm i polityczne bagno czy ucieczka w szczęśliwą krainę New Age? Naturalnie ani jedno, ani drugie.

Jaskrawy materializm może nam jeszcze zapewnić kilka lat hulanki, ale potem nastąpi ostatecznie „finis”.

Hasło „powrotu do natury” jest pobożnym życzeniem, gdyż bez pomocy cywilizacji niedługo zdołalibyśmy przetrwać w (zniszczonej) naturze.

Jeśli droga do osobistej duchowości także okaże się ślełą uliczką, to co wtedy?

Sądzę, że każdy radykalizm musi mieć fatalne skutki.

Popadanie w skrajności w niczym nie polepsza sytuacji, a wprost przeciwnie. Fanatyczna wiara w postęp przywiodła nas na skraj przepaści (nie ma się czym martwić: jutro uczynimy duży krok naprzód).

Niepohamowany mistycyzm z pewnością nie jest lekarstwem. Kto przed udaniem się do toalety będzie zasięgał rady horoskopu zamiast własnych kiszek, ten nie osiągnie ani osobistego bezpieczeństwa, ani uregulowanego trawienia. Jest zrozumiałe, że czynniki oficjalne przestrzegają przed takim obrotem spraw.

Nie tędy droga do rozwiązania problemów osobistych, a cóż dopiero globalnych.

Kto osiągnął ezoteryczne pojmowanie świata, ten przez to poszerzył swoje horyzonty, a nie zawęził. Jego wizja świata stanie się większa, nie mniejsza. Rozbicie tej wizji na składowe: mechanistyczno-naukową i duchowo-filozoficzną, traci znaczenie. Ezoteryczny punkt widzenia nie oznacza zakładania kłapek na oczy. Tego, co sprawdzone, nie potrzeba wyrzucać za burtę. Ostatecznie również zwycięski pochód alternatywnych metod leczenia nie spowodował, że perforację wyrostka robaczkowego zaczęto leczyć herbatką ziołową.

Wiedza ezoteryczna -praktykowana w sposób wolny od dogmatów - może być prawdziwą pomocą w życiu. Co prawda, nie dostajemy jej w prezencie.

Kiedy Carlos Castaneda, amerykański student etnologii, w 1960 r. zetknął się ze starym czarownikiem z plemienia Indian Yaqui „Don Juanem”, był jak najdalszy od przyjmowania jego światopoglądu czy wręcz pójścia śladem indiańskiego maga. Młody Amerykanin przyjął propozycję Don Juana zostania jego uczniem, mając jedynie na względzie swoją dysertację na temat halucynogennych roślin narkotycznych u Indian. Został jednak kimś więcej niż tylko uczniem. Krok po kroku Castaneda zaczął pojmować, co jego mistrz miał na myśli mówiąc, że rzeczywistość jest tylko opisem. To, co uważamy za rzeczywistość, jest jedynie uzgodnioną wersją wielu jednostek żyjących w tym samym społecznym i kulturalnym otoczeniu. W każdym czasie możliwe jest alternatywne przeżycie rzeczywistości, choć nie jest to możliwe „z miejsca”. W jednym ze swoich rzadkich wywiadów, udzielonym amerykańskiemu dziennikarzowi Samowi Keenowi, Castaneda oświadczył:

W zachodnim kręgu kulturowym świat po większej części składa się z tego, co oczy meldują rozumowi. W czarach organem postrzegającym jest całe ciało. Europejczycy widzą świat na zewnątrz i mówią o nim sami ze sobą; my jesteśmy tu, a świat jest tam, nie mamy bezpośredniej znajomości rzeczy. W sztuce czarnoksiężskiej ta przeszkoda nie istnieje - wiemy całym ciałem.

Na końcu długiego okresu nauki Carlos Castaneda podsumował swoją wiedzę o mechanizmach wewnętrznych rozmów z samym sobą, „produkujących rzeczywistość”:

Problem czarów polega na tym, by nastawić i wytrenować swoje ciało w celu uczynienia z niego dobrego odbiornika. Europejczycy traktują swoje ciało jak przedmiot. Napełniamy je alkoholem, złym pożywieniem i lękiem. Kiedy coś z nim jest nie tak, wierzymy, że z zewnątrz do ciała wniknęły zarazki choroby. Don Juan tak nie sądzi. Dla niego choroba oznacza brak harmonii między człowiekiem a jego światem. Ciało jest czymś, co trzeba sobie uświadomić, i musi ono być traktowane nienagannie...

Wszystko to brzmi znajomo: kwestia rzeczywistości, odkrycie, że jesteśmy „odbiornikami”, i prawo harmonii. Gdzie jednak strona praktyczna?

Tylko spokojnie. Krok od ezoterycznego pojmowania świata do lepszego, bardziej spełnionego - słowem, szczęśliwszego - życia przez wiedzę ezoteryczną wymaga rozwagi i pracy nad sobą. Kto tylko czeka na nadejście oświecenia, ten jest podobny komuś, kto ma nadzieję wygrać na loterii, ale nigdy nie kupuje losu.

Ezoteryczna praca nad sobą

Przed oświeceniem rąbać drewno.

Po oświeceniu rąbać drewno.

Mądrość Zen

Drogi do wewnątrz

Powtórzmy jeszcze raz dla wprowadzenia się w odpowiedni nastrój: metafizyczna treść wiedzy ezoterycznej wskazuje, że oprócz świata materialnego istnieje inna rzeczywistość, której nie można tak po prostu uchwycić. Aby mieć w niej swój udział, musimy dosłownie zamknąć oczy na świat zewnętrzny. Tylko uwaga: Jeśli to zrobimy z pozycji słabości i niepewności, to grożą nam niebezpieczeństwa - utrata poczucia rzeczywistości, zależność, rozkład normalnej formy życia i utrata osobistego bezpieczeństwa. Następuje ucieczka w mglisty świat, sklecony na podstawie własnych i cudzych życzeń albo wzorów, który z inną

rzeczywistością wiedzy ezoterycznej ma równie wiele wspólnego, co serial Dallas z codziennością Teksasu.

Całkiem inaczej mają się sprawy, jeśli ktoś należycie zakorzeniony w świecie zewnętrznym, stawiający czoło losowi, zacznie podróż do wewnątrz z pozycji siły.

Wiedza ezoteryczna może być wielką pomocą, ale nie jest polisą na życie, a już na pewno nie taką, która nie wymaga opłacenia składki. Jak się zdaje, istnieją dwie podstawowe metody zbliżenia się do innej rzeczywistości.

Jedną z nich jest magiczne zawładnięcie i manipulacja światem, czego doświadczył Carlos Castaneda i co później praktykował.

Inna polega na oczekiwaniu, przyjmowaniu i zgodzie na bieg wydarzeń. Taką drogę większość ezoteryków traktuje jako tę właściwą. Podajemy to tylko dla informacji; nie wiąże się z tym naturalnie żadna ocena.

Płynne są także granice oddzielające na przykład ezoterykę od psychologii. Psychologowie posługują się technikami ezoterycznymi, a okultyzm nie może się wyprzeć bliskiej więzi z Freudem i Jungiem.

Krótką formą psychoterapii, znana pod nazwą focusing, mogłaby być także traktowana jako ezoteryczna technika medytacji w celu doświadczenia samego siebie i rozwiązania problemu.

Objaśnienie tej metody nie zabierze wiele czasu.

Trzeba usiąść lub położyć się, zamknąć oczy i poczekać, aż opadnie wewnętrzne napięcie. Potem zaczynamy mentalny dialog:

Jak się czuję?

Nie należy odpowiadać od razu, ale odczekać, aż odpowiedź przyjdzie sama, jakkolwiek miałaby ona być. Nie trzeba z nią dyskutować, ale ją po prostu zaakceptować, przyjąć.

Następnie podejmujemy problem:

Co mnie w tej chwili najbardziej trapi?

Kiedy problem się skryształizuje, nie trzeba weń wnikać, ale raczej intensywnie odczuwać własne emocje, wyzwolone przez określenie problemu.

Ulegając emocji, zastanowić się nad nią. Zapytać siebie:

Co jest główną sprawą w tej emocji?

Odczekać na słowa albo obrazy rodzące się z tej emocji i pytania o jej naturę.

Wejść w słowa (albo obrazy) i rozważyć:

Czy te słowa (obrazy) pasują do mojej emocji?

Jeśli nasze ciało odczuwa, że wszystko do siebie pasuje i jest prawidłowe, właściwe, należy jeszcze przez około jedną minutę oddawać się swojej emocji.

Następnie kazać ciału odpowiedzieć na pytanie: Jak bym się czuł, gdyby wszystko było w porządku?

Gdy tylko reakcja stanie się odczuwalna, w naszym ręku znajdzie się początek nici przewodniej. Zacznie się otwierać brama do naszego wnętrza - a tym samym w ten czy inny sposób także do większej, obszerniejszej rzeczywistości. Niektórym czytelnikom przypomni się już wspomniane „programowanie neurolingwistyczne” (NLP). Nie ma w tym sprzeczności. Wiele dróg prowadzi nie tylko do Rzymu, ale także ku nowym (wewnętrznym) lądom.

Wspomniany już w związku z tarotem monachijski psycholog Jurgen vom Scheidt, który nie uważa praktyk ezoterycznych za „nie dość dobre” dla celów swojej terapii, napisał w 1979 r. dla programu nocnego Radia Bawarskiego scenariusz siedmiodcinkowego serialu na temat „ezoterycznych dróg doświadczania samego siebie”.

Program spotkał się z nieoczekiwanie żywym oddźwiękiem. Wielu słuchaczy prosiło o teksty pragnąc praktycznie doświadczyć samego siebie drogą ezoteryczną.

Takim sposobem na koniec tego samego roku odbyło się seminarium trwające pięć i pół dnia o wiedzy ezoterycznej i ezoterycznych praktykach. Wzięło w nim udział czternaście osób. Przewodniczyli Jurgen vom Scheidt i jego koleżanka Ruth Zenhausern.

Na materiały robocze tej grupy składały się: mosiężne wahadelko, I-Cing, talia kart do tarota autorstwa Aleistera Crowleya (malowana przez Friedę Harris) i inna, według projektu Arthura Edwarda Waite'a (wykonana przez Pamelę Colman Smith).

Po zakończeniu seminarium wszyscy uczestnicy byli zgodni, że nie tylko dowiedzieli się więcej o sobie samych, ale także poczuli „wielką moc” wiedzy ezoterycznej (tematem końcowej sesji był heksagram I-Cing MOC WIELKIEGO, który uzyskała w odpowiedzi na swoje zapytanie Ruth Zenhausern).

Tak więc to nietypowe dla dynamiki grupowej seminarium zakończyło się równie niekonwencjonalnie, jak przebiegało. Zazwyczaj dominuje bowiem płaszczyzna osobistych relacji; rodzące się interakcje nierzadko decydują o biegu rzeczy. Kulminacją końcowej sesji tygodnia doświadczania samego siebie jest zazwyczaj prawdziwy wybuch intensywnej wymiany myśli.

W tym przypadku było inaczej. Do ostatniej minuty uczestników zajmowało doświadczenie ezoteryczne, archetypiczna symbolika nieświadomości zbiorowej i silne osobiste procesy poznawcze, czy raczej przeżycia. A ponadto...

Każda spośród obecnych czternastu osób uznała przynajmniej jedną ze stosowanych metod ezoterycznych za „swoją” i powzięła decyzję, by nadal się nią zajmować. Seminarium stanowiło jedynie początek.

Oboje kierownicy grup odkryli w sobie bardzo silny stosunek do tarota - dla nich karty zaczęły się świecić!

I tak również można się wspinać po szczeblach wiedzy ezoterycznej. Jurgen vom Scheidt reasumuje następująco doświadczanie samego siebie. Można tego dokonywać na różne sposoby; najprostszy podział przyjmuje po prostu kryterium liczby osób uczestniczących:

1. Pojedynczo, w samotności.
2. Po dwóch (z partnerem, osobą zaufaną, terapeutą).
3. W grupie (miejsce pracy, towarzystwo, grupa doświadczania samego siebie).
4. W dużych grupach (wspólnoty jednakowych przekonań).

Oczywiście istnieją także inne kryteria klasyfikacji, na przykład dziedzina, której dotyczy doświadczanie samego siebie:

- medycyna;
- filozofia/religia;
- pedagogika;
- polityka.

Jurgen vom Scheidt podkreśla jeszcze ezoteryczne doświadczanie samego siebie, które może się posługiwać określonymi środkami pomocniczymi (horoskop, wahadełko itd.).

Niemiecki mistyk Jakob Böhme wskazywał na to, że nie wolno ograniczać przeżywania mistycznego do momentów nadzwyczajnych, ale że powinno ono przenikać każde działanie, obserwację i odczucie. W grupach doświadczania samego siebie nie powinno się uczyć niczego innego jak odwrotu od automatycznego, niezaangażowanego trybu życia i zwrócenia się ku świadomemu odczuwaniu i rozumieniu tego, co dzieje się w naszym własnym wnętrzu nawet przy najbardziej trywialnej codziennej pracy.

Nie jest to proces, który dokonuje się z dnia na dzień. Można go z pewnością przyspieszyć, ale nie jest to sprawa dla każdego. Reinhold Messner odkrył niewątpliwie owo ukryte Ja, o którym mówią nauki ezoteryczne, okultystyczne, filozoficzne i religijne wszystkich kultur;

świadczy o tym jego pełna zachwyty relacja ze zdobycia najwyższej góry świata (bez tlenu): „Mój rozum jest jakby wyłączony, martwy. Ale moja dusza jest bardziej przepuszczalna, wrażliwa, jest teraz wielka i uchwytna [...] Moja świadomość jest jasna i klarowna, choć nie całkiem dociera do mnie, gdzie jestem [...] Stojąc w rozproszonym świetle, z wiatrem za plecami, doznaję nagle czegoś w rodzaju wszechogarniającego uczucia. Nie jest to uczucie dumy, że dopiąłem swego i jestem lepszy niż wszyscy, którzy tu przed nami byli, ani wszechmocy. Jest to tylko tchnienie szczęścia w głębi głowy i piersi”.

Ten opis kojarzy się ze sprawozdaniem z wyczynu sportowego. Komponenta ezoteryczna wydaje się w najlepszym przypadku „produktem ubocznym”. Nie mając zamiaru insynuować słynnemu himalaście żadnej postawy duchowej, można jednak powiedzieć, że „produktem ubocznym” z pewnością ona nie jest.

Kto zna tomik o nieciekawym tytule *Biologische Basis religiöser ErJahrung* autorstwa fizyka i filozofa Carla Friedricha von Weizsackera i Hindusa Gopi Kriszny, ten to zrozumie.

W 1937 r. Kriszna przeżył w czasie medytacji to, co znał dotąd tylko ze starych przekazów: przebudzenie siły kundalini (mocy węzowej). (Zachodnim odpowiednikiem jogi kundalini jest pochodzący od Złotego Świtu „rytuał środkowej kolumny”, należący do kanonu zachodnich systemów magicznych.)

W trakcie długiego ćwiczenia Hindus poczuł, jak ogarnia go coraz większy spokój, traci poczucie kontaktu z ziemią, a zarazem oczyma duszy widzi kwiat lotosu w promienistym blasku. Takie doświadczenia często się zdarzają w czasie medytacji, jednak na tym się nie skończyło. Gopi Kriszna opowiada: „Nagle rozległ się ryk jakby wodospadu i poczułem strumień płynnego światła wpływający do mózgu przez rdzeń kręgowy [...] Światłość stawała się coraz bardziej promienna, a huk coraz głośniejszy. Odniosłem wrażenie, że się kołyszę [...] poczułem, że wyslizguję się z ciała, całkowicie spowity poświatą. Niepodobna dokładnie opisać tego przeżycia. Ciało, które zazwyczaj stanowi bezpośredni przedmiot własnej percepcji, zostało w oddali [...] stałem się samą świadomością, bez żadnych granic, zanurzony w morzu światła...”*.

Można by odrzucić to mistyczne przeżycie przebudzenia jako subiektywne wrażenie, gdyby nie jego praktyczne skutki. W Gopi Krisznie zbudziło się bowiem wiele ezoterycznych (paranormalnych) zdolności, które są w sposób jednoznaczny udokumentowane.

Najbardziej godna uwagi - i najłatwiejsza do weryfikacji - była zdolność rozumienia nieznanymi językami. Takie talenty PSI są określane w terminologii jogi jako siddhi i reprezentują jedną stronę nauki czakranów. Nie będziemy się nimi zajmować explicite, gdyż istnieje wiele poważnych dzieł fachowych na ten temat, w których osoby zainteresowane mogą znaleźć odpowiednie informacje. Zamiast tego powiemy, że Gopi Kriszna doznał „przeżycia progowego”, jakie zna nie tylko wschodnia wiedza ezoteryczna.

Centralną rolę odgrywa w nich zawsze światło. Żyjący w drugiej połowie drugiego wieku po Chrystusie Apulejusz z Madaury tak opisuje swoje wtajemniczenie: „Doszedłem aż do granicy między życiem a śmiercią, wstąpiłem na próg Proserpiny, a przebywszy wszystkie żywioły, zawróciłem. W najgłębszej ciemności o północy ujrzałem słońce w pełni najjaśniejszego blasku”.

Także Jakob Bohme (1575 - 1624), szewc ze Zgorzelca, który w wieku 25 lat przeżył przemianę mistyczną, a drogę ezoteryczną pojmował jako sposób realizacji samego siebie, dostąpił „oglądania słońca o północy” w 1600 r.:

„O tym rzecz, co to za światłość i czego potwierdzenie, ten jeno może, kto odkryje Centrum naturae. Ale żaden rozum tego nie sięgnie”.

Takie progowe przeżycia mają największe znaczenie w wielu inicjacjach mistycznych, o ile nie we wszystkich (dość wspomnieć o doświadczeniu śmierci w inicjacji szamańskiej). Oczywiście, dotarcie do takiej płaszczyzny jest długotrwałe, o ile w ogóle się powiedzie. Od postawienia pierwszego kroku na ścieżce wiedzy ezoterycznej do inicjacji (wtajemniczenia) droga jest długa i kręta, wielu nie udaje się jej przebyć.

Zajmijmy zatem pozycję startową i zbadajmy możliwości, jakie się otwierają przed jednostką - czy chce ona z gruntu przeorientować ezoterycznie całe swoje życie, czy „tylko” żyć sensowniej i szczęśliwiej. Osoba zainteresowana odczuje z początku niewątpliwie zmieszanie ze względu na mnogość i ogromne skomplikowanie systemów magicznych. Jeśli to jej nie zniechęci i przystąpi do poszukiwań zrozumienia istotnych zasad i podstawowych pojęć, to najdosłowniejszy mistyczny mrok się rozjaśni. Może się pojawić - i w wielu przypadkach się pojawi - rodzaj intuicyjnego wyczucia magii.

Większość tradycji magicznych ma świadomość, że robi wrażenie niezgłębionych, i zaleca adeptom, by zaczynali od studiowania najważniejszych zasad, na których opiera się gmach magii. Jeśli zostaną one raz przyswojone, to poszczególne elementy teorii i praktyki magicznej jakby same z siebie zajmą przeznaczone dla siebie miejsca. Można rozpoznać cechy wspólne wszystkich systemów magicznych.

My możemy ominąć podstawowy szczebel. Myśl wszechogarniającej harmonii, kosmicznej jedności i wzajemnej korelacji między mikro- a makrokosmosem („Jak w górze, tak na dole”) jest nam już dobrze znana, podobnie jak trójwymiarowa ograniczoność naszych mózgów. Ezoterycy, przyrodnicy i narkomani chcą ją przewyciężyć w jednakowej mierze -tylko różnymi drogami.

Mag dąży do osiągnięcia wyższej zdolności postrzegania i poznawania, która pojawia się w trakcie jego ćwiczeń najpierw w postaci krótkich błysków olśnienia. W miarę postępów treningu magicznego czas ich trwania będzie się przedłużał. Wreszcie stanie się możliwy dowolny dostęp do wyższych duchowych płaszczyzn świadomości.

To jest ostatecznym celem. Można do niego dążyć różnymi drogami i można się w każdym czasie zatrzymać, jeśli mamy wewnętrzną pewność: „To jest to, czego chciałem!”

Podstawowym warunkiem każdej pracy magicznej jest zdolność wytwarzania obrazów mentalnych. Wielu ludzi z natury ma taką umiejętność. Wykorzystują to techniki terapeutyczne, jak na przykład znane „katatymiczne przeżycie wizyjne” czy wyższy szczebel treningu autogenicznego.

Kto nie należy do utalentowanych, ten jednak może się nauczyć sztuki imaginacyjnego myślenia obrazowego. Każdy sam będzie wiedział, jak to zrobić. Przeważnie wystarcza błądząc myślami uświadamiać sobie obrazy wyłaniające się z podświadomości. Potem

powinniśmy się ostrożnie starać je pogłębić, nie czepiając się ich jednak kurczowo. Bez obawy, można się tego szybko nauczyć; reszta jest treningiem.

W niektórych przypadkach mogą występować podświadome „przeciwwreakcje”: bóle głowy, nudności, skrajna dekoncentracja itd. Krótko mówiąc: nasze Ja czuje, że jego spokój jest zakłócony. Woli pozostać w dotychczasowych zwykłych ramach i odwieść nas od naszego zamiaru.

Nie wolno mu ustąpić, trzeba posuwać się dalej; nie inaczej niż przy nauce gry na instrumencie albo obcego, być może „niesympatycznego” języka. Wytrwałość prowadzi do celu także w magii. Pewnego dnia nawet najbardziej krnąbrna podświadomość zaakceptuje nowe wzory myślenia i wyobrażenia. Tym samym pokonana zostanie pierwsza, zapewne najtrudniejsza przeszkoda. Teraz możemy wybrać swoją metodę i zacząć ćwiczenia.

Przedtem podamy jeszcze ważną wskazówkę dotyczącą zaawansowanego etapu szkoły podstawowej. Istnieją dwa rodzaje wytwarzania obrazów mentalnych: można albo świadomie dążyć do ich tworzenia, albo wprawić się w spokojny, bierny stan, otwierający do nas dostęp obrazom rodzącym się w naszej podświadomości. Jeśli wewnętrzny obraz został przez nas stworzony albo wyłonił się z defilującego przed nami szeregu obrazów, to w obu przypadkach powinniśmy zbadać jego szczegóły, w pełni korzystając z wyobraźni.

Już z tej pierwszej fazy można wyciągnąć korzyść dla codziennego życia. Jeśli w czasie medytacji na temat określonych przedmiotów albo treści szczególnie uporczywie pojawiają się trudności albo nieustannie o czymś zapominamy, gdy wszystko inne mamy jasno przed oczyma duszy, to widać z tego, że natrafiliśmy na podświadomy kompleks. Psychoanaliza traktuje takie blokady jako ważne wskazówki, od czego zacząć terapię. Początkujący magik może postąpić podobnie. Nierzadko można się uwolnić od lęków, nerwic, uczucia przygnębienia i podobnych przez uświadomienie sobie, co je spowodowało albo co się z nimi wiąże.

Chcemy jednak posunąć się dalej. Jedna z instrukcji Hermetycznego Zakonu Złoty Świt brzmiała: „Przemień pozytywnym aktem woli wizję (senną) w widzianą i przeżywaną rzeczywistość świadomości na jawie”.

Do tego potrzebne są już wprawdzie solidne środki pomocnicze i metodyczne postępowanie. Sprawdzone techniką jest koncentrowanie się na prostym, niezbyt wielkim obiekcie. Prosty rulon wykonany z papieru albo tektury może nam to bardzo ułatwić.

Obserwujemy przez niego wybrany obiekt na zmianę raz jednym, raz drugim okiem albo obydwoma oczyma jak przez lornetkę, jeśli rura ma dostatecznie dużą średnicę lub jest uformowana owalnie. Tak jest nawet najlepiej.

Po pewnym czasie koncentracji odwracamy spojrzenie i patrzymy swobodnie w dal. Wtedy zjawia się powidok oglądanego przedtem przedmiotu, wytworzony przez naszego ducha i zmysł wzroku. To prosta sztuczka psychologiczna, ale bardzo pomocna.

Nie miejsce tu, aby przedstawiać całą gamę ćwiczeń rozluźniających i pomagających się skoncentrować, jakie podsuwa psychologia, dynamika grupowa, joga, medytacje itd. Kto chce poznać szczegóły na ten temat, ten może sięgnąć do bogatej literatury przedmiotu. Nam

wystarczy lapidarne stwierdzenie, że zdolność koncentracji przeważnie idzie w parze ze zdolnością do rozluźniania się i na odwrót.

Niektóre techniki świadomie wiążą ze sobą te dwa aspekty. Chętnie stosowana w psychologii metoda Jakobsona polega po prostu na tym, by po przyjęciu wygodnej pozycji, najlepiej leżącej, przez krótką chwilę maksymalnie napiąć każdy z mięśni ciała, od małego palca u nogi do skóry na czole.

Naturalnie, nie można rozluźniać każdego mięśnia z osobna, ale można tu zrobić więcej, niż wydawałoby się możliwe. Po tym kilkuminutowym ćwiczeniu następuje rozluźnienie.

Stosuje się jeszcze klasyczne medytacje rozluźniające. Siadamy prosto; jeśli mamy wystarczającą elastyczność, to zalecana jest jedna z pozycji jogi (wspomagają one tak zwaną „swobodną fluktuację świadomości”).

Staramy się odsunąć od siebie wszystkie wrażenia zewnętrzne i pozwalamy się nieść. Ciało rozluźnia się, pojawia się wewnętrzna równowaga. Zaczynamy czuć pracę własnych narządów (zauważamy, że serce bije, krew pulsuje itd.). Oddech staje się świadomy (prawidłowe oddychanie jest jednym z kluczy do wielu technik ezoterycznych).

Koncentrujemy się na oddychaniu; trzymając otwarte usta czujemy, jak wdychane powietrze wpływa do płuc, wypełnia całe ciało, przenika każde włókno bytu. Ważne jest, by oddychać głęboko i równomiernie. Wkrótce będziemy głośno i wyraźnie słyszeli własne oddechy - jak głęboki strumień życia, którym oddech (prana) jest w istocie, a nie tylko z czysto medycznego punktu widzenia.

Teraz koncentrujemy myśli na jakimś temacie (ta metoda znowu pochodzi z psychologii, dynamiki grupy i pasuje do tego kontekstu). Wybieramy jakieś słowo, najlepiej pozytywne, harmonijne pojęcie o głębokim znaczeniu, na przykład „harmonia”, „jedność”, „światło”, „miłość”, „spełnienie”, ściśle zgodnie z naszą osobistą skalą wartości.

Komu nie odpowiada to ćwiczenie, dla tego może być bardziej odpowiednia droga hinduistyczna.

W pełni rozluźnieni, mając „opróżnionego” ducha i w myślach szum tła, z zamkniętymi ustami nucimy jakiś dźwięk, na tyle głośno, abyśmy mogli sami go usłyszeć. Poczujemy, jak nasze ciało zaczyna wibrować i odpowiada echem.

Można uzyskać efekt wzmocnienia, wyobrażając sobie jednocześnie, że do każdej komórki ciała z osobna wlewa się światło, aż zyskamy poczucie, że promieniejemy jasnością.

Nucenie dźwięku znane jest z jogi. Dla brahmanów mistyczną mantrą jest święty dźwięk OM, który symbolizuje esencję całego wszechświata. Jest on nucony A-U-M, co odzwierciedla zarazem zasadę trójcy, zakorzenioną nie tylko w kulturach zachodu. U Hindusów „trzech w jednym” to Brahma, Wisznu i Sziwa - władcy stworzenia. Wracajmy jednak do praktyki.

Wszystkie te ćwiczenia służą wewnętrznemu przygotowaniu i przyzwyczajeniu do przesuniętego postrzegania, które towarzyszy praktyce ezoterycznej, o ile się ją uprawia poważnie. Przedstawione metody nie mają wiążącego charakteru, ale winny tylko zasugerować czytelnikowi możliwy sposób postępowania. Nikt nie musi wpatrywać się w

przedmioty przez rurę ani niewolniczo wypełniać proponowanych instrukcji. Z reguły wystarcza postępować w sposób zgodny z naszą naturą. Komu bardziej odpowiada na przykład koncentrowanie się na płomieniu świecy (to również przyjęte ćwiczenie), niech stosuje tę metodę.

Jeśli w zadowalający sposób opanowaliśmy pierwszy szczebel, to można pójść o krok dalej. Również na to nie ma stałej recepty. Niektórzy specjaliści, jak na przykład W. E. Butler, uważają za dobrą drogę dalszego rozwoju wyrobienie w sobie tak zwanego „słuchu imaginacyjnego”.

Przywołujemy wspomnienie głosu dobrze znanej osoby. Wydaje się, że to proste, ale komuś nie wyćwiczonemu nastęcza to więcej problemów, niż można by oczekiwać. Bez cierpliwości i tu nic nie wskóramy. Jeśli potrafimy już w duchu usłyszeć obcy głos, łączymy z nim określone treści, to znaczy każemy danej osobie coś powiedzieć.

Z początku musimy jeszcze sami formułować te przemowy w duchu. To my decydujemy, co powie wyimaginowany rozmówca, jednak tylko początkowo. Po pewnym czasie, w miarę ćwiczenia, władzę przejmie nasza podświadomość.

Na życzenie możemy całkowicie wiernie słyszeć głos określonej osoby, a to, co mówi, przychodzi samo z siebie. Wystarczy, aby ćwiczący już tylko słuchał. Weszliśmy na teren zjawisk magicznych, w danym przypadku w domenę „bezpośredniego głosu”, jak się nazywa ten fenomen w spirytualizmie.

Pozostajemy jeszcze przy temacie akustycznym.

Moc słów - magia dźwięków

Znany specjalista od spraw jazzu i autor bestsellerów Joachim-Ernst Berendt stosuje pojęcie „Tao słuchu”, które chyba nie przypadkiem kojarzy się z Tao fizyki Fritjofa Capry.

W swoich audycjach Nadha-Brahma, należących do najbardziej popularnych pozycji kulturalnego programu radia Sudwestfunk, podkreślał on spirytualne i kreatywne znaczenie słuchu z zachodniego i wschodniego punktu widzenia. Zdaniem Berendta człowiek zachodu musi się stać „człowiekiem słyszającym”, aby przezwyciężyć kryzys duchowy i materialny, w którym się znalazł nasz sterowany z zewnątrz świat. Organizując liczne odczyty, warsztaty i seminaria w Europie i USA Joachim-Ernst Berendt głosi filozofię „słyszę - więc jestem” i propaguje praktykę audytywnego wejrzenia w głąb siebie. Według niego słyszenie jest równoznaczne z uduchowieniem. Ta droga jest pociągająca dla wielu ludzi i ma różne odgałęzienia.

Niewątpliwie „dźwięk i muzyka są drogowskazem do usłyszenia własnego głosu wewnętrznego” (tak sądzi Joachim-Ernst Berendt), jednak nie można lekceważyć mocy samego słowa.

Nie należy jej rozumieć w sensie manipulacji (jak np. w reklamie), ale ezoteryczno-magicznym. We wczesnej fazie rozwoju na zachodni krąg kulturowy wywarł wpływ ważny system metafizyczny, znany jako Kabała. Nauki kabalistyczne przekazywano przez setki lat z ust do ust, ściśle zgodnie ze znaczeniem słowa „kabała”. Elementy tej nauki po raz pierwszy zostały opublikowane w formie książkowej w XII w.

Na tych dziełach kabalistycznych opierały się magiczne systemy zachodu, które pojawiły się w średniowieczu. Szczególną pozycję wśród magicznych form dźwiękowych zajmują kabalistyczne „imiona siły”.

Powstała pod koniec XVIII w. w Polsce kabalistyczna sekta chasydów czyniła użytek ze „świętych słów”. Jej założyciel i pierwszy przywódca, „mistrz Boskiego Imienia”, rabbi Israel Baalszemtow, był pierwszym z szeregu wtajemniczonych, którzy mieli czynić znaki i cuda.

Ożywienie zachodniej tradycji okultystycznej przez zakon Złoty Świt, jego odnogę Stena Matutina i inne tajne towarzystwa szło w parze z renesansem kabalistycznej mocy słów, „języka Henocha” i systemów pokrewnych.

Na wschodzie nie było tylu fluktuacji. Od tysięcy lat nie kwestionowany istnieje tam stały i nader złożony system filozoficzny magicznych słów, znany jako mantra-joga. W tekstach tantrycznych bywa on często określany jako „girlanda liter” albo podobnie. Mantry były to pierwotnie wersy z Wed sanskryckich, stosowane jako zaklęcia albo formuły czarnoksiężskie. W wąskim rozumieniu jednak za mantry uważa się takie fragmenty Wed, które nie są oznaczone jako Brahmany (objaśnienia). W literaturze ezoterycznej mantra oznacza słowo, które się stało ciałem, dostępne postrzeganiu zmysłowemu przez magię.

W medytacji mantry przeważnie powtarza się w milczeniu. Ponieważ w wielu tradycjach mistycznych istota bóstwa jest tożsama z jego nazwą, powtarzanie mantr może prowadzić do zjednoczenia z bóstwem.

Nierzadko guru (mistrz) przekazuje chela (uczniowi) osobistą mantrę, która musi być zachowana w tajemnicy. pojęcie mantry jest jednak jeszcze bardziej obszerne.

We wspomnianej już technice jogi nucone są w rytualny sposób tak zwane słowa pierwotne albo prądźwięki - jak OM - w celu zbliżenia się do samadhi (najwyższego spełnienia, 8 stopnia). W całości ta bardzo znana mantra brzmi: „Om namah Shiwaya” (Om, skłaniam się ze czcią przed Sziwą, wewnętrznym Ja).

Ta niewielka dygresja na temat magicznych tradycji wschodu i zachodu pokazuje, jakie znaczenie słowo - ale również dźwięk, jak zaraz się dowiemy - miało od zarania ludzkości i ma nadal.

Znaczenie to istniało prawdopodobnie już w owych dniach zamierzchłej prehistorii, kiedy neandertalczycy i człowiek z Cro-Magnon chrząkaniem rzucali sobie nawzajem wyzwanie. Wprawdzie doszukiwanie się podstaw tajemnej mocy słowa w epoce, w której rzeczywiste słowa jeszcze nie istniały, zakrawa na sprzeczność, jednak nią nie jest.

Jak stwierdzili lingwiści i antropologowie, ale także badacze mózgu i biofizycy, podstawowa struktura ludzkiego języka jest do pewnego stopnia z góry zaprogramowana przez budowę mózgu. Z tego względu we wszystkich językach można znaleźć podobne struktury

elementarne; co prawda można to stwierdzić jedynie przy zastosowaniu analiz matematycznych i symulacji komputerowych. Możemy bez oporów zaakceptować fakt, że istnieją cechy wspólne między wszelkimi językami czy narzeczami.

Małe dzieci posługują się prawdziwie uniwersalnym, wspólnym całej ludzkości językiem pierwotnym, zanim przyswoją sobie język rodziców i utracą tę zdolność. Ten osobliwy proces wydobyły na światło dzienne badania bliźniąt, inne dzieci bowiem w niemowlęctwie nie mają identycznych rozmówców. Już w przedszkolu zanika zdolność wyrażania się w „języku pierwotnym”.

A jednak spuścizna naszej najwcześniejszej historii tkwi w nas głęboko i najwidoczniej możemy wywoływać filogenetyczne programy, wspomnienia i zdolności. Być może dokonuje się to z pomocą „słów siły” i „pradźwięków”. Najnowocześniejsze badania wykazują, że takie słowa i dźwięki odgrywają wielką rolę w przekazach telepatycznych, tylko tu się je określa jako archetypy. Znamy już to pojęcie, ukute przez C.G. Junga dla określenia oceanu nieświadomości zbiorowej.

Nie mamy zamiaru w żaden sposób podważać tego wyobrażenia. Niewątpliwie rozwój Homo sapiens spowodował, że nasze aparaty do myślenia nie mogą być w pełni indywidualne. Wyjaśnia to, dlaczego pewne impulsy (barwy, dźwięki itd.) wywołują takie same reakcje u japońskiego wybitnego menedżera i u australijskiego aborygena. Psychologia mówi o bodźcach neutralnych kulturalnie, w wyabstrahowanej formie spotyka się je w testach, określanych jako culture fair. „Okablowanie” naszych mózgów na najgłębszym poziomie jest tak jednolite, że pewne ciągi skojarzeń mają jednakowy przebieg w każdym z nas - to źródło wspomnianych archetypów.

W gruncie rzeczy wszystko to są sprawy oczywiste. Gdyby było inaczej, zamiast ludzkiej wspólnoty liczącej ok. 5,5 miliarda członków istniałoby 5,5 miliarda oddzielnych światów bez jakiegokolwiek możliwości kontaktu. Taki wariant jest zresztą czystą teorią, ponieważ gatunek składający się z tak absolutnych indywidualistów musiałby się wkrótce zaliczać do obumarłych gałęzi drzewa ewolucji - o ile w ogóle mógłby powstać.

Nie ma więc żadnych naukowych argumentów przeciwko tezie, że tajne komórki naszego ducha czekają tylko na to, by je otworzyć słowami siły albo pradźwiękami. Nie jest tajemnicą, że dźwięk może przybierać wiele postaci, mieć wiele aspektów i potężną moc. Ultradźwięki są w stanie spowodować wielkie zniszczenia (być może zdarzało się to już w prehistorycznych czasach, wystarczy wspomnieć trąby jerychońskie). Infradźwięki (dźwięki o niskiej częstotliwości, poniżej granicy słyszalności) mogą doprowadzić ludzi do szaleństwa. Nawet nasz skromny zakres słyszalności w okolicach 10 000 herców wystarcza, by zalał nas potop dźwięków, których nikt nie jest w stanie przetworzyć. Tak więc przeszło 90 procent z nich wędruje od razu do podświadomości, gdzie czeka w stałej gotowości, by znowu wybuchnąć po wyzwoleniu przez bodziec skojarzenia.

Doszliśmy zatem do punktu, w którym należałoby przekazać wielką obfitość praktycznych instrukcji. To jednak - znowu - rozsądziłoby ramy tej książki. Kto chce się głębiej zapoznać z magią słów i dźwięków i korzystać z niej, ten ma do dyspozycji bogatą ofertę literatury fachowej i wszelkiego rodzaju materiałów informacyjnych.

W tym miejscu zamierzaliśmy przedstawić w podstawowych zarysach tylko jeden z aspektów ezoterycznej pomocy w życiu i zapanowania nad swoim losem. Ludzie ukierunkowani na wrażenia słuchowe odkryją tu być może swoją drogę i pójdą nią dalej.

W związku z tym jeszcze jedna wskazówka: przy stosowaniu słów czy też dźwięków siły istotną sprawą jest właściwa intonacja, a więc już nasz własny głos powinien przy ich wydawaniu drgać z taką mocą i nieść taki „ładunek energii”, jak to tylko możliwe. Także i to można ćwiczyć. Zniżamy głos starając się zarazem wytworzyć jasność we własnym duchu, pozostawiając w nim miejsce tylko na odpowiednie słowo siły (pradźwięk) i wszystko, co się z tym wiąże.

Jeśli to się nam udało, to możemy wykorzystać jeszcze jedną metodę dla wzmożenia efektu: „wibracje siły”. Znaną są cztery rodzaje tej metody, oparte na rytmie, wysokości dźwięku, samogłoskach i spółgłoskach.

W dwóch pierwszych można się posługiwać instrumentami, w dwóch pozostałych głosem.

Rytm jest kluczem do określonych stanów emocjonalnych i nie tylko (bębnienie szamanów). Może być regularny lub nieregularny.

Podświadomość reaguje częstokroć bardzo silnie na dźwięki lub ich sekwencje, które dla świadomości na jawie są skrajnie nieznośne. W muzyce synkopowanie albo łamanie rytmu (akcentowanie nuty albo akordu normalnie nie akcentowanego) stanowi silny impuls wyzwalający specyficzne stany ducha.

Muzyka, jaką zna człowiek Zachodu, jest zbudowana na podstawie jednego dźwięku wzorcowego, tak zwanego kamertonu. Według tego dźwięku stroi się np. każdy fortepian. Wschodnia muzyka mantr jest o pół tonu niższa i opiera się na prostym następstwie dźwięków wznoszących się lub opadających ćwierćtonami, toteż nie wpada nam w ucho tak jak muzyka Zachodu. Mimo to również Europejczyk powinien się z nią zapoznać, gdyż magiczna intonacja i śpiew tradycyjnym, pełnym głosem i według zwykłej gamy zazwyczaj nie wywiera wrażenia.

„Dysharmonijne” tony muzyki mantr i ich nucenie mogą, jak się wydaje, szeroko otworzyć wewnętrzne furtki postrzegania, które w innym przypadku uchylają się rzadko i w najlepszym razie tylko trochę.

A oto jeszcze jedna wskazówka praktyczna, która zmieści się w zakreślonych ramach. Chodzi o użycie naszego osobistego imienia; nie mamy przy tym na myśli imienia człowieka otrzymanego na chrzcie, ale niezależne od niego określenie osobowości. Może to być przezwisko albo pojęcie szczególnie silnie kojarzące się z daną osobą. Zazwyczaj najłatwiej jest uzyskać jasność co do własnego imienia określającego osobowość, jednak z biegiem czasu wykształci się w nas także pewna zdolność przydzielania bliźnim takich imion, które w wielu przypadkach będą trafne. Angielski poeta Alfred Tennyson (1809 - 1892, podziwiany mistrz filozoficznej liryki i surowo prze-strzegający formy przedstawiciel klasycyzmu), wypowiadając swoje osobiste imię głośno i z natężeniem zapadał w stan przypominający rodzaj transu. W stanie tym przeżywał wyższe aspekty samego siebie, które to nadzwyczajne doświadczenie wyraził w wierszu *The Ancien! Sage*.

Kolejnym wzmocnieniem jest „wibracja bezpośrednia”. Należy spróbować skłonić słowo siły - dla uproszczenia na początek swoje osobiste imię - by z powrotem wpłynęło w nasz organizm.

Wydaje się to trudniejsze, niż jest w istocie. Ręce to części ciała bardzo dobrze nam znane; należy odwrócić dłoń stroną wewnętrzną do góry, spojrzeć na nią i wyobrazić sobie, że wibrujące imię znajduje się na środku dłoni.

To ćwiczenie nie od razu się uda. Jest ono, przynajmniej, nieco dziwne. Po pewnym czasie jednak będzie nam szło jak z płatka. Wtedy będziemy mogli naszą siłę wibracji skoncentrować na innych regionach ciała, czole, splocie słonecznym, żołądku itd. W ten sposób sterowaną wibracją można uzyskiwać dobroczynne, ożywcze, a nawet lecznicze działanie (później również bez użycia słowa siły albo imienia). Naturalnie, nie zalecamy leczenia za pomocą takiej wibracji np. perforacji ślepej кишки, jednak technika ta może się walenie przyczynić do poprawy naszej ogólnej kondycji i podniesienia siły życiowej.

Kiedy osiągniemy ten szczebel, to będziemy już dość daleko na naszej drodze. Wiele osób nie będzie może umiało w sposób pewny określić, czy większa jest ich wrażliwość na bodźce akustyczne, czy optyczne. Często się zdarza, że ktoś spontanicznie mówi, iż jest wzrokowcem albo słuchowcem, ale po poważnym zastanowieniu traci pewność. Proste ćwiczenie pomoże uzyskać jasny obraz sytuacji. Należy wyobrazić sobie jakiś dźwięk i dać mu powoli wybrzmieć do końca, podobnie jak cichną widelki do strojenia. Dobrze jest przykryć ucho małym naczyniem, na przykład filiżanką, i stopniowo słabnący dźwięk rzutować na tło szumu krwi albo doprowadzić do zaniku sam szum krwi (ćwiczenie to wyda nam się bardziej znajome, jeśli zastosujemy muszlę, o ile jest pod ręką). Jeśli nie przyjdzie sukces mimo zawziętego treningu, to prawdopodobnie nie mamy predyspozycji słuchowych. W takim przypadku powinniśmy się zdecydować raczej na wkroczenie w inną krainę.

Czarodziejska kraina barw i obrazów

W reklamie istnieją tak zwane „obrazy tachystoskopowe”. Metoda ich stosowania, obecnie zabroniona ze względu na działanie hipnotyczno-manipulacyjne, polega na wplataniu do reklamówki albo filmu zdjęć pokazywanych przez tak krótką chwilę, że świadomość ich w ogóle nie zauważa, dochodzą natomiast do podświadomości. Wspomniane obrazy, które, co zrozumiałe, przedstawiają przede wszystkim zachwalane produkty albo nazwy producentów, stają się wbrew naszej woli częścią naszej osobowości i niewiele możemy na to poradzić. Nie jest to zbyt miła świadomość.

W szkołach magii, zajmujących się rozwijaniem naszej wizualnej jaźni, stosuje się systemy z pozoru przypominające tę technikę manipulacji, jednak ze znakiem odwrotnym. Na przykład medytacjom na temat glifu (symbolicznego rysunku) kabalistycznego Drzewa Życia towarzyszą nagle zaczynające świecić albo rozbłyskujące barwy, więcej, barwy są podstawą tej medytacji.

Często nie docenia się doniosłości tej sprawy, choć poza tym waga kolorów w magii praktycznej jest poza dyskusją.

Istnieje wiele publikacji o wzajemnym oddziaływaniu między psychiką a kolorami. Znany szwajcarski psychoterapeuta Max Luscher opracował test kolorów, nazwany od jego nazwiska, którego prostota i precyzja nie przestają zadziwiać; prowadzi się terapie barwami i stosuje się określone kolory lecznicze w walce przeciwko uporczywym chorobom.

Wzrokowiec może pogłębić swoją wrażliwość na odbiór koloru kilkoma ćwiczeniami, które same w sobie nie noszą jeszcze magicznego charakteru.

Jeśli będziemy się przez dłuższy czas wpatrywać w kolorowy obrazek, najlepiej prosty motyw utrzymany w jednej barwie podstawowej, np. czerwonej, a następnie nagle skierujemy wzrok na białą płaszczyznę, to będzie się nam wydawało, że widzimy na jej tle przed chwilą obserwowaną figurę, co prawda w barwie dopełniającej. Jeśli przedmiot był czerwony, to będzie go widać jako zielony na białym tle.

Jest to znany efekt fizjologiczny.

Można jednak pójść jeszcze dalej. Jeśli narysujemy koło albo wielokąt, podzielimy tę figurę na kilka czerwonych czy też zielonych segmentów i w środku każdego z nich umieścimy mniejszą figurę w barwie dopełniającej, to otrzymamy rysunek, który mógłby wyglądać mniej więcej tak jak przedstawiony poniżej (nie musi mieć dokładnie takiej formy jak ten, ważna jest zasada przemienności barw dopełniających). Rysunek ten jest zatem naszym instrumentem medytacji, naszą mandalą. Samo ćwiczenie wymaga wytrwałości i skupienia. Wpatrujemy się w koło (wielokąt), koncentrując się przy tym na jednej z dwóch barw. Jest to męczące i po pewnym czasie prowadzi do chwilowej dekoncentracji. Spojrzenie ześlizguje się z motywu, pojawia się nieostrość widzenia. W tym momencie dochodzi, można powiedzieć, do przebijania tej z barw, w którą się nie wpatrywaliśmy.

Jeśli wybraliśmy kolor czerwony, zaświeci się zielony, zaraz jednak znowu czerwony, zielony, czerwony itd. Zacznie się wibracja barwna, koło (wielokąt) zacznie jak gdyby pulsować życiem. Takie oscylacje kolorów mają głęboki wpływ na tajemne komórki naszej psychiki. Na późniejszym etapie można rysunek wprawić w obrót, co spowoduje intensyfikację, pogłębienie i rozszerzenie efektu zmiany osobowości. Pamiętajmy, że tego ćwiczenia nie wolno mylić z terapią kolorów. Jest ono raczej jedną z wielu różnorodnych form medytacji, za pomocą których można się uwrażliwić na wszechobecne i docierające do nas z zewnątrz drgania.

Dodatkowym czynnikiem jest znaczenie specjalnych kolorów w ezoteryce, odpowiednio do danej tradycji ezoterycznej.

Byłoby przesadą, gdyby stwierdzić, że tych kilka przykładów pozwala uznać szczebel podstawowy za załatwiony. Wręcz przeciwnie, istnieją niezliczone formy medytacji ukierunkowane wizualnie lub akustycznie, które nam pozwalają na życzenie wprowadzić się w stan otwartej albo poszerzonej świadomości. Szczegółowo opisane metody miały tylko pokazać, jak powinna wyglądać zasada postępowania. Każdy może na swój użytek wypracować osobistą formę, całkowicie różną od tego, co tu przedstawiono.

Decydującym czynnikiem jest i pozostanie wywołana przez to wewnętrzna przemiana. Jeśli nawet nie pójdziemy dalej, „zadowolając się” nabytą zdolnością medytacji, to już przez to samo można skierować swoje życie ku lepszemu.

Potwierdzi to każdy, kto wcześniej przytłoczony problemami, życiem w pośpiechu, dreńczony wątpliwościami, samotnością i przekonany o bezsensie życia, zdołał potem zmobilizować siły do wkroczenia na drogę naprawy przez zatopienie się w sobie.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przerastające go troski zmały, znikły lęki, a pełen pogody spokój zajął miejsce ustawicznej gonitwy.

Mógłby ktoś teraz wysunąć zarzut, że w tym wszystkim nie ma nic prawdziwie „magicznego”. Medytacja... mantry... autosugestia... mandale... typy barw... trening autogeniczny, wydaje się, że te pojęcia są sobie równoważne. W gruncie rzeczy tak też jest, gdyż w centrum znajduje się zawsze ten sam czynnik: nasz duch i jego ukryte siły.

Przekroczenie progu

Uczyniliśmy zatem pierwszy krok. Jeśli po nim mają nastąpić dalsze, trzeba mieć jasność co do kierunku, w którym będziemy podążać. Wiedza ezoteryczna podsuwa tu całą gamę przeróżnych możliwości. Już w przypadku astrologii i radiestezji (wahadełko i różdżka) i wróżb (I-Cing i tarot) widzieliśmy jasno, ile praktycznej pomocy w życiu mogą dać te techniki. Każda z nich, stosowana prawidłowo i z rozwagą, może nie tylko sprzyjać osobistemu szczęściu, ale i dopomóc w rozwikłaniu kwestii, co w ogóle należy przez nie rozumieć.

W starannie uporządkowanej bibliotece ezoterycznej mogą się znaleźć setki tomów prezentujących możliwości ezoteryczno-spirytualnej pomocy w życiu: od chiromancji do różnych typów osobowości, które mogą być zaszyfrowane w liczącym sobie tysiące lat symbolicznym systemie eneagramu, od energii czakranów do wzbudzania zdolności jasnowidzenia, od zaklęć czarnoksiężskich do najwyższej inicjacji, od eliksiru miłości do znalezienia przeznaczonego nam partnera, z którym podzielimy nie jeden, ale kilka żywotów, od odkrycia źródła siły w naszej podświadomości do magicznych technik oddychania, od tłumaczenia snów do postrzegania aury, od podróży astralnych do wzywania osobistego ducha opiekuńczego, od szamańskich zaświatów do łączenia się z energią kosmiczną, od rozsypywania runów do mocy druidów, od leczenia duchem do ewokacji magicznej, od magii liczb do terapii zapachowej, od mocy kamieni szlachetnych do indiańskich zwierząt siły, od energii piramidy do promieni ziemi, od doświadczenia ponownych narodzin do tajemniczych sobowtórów...

Ta paleta, choć wydaje się tak bogata, zawiera jedynie ułamek ezoterycznych technik, metod, systemów i nauk, o których można byłoby się dowiedzieć we wspomnianej starannie uporządkowanej ezoterycznej bibliotece. Absurdem byłaby chęć zaprezentowania na tym miejscu odfiltrowanego koncentratu takiego bogactwa.

Nie, poprzestańmy na krótkiej, ale treściwej części zatytułowanej Wiedza ezoteryczna pomaga w życiu. Udało nam się oprzeć pokusie zanurzenia w ogromnym oceanie ezoterycznej pomocy życiowej, przy czym w najdosłowniejszym sensie tego słowa grunt usunąłby się nam spod nóg. Zamiast tego zawarliśmy znajomość z kilkoma podstawowymi

zasadami, poznaliśmy elementarne techniki, które dopiero pozwalają skorzystać z ezoterycznej pomocy w życiu, i może odebraliśmy kilka wskazówek, jak efektywniej pracować z tym, co już znane (astrologia, wróżby i radiestezja).

Ezoterycy, okultyści i filozofowie wschodu i zachodu są zgodni w jednym punkcie, że prawidłowe nastawienie jest połową sukcesu, cokolwiek mielibyśmy na celu. W tej części książki staraliśmy się nieco to ułatwić i naświetlić w kilku punktach ezoteryczną myśl przyświecającą z pozoru mechanistycznym ćwiczeniom.

Przypomnimy jeszcze jedną maksymę ezoteryczną: „Droga jest celem”. Nierzadko pomocą, której zawsze szukaliśmy, może być już samo zajmowanie się sprawami dalekimi od codziennych frustracji, rozczarowań w pracy zawodowej i kontaktach z ludźmi w ogóle, a z partnerem w szczególności, i od wszelkich innych przeciwności losu. Nie dość na tym, to, co dla niektórych w pewnym momencie mogło być ucieczką, nieoczekiwanie staje się spełnieniem, a to, przed czym starali się uciec, traci na znaczeniu.

Z jakimkolwiek podejściem ktoś się zbliża do wiedzy ezoterycznej, czy jest to osoba rozpaczliwie poszukująca swojej drogi, czy łowca poznania, mądrości i nowych horyzontów - każdy znajdzie gotową odpowiedź. My jednak pragniemy teraz poznać odpowiedź na ostatnie, prowokujące pytanie, które brzmi: „Czy wiedza ezoteryczna może się stać nauką jutra?”

Część IV

Wiedza ezoteryczna w zwierciadle nauki

Elementy do budowy nowej wizji świata

Nie narodził się jeszcze i nigdy się nie narodzi taki człowiek, który by poznał prawdę o bogach i wszystkim, co jest na ziemi. Jednak gdyby nawet był ktoś taki i zdołał choćby raz dokładnie trafić w sedno, to sam by o tym nie wiedział. Możemy bowiem jedynie snuć domysły.

Xenophanes

Zburzona iluzja "tu i teraz"

Rafael Gonzales z Miami, 54-letni właściciel sklepu, zerwał się zły potem z niespokojnego snu. Okropny koszmar, który nawiedził go we śnie, wprowadził go w śmiertelny lęk. Pełen grozy przypominał sobie niezwykle realistyczny obraz ostatnich sekund własnego życia,

przerwanego przez jego byłego pracownika Roberto Avareza, który go we śnie obrabował i z zimną krwią zastrzelił.

Gonzales nie wiedział, że jego dni są policzone. Miał przed sobą jeszcze tylko tydzień życia.

Kiedy nocne koszmary straciły moc w jasnym świetle poranka, biznesmen opowiedział swoim pracownikom treść snu. Sześć dni później znaleziono go martwego.

Pewien spóźniony klient zauważył, przyszedłszy po godzinach urzędowania, że spod zamkniętych na klucz drzwi sączy się krew. Rafael Gonzales został obrabowany i brutalnie zamordowany. Trzy strzały oddane z najbliższej odległości sprawiły, że nie miał żadnych szans.

W sklepie brakowało małej metalowej kasetki z zawartością około 400 dolarów, którą znaleziono pustą na ulicy. Sprawca nie pozostawił żadnych śladów - a przynajmniej nic takiego, czego zazwyczaj szuka policja.

Mimo to zagadka kryminalna została szybko rozwiązana. Píše o tym Andy Arostegui, szef policji kryminalnej z Miami:

W czasie rutynowego przesłuchania pracowników zamordowanego dowiedzieliśmy się o koszmarnym śnie, jaki miał pan Gonzales. Normalnie nie zwracamy uwagi na takie sprawy, ale z braku jakichkolwiek innych tropów zajęliśmy się sprawdzeniem także i tej wskazówki. Faktycznie okazało się, że jedyny odcisk palca, który został na kasetce, pochodzi od 22-letniego Roberto Avareza, który już przyznał się do winy.

Brytyjski historyk Arnold Toynbee zapewnił sobie nieśmiertelność w panteonie nauki dziesięciotomowym dziełem *A Study of History*. Jego dynamiczna teoria cyklicznego rozwoju kultur dzieli i dzisiaj jeszcze historyków na dwa przeciwstawne obozy. O ile Oswald Spengler odrzucił pogląd Anglika, że dzieje kultury są ścisłym procesem akcji i reakcji, to liczni inni historycy przypisują przełomowe znaczenie historii kultury Toynbee. Mniej znaną sprawą są „pęknięcia czasu”, które przeżył Arnold Toynbee i które w ten czy inny sposób niewątpliwie wywarły wpływ na jego rewolucyjną pracę.

Dnia 23 kwietnia 1912 r. historyk ten wspiął się na cytadelę Monemvasia w Grecji. Kiedy przedzierał się przez krzaki, porastające spękane mury obronne, aby przyjrzeć się starym armatom ze spiżu, nagle przeniósł się w czasie. Był wieczór owego dnia roku 1715, kiedy to forteca broniona przez wojska weneckie wpadła w ręce Turków. Wokół historyka zwycięscy zdobywcy zabierali się właśnie do burzenia umocnień i niszczenia dział, co prawda nie w trakcie szturm, ale dla zagwarantowania pokoju, ponieważ twierdzę poddano w wyniku pertraktacji.

Dwa miesiące później Arnold Toynbee doświadczył następnego przeskoku w czasie. Z najwyższego punktu twierdzy Mistra patrzył na równinę Sparty na Półwyspie Peloponeskim. Nie spodziewając się niczego złego jadł czekoladę, błędząc wzrokiem po ruinach. Nagle otaczający go świat uległ zmianie. Znalazł się w samym środku krwawej łaźni, ludzie

umierali przy nim z krzykiem, jakby rozwarły się wrota piekła. Były to okrutne dni odwetu w greckiej wojnie wyzwoleniczej toczonyj w dwudziestych latach ubiegłego wieku. Bezcielesny, a mimo to w pełni świadomy Toynbee był widzem rzezi, która nastąpiła po zdobyciu Mistry i pociągnęła za sobą śmierć większości mieszkańców twierdzy. Historyk był do głębi wstrząśnięty obrazem tej minionej, a teraz na nowo przeżywanej grozy. Niezwykle silnie odczuwał bestialstwo ludzi i bezdenną otchłań zła, będącego sprężyną napędową większości działań. Nigdy już nie zdołał się wyzwolić od tego wrażenia; według jego własnych słów przeżycie z Mistry skłoniło go do podjęcia pracy nad monumentalnym dziełem *A Study of History*.

O godzinie 8.30 rano dnia 3 czerwca 1964 r. Juliet Rhys Williams, wiceprzewodnicząca Economic Research Council i była prezes BBC, spożywała śniadanie z dwiema córkami w swoim domu w londyńskiej dzielnicy Belgravia. Rozmawiano o wstępnych wynikach wyborów w USA. Lady Williams usłyszała właśnie przez radio, jakim wynikiem zakończyła się w Kalifornii walka między senatorem Barry Goldwaterem a gubernatorem Nelsonem Rockefellerem. Miała jeszcze w uszach głos komentatora, który szczególnie podkreślał wczesne uzyskanie wyników, ponieważ były to pierwsze na świecie wybory, w których obliczanie głosów w pełni wykonały komputery. Napływały kolejne meldunki, w tle słycać było gwar, Nelson Rockefeller przyznał się do porażki, a senator Goldwater nie mógł udzielić wywiadu, bo poszedł do fryzjera, żeby ochłonać. Była to zupełnie zwyczajna audycja radiowa, normalna w każdym szczególe. Nienormalny był tylko jeden drobiazg: pierwsze doniesienia wyborcze zostały nadane przez amerykańską sieć CBS siedem godzin po rozmowie Lady Williams z jej dwiema córkami. Angielska BBC wlokła się zresztą w ogonie i jeszcze o godzinie 17.30 tego dnia donosiła, że Nelson Rockefeller jest zdecydowany przetrwać.

W 1642 r. w Anglii pewien mały pamflet wzburzył umysły. Wywołał on takie poruszenie, że król Karol I powołał komisję do zbadania zawartych w nim twierdzeń. Pod kierunkiem pułkownika Lewisa Krike'a komisja śledcza udała się na miejsce zdarzenia do Edgehill w pobliżu Keinton w hrabstwie Northamptonshire, gdzie odbyła się jedna z wielkich bitew wojny domowej, toczonyj między królewską dynastią Stuartów a parlamentem, w której wyniku została proklamowana republika pod przywództwem purytanina Olivera Cromwella. Wspomniany pamflet pod tytułem *A great Won der in Heaven, shewing the lale Apparitions and Prodigious Noyse of War an Battles, seen on Edge-Hill, neere Keinton, in Northamptonshire* informował, że nad opuszczonym pobojuwiskiem unosił się zgiełk bitwy i było widać jej obraz. Świadkowie relacjonowali tumult walki, a ci, którzy przeżyli bitwę, rozpoznawali swoich towarzyszy. Komisja przesłuchała te osoby, wśród których byli liczni oficerowie i jeden sędzia pokoju. Wszyscy przysięgali, że mówią prawdę. Do tych zaprzysiężonych zeznań dołączyli swoje członkowie komisji, którzy także kilkakrotnie mieli do czynienia ze sprawami niewytłumaczalnymi. Fenomen ten trwał trzysta lat. Ostatnie zeznanie świadka pochodzi z naszego stulecia, a złożył je wielebny John Dering.

Jesienią 1987 r. James Pease, kierownik Bauer Contemporary Ballet Company z Milwaukee, opowiedział angielskiemu pisarzowi Colinowi Wilsonowi zdarzenie z roku 1972. W roku tym Susi Bauer, późniejsza żona Jamesa Pease, wyjechała do Nowego Jorku kontynuować studia

tańca. Oto relacja Jamesa Pease, o której zgodności z prawdą może zaświadczyć jego brat Mitchell:

Tydzień po wyjeździe z Milwaukee [Susi] poszła w nocy z butelką wina do swojej sypialni; nastawiła płytę i usiadła obok łóżka na podłodze. Czuła się nieszczęśliwa. W tym czasie mój brat i ja skończyliśmy skromną kolację przed telewizorem. Mitch siedział na tapczanie, a ja rozpięram się wygodnie na krześle, siedząc plecami do jadalni. Nagle kątem oka zobaczyłem coś dziwnego: w drzwiach jadalni stała Susi, jak gdyby chciała przyjść do nas. Trwało to ułamek sekundy, dopóki sobie nie uprzytomniłem, że przecież Susi jest w Nowym Jorku, nie mogła więc być w naszym pokoju. Moje zmieszanie było tak widoczne, że Mitch odwrócił wzrok od telewizora i spytał, co się ze mną dzieje. Odpowiedziałem coś w rodzaju: „Mógłbym przysiąc, że Susi właśnie chciała do nas wejść”. Przestaliśmy o tym myśleć i wróciliśmy do oglądania telewizji.

Wtedy zadzwonił telefon, to była Susi z Nowego Jorku. Zupełnie wytrącona z równowagi powiedziała dosłownie: „Byłam u was”, na co ja odpowiedziałem: „Wiem”. Potem zaczęła po kolei opowiadać, jak mieliśmy ustawione meble, gdzie siedzieliśmy, jakich sztućców i naczyń używaliśmy i gdzie je - nie zmyte - zostawiliśmy, gdzie były puszki z piwem i że Mitch postawił telewizor na stole, przy którym jedliśmy. Opisała, w jakiej pozycji siedział Mitch przed telewizorem, trzymając nogi na stole. Powiedziała też, że kiedy „była u nas”, brałem właśnie do ręki puszkę piwa. Po zastanowieniu stwierdziłem, że wszystko się zgadzało.

Susi opowiadała, że siedząc obok łóżka, wpadła w rodzaj transu, a jej duch opuścił ciało i szybował w pokoju. Kiedy spojrzała z góry na samą siebie, uświadomiła sobie, że wyjazd do Nowego Jorku był jej własną decyzją. Nie było zatem powodu do depresji, wręcz przeciwnie, to śmieszne, że czuła się tak podle. Poza tym, jeśli już zupełnie nie mogła tu wytrzymać, to był już czas po temu, aby coś na to poradzić. W tym momencie zdała sobie sprawę, że właśnie wchodzi do naszego pokoju w Milwaukee; chwilę później przyszło jej jednak do głowy, że to niemożliwe - i znowu znalazła się w Nowym Jorku...

Takich zdarzeń jest bez liku, zbadano tysiące przypadków. Badacz tych zjawisk, Robert Crookall, wypełnił opisami dziewięć grubych tomów. J.C. Poynton wyselekcjonował 122 poważne przypadki z opisów nadesłanych na ogłoszenie w pewnej gazecie południowoafrykańskiej. Angielka Celia Green w ten sam sposób zgromadziła 326 wiarygodnych przykładów. Przeprowadzono nawet badania statystyczne, dochodząc do wniosku, że co dziesiąty człowiek przynajmniej jeden raz przeżył podobne doświadczenie.

W latach sześćdziesiątych psycholog Charles Tart badał młodą dziewczynę wykazującą objawy niezwyklej postaci schizofrenii (rozdwojenia jaźni). Pacjentka, którą nazywał Miss Z., podawała, że od dzieciństwa regularnie opuszcza własne ciało. Charles Tart przyjął klasyczną drogę terapii, polegającą na zaparciu się siebie i analizował twierdzenia dziewczyny. Prostym eksperymentem miał uprzytomnić Miss Z., że nie może naprawdę czytać w ciemności; według jej własnych słów miała taką zdolność w chwilach, kiedy opuszczała ciało.

Dziwnym sposobem jednak mogła z powodzeniem to robić.

Psycholog nie dawał za wygraną. W jego laboratorium pacjentkę podłączono do przyrządów pomiarowych, podczas gdy Charles Tart w innych pokojach poukrywał kartki, na których były wypisane długie numery. Wszystko na nic się nie zdało: Miss Z. zdołała dokładnie podać te liczby. Gdyby ktoś chciał wyrazić statystycznie prawdopodobieństwo przypadkowego uzyskania takiego wyniku, to musiałoby się ono wyrażać współczynnikiem 1 do liczby z tyłoma zerami, że nie zmieściłyby się na wszystkich stronach tej książki.

Lepiej pogódźmy się z wnioskiem, że teraźniejszość i przyszłość, tu i teraz, są ograniczeniami, które nałożyliśmy sobie sami. Podobnie jak wiele innych...

Zburzona iluzja „niezależności”

W 1979 r. 39-letnia Barbara Herbert z Dover w Anglii zwróciła się do pracownika socjalnego Johna Strouda, aby jej pomógł w poszukiwaniach siostry bliźniaczki. Matka Barbary, która studiowała w Londynie przed drugą wojną światową, oddała swoje obie córki do adopcji, zanim w 1943 r. popełniła samobójstwo.

Barbara Herbert natrafiła na ślad siostry bliźniaczki, kiedy gromadziła dokumenty do celów emerytalnych. Przy pomocy Johna Strouda udało się w końcu odnaleźć poszukiwaną pod nazwiskiem Daphne Goodship w Wakefield.

Na umówione spotkanie każda z sióstr bliźniaczek przybyła na stację Kings Cross w Londynie w beżowej sukience i brązowym aksamitnym zakiecie (pamiętajmy, nie umawiając się co do tego, ale przypadkiem!).

A to był dopiero początek. Obie kobiety pracowały w zarządach miejskich, podobnie jak ich mężowie, obie poznały swoich późniejszych mężów w wieku szesnastu lat na tańcach i wyszły za nich za mąż na jesieni, mając dwadzieścia kilka lat. Podobnie identycznie przeżyły najpierw poronienie, po czym każdej urodziły się w tej samej kolejności dzieci: dwóch chłopców, a po nich dziewczynka. Obie kobiety w wieku piętnastu lat doznały poważnego upadku ze schodów, obie opiekowały się młodszymi uczniami przechodzącymi przez ulicę, czytały to samo pismo i lubiły tych samych autorów. John Stroud skatalogował w sumie 31 niesamowitych wprost zgodności, z których większość w żadnym razie nie daje się wyjaśnić względami dziedziczenia (np. upadki ze schodów i poronienia).

Podobnie układały się dalsze losy Barbary Herbert i Daphne Goodship po ich spotkaniu: nie umawiając się, często kupowały tę samą książkę tego samego dnia, równocześnie zmieniały kolor włosów itp.

Takie przypadki są do siebie podobne jak krople wody, dokładnie tak, jak same bliźnięta...

W wieku dziewięciu lat Jim Lewis z Limy (Ohio) dowiedział się, że ma brata bliźniaka, który został oddany do adopcji po urodzeniu. Trzydzieści lat później - w tym samym wieku co

Barbara Herbert - postanowił nawiązać z nim kontakt, w czym dopomogły władze. Bliźniaków - nazywał się Jim Springer - mieszkał w Dayton (Ohio). Po spotkaniu Jima i Jima (!) wyszło na jaw całe mrowie podobieństw: obaj bracia mieli pierwsze żony o imieniu Linda, a po rozwodzie z nimi każdy ożenił się po raz drugi z kobietą o imieniu Betty. Każdy miał syna o imieniu Allan (czy też Alan) i psa wabiącego się Toy. Jim Lewis i Jim Springer byli pomocnikami szeryfa, urzędnikami McDonald-Company i pracownikami stacji benzynowej. Każdy z nich spędzał urlop w tej samej miejscowości na Florydzie i zawsze na tej samej plaży nie dłuższej niż 300 m. Na urlop Jim i Jim jeździli chevroletami. Obaj mieli w ogrodzie jedno jedyne drzewo, wokół którego znajdowała się biała ławka. Obaj majsterkowali w swoich warsztatach, wykonując ramy do obrazów i meble. Obaj dali się wysterylizować, pili tę samą markę piwa i palili ten sam gatunek papierosów. Obaj kochali wyścigi Stock-Car i nie cierpieli baseballu.

Jeszcze nie dość „przypadkowych zbiegów okoliczności”? Proszę bardzo:

Siostry Terry Conolly i Margaret Richardson wyszły za mąż w tym samym roku, tego samego dnia i prawie o tej samej godzinie. Obie kobiety miały czworo dzieci, które przychodziły na świat prawie w identycznych momentach. Obie kobiety chciały nazwać pierwszą córkę Ruth, ale potem się rozmyśliły.

Dorothy Lowe i Bridget Hamilton opisywały w swoich dziennikach zawsze te same dni.

Pracownik społeczny John Stroud połączył nie tylko Barbarę Herbert i Daphne Goodship, ale także Erica Boococka i Tommy'ego Marriotta, którzy wyszli sobie na spotkanie jak swoje lustrzane odbicia: w identycznych okularach (kwadratowe szkła w metalowej oprawce) i każdy z kozią bródką; obaj też pracowali jako siła pomocnicza w fabrykach w mieście Yorkshire. Trzeba jeszcze raz podkreślić, że nie zaplanowali jednakowego stroju.

Wręcz niewiarygodna wydaje się historia Oscara Stohra i Jacka Yufe, których podobieństwa nie zdołał osłabić nawet dystans równy szerokości Oceanu Atlantyckiego ani przepaść dzielących ich diametralnie przeciwstawnych sobie ustrojów społecznych.

Obaj urodzili się w Ameryce, jednak Jack wzrastał jako ortodoksyjny Żyd, podczas gdy Oscar wyjechał do Niemiec, gdzie został członkiem Hitlerjugend. Minęło kilkadziesiąt lat.

W 1979 r. bracia spotkali się znowu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa należałoby oczekiwać, że będą różnili się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Jednak ich niewidzialna więź okazała się silniejsza: Jack i Oscar nosili identyczne okulary i niebieskie koszule z pagonami. Na powitanie uśmiechnęli się pod takim samym wąsem, a mimo że Jack mówił po angielsku, a Oscar po niemiecku, to rytm, z jakim mówili, był jednakowy. Była to zresztą tylko zewnętrzna warstwa synchronizacji.

Obaj mieli ekscentryczny zwyczaj splukiwania toalety przed i po użyciu i nosili gumki recepturki na nadgarstku.

Dla kogo takie zbieżności nie są jeszcze dość absurdalne, tego może zadowoli poniższy przypadek.

Trzydziestoczteroletni Vebi Limani z Sara Mountain (USA) w czasie burzy został śmiertelnie ugodzony piorunem. Dziennikarze lokalnej gazety wydobyli na światło dzienne fakt, że we wcześniejszych latach na skutek uderzenia pioruna stracili życie ojciec, brat i wuj Limaniego.

Rupert Sheldrake, ojciec rewolucyjnej teorii o przyczynowości formatywnej, zgromadził niezliczone elementy do puzzli swojej wizji wszechświata przepojonego informacją. Kazał on np. angielskojęzycznym studentom nauczyć się na pamięć trzech krótkich wierszy po japońsku. Jeden z tych tekstów składał się ze słów przypadkowo dobranych, drugi wprawdzie miał sens, ale powstał niedawno, natomiast trzeci był tradycyjnym rymem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Studenci, mimo że po japońsku nie rozumieli ani słowa, najszybciej jednak zapamiętali wiersz liczący sobie setki lat, co można było wyraźnie stwierdzić.

Na podobny efekt natrafił już wzmiankowany Lyall Watson w Osace w Japonii, gdzie kształci się słynnych „sekserów kurcząt”, specjalistów, którzy najdosłowniej „w małym palcu” mają rozpoznawanie płci świeżo wyklutych piskląt. Watson miał nadzieję, że jako biolog czegoś się tu nauczy - i tak też się stało. W Japonii wiele umiejętności - od ceremonii parzenia herbaty przez Go do karate - przekazuje się metodą wspólnego ich praktykowania. Uczeń spędza długi czas z mistrzem (sensai) i przyswaja sobie jego zręczność. Tak jest również w przypadku sekserów kurcząt.

I w tej dyscyplinie uczniowie tak długo patrzą mistrzom przez ramię, aż sami nabędą ich sztukę. Lyall Watson porównuje ten proces nauczania z osmozą (przenikaniem substancji przez błonę przepuszczalną).

Sami sekserzy nie umieją wyjaśnić, jak to możliwe, ale faktem pozostaje, że ich dokładność jest bliska 100 procent, a szybkość pracy „już nieświadoma” - i że mogą swoją zdolność przekazywać innym.

W 1924 r. w USA umarł neurolog Albert Abrams, napiętnowany jako szarlatan, zgorzkniały i zapoznany. Jego „przestępstwo” polegało na tym, że odkrył nieortodoksyjną metodę diagnozowania raka, która, co skandaliczne, pozwalała osiągnąć dokładność, o jakiej i dziś można tylko pomarzyć. Przy zastosowaniu prostego przyrządu do pomiaru oporu elektrycznego był w stanie na podstawie jednej kropli krwi precyzyjnie określić, czy dana osoba jest chora na raka, a jeśli tak, to na jaką z jego odmian. To nie mogło dobrze się skończyć. Ponieważ poza samym doktorem Abramsem nikt nie mógł dojść do ładu z jego sławną (a raczej osławioną) „Black box” (tak w końcu nazwano to urządzenie), to przekreślenie jego reputacji było z góry przesądzone, bez względu na odnoszone sukcesy.

Po latach metodę Abramsa przejęła i udoskonaliła zajmująca się kręgarstwem Ruth Drown. Jej wyniki były zaskakująco dokładne i można je było uzyskać nie tylko na podstawie analizy krwi, ale i włosów. To, co nastąpiło potem, nie było niespodzianką: Ruth Drown w 1951 r. uwięziono, a jej notatki i aparaty zniszczono. Zmarła wkrótce po wypuszczeniu z więzienia ze względu na podeszły wiek.

Mimo to metoda Abramsa-Drown przetrwała. Angielski inżynier George de la Warr pracował dalej nad jej stroną techniczną i wdrożył produkcję. Dziś maszyna Abramsa-Drown-de la Warr faktycznie jest stosowana. Jej użytkownicy nazywają swoją sztukę „radioniką”. Jak się

zdaje, za pomocą prostego urządzenia, w którym wahadełko kołysze się nad kroplą krwi, można zapoczątkować coś w rodzaju procesu zdalnego leczenia...

W tym punkcie nieodpartej mocy nabiera pytanie, co łączy ze sobą te wszystkie coraz bardziej egzotyczne elementy mozaiki. Proszę o jeszcze trochę cierpliwości, najpierw musimy zarznąć jeszcze jedną świętą krowę.

Zburzona iluzja „stabilnej rzeczywistości”

W pierwszym roku naszego wieku, który miał ludzkości przynieść rzeczy potworne, zaczęło się długie pożegnanie z rzeczywistością naszych ojców. Stało się to co prawda niezauważalnie - dla wielu po dziś dzień. W pewnym artykule niemiecki fizyk Max Planck zajmował się rozwiązaniem problemem fizyki XIX w. Chodziło o rozkład promieniowania cieplnego rozgrzanego ciała na różne długości fal.

Wbrew wszelkim klasycznym wyobrażeniom i oczekiwaniom rozkład ten okazał się skokowy. Przyczyny tego stanu rzeczy były nieznane. W każdym razie na tradycyjnym pojęciu fal pojawiło się pęknięcie; zarazem także na wszystkim, co powszechnie kojarzymy z pojęciem rzeczywistości, choć tego jeszcze nikt nie przeczuwał. W 1905 r. Albert Einstein dołączył dalszy fragment informacji. Starał się on wyjaśnić zjawisko fotoelektryczne, polegające na wybijaniu elektronów z powierzchni metalu przez fale świetlne. Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby fala świetlna była zarazem strumieniem samodzielnych cząstek. Materialistyczna wizja świata zaczęła się chwiać w posadach.

Jak coś może być jednocześnie falą i cząstką? To jakby coś było naraz okrągłe i kanciaste; ta analogia zresztą trafia w samo sedno sprawy i dokładnie opisuje „rzeczywistość”. Jeśli nawet nie na znanej nam płaszczyźnie. Ale po kolei.

Nie zdawano sobie jeszcze wtedy w pełni sprawy, że na horyzoncie newtonowskiego obrazu świata pojawiły się czarne chmury. A potem rozpełtała się burza.

Nie „tylko” światło musi mieć tę niepojętą dwoistą naturę. Również elektrony, które miały okrążać jądro atomu niczym wierne satelity, musiały być czymś innym niż maleńkimi kuleczkami. W przeciwnym razie nie byłyby możliwe stabilne powłoki elektronowe. Załamał się klasyczny obraz atomu. Zamiast miniaturowego układu planetarnego z głębi materii wyłoniło się coś niewyraźnego, pulsującego - ni pies, ni wydra, niepojęty cień.

Do jakiego stopnia niepojęty, okazało się wtedy, gdy wszystkie cząstki elementarne ujawniły zachowanie typowe dla fal. Dziś mówi się o falach materii i nikt nie ma nawet najmniejszego pojęcia, czym one mogłyby być.

Na scenę świata wkroczyła mechanika kwantowa. Jej sukcesy były - i są - imponujące: pozwala ona uzyskać matematycznie ścisły opis struktury atomu, radioaktywności, sił wiążących związki chemiczne, spektrum atomowego, pól elektrycznych i magnetycznych, struktury jądra i reakcji jądrowych, elektrycznych i termicznych właściwości ciała stałego, nadprzewodnictwa, rodzenia się i niszczenia materii i antymaterii, budowy gwiazd,

elementarnych mechanizmów życia i wielu innych zjawisk. Bez mechaniki kwantowej nie mogłyby istnieć lasery, mikroskopy elektronowe, tranzystory ani komputery.

Aspekt techniczny mechaniki kwantowej nie stanowi problemu. Można się nią posługiwać jak przepisem kulinarnym. Równania się zgadzają, a rezultat odpowiada oczekiwaniom.

Przepadła jednak wszelka pogładowość.

Czym bowiem byłby człowiek, gdyby nie próbował zajrzeć pod powierzchnię rzeczy?

I w tym właśnie sęk. Słynny fizyk Niels Bohr powiedział oschle, że kto zrozumiał teorię kwantową, ten jej nie pojął. Podkreślał on stale, że nie można jej przejrzeć.

Nagle przestał istnieć podział na świat „tam na zewnątrz”, kierowany przez odwieczne, niewzruszone prawa, i nas, którzy to wszystko obserwujemy, nie biorąc w tym bezpośredniego udziału.

Cóż zatem istniało?

Teraz wszystko zaczęło się na dobre. Fizycy zakasali rękawy. Jeśli nawet rzeczywistość była inna, niż oczekiwano, to należało jej się właśnie dobrać do skóry eksperymentami innymi od tradycyjnych. Przecież to śmiesznie proste!

Łatwiej to było powiedzieć niż zrobić, gdyż to coś w głębi atomów powiedziało: „Nie, moi mili, nigdy mnie nie dorwiecie!” Usiłowano co prawda zażarcie. Najpierw trzeba było to coś uchwycić, wszystko jedno, czy miała to być cząstka, czy fala. Już w 1801 r. Thomas Young wykazał swoim słynnym doświadczeniem interferencyjnym, że światło ma naturę falową. Trzeba więc było do niego powrócić, tym razem jednak pod kątem cząstek.

Oslabiono promień światła tak, by z każdego kierunku do ekranu docierała zawsze tylko jedna cząstka, albo kwant światła (foton), kierowana prawem przypadku. Powstaje przy tym określony wzór. Osobliwy aspekt sprawy polega na tym, że każdy foton musi „wiedzieć”, gdzie trafić, to znaczy, musi znać pozycje i tory lotu „kolegów”. Dokładnie tak samo dzieje się w przypadku cząsteczek gazu i innych zbiorów posłusznych prawom masowej statystyki (choć dziwnym trafem tego nie odbieramy jako coś zagadkowego).

Bardzo dziwne.

No dobrze, a więc przez dwie szczeliny wypuszczano fotony na ekran, na którym tworzyły one ściśle przewidywalne wzory. A co się stało, gdy zamknięto jedną z tych dwóch szczelin?

Wtedy wzór zniknął. Cząstka „wiedziała”, że otwarta jest już tylko jedna szczelina, i dostosowała do tego swoje zachowanie. To rzeczywiście już nie miało nic wspólnego z naszym potocznym doświadczeniem. Pociski karabinu maszynowego albo kule bilardowe tak by się nie zachowały.

Teraz naukowcy poszli na całość. Jaki byłby wynik, gdyby przed każdą szczeliną zainstalować czujnik? Wtedy można by było błyskawicznie i podstępnie zamknąć jedną z nich, skoro tylko będzie wiadomo, która cząstka dokąd poleci.

Niestety nie. Uniemożliwia to zasada nieoznaczoności Heisenberga. Pomiar tak dokładny, że dzięki niemu wiadomo, przez którą szczelinę skieruje się dana cząstka, przeszkadza do tego stopnia, iż wszystko się załamuje. Elektron (czy foton) demonstruje swoją wszechwiedzę jedynie wtedy, gdy nie patrzymy mu na rękę.

Naukowcy nie dali się tak łatwo zapędzić w kozi róg. John Wheeler, od którego pochodzą takie pojęcia jak „czarne dziury” czy „pianka kwantowa”, wymyślił eksperyment opóźnionego wyboru (delayed choice). Miał on przechytrzyć fale/cząstki, zamiast tego jednak pokazał, że de facto nic w ogóle nie jest takie, jak się tego domaga zdrowy rozsądek. Fale/cząstki wiedziały, że są obserwowane! Na planie znalazł się człowiek jako element eksperymentu, a raczej jako sprawca rezultatu. Albo też, jak to ujął krótko i wężłowato wielowymiarowy Set w rozmowie z Jane Roberts: „To wy czynicie rzeczywistość”.

Zrozumienie tego faktu musiało dopiero się przyjąć.

Niedawno temu Carroll Alley z gronem współpracowników z Uniwersytetu Maryland w USA podjęli próbę powtórzenia doświadczenia opóźnionego wyboru za pomocą środków high-tech.

Do połowy posrebrzone zwierciadło dzieli promień lasera na dwie części, analogicznie do podwójnej szczeliny u Younga. Kolejne zwierciadła w wyrafinowany sposób zmieniają bieg tych promieni tak, że się one krzyżują i trafiają w jeden z dwóch detektorów fotonów. Jeśli teraz dodać jeszcze jedno do połowy posrebrzone zwierciadło, to oba promienie połączą się znowu. Nie będziemy tu przedstawiać całej złożoności tego eksperymentu. Wyrafinowane mechanizmy pozwalają tu z szybkością światła zmieniać fazy, długości torów i wiele innych parametrów, wszystko po to, by umożliwić przewidywalność zachowania się fal/cząstek.

Zamysł ten jednak się nie powiódł. Cokolwiek robiono, „tego” nie udało się uchwycić. Nawet jeśli zwlekano z decyzją włączenia lub nie drugiego posrebrzanego do połowy zwierciadła do chwili, aż jeden foton prawie dotrze do punktu skrzyżowania, nie dowiedziano się niczego. Na pozór każdy foton wybiera obie drogi, a niejasność doświadczenia podwójnej szczeliny Younga pozostaje niewzruszona. Dalsze konsekwencje są doprawdy potworne. Oznaczają one w tym przypadku - proszę o szczególną uwagę - że decyzja, czy foton przeleci przez aparaturę po jednym czy po obu torach, zapada w takim momencie, kiedy to już się stało. Teraźniejszość powodowała zmianę przeszłości! Innymi słowy: część z osobna nie ma znaczenia, ale tylko w połączeniu z całością. To nie tylko kojarzy się z zasadami ezoteryczno-mistycznymi i mądrościami Dalekiego Wschodu, ale jest takie w swej istocie. Nie tylko buddyzm mówi o twórczej mocy „wiecznego teraz”, któremu nawet Einstein nie mógł zajrzeć w karty.

Ten wniosek może się w pierwszym momencie wydać przesadny. W końcu całe mnóstwo codziennych zdarzeń nie daje się przewidzieć, a nie wiąże się zaraz ściśle z wiedzą ezoteryczną. Można podać jako przykład nagłe zmiany pogody, krach na giełdzie, wyniki ruletki itd.

Mimo to istnieje podstawowa różnica: nieprzewidywalność takich zdarzeń bierze się z braku informacji. Teoretycznie zachowanie się chmury jest obliczalne, praktycznie jednak nigdy nie będziemy w stanie poznać wszystkich parametrów, a już na pewno nie uda się nam zdażyć z tym na czas.

Nieuchwytność świata kwantów natomiast polega nie na tym, że obecnie postrzegamy go tylko fragmentarycznie, ale że nigdy nie będziemy mogli go postrzegać totalnie.

Oddziela nas od niego bariera zupełnie innego rodzaju niż statystyczne odchylenia albo za mała rozdzielczość mikroskopu. Ta bariera ma naturę egzystencjalną, wynikającą z istoty wszechświata czy też bytu, aby wyrazić to filozoficznie, i pozostaje poza obrębem ludzkich dążeń. Odkąd ujawniły się te paradoksy, przeprowadzono ogromną liczbę doświadczeń - teoretycznych i praktycznych - aby uchwycić „rzecz samą w sobie”. Niemało ich pochodzi od Alberta Einsteina, który jak Schrodinger czuł odrazę do „przeklętej kwantowej skakaniny”. Niektóre z tych eksperymentów były genialne w swej przemyślności, ale ostatecznie nie dały lepszych rezultatów niż próba zobaczenia własnych pleców przez coraz szybsze bieganie wokół drzewa.

To porównanie ściśle oddaje nasz dylemat. Hipoteza obserwatora fizyki kwantowej formułuje to następująco: obserwacja zmienia rzeczywistość.

Jest ona taka, jaka jest, tylko dopóty, dopóki pozostaje nie obserwowana. Jeśli się ją obserwuje, przyjmuje raz taką, raz inną postać - fali albo cząstki, nigdy jednak całości!

Z tej ogromnej frustracji zrodziło się kilka modeli świata, z którymi się jeszcze zapoznamy. Ważniejsza jednak w tej chwili jest zasada, którą Niels Bohr wywiódł z tego wszystkiego.

Zasada komplementarności.

Dualizm falowo-korpuskularny reprezentuje obie nawzajem się uzupełniające strony kwantu (który można by również nazwać z pełnym uzasadnieniem „cząstką rzeczywistości”). Mamy wprawdzie wybór, którą z różnych twarzy będziemy obserwować, ale to już wszystko. To samo się tyczy sprawek naszego kwantu. Jeśli jesteśmy zainteresowani miejscem jego pobytu - dobrze, możemy się tego dowiedzieć. Wtedy jednak pozostaje ukryte, co on akurat porabia. I odwrotnie.

Jeszcze raz:

Cząstki przed kurtyną - oto i one.

Fale przed kurtyną - oto i one.

Fale/cząstki przed kurtyną - niemożliwe.

Gdzie „to” jest? - tu!

Dokąd „to” zmierza? -tam!

Co „to” robi i dokąd „to” zmierza? - bez komentarza!

Innymi słowy: jin i jang w głębi atomu.

„Rzeczywistość obiektywna” - jak Einstein nazwał wyobrażenie niezależnej egzystencji - już nie istnieje, a raczej nigdy jej nie było. Nauki przyrodnicze zachodu uważały wszechświat przez setki lat za nagromadzenie izolowanych przedmiotów (od fotela do mgławicy spiralnej) i przeżyły szok, kiedy wszystko się stopiło w jedną niepojętą całość.

Ezoteryczno-mistyczna wizja świata przedstawiała się tak od zawsze. Teraz można by było właściwie zakończyć rozłam obrazu świata. Przy realizacji takiego zamiaru dzieje się coś zdumiewającego: pod pełną chaosu warstwą kwantową także nauki przyrodnicze mogą odkryć coś, w co ezoterycy nigdy nie wątpili: sens i porządek wszelkiego bytu...

Teoria elementu magicznego

Nie spierajcie się o to, czy istnieje duch, czy materia. Nie jest to bowiem nic innego jak spór o słowa. Duch i ciało to tylko dwie różne strony tej samej rzeczy.

Spinoza

W drogę ku nowym lądom

Ankiety przeprowadzone na amerykańskich uniwersytetach i college'ach wykazały, co zdumiewające, że 65 procent profesorów i nauczycieli uważa pozazmysłowe zdolności i postrzeganie za dowiedzione. Wzrasta liczba naukowych wykładów na tematy nieortodoksyjne, do tego wygłaszają je prominentne postacie. Np. renomowany fizyk amerykański Gerald Feinberg nie zawahał się zaprezentować na Międzynarodowym Kongresie Fizyki Kwantowej i Parapsychologii (!) w Genewie w 1974 r. pracy pod tytułem *Erinnerungen an Zukunftiges*. Jej tematem była symetria elektromagnetycznych równań Maxwella, z których można wyciągnąć wniosek o przesyłaniu informacji z przyszłości.

Sporadycznie to i owo przenika na zewnątrz. Ministerstwo Obrony USA przeprowadziło na Stanford Research Institute eksperymenty z telepatią, a United States Army Missile Research Development Command obiecuje sobie korzyści militarne ze zbadania aury człowieka. W środkach masowego przekazu ustawicznie straszy „fala śmierci” oznaczana mylącym skrótem ELF (extreme low frequencies), za pomocą której podobno Rosjanie uprawiają sabotaż parapsychologiczny. Miałoby tu chodzić o udoskonalenie wynalazku Nicolii Tesli, naukowiec pochodzącego z Chorwacji (1856-1943), którego fantastyczne odkrycia nie są dzisiaj ani konsekwentnie wykorzystywane, ani w pełni rozumiane.

Jest typowe, że zachód dopiero wtedy przystąpił do intensywnych badań nad możliwością zastosowania PSI do celów wojennych, kiedy rozeszły się wieści o istnieniu za żelazną kurtyną systemów broni psychotronicznej.

O ile wolny świat lubuje się w rozgłaszaniu swoich niepowodzeń, o tyle rosyjski niedźwiedź tradycyjnie trzyma swoje sukcesy w tajemnicy. Dopiero głośność i pieriestrojka spowodowały pojawienie się luk w murze milczenia. Tak np. niedawno po raz pierwszy w gazecie sowieckiej opublikowano horoskop. Nie dość na tym, „Moskowskaja Prawda” posunęła się nawet do prezentacji astrologa jako „mistrza nauk magicznych”, mimo że astrologia dotąd w ustroju komunistycznym była napiętnowana jako „pseudonauka”. I bez tego wiadomo, że za zamkniętymi drzwiami panował inny duch.

W każdym razie bariery między tym, co „poważne”, a co „niepoważne”, zostały przełamane; musiało do tego dojść, ponieważ te kategorie straciły sens. Jak powiedział Paul K. Feyerabend: *Anything goes*.

Rusza się do szturmów na nowe lądy, których istnienia wcześniej nawet nie poddawano pod dyskusję.

Choć opinia publiczna prawie tego nie dostrzega, niepowstrzymanie rośnie obóz naukowców, którzy się zajmują fenomenami ezoteryczno-mistyczno-paranormalnymi. Stale można słyszeć domysły, że wiedza ezoteryczna mogłaby być jednym z aspektów świata kwantowego, można rzec, odwrotną stroną medalu, na którym jest wyryte słowo „rzeczywistość”. Ta rzeczywistość manifestuje się z pomocą ducha człowieka (albo jego mózgu) jako katalizatora. Myśl ta przewija się w tej książce, łącząc poszczególne elementy puzzli w jedną spójną całość.

Jest oto wszechświat i my, dwa stałe punkty, nie będące odrębnymi wielkościami, ale jednością. „Jak w górze, tak na dole”.

Nasz duch wyrósł z kosmosu i może się z nim znów zjednoczyć. Czyż buddyzm nie powiada: „Jedno we wszystkim i wszystko w jednym”?

Do tej myśli przyłączyły się również nauki przyrodnicze.

Zasadę stapiania się w jedność z harmoniami stworzenia może przeżyć każdy z nas, także bez medytacji, technik ezoterycznych czy brain machines. Wystarczy po prostu pójść na koncert.

W niemal wszystkich symfoniach są takie pasaży, w których wszystkie instrumenty grają razem. Noszą one nazwę „tutti” (po włosku „wszystkie”). Jeśli chcemy, możemy słyszeć wszystkie dźwięki naraz albo - zależnie od chęci - każdy poszczególny instrument odfiltrować z fali dźwięków. Jeśli przestaniemy się koncentrować na skrzypcach, fletach czy innych instrumentach, to znowu zabrzmi wspólny dźwięk całej orkiestry. Taką niewiarygodną zdolność ma prawie każdy z nas, nie zdając sobie sprawy z tego, jak jest niezwykła.

Inna okoliczność sprawia, że to wszystko staje się jeszcze bardziej zdumiewające - i nabiera większego znaczenia. Im lepiej gra dana orkiestra, tym łatwiej możemy wyłowić z niej dźwięk poszczególnych instrumentów.

Przy doskonałej -harmonijnej - współpracy filharmoników można bez trudu precyzyjnie usłyszeć zarówno instrument pojedynczy, jak też całą orkiestrę. Natomiast kiedy nasz słuch i ducha dręczą dyletanci, to wewnętrzne precyzyjne strojenie w nas zawodzi.

W dysharmonię nie możemy się włączyć. Jest ona najwidoczniej sprzeczna z naturą. Obca dla kosmosu i dla nas.

Istnieje jeszcze więcej mocnych poszlak na rzecz „Tao fizyki” czy „dynamiki kwantowej wiedzy ezoterycznej”. Na każdym kroku naukowcy potykają się o zjawiska naturalne, które mają wszelkie charakterystyczne cechy fenomenów ezoterycznych. Można wymienić: niezłokalizowanie, niezależność od czasu, nieuchwytność, indywidualność, sprzeczność, bezprzyczynowość, nieoznaczoność, subiektywność, ukrycie, dwuaspektowość i wiele innych paraleli między paradoksem kota Erwina Schrodingera a zasadami wypisanymi na szmaragdowej tablicy z Memfis, którą miał pozostawić po sobie Hermes Trismegistos.

Co prawda świat nauki formułuje to inaczej. Mówi się o „subatomowym, uniwersalnym systemie inteligencji do przetwarzania informacji”. Czyli po prostu o wiedzy kosmicznej.

O tym już przecież słyszeliśmy w innym miejscu. Czy nie mogłaby więc istnieć kronika Akasha, która zawiera w sobie cały byt i całą wiedzę?

Albo tajemnicza biblioteka na liściach palmowych, w której są zapisane przeszłość i przyszłość?

Albo już wspomniana księga Dzyan?

Albo Tat twam asi hindusów?

Albo, albo, albo...

Dziś fizyka w niewypowiedzianych bólach porodowych wydała „rewolucyjną koncepcję”, którą nauki ezoteryczne propagują od pokoleń.

Chodzi właśnie o ów subatomowy, uniwersalny system inteligencji do przetwarzania informacji, który się znajduje poza kontinuum czasoprzestrzeni (gdzieżby indziej?). Jego przejawem w obrębie naszej czasoprzestrzeni jest po prostu wszystko: elektrony, cząsteczki, góry i doliny, planety i gwiazdy, płazy i oglądający telewizję zamożni mieszkańcy...

Te świadomie swobodne sformułowania w żaden sposób nie mają uwłaczać nauce, ale pokazać, jak ogromny krok uczyniła „chłodna” nauka szkolna - i to w jakim kierunku. To, co dziś można wyczytać z naukowych publikacji, laikowi kojarzy się z czarami i pseudonauką. Tak zmieniają się czasy.

Abyśmy mogli w pełni ocenić pierwiastek ezoteryczny w nauce (jin i jang w postaci czystej) i pierwiastek naukowy w ezoteryce, nie unikniemy podróży przez krainę kwantów. Zasugerowaliśmy już, że teoria kwantowa, która zdruzgotała dobrze naoliwiony zegar kosmiczny XIX wieku, miała znaczenie przełomu kopernikańskiego. Można by go nazwać nawet prowokacyjnie i z pewną przesadą zawróceniem z drogi, gdyż teoria ta wniosła element metafizyczny, mistyczny i do gruntu ezoteryczny. Tylko terminologia brzmi bardziej nowocześnie.

Odpowiednie prawa przyrody wydają się jednak bardziej pasować do Mittelerte J.R.R. Tolkiena niż do naszego świata dźwigni, dźwigni i urzędów finansowych. Co więc staje nam na drodze, kiedy oderwiemy naszą uwagę od makroskopowych spraw dnia powszedniego i zapijemy wzrok w głąb świata cząstek elementarnych, gdzie berło należy do niepojętych władców i kryje się widmowy budulec naszego „wielkiego świata”?

Wspomniane już kwanty.

Jak się zdaje, te maleńkie porcje energii skaczą dokoła bezładnie i nieobliczalnie. Nic sobie nie robią z przyczyny i skutku, a ich zachowanie daje się określić jedynie w przybliżeniu, mianowicie przez „prawo przypadku”. Opisuje ono przeciętne zachowanie wielkich jednorodnych zbiorów, nie jest natomiast w stanie niczego powiedzieć na temat danej pojedynczej cząstki, cząsteczki - albo indywiduum.

A mimo to ten mglisty i niejasny model świata jest jedynym spójnym opisem mikro- i makrokosmosu. Wyjaśnia on sprzeczności, przed którymi musiała skapitulować klasyczna fizyka Newtona, takie jak katastrofa ultrafioletowa, deficyt energii gwiazd - a nawet natura życia.

Ten istotnie nowy obraz wszechświata pozwalał przeczuwać niesłychane konsekwencje. A jeśli fizyka kwantowa w ostatecznej konsekwencji obowiązuje we wszystkich bez wyjątku kwestiach? Na przykład w odniesieniu do czasu?

Amerykański fizyk David Finklestein zastanawiał się nad tym problemem i nadał hipotetycznemu kwantowi czasu nazwę „chronon”. „Teoria chrononu” głosi, że czas nie jest ciągły, ale składa się z szeregu kwantów czasu, nanizanych niczym paciorki na jeden sznurek. Chronon byłby najmniejszym możliwym do określenia przedziałem czasowym, ok. 10-24 sekundy (tyle czasu potrzebuje światło na pokonanie najmniejszej znanej odległości). Fascynującym aspektem tej teorii są luki między kwantami czasu. Mogłyby one być wypełnione przez inne elementarne jednostki czasu. Mówiąc wprost: nieskończenie wiele kompletnych wszechświatów mogłoby się zmieścić w lukach prawdopodobieństwa między wydarzeniami kwantowymi naszego wszechświata. Kto wie - być może to jest właśnie ojczyzna duchowych istot i innych zjawisk. Przewidywalne konsekwencje kwantyzacji czasu, od których aż włos się na głowie jeży, spowodowały, że hipoteza chrononu została odrzucona. Spotyka się ją wprawdzie tu i tam w mniej obciążonej zahamowaniami literaturze science fiction (np. w słynnej powieści Alfreda Bestera *Die Morder Mohammeds*).

Niemal jeszcze bardziej przerażające jest wyobrażenie skwantowanej grawitacji. Doprawdy za daleko odeszlibyśmy od tematu, gdybyśmy chcieli tu odtwarzać ten superegzotyczny gmach teorii. W kwintesencji taka teoria oznacza całkowitą utratę wszystkiego, co jest uchwytne, przyczynowe i logiczne. Kosmos po prostu robi już tylko to, co chce.

Słynny fizyk angielski, specjalista od czarnych dziur Stephen Hawking obliczył to, co jest nieobliczalne. Ten niezwykły uczonek, który wykonuje swoją tytaniczną pracę poznawczą przede wszystkim umysłem, ponieważ jego ciało zaatakowała straszliwa choroba, przedstawił między innymi matematyczny dowód na sformułowaną przez siebie „zasadę nieregularności”.

Przedstawiając rzecz w skrajnym uproszczeniu, w zasięgu supergrawitacji (a więc w czarnych dziurach i ich otoczeniu) może się wydarzyć dosłownie wszystko: mogą „przypadkowo”

powstać dzieła wszystkie Williama Szekspira albo wytrysnąć niewyczerpane źródła coli z rumem. To nieco dziwne wnioski, ale ściśle naukowe. Wszystkich implikacji nie sposób ogarnąć, zmierzają one między innymi w kierunku powstania wszechświata.

Zakończmy ten wątek znamiennym żartem pochodzącym z ust człowieka, który na pewno wie, o czym mówi. Pewnego razu Stephen Hawking w ostatniej chwili zmienił tytuł odczytu, który miał wygłosić przed gronem astrofizyków. Pierwotny tytuł Załamanie się fizyki w dziedzinie osobliwości przestrzenno-czasowych (w centrum czarnych dziur) zmienił na Załamanie się f i z y k ó w w dziedzinie osobliwości przestrzenno-czasowych.

Bardzo wymowna to zmiana, można powiedzieć.

Wszystko to nie stanowi nawet drobnej części „horroru kwantowego”, z którym muszą walczyć naukowcy. Nie istnieje już kwestia, czy coś jest tak, czy inaczej. Wszystko jest i tak, i inaczej. Prawdziwe zasady natury są „okultystyczne” (ukryte). Jest to sytuacja patowa, którą trudno uznać za zadowalającą.

Co gorsza, kłopotliwy brak związków przyczynowych skłania do deprymującego stwierdzenia, że cała nauka nie może być niczym innym jak tylko woluntarystyczną próbą zaprowadzenia porządku w świecie na siłę, ponieważ człowiek po prostu nie może znieść myśli, że jest wydany na łup subatomowych anarchistów i graczy w kości.

A więc nauka przystąpiła do kontrnatarcia. Skleciła z resztek dobrze naoliwionego zegara kosmosu trzy zasadnicze modele świata, które miały przywrócić sens, porządek i przyczynowość. Fakt, że także ezoteryka miała tu znaleźć niszę dla siebie, nie był przez nikogo zamierzony, a jednak tak się stało.

Wspomniane trzy modele to:

- Interpretacja kopenhaska,
- Teoria wielu światów albo światów równoległych

oraz

- Koncepcja ukrytych parametrów.

Interpretacja kopenhaska wywodzi się od Nielsa Bohra. Swoją nazwę zawdzięcza jego rodzinemu miastu, gdzie na terenie browaru Carisberg słynny fizyk mieszkał w domu podarowanym mu przez króla.

Zgodnie z tą interpretacją matematycznym odzwierciedleniem braku wszelkich związków przyczynowych jest „załamanie się wektora stanu lub też funkcji falowej” .

Wektor to matematyczne określenie kierunku i wielkości danej siły i w „normalnej” matematyce przedstawia to, co się zdarzy w następnej kolejności. Niczego podobnego nie

mówi „wektor stanu” mechaniki kwantowej. Sygnalizuje on jedynie, co może się stać w następnej kolejności. Między wektorem a wektorem stanu rozwiera się w teorii poznania luka, w której zmieściłby się lotniskowiec. Niels Bohr wypełnił tę lukę, twierdząc, że ów niemły wektor stanu istnieje jedynie w naszym umyśle.

Myśl, jakoby wszechświat realny nie był bynajmniej realny, ale stanowił jedynie odbicie ludzkiego ducha, wydawała się klasycznej fizyce tak groteskowa, że interpretacja kopenhaska została zredukowana do podstawowego stwierdzenia. Brzmi ono mniej więcej tak: „Rzecz sama w sobie pozostaje niedostępna w hiperprzestrzeni i zależnie od tego, jak się ją ogląda (czyli jak zostanie dobrany eksperyment), prezentuje się jako fala lub cząstka. Ani jedno, ani drugie nie jest niczym innym jak cieniem z przypowieści Platona o jaskini”.

Co ciekawe, Erwin Schrodinger, „wynałazca” funkcji falowej, której kwadrat wartości bezwzględnej podaje prawdopodobieństwo pobytu cząstki elementarnej, nigdy nie chciał zaakceptować wymienionych interpretacji swoich równań. Ów laureat Nagrody Nobla, szczególnie popularny w Austrii, ponieważ jego podobizna zdobi banknot 1000-szylingowy, wyraził swoje niezadowolenie między innymi w słynnym paradoksie kota (osobliwości „kota Schrodingera” wraz ze wszystkimi zaskakującymi szczegółami i konsekwencjami roztrząsam w mojej książce Niewytłumaczalne zjawiska).

Fizyk Bryce De Wiu ujął te wszystkie zastrzeżenia w jednym zdaniu: „Jeśli pójść za interpretacją kopenhaską, powstaje wrażenie, że nawet załamanie się wektora stanu istnieje tylko w naszych wyobrażeniach”. Nie kończący się szereg matryoszek, bab w babie. Arthur Eddington, gigant astronomii, blisko związany z Nielsem Bohrem, wyraził to bardziej poetycznie: „Znaleźliśmy dziwne ślady stóp na brzegu nieznanego. Wymyślaliśmy jedną skomplikowaną teorię po drugiej, aby wyjaśnić ich pochodzenie. Wreszcie zrekonstruowaliśmy istotę, która te ślady zostawiła. To nasze własne”.

Mimo że interpretacji kopenhaskiej nie sposób podważyć matematycznie, to jednak niezupełnie nas zadowala teoria mówiąca, że cegła, która nam właśnie spadła na głowę, istnieje w gruncie rzeczy tylko w naszym umyśle i nigdzie indziej. W jaki jeszcze inny sposób można by było dobrać się do skóry tej „przeklętej kwantowej skakaninie” (jak z niechęcią określił Erwin Schrodinger rezultat swoich własnych równań w liście do Einsteina), załamaniu się przyczynowości i podwójnej naturze rzeczy?

Można było sądzić, że drogą wiodącą do tego celu jest teoria światów równoległych albo teoria wielu światów (także i ona prowadzi niechęć na tereny mistyczno-ezoteryczne).

Koncepcja ta, nazywana także modelem Everetta, Wheelera i Grahama, pochodzi z literatury science fiction (wielu fizyków uważa, że powinna tam pozostać). Hipoteza ta usuwa kolejny uprzykrzony aspekt fizyki kwantowej, a mianowicie kwestię, dlaczego zawsze mamy do czynienia tylko z jednym rezultatem, gdy tymczasem przecież możliwa jest ich nieskończona gama.

Według Hugh'a Everetta, John'a Archibalda Wheelera i Neila Grahama - trzech słynnych fizyków z nie mniej słynnego Uniwersytetu Princeton - jeśli podrzucimy do góry monetę, to oczywiście w naszym wszechświecie wyląduje ona na jedną albo drugą stronę; to jednak nic nie znaczy, gdyż we wszechświecie sąsiednim jest dokładnie na odwrót. Parzystość jest zapewniona. Wektor stanu musi ulec załamaniu we wszystkich kierunkach, jak wymagają tego równania kwantowe. Przyczyna tkwi w tym, że wszystko, co może się zdarzyć,

rzeczywiście się dzieje, tyle że nie w jednym i tym samym wszechświecie. Wspomniany już Bryce De Witt pisał w „Physics Today”: „Mam jeszcze świeżo w pamięci szok, którego doznałem przy pierwszym zetknięciu z koncepcją wielu światów”. Mimo to De Witt i wielu jego kolegów uważa model Everetta, Wheelera i Grahama za najmniej absurdalne wyjście z problemu niepewności kwantowej.

Dotąd poruszaliśmy się wyłącznie na gruncie teorii.

Zarówno interpretacja kopenhaska, jak koncepcja wielu światów stanowią interpretacje zdarzeń niewytłumaczalnych, czy raczej niewyobrażalnych. Jest jasne, że jako takie nie dają się one udowodnić. Tak więc to wyłącznie sprawa gustu, czy bardziej się przychylamy do wersji, że wszechświat istnieje tylko w naszych umysłach, czy może łatwiej nam przełknąć teorię, z której wynika, że we wszechświecie równoległym żyjemy np. jako seryjny morderca (albo nie żyjemy wcale).

Nie sposób udowodnić ani jednej, ani drugiej teorii. Inaczej jest w przypadku trzeciego modelu: koncepcji ukrytych parametrów (ukrytych czynników). Nie ogranicza się on tylko do interpretacji, ale znajduje też potwierdzenie w praktycznym eksperymencie. A poza tym daje się tu zauważyć jeszcze coś innego: ogniwo łączące naukę z wiedzą ezoteryczną!

Odnalezienie „rozleglejszej wiedzy”

Złota myśl Einsteina, że Bóg nie gra w kości, wyrażała odczucia wielu naukowców. Poszukiwali oni supertajnego porządku ukrytego pod powierzchnią chaosu. W 1952 r. dr David Bohm, w owych czasach uważany za najświetniejszego ucznia J. Roberta Oppenheimera, zarysował drogę wyjścia.

Ataki Einsteina na anarchię kwantową byłyby zasadne pod jednym warunkiem, mianowicie że istnieje „płaszczyzna subkwantowa”, świat ukryty pod pocieszenie bezładnym światem kwantów. Ta głęboka płaszczyzna miałaby zawierać meta przyczynowość, za której sprawą wektory stanu załamują się bezprzyczynowo na „środkowej”, można powiedzieć, płaszczyźnie kwantowej. Byłoby tak jednak tylko wtedy, gdyby postulowane parametry nie były związane z przestrzenią. Ukryte parametry poza czasem i przestrzenią... Innymi słowy: jeśli natura przestrzeni i czasu jest całkiem inna, niż zakładano. Ściśle biorąc, jeśli wszystko jest związane ze wszystkim, wyzwolone z ograniczeń miejsca i czasu.

Zaraz, zaraz, o czymś podobnym była już mowa. No właśnie. Pora teraz na rozwinięcie wielkiego obrazu, mieszczącego w sobie zarówno przyczynowość formatywną pola morfogenetycznego, jak powiązanie „kosmicznego kitu” poza przestrzenią i czasem, wiedzę kosmiczną Hindusów i bezpośrednią łączność z kosmosem za pośrednictwem horoskopu, wahadełka, tarota i innych instrumentów ze szkatułki wiedzy ezoterycznej.

Przez wiele lat na całym świecie naukowcy z wyobraźnią liczyli, myśleli i eksperymentowali wytrwale. Szli za zewem Einsteina i Bohma i wypisali na swoich sztandarach: „Znajdźmy świat subkwantowy!”

Jak się zdaje, został on znaleziony. A wraz z nim „duch w atomie”, wszechogarniająca świadomość mistyki, okultyzmu, wiedzy ezoterycznej i metafizyki. Wiele nazw jednej prawdy.

Nie tak szybko. Ten gmach trzeba wznosić cegła po cegle.

A więc zrekapitulujmy krótko to, co wierny, aby później pójść dalej. W 1964 r. dr John S. Bell opracował teorię - nazwanego tak później przez doktora Nicka Herberta – „kitu kosmicznego”, która do dzisiaj nie przestaje szokować fizyków. Teoremat Bella jest potwierdzeniem założenia przyjętego przez Davida Bohma, że działania kwantów nie są związane z miejscem, to znaczy, odbywają się nie tu albo tam, ale i tu, i tam.

Zarówno to, jak to, co potem jeszcze nastąpiło, ma swoje korzenie w teoretycznym eksperymencie Einsteina, Podolskiego i Rosena (E/P/R), który miał umożliwić obejście zasady nieoznaczoności Heisenberga, pozwalając nam okrężną drogą rzucić okiem jednocześnie na miejsce i impuls cząstki. Strategia eksperymentatorów polegała na dokonaniu pomiaru na cząstce zastępczej. Niech nam tyle wystarczy.

Przez pół stulecia nie było doświadczalnego dowodu, a przeciwstawne poglądy Bohra i Einsteina pozostawały teorią (zdaniem Bohra, odrzucane przez Einsteina „widmowe działanie na odległość”, któremu eksperyment E/P/R właściwie miał zaprzeczyć, nie stało w sprzeczności z interpretacją kopenhaską).

Twierdzenie Bella było pierwszym krokiem do wydania werdyktu sędziowskiego w sporze między gigantami nauki - i do rozwiązania zagadki eksplozji w biblioteczkę Freuda, wrażliwości radiestety de Boera i wielu innych fenomenów paranormalnych (ezoterycznych). Naturalnie, nie od razu zostało to dostrzeżone.

Dopiero połączenie różnych źródeł daje w wyniku jedną całość.

Bell i jego następcy są pierwszym takim źródłem. Nadszedł teraz moment, aby rozpatrzyć szczegółowo to, o czym dotąd tylko napomykaliśmy jako o całościowej, obszernej zasadzie.

Prześledźmy krótko drogi myśli, którymi kroczył irlandzki fizyk John Stewart Bell w 1964 r, kiedy wziął urlop w swoim miejscu pracy w CERN, europejskim ośrodku badań jądrowych w Genewie, aby przemyśleć model Davida Bohma. Szukał on mocnych i nieodpartych argumentów na rzecz „namacalnego” istnienia tego rodzaju „rzeczywistości”, na której musiało się opierać szaleństwo kwantowe. Taki argument odkrył w czasie swojej wizyty w Stanford Linear Accelerator Center (SLAC) w Stanford (Kalifornia).

Stał się on później znany jako twierdzenie Bella, wspomniany już „kit kosmiczny”.

Bell zdawał sobie sprawę, że Bohm słusznie upierał się przy tym, iż poszukiwany przezeń model rzeczywistości musi być nielokalny, a więc niezależny od przestrzeni. Są na to dowody matematyczne, których sobie oszczędzimy. Faktem jest, że zjawiska kwantowe dają się wyjaśnić jedynie na podstawie natychmiastowego przesyłania informacji. To znowu oznacza, że cała rzeczywistość jest nielokalna. Innymi słowy: bez założenia natychmiastowych powiązań (szybszych od światła) nie da się wyjaśnić, co de facto istnieje. Ta teza nie sprzeciwia się powszechnie uznanej kopenhaskiej interpretacji dwoistości natury. Tkwiąca głęboko rzeczywistość powiązanych ze sobą wielkości, jednak bez specyficznych atrybutów,

ukazywałyby określoną „twarz” (fala albo cząstka) dopiero w trakcie pomiaru i zależnie od sposobu jego przeprowadzania. Nie ma tu sprzeczności z poglądami Bohra i Heisenberga ani nawet Einsteina, ponieważ teoria względności postuluje jedynie, że energia nie może rozchodzić się szybciej od światła.

Są to kosmiczne puzzle, których wszystkie elementy trafiają na swoje miejsca.

Do tej koncepcji przyłączyli się liczni fizycy. Clauser i Freedmann na przykład powołują się na myślowe eksperymenty Bella, wysuwając tezę, że sama obserwacja faktycznie wywołuje zmianę rzeczywistości.

Jednak aż do minionego dziesięciolecia poszczególne modele ścierały się ze sobą wyłącznie na gruncie teorii.

W grudniu 1982 r. nastąpił przełom. Teoria stała się praktyką. Do rzeczywistości fizycznej wkroczył wielokrotnie wspomniany „aspekt Aspecta”, zmuszając wielu fizyków do łamania sobie głowy.

Alain Aspect, J. Oalibard i G. Roger udowodnili twierdzenie Bella w praktycznym doświadczeniu. „Kit kosmiczny” istnieje, wszystko rzeczywiście wiąże się ze wszystkim, rzeczywistość jest nielokalna, a więc jednocześnie wszędzie.

Najpóźniej w tym momencie nieodparcie nasuwa się jedno pytanie: co to za dowód, czego właściwie dokonał zespół Aspecta? Otóż dokonał on rzeczy następującej: naukowcy zmusili źródło światła (składającego się z wapnia) do emisji fotonów (kwantów, czyli cząstek światła).

Zrobiono to w taki sposób, aby zawsze para fotonów rozbiegała się w przeciwnych kierunkach. Po przebyciu kilku metrów każdy foton ze swej strony przechodził przez włącznik elektrooptyczny, a następnie filtr polaryzacyjny. Nie zapominajmy, że fotony poruszają się z szybkością światła. Jakakolwiek komunikacja między naszą parą fotonów mogłaby zachodzić tylko z szybkością większą od szybkości światła, ponieważ oddalały się one od siebie.

Idźmy dalej; przemyślność konstrukcji Aspecta polegała na tym, by umożliwić wywarcie wpływu na tor ruchu fotonów.

W 1976 r. fizycy Fry i Thompson przeprowadzili w Teksasie podobne doświadczenie, nie zdołali jednak uzyskać jednoznacznych rezultatów, ponieważ ich sygnał był za słaby. Inaczej było w eksperymencie Alaina Aspecta, przeprowadzonym w Institut d'Optique Theoretique et Appliquee w Orsay we Francji i na uniwersytecie w Paryżu. Tym razem wynik był jednoznaczny, choć groteskowy: oddziaływanie eksperymentatorów na foton (skierowanie go do określonego filtra polaryzacyjnego, odchylenie toru jego ruchu itd.) wywoływało zmianę w zachowaniu drugiego fotonu, na który nie wywierano wpływu. A przecież poruszał się on z szybkością światła w przeciwnym kierunku.

„I to wszystko?” -pomyśli teraz niejeden czytelnik.

Czy podskoki jakichś tam cząstek światła miałyby dowodzić, że wszechświat jest wielką wewnętrzną powiązaną całością, w której my też możemy odegrać rolę, jeśli tylko wiemy jak?

Oczywiście, to już wszystko; i nie trzeba więcej, bo to nie był tylko eksperyment myślowy.

Fizyk kwantowy dr Nick Herbert wyraził następujące zdanie na temat Bella i jego zwolenników:

„Twierdzenie Bella zachowa swoją ważność także wtedy jeszcze, gdy teoria kwantowa wyląduje już na śmietniku fizyki w towarzystwie flogistonu, kaloryki i eteru świetlnego. Twierdzeniu temu przeznaczona jest trwałość, ponieważ opiera się ono na twardych faktach”.

Dziś panuje w znacznym zakresie zgodność poglądów co do tego, że Bell wniósł istotny, o ile nie najistotniejszy wkład w dzieło badania rzeczywistości. Wynikający z jego rozumowania wniosek: „jeśli coś jest związane z przestrzenią, to chodzi o hokus-pokus”, pomaga oddzielać ziarno od plew.

I nie tylko. Przyjmijmy zamiast „nadświetlnego powiązania w czasoprzestrzeni” Bella sformułowanie prostsze, ale wyrażające dokładnie to samo, że mianowicie cząstki pozostają ze sobą w kontakcie telepatycznym. Także on jest - co dowiedzione - natychmiastowy, a więc szybszy od światła.

Pójdźmy jeszcze dalej. Podstawmy na miejsce naszej pary fotonów (albo elektronów) bliźnięta. Na przykład Barbarę Herbert i Daphne Goodship, o których już słyszeliśmy. W ich przypadku, podobnie jak w przypadku innych par bliźniąt, występowały stale zbieżności, których nie można wytłumaczyć podłożem genetycznym (upadek ze schodów i poronienie w przypadku obu młodych kobiet). W świetle twierdzenia Bella i aspektu Aspecta upadek ze schodów jednego z bliźniąt mógłby spowodować taki sam upadek drugiego.

Fantastyczne? Jak najbardziej, ale taka to już bywa rzeczywistość. Jednak są jeszcze i inne poszlaki.

Przypomnijmy sobie pole morfogenetyczne Ruperta Sheldrake'a, ową przyczynowość formatywną, która sprawia, że następne kryształki powstają szybciej i że kiedy jedna owca odkryje możliwość ucieczki przez ogrodzenie, to wiedzą o tym już wszystkie inne. Podobne zjawiska można stwierdzić także w przypadku szczurów, płazińców, papug i ślimaków albo przy uczeniu się sztuki „seksowania kurcząt” i tradycyjnych wierszy japońskich. Morfogenetyczne pole Sheldrake'a opiera się na wyobrażeniu pioniera jakiejś czynności, który w nieznanym terenie żłobi bruzdy jak narciarz. Pozostańmy przy tej analogii: pierwszy narciarz, który przetaił trasę, umożliwia następnym szybszy zjazd w dół z boczka po swoich śladach. Odnotujmy od razu, że jego ślad stanowi formę informacji przeznaczonej dla innych.

Sheldrake postulował pole kształtów, nie mówiąc wszakże, jaka jest jego podstawowa struktura, natura i sposób oddziaływania. Twierdzenie Bella i aspekt Aspecta pomagają przyoblec „szkielet morfogenetyczny” w ciało.

Powoli w hipotezie zaznacza się rola czynnika ludzkiego albo przynajmniej bliskiego przyrodzie ożywionej. Według hipotezy Sheldrake'a w sterowaniu bardziej złożonymi

zdarzeniami - jak choćby rozwojem embriona albo wzrostem komórki -współdziałają całe systemy pól morfogenetycznych. I nie chodzi tylko o tworzenie się struktur, ale także o ich zachowanie się. To z kolei włącza się harmonijnie w kontekst już wspomnianych sprzeczności problematyki ciała i ducha. Jak wiadomo, nasz mózg niekiedy dalej funkcjonuje, jakby nic się nie stało, również wtedy, kiedy poniósł on wielkie szkody, co można porównać do telewizora, który by w najlepsze pracował mając na poły zniszczone układy elektroniczne. W rzeczywistości to się nie zdarza; organizmy żywe nie są jednak urządzeniami technicznymi, ale czymś znacznie, znacznie więcej. Dotyczy to nie tylko Homo sapiens.

Stwierdzono, że u bezkręgowca z gatunku Octopus mimo zniszczenia różnych sekcji pionowego płata mózgu nie zanikały wyuczone nawyki. Trzeba było z tego wyciągnąć wniosek, że pamięć znajduje się wszędzie i nigdzie.

Pamięć nie jest tu odpowiednim pojęciem, należałoby raczej mówić o informacji.

Amerykański fizjolog i anatom George Ellet Coghill strawił czterdzieści lat na studiowaniu stadium embrionalnego i larwalnego rozwoju systemu nerwowego płaza Amblystoma. Pod koniec życia naukowiec ten doszedł do przekonania, że prymitywny i dalece niezależny układ nerwowy wspomnianego gatunku ma świadomość i odzwierciedla przestrzeń i czas w oderwaniu od właściwych zmysłów.

Co więcej, dziełem swego życia Coghill wykazał, że ta wrodzona zdolność musiała być starsza niż filogenetyczny rozwój układu nerwowego i mózgu - u salamandry i człowieka...

Niemало tu okazji do przeżycia olśnienia. Posunęliśmy się wprawdzie daleko, ale czy my w ogóle jeszcze maszerujemy w pierwotnym kierunku? Czy przypadkiem nie straciliśmy z oczu celu ezoterycznego?

Nie. Powstaje bowiem iście kosmiczny obraz, w którym wiedza ezoteryczna znajduje należne sobie miejsce, a być może nawet odgrywa centralną rolę. Zapamiętajmy: wszechświat jest czymś złożonym i okultystycznym, rodzajem super-super-supermózgu, którego siedziba znajduje się gdzieś na zewnątrz (fizycy mówią: w hiperprzestrzeni, ezoterycy mówią o innych wymiarach albo płaszczyznach bytu. Wiele nazw znaczących prawdopodobnie jedno i to samo).

Wszystkie części kosmicznego mózgu wiążą się ze sobą, jeśli nawet tych powiązań nie możemy postrzegać bezpośrednio (eksperyment Aspecta trudno byłoby nazwać postrzeganiem bezpośrednim).

Wszystko to przypomina rękę przykrytą zasłoną. Palce tworzą pod nią wypukłości, można powiedzieć: góry. Dla istoty żywej, której ojczyzną jest powierzchnia tkaniny, „góry” nie mają ze sobą związku. Nie może ona rozpoznać ręki pod tkaniną, co najwyżej domyśla się jej istnienia. Podobnie wygląda chyba i nasza sytuacja. To, co uważamy za cząstki elementarne, to mogą być koniuszki „macek” sterczących z hiperprzestrzeni - czy skądkolwiek bądź - w stronę naszej płaszczyzny bytu. Wspomniane macki należą do ukrytego „ciała” rzeczywistości. Jeśli eksperymentujemy z cząstką, jak w doświadczeniu Aspecta, to w rzeczywistości poruszamy całym tworem. Logicznym tego skutkiem, przynajmniej dla autora tej książki, byłyby odległe działania. Obraz rzeczywistości jako rodzaju polipa z hiperprzestrzeni może się wydać prozaiczny, ale moim zdaniem wszystko, co powiedziano,

do tego się sprowadza. Interpretacja kopenhaska i „kosmiczny kit” Bella w harmonijnym połączeniu.

Dobrze, snujmy dalej argumentację. Jeśli wszechświat stanowi coś w rodzaju supermózgu - z tym wyobrażeniem oswiają się coraz więcej fizyków i kosmologów - to co wtedy musi się mieścić wewnątrz tego kosmicznego mózgu?

Wiedza. A poprawniej -informacja. Ach, tu już kiedyś byliśmy. Czyż nie przypominamy sobie tezy, że wszystko mogłoby przenikać wiedza, że pływamy w środku tytanicznego oceanu informacji, do którego nawet można się włączyć?

Racja, słyszeliśmy o tym, podobnie jak o tym, że nasz duch może stać się tubą tej wiedzy kosmicznej przy zastosowaniu najróżniejszych metod i środków pomocniczych.

Teraz jednak powoli zaczynamy pojmować, dlaczego tak może być. Co prawda, to wciąż jeszcze początki. Bell i Aspect wydobyli na światło dzienne hardware – „technikę” - wszechświata, co jednak z software, oprogramowaniem, duchem? Naszym duchem?

Spotykamy go w innych źródłach. Bell i jego następcy są tylko jednym ze źródeł, jak wspomnieliśmy (jeśli nawet równie obfitym, jak fascynującym).

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych matematyk Charles Muses, badacz LSD dr Timothy Leary oraz znany przyjaciel roślin i ekspert od wykrywaczy kłamstwa Clive Backster wystąpili z twierdzeniem, jakoby siedliskiem świadomości był nie tylko mózg i podobne struktury, ale także komórki, cząsteczki, atomy - i jeszcze bardziej elementarne cząstki...

Co znamienne, fizyk dr Evans Harris Walker, którego główną domeną było konstruowanie nowych rodzajów broni, jako pierwszy opracował na tej bazie pełną fizykę kwantową. Wspólnie z cytowanym już fizykiem kwantowym, doktorem Nickiem Herbertem, dr Walker oświadczył w pewnej rozprawie naukowej, co następuje:

1 Istnieje płaszczyzna subkwantowa. Jest ona siedliskiem ukrytych parametrów, które „regulują wszystko”.

2 Rzeczy, które się dzieją na tej najgłębszej ze wszystkich płaszczyzn, są elementami czującego bytu.

3 Tak więc nasza świadomość kontroluje zdarzenia fizyczne za pomocą praw mechaniki kwantowej.

Nie ulega kwestii, że punkt 3 można odkryć w ezoterycznych tekstach i naukach mądrości - jeśli nawet nie dokładnie w takich słowach.

W każdym razie chyba nie było bardziej prowokacyjnego twierdzenia, odkąd Jezus zawołał: „Ja rzekłem: Bogami jesteście” (J 10.34).

Wracajmy do hard science. Również ona dochodzi do tego samego radykalnego wniosku:

To my jesteśmy ukrytymi parametrami - albo ich częścią. Człowiek jest zatem dosłownie „kowalem losu”, i to nie tylko w przenośnym rozumieniu. To my tworzymy rzeczywistość,

jak mówi dyrektor Center for Theoretical Physics uniwersytetu stanowego w Austin (Teksas), John Archibald Wheeler, unisono z wielowymiarowym Setem Jane Roberts. Tenże Wheeler w 1979 r. na kongresie American Association for the Advancement of Science wywołał tumult, żądając wypędzenia wszystkich badaczy zjawisk paranormalnych ze świątyn nauki. Miał dla nich tylko jedną pogardliwą nazwę: „Pseudos”.

Poznaliśmy już przecież „stwarzanie przez nas rzeczywistości” na płaszczyźnie cząstek elementarnych, w formie dualizmu falowo-korpuskularnego.

Naprawdę? Oczywiście. Pomyślmy tylko: czołowi fizycy kwantowi, wśród nich Wheeler, zakładają, że np. elektrony nie istnieją naprawdę. To my je tylko wprowadzamy do rzeczywistości przez obserwację i pomiar i w dodatku decydujemy, czy mają występować jako fale czy cząstki. Innymi słowy, tworzymy „elektron” dopiero przez obserwację, gdyż nie obserwowany nie ma on ani miejsca, ani impulsu. To wygląda na matematyczne dzielenie włosa na czworo; jednak John A. Wheeler (i inni) poszli jeszcze dalej. Ponieważ nasz wszechświat składa się z cząstek, kreujemy go przez obserwację. Wynikają stąd rzeczy potworne. Fizycy John Barrow i Frank Tipler ujęli to w następujących słowach:

„Możemy obecnie uzyczać istnienia tylko bardzo skromnym rzeczom, na przykład spinowi elektronów. Stwarzanie większej rzeczywistości może być zastrzeżone dla istot żywych, których świadomość jest większa”.

Co prawda, nie istnieje prawo natury, które by nam zabraniało uzyskania takiej większej świadomości. Pod tym względem ważna rola mogłaby przyspaść w udziale wiedzy ezoterycznej.

Na taką możliwość wskazują przeżycia olśnienia. Nachodzą one mistyków i ezoteryków w rezultacie ich praktyk, ale nie tylko ich. Na progu do tamtego świata, w sytuacjach ekstremalnych i z setek innych powodów możemy nagle „poczuć jedność z całym wszechświatem, zrozumieć wszystko, być zarazem największym i najmniejszym” i przeżywać podobne, nie dające się nawet opisać doświadczenia.

Są również alternatywne drogi, z którymi jednak powinno się zachować najwyższą ostrożność i rozwagę. Michael Hutchinson opisuje w swojej książce Megabrain „maszynę mózgu” o nazwie Transcutaneous ElektroNeural Stimulator (czyli mniej więcej „przekraczający skórę stymulator elektro-nerwowy”), którą opracował fizjolog mózgu Joseph Light. Wysłała ona elektryczne prądy do mózgu. Wynalazca wybrał częstotliwość 7,83 Hz, którą wykazują również drgania pola elektrycznego między Ziemią a jonosferą. Hutchinson dał się podłączyć do maszyny, ale sądził, że ona nie działa. Był jednak w błędzie, o czym pisze tak:

Poczułem się, jakbym pękał w szwach, pełen . podziwu i podniecenia [...]. W jednej chwili szereg tematów naukowych, którymi się zajmowałem - były wśród nich takie jak związek między syntezą protein a pamięcią, biochemiczne podłoże nałogów i inne - jakby sam z siebie ułożył się w jedną całość. W moim umyśle dokonało się zjednoczenie i zrozumiałem rzeczy dla mnie nowe [...]. Czuję, że mój mózg pracuje szybciej i skuteczniej niż kiedykolwiek przedtem. Idee rodziły się z taką szybkością, że ledwo mogłem je pojąć.

Nie sposób zaprzeczyć, że ten opis ma charakter mistyczny. Jedność, roztopienie się w czymś większym, ale również groźba utonięcia w oceanie informacji, jeśli nie jesteśmy przygotowani.

Zabawna przestroga: „człowiek może oszaleć przez popielniczkę”, ma wielusetletnią tradycję. I nie bez racji, gdyż taki wgląd w kosmiczną całość, w dosłownym sensie większą rzeczywistość, może wywrzeć wpływ na życie codzienne, i to nie zawsze w sposób pozytywny. Zaczynamy nie dowierzać normalnej świadomości, wszystko wydaje się płaskie, puste i skrajnie zredukowane. Tęsknimy za oświeceniem, które niesą przeżycia „Eureka!” jak to nazwał Arthur Koestler. Wszystko to nie jest wolne od problemów i uświadamia nam, dlaczego inicjacja i inne procedury zbliżenia się do poszerzonej świadomości wymagają wiele czasu, dyscypliny i kontemplacji. Wiedza ezoteryczna ma tę świadomość, natomiast samorealizatorzy i pobudzacze mózgu nie zawsze.

Najwidoczniej można się wspinać na coraz wyższe szczeble świadomości. Od wizji sennych do mentalnego ogarnięcia przestrzeni i czasu, co z powodzeniem można nazwać płaszczyzną „magiczną”. Uspieński i inni mistycy mówią o tym, że dla inicjowanego -czy jakkolwiek inaczej zechcemy nazwać osobę, która przy trzeźwych zmysłach może zająć swoje miejsce w „świadomości kosmicznej” - wewnętrzne staje się zewnętrznym i na odwrót. Inicjowany jest całym wszechświatem, a równocześnie pojedynczym atomem. Przestrzeń i czas okazują się złudzeniem (co ostatnio stwierdziła również nauka).

Nauki mądrości na całym świecie i we wszystkich czasach mówią o odwiecznych, istniejących prawdach, do których racjonalny człowiek zbliża się z trudem krętymi drogami. Te kręte drogi to liczby, słowa, teorie, procedury itd. A przecież wszystkie odpowiedzi istnieją już od dawna, trzeba je tylko umieć rozpoznać. Niekiedy jest to możliwe także bez mistycznego przeszkolenia.

Słynny pisarz angielski Robert Ranke Graves (Ja, Klaudiusz) mógł za swych szkolnych lat intuicyjnie sprowadzać do swego ducha wiadomości podręcznikowe i rozwiązania zadań szkolnych, mimo że według jego własnych słów był słaby w matematyce, posiadał jedynie fragmentaryczną wiedzę o gramatyce greckiej, a na temat historii Anglii miał tylko mgliste pojęcie. Jego metoda jednak pozwalała mu „obserwować z boku” to, co niejasne i bez związku, po czym nagle pojawiał się sens, związek i jasność. Opisuje on swoją ówczesną sztukę jako „superlogikę”, pozwalającą dokonać błyskawicznego przeskoku z pytania na odpowiedź. Pośrodku nie było nic. Niczym mentalne przejście kwantowe albo „olśnienie”, jeśli ktoś woli pozostać przy starych określeniach. Takich przypadków jak ten jest całe mnóstwo.

Poeci i myśliciele wszystkich epok wręcz wołają, że jesteśmy więźniami naszych ograniczonych zmysłów. Goethe, Shelley, Proust i wielu innych uskarżają się na nieuchronność tej ciasnoty, pisząc żarliwie o dalekich, rozległych łąkach, które wydają się nieosiągalne.

Mistycy i ezoterycy dążą ku tym łądom, nie zawsze łagodną drogą. Ponieważ oświecenie (od krótkiego przeblysku aż do świadomego wnikania w większe sfery) wymaga pewnego „wstrząśnięcia”, toteż niektóre techniki ezoteryczne tak robią. Na przykład na kontrowersyjny system Gurdżijewa składa się seria szoków, które nazywał on „budzikami”, ponieważ mają

one obudzić „śpiącą maszynę, człowieka”. Gurdżijew nie certował się przy aplikowaniu stymulatorów, które miały popędzić jego zwolenników do przejścia od ich stanu mechanicznej drzemki do wyższej świadomości; wpadał np. do sypialni swoich uczniów i strzelał palcami, na który to sygnał wszyscy zrywali się z łóżek i przyjmowali skomplikowane postawy ciała. Ta końska kuracja wprawdzie przynosiła sukcesy, ale i szkody psychiczne.

Skrajności, jak wiadomo, kryją w sobie pułapki.

W każdym razie mistyczne doświadczenie jest najwidoczniej odwróceniem owego wrogiego naturze procesu, któremu nadaliśmy nazwę „postęp” i o którym już Sokrates powiedział trafnie i gorzko: „Filozof spędza życie na usiłowaniu rozdzielenia ducha i ciała”.

Jeśli to wszystko na chłodno wziąć w rachubę, to pozostanie tylko - ze wszech miar pocieszający - wniosek, że zanieczyszczenie środowiska, przestępczość, deklaracje podatkowe i wiadomości wieczorne to jeszcze nie wszystko. Wprawdzie wciąż jeszcze nie wiemy dokładnie, dlaczego właściwie tu jesteśmy, ale byt nie musi być tak bezsensowny, jak nauka jeszcze w XIX w. niewzruszenie twierdziła. Dzisiaj również najbardziej abstrakcyjna ze wszystkich nauk nosi cechy mistyczne, jest mistyką par excellence.

Tak więc wracamy do tworzonej przez nas rzeczywistości, za czym przemawia fizyka kwantowa.

To my usztywniamy to bezkształtne coś ukrytej rzeczywistości i zmuszamy je do przyjęcia postaci w formie elektronu albo dynamiki jako fala elektronowa. My i nikt inny (co naturalnie w żadnym razie nie ma oznaczać, że stworzyliśmy się sami. Nie powinno się pomijać tego aspektu nowej fizyki, który należy nazwać religijnym. Jaskrawy, w dosłownym sensie bezbożny materializm jest passe).

Teraz pójdziemy za ciosem, jednak zauważmy: im bardziej zagłębialiśmy się w roztrząsanie naukowych kwestii, tym bardziej filozoficzna staje się koncepcja zasadnicza.

Dr Evan Harris Walker i dr Nick Herbert nie zadowolili się wypowiedzią, że jesteśmy ukrytymi parametrami, do których należy ostatnie słowo. Wychodząc od swojej interpretacji obaj naukowcy opracowali równanie służące do przewidywania wymiaru wahań kwantowych, które powoduje duch człowieka, jak sądzą. Związane z tym eksperymenty praktyczne prowadził przez ponad dwadzieścia lat inżynier elektrotechnik Haakon Forwald. I kto by się spodziewał, z całą jasnością potwierdziły one przewidywania. Znaczące rezultaty uzyskiwane w niezliczonych eksperymentach psychokinezy (rzuty kośćmi, karty a la Blanks, Rhine/Zener itd.) przyznały im rację. Tak więc rusztowanie stoi pewnie, a jego ogólna konstrukcja jest następująca:

Wszystko jest przyczyną wszystkiego (przypomnijmy sobie suficką przypowieść o Nasrudinie). Każde zdarzenie kwantowe następuje na podstawie innego zdarzenia kwantowego, które zaszło na podstawie pierwszego zdarzenia kwantowego itd. - aż do totalnego szaleństwa.

Ta koncepcja, która daje się udowodnić, ale nie zrozumieć, pozbawia znaczenia każdą znaną nam formę przyczynowości. Jej miejsce zajmuje superprzyczynowość, działająca we wszystkich kierunkach. Przez przestrzeń i czas.

Częścią tych wszystkich osobliwości jesteśmy my: nosiciele ducha, kółka zębate „wszechświata informacji”, współtwórcy rzeczywistości.

Innymi słowy: Wszyscy jesteśmy (w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości) powiązani niezależnie od miejsca i czasu. To wyobrażenie zazębia się z innymi wyobrażeniami fizyki kwantowej i nie wyklucza żadnego z przykładowych przypadków przedstawionych na początku tej części książki.

Tak jest: Rafael Gonzales mógł mieć sen przedstawiający jego własne zamordowanie, a Lady Rhys Williams mogła usłyszeć przez radio wiadomość o zwycięstwie Goldwatera, choć przekazano ją dopiero siedem godzin później. Arnold Toynbee mógł bezcieleśnie przenieść się w przeszłość, a Susi Bauer z Nowego Jorku do Milwaukee. Zgiełk bitewny mógł rozbrzmiewać w Edgehill koło Keinton, a uderzenie pioruna jako przyczyna śmierci mogło przechodzić z pokolenia na pokolenie. Ba, nawet radioniczna maszyna Abramsa-Drown-de la Warr traci nieco ze swej dziwaczności.

Według doktora Herberta tylko ta koncepcja uniwersalnego wpływu jest w stanie pogodzić ze sobą eksperyment E/P/R, twierdzenie Bella, załamujące się wektory stanu, przejścia kwantowe, bezprzyczynowości paradoks obserwatora, a jednocześnie ostatecznie wypędzić precz przypadek. Inni fizycy myślą tak samo.

Jeszcze raz powtórzmy, do czego się wszystko (ostatecznie) sprowadza:

Jedynym ukrytym parametrem jest świadomość, swo-bodnie się przemieszczająca i wszechobecna w przestrzeni i czasie.

To wręcz zmusza do postawienia zarzutu: Jeśli jest tak rzeczywiście, to dlaczego my tego nie zauważamy?

Dlaczego zazwyczaj mamy nieomyślne poczucie, że nasza świadomość jest zlokalizowana za naszymi czołami i nie możemy sprawić, aby zgodnie z naszym kaprysem wędrowała sobie dokoła (przynajmniej nie w formie namacalnej)?

Po pierwsze, to poczucie wcale nie jest tak naturalne, jak może się wydawać. Sufici i hindusi wykonują ćwiczenia w celu przemieszczania świadomości po całym ciele, a Chińczycy od zawsze byli zdania, że znajduje się ona w środku ciężkości ciała (ten pogląd jest podstawą dalekowschodnich sztuk walki, jak kungfu, karate, aikido itd.).

Co ciekawe, chiński ideogram oznaczający sens, duszę, rozum, jest rysunkiem przedstawiającym wątrobę i serce, co niekoniecznie musi świadczyć o niewiedzy (wystarczy choćby pomyśleć o akupunkturze i podobnie skutecznej wiedzy tajemnej). Ponadto zachodnia psychologia odkryła, że doświadczenia z dzieciństwa decydują, jak odczuwamy samych siebie. Nie istnieje coś takiego jak przyrodzone siedlisko świadomości własnej jaźni. Jest to nam tylko wpojone. Moglibyśmy z pewnością dokonywać zdumiewających czynów, gdybyśmy nie wiedzieli, że nie możemy.

Mówi się np. o pewnej klinice terapeutycznej „gdzieś w Ameryce”, do której są przyjmowane tylko małe dzieci (bez rodziców) po utracie części ciała wskutek wypadku itd. Podobno odrastają im np. palce, i to tylko i wyłącznie dzięki temu, że pacjenci jeszcze nie zdążyli się nauczyć, jak bardzo jest to niemożliwe. Jak powiedzieliśmy, to tylko pogłoska - jeśli jednak

chodzi o samą zasadę, to mieszcząca się w granicach tego, co wyobrażalne. Ja sam nie zdołałem dowiedzieć się na ten temat niczego więcej.

Krótki tymczasowy bilans:

Fizyka (!) powiada: wszędzie i w każdym czasie istnieje świadomość, a psychologia dodaje: tu i teraz jest tylko naszym odczuciem, ponieważ od dziecka zostaliśmy tak wychowani (przez pranie mózgu w celu uzyskania „zdrowego rozsądku”). Nasuwa się wniosek odwrotny, że techniki ezoteryczne cofają ten efekt wychowania - i już nasz duch dostaje skrzydeł. Ten wgląd wyda się nam znajomy. Jak jednak przedstawia się sprawa innej strony (mam na myśli wykorzystanie w praktyce)?

Dr Jack Sarfatti, przewodniczący Grupy Badań Fizyki i Świadomości, opuścił już płaszczyznę teoretyczną (w tym przypadku chyba również filozoficzną) i pracuje nad systemem informacyjnym szybszym od światła na bazie tego wszystkiego, co właśnie poznaliśmy (zgłoszenie patentowe USA nr 071165 z 12 V 1978). Inni wynalazcy podobno starają się opracowywać podobne konstrukcje, gdy tymczasem ZSRR według słów zachowującego anonimowość naukowca z dziedziny fizyki jądrowej podobno już eksploatuje takie urządzenie. No cóż. W każdym razie okazuje się, że istnieją jeszcze inne paranormalno-ezoteryczne patenty oprócz patentu Karela Drbala na energię piramidy nr 93304.

Kolejny patent ezoteryczny jest zresztą jeszcze w przygotowaniu. Rosyjski naukowiec Gienadij Siergiejew opracowuje obecnie przyrząd do psychometrii przedmiotów, przypominający „retrospektyw” z klasycznej powieści science fiction Kurta Lasswitza *Auf zwei Planeten*.

Tu podamy małe wyjaśnienie: pojęcie psychometrii zostało ukute w XIX w. przez profesora Rhodesa Buchanana, który w badaniach statystycznych dowiódł, że bardzo wiele ludzi identyfikuje materiały przez dotykanie (także pod przykryciem), czyta treść zapieczętowanych listów i może określić sytuację autora (więcej o tym w mojej książce *Niewytłumaczalne zjawiska*). Krótko mówiąc, przy odpowiednim treningu prawie każdy może odbierać informacje dotyczące przeszłości Ziemi, przedmiotów itd. Gurdżijew mówił w związku z tym o „zbiornikach wiedzy” (świętych miejscach, starych lub sakralnych, i innych obiektach), z których można ją świadomie czerpać. On sam podaje, że w ten sposób doszedł do głębokich odkryć, między nimi „prawa trzech i siedmiu”. Wracajmy do „nadświatelnego telefonu”.

Carl Sagan w każdym razie wyraził się o projekcie Sarfattiego pozytywnie, choć z lekką ironią. Całe to zamieszanie niewiele pewnie obeszło tego ostatniego, ponieważ, jak się zdaje, ma on skłonność do egzotycznych koncepcji (zastanawiał się np. nad zdarzeniami kwantowymi, jakie mogą mieć miejsce w czasie akcji gięcia łyżek na odległość przez Uri Genera; hasło: tachyonic link - powiązanie tachioniczne). Sarfatti wątpi, aby Rosjanie mieli system telekomunikacji nadświatelnej. Jednak spodziewa się tego po cywilizacjach pozaziemskich. Na uwagę Sagana, że takie próby kontaktu z istotami pozaziemskimi są „skazane na niepowodzenie”, Jack Sarfatti odpowiedział, iż próby Carla Sagana i jego współpracowników nawiązania kontaktu z kosmitami przez radio są przejawem „szowinizmu elektromagnetycznego”.

To oryginalny spór uczonych, ożywczy w porównaniu ze śmiertelnie poważnymi dyskusjami, do których jesteśmy przyzwyczajeni w innych przypadkach.

Co ciekawe, również korzenie naukowych hipotez, koncepcji i w ostatecznym rezultacie praktycznych prób zastosowań podejmowanych przez Jacka Sarfattiego mają nie całkiem codzienną naturę. Można by je nazwać mistycznymi.

Aby to zrozumieć, musimy poznać do końca jego wnioski w związku z nowym pojmowaniem świata przez fizykę kwantową. Są one doprawdy równie komiczne jak skrajne.

Postulował on, że poniżej płaszczyzny czasoprzestrzeni wszechświata, postrzeganego przez nas, znajduje się (na co miał nadzieję Einstein, co zakładał Bohm, a co odkryli Bell i Aspect) subkwantowy świat jednostek informacji.

Można im nadać różne nazwy: kwanty informacji, mikrointeligencje itd. Stanowią one hardware wszechświata. Software stanowi „kosmiczny kit”. Jeśli Sarfatti ma rację - a wszystko na to wskazuje - to informacja przenika wszystko i jest ukrytym parametrem narzucającym pianie kwantowej program, który scala znany nam wszechświat i określa stałe przyrody.

Jeśli rozważyć cechującą cząstki elementarne podstawową potrzebę tworzenia wzorów, to myśl o „kosmicznym programowaniu” brzmi przekonująco (pamiętajmy: my też jesteśmy „wzorami”, „odciskiem” wszechświata, manifestacją niepojętego stworzenia...).

Cytat z Sarfattiego: „Według twierdzenia Bella inteligencja (informacja) musi w systemie występować wszędzie, jeśli gdzieś w nim jest reprezentowana”.

Tak więc cały wszechświat, każda cząstka, ma swój udział w informacji. Koło się zamknęło. Najwidoczniej duch poszczególnych ludzi może w określonych warunkach (techniki ezoteryczne, przeżycie „Eureka!”, wzburzenie...) „dostroić się” do tego kosmicznego systemu informacyjnego i operacyjnego (hasło: channeling) świadomie albo nieświadomie. Równie dobrze może dochodzić do wzajemnych oddziaływań bez bezpośredniego udziału człowieka (hasło: parapsychologia). Róg obfitości wiedzy ezoterycznej jest wprost niewyczerpany.

Wróćmy do Sarfattiego. Jak sam opowiada, jego zainteresowania naukowe zostały zbudzone już za młodu serią tajemniczych telefonów. Ktoś (albo coś) z drugiej strony przewodu twierdził, że jest „pozaziemskim komputerem” i w różowych kolorach malował intelektualne radości studiów nad fizyką. Jack Sarfatti do dziś nie umie wyjaśnić tych telefonów. Wciąż jeszcze się waha, czy głos w słuchawce należał do jakiegoś żartownisia, istoty pozaziemskiej, komputera kosmicznego czy agenta CIA.

W każdym razie nie jemu jednemu zdarzyło się coś takiego, jeśli dać wiarę własnym relacjom danej osoby. Amerykański pisarz Morgan Robertson nigdy nie przestał twierdzić, że przy pisaniu opowiadania *Futility*, później nazwanego *The Wreck of the Titan* (stanowiącego najsłynniejszą pisemną przepowiednię wszystkich czasów), pomagał mu astralny współautor.

Neurolog dr Andrija Puharich informuje, że w czasie zakrojonych na wielką skalę badań nad Uri Gellerem (które doprowadziły do napisania książki *Uri*) odbierał stale przesłania od rzekomo pozaziemskiej istoty mówiącej głosem podobnym do komputerowego.

Amerykański pisarz John A. Keel wylicza w swoich książkach *Haunted Planet* oraz *The Mothman Prophecies* setki świadków, którzy na przestrzeni trzydziestu lat otrzymywali

podobnie zagadkowe telefony, a wśród nich ponure napomnienie: „Obudźcie się, wy tam na dole!” Nie można zresztą powiedzieć, aby robiło to szczególne wrażenie; skoro istnieje tak wielu anonimowych rozmówców telefonicznych, którzy się wyspecjalizowali w treściach seksualnych, dlaczego nie mieliby być również tacy, którzy mają fioła na punkcie mistyki i istot pozaziemskich? To całkiem możliwe, jednak kryje się za tym coś więcej.

Doświadczenia doktora Puharicha wykraczają bowiem poza wspomniane przesłania. W czasie roboczej sesji neurologa z pewnym Hindusem nazwiskiem Vinod ten ostatni zaczął nagle przemawiać innym głosem. Posługujący się nim z angielskim akcentem egzotyczny mówca oświadczył, że jest członkiem „dziewięciu zasad i sił”. Choć było to dziwne zdarzenie, dr Puharich odłożyłby zapewne próbę komunikacji ze strony owych „nadludzkiej inteligencji” ad acta, gdyby nie spotkał w Meksyku rodziny lekarza, która miała dobre kontakty z „dziewięcioma zasadami i siłami”. Sednem sprawy przy tym jest fakt, że przekazywane przez tę rodzinę informacje były dokładnie dalszym ciągiem obecnej wiadomości dla doktora Puharicha, przesłanej via doktor Vinod.

W 1971 r. dr Puharich otrzymał telefoniczną wiadomość, że jego znajomy, brazylijski uzdrowiciel, poniósł śmierć w wypadku; nastąpiło to kwadrans przedtem, zanim ów senior Arigó zginął w swoim samochodzie.

Nawet otwarci naukowcy i rzecznicy najśmielszych teorii niewiele tu mogą wymyślić. Jack Sarfatti na przykład jeszcze najbardziej skłania się ku temu, by przypisać telefony od jego kosmicznego komputera pewnemu rodzajowi wstecznej przyczynowości, jaką już zarysował w koncepcji tachyonów linko. W jego obrazie łączy się wszystko harmonijnie, aczkolwiek dziwnie: wszechświat jako mega-mega-megakomputer i wydarzenia subkwantowe jako mikro-mikro-mikrostruktury półprzewodnikowe wygodnie ułożone w nieskończonym oceanie informacji. Jasne, że zgłębianie jej pochodzenia musi pozostać zastrzeżone dla teologów i filozofów.

Do tej samej dziedziny należy także jego patent nadświetlony nr 071165. Uosabia on pozazmysłowe prądy mózgu w taki sposób, w jaki komputer odzwierciedla czy też ma odzwierciedlać logiczną aktywność mózgu.

A więc do tego już doszło, że komputery przejęły władzę nawet w kosmosie i w jądrze atomu.

Bez obawy, pojęcie „komputera” jest tylko analogią, która wskazuje na prawidłowości, nie zaś na mechaniczne procesy. Tych bowiem się nie znajdzie ani w komputerach ostatniej generacji - które zaczynają już prezentować coś w rodzaju „natury Buddy” - ani w nowoczesnej kosmogonii. Natomiast co można łatwo znaleźć, to ezoteryczny pierwiastek w fizyce i fizyczny pierwiastek w wiedzy ezoterycznej - i ukrytą jedność obu.

Rozciągający się bez końca przez przestrzeń i czas ocean informacji pełen bezczasowych powiązań mógłby być tą jednością. Jednością, w której my (jako ukryty parametr) mamy decydujący udział.

Budujący obrazek, przedstawiający wiedzę ezoteryczną i naukę jako pogodzonych ze sobą, dawniej wrogich braci.

A przy tym zawsze istniały wspólne punkty, których wystarczyło tylko poszukać; z czym też od razu wiązały się problemy. Nawet nauki przyrodnicze z wahaniem zrastają się w

integrujące całościowe struktury (np. biofizyka, nowa dyscyplina naukowa, która prawie z miejsca wydała rewolucyjne odkrycia na temat powstania życia, natury raka i wielu innych zagadnień).

O ileż bardziej problematyczna musi oczywiście być np. synteza fizyki, parapsychologii i jogi kundalini. Spróbujmy tego jednak dokonać na przykładzie. Istnieje zjawisko spontanicznego samospalenia (Spontaneous Human Combustion, SHC), któremu poświęciłem kilka rozdziałów w mojej książce Niewytłumaczalne zjawiska. Tutaj powiemy tylko tyle:

Wciąż się zdarza, że ludzie nagle stają bez przyczyny w płomieniach, które ich trawią w niepojęty sposób na popiół, pozostawiając przy tym nienaruszone wszystko wokół (czasem nawet ich własne ubranie nie ulega zniszczeniu). Procesy te są fizycznie niewytłumaczalne. A teraz przejdźmy do naszej - czysto teoretycznej - hipotezy, która jest możliwa tylko pod warunkiem połączenia fizyki z wiedzą ezoteryczną. Jakie podstawy miałaby teoria głosząca, że dochodzi z nieznanых powodów do wybuchu energii czakranów, która błyskawicznie spopiela dane osoby? No dobrze, a jak miałyby się to odbywać z punktu widzenia nauk przyrodniczych?

Na pograniczu nowej fizyki, tam gdzie względność spotyka się z fizyką kwantową, napotykamy dziwną „energię próżni”. Na podstawie obliczeń, którymi nie będziemy się męczyć, teoria kwantowa kojarzy z nieobecnością materii nie - jak nakazywałby rozsądek - zero, ale dużą pozytywną wartość, W na jednostkę objętości.

Kontrowersyjny i znany fizyk Richard Feynman, jeden z twórców elektrodynamiki kwantowej, obliczył masę ekwiwalentną na jednostkę objętości. Wyszło mu około dwóch miliardów ton na centymetr sześcienny. Masa ta, przemieniona według genialnego wzoru Einsteina $E = mc^2$, dostarczałaby dość energii, aby doprowadzić do wrzenia wszystkie morza naszej planety. I to, zauważmy, tylko w jednym centymetrze sześciennym.

Był to, podkreślam, tylko przykład. Nikt nie reprezentuje tezy, że SHC jest energią czakranów wybuchającą z próżni.

Zamiast tego chcemy apelować o „myślenie oboczne”, jak to się nazywa w psychologii, myślenie „w poprzek systemu”, w celu wkroczenia na nowe drogi. To właśnie tu robimy.

Powstaje oto równie nowy jak - z punktu widzenia wiedzy ezoterycznej - stary obraz bytu, według zasady „Jak w górze, tak na dole”, gdzie jedno zawiera się w drugim i na odwrót.

W obrazie tym jest miejsce dla astrologii, radiestezji, channelingu, mocy piramidy, wiadomości z zaświatów, reinkarnacji, duchów opiekuńczych i wielu innych spraw. Właściwie dla wszystkiego. Nie ma konkurencji. Nauka nie „kasuje” wiedzy ezoterycznej - ani na odwrót. Dlaczego miałyby tak być? Części, które mają swoje miejsce, nie muszą go bronić kosztem innych.

W gruncie rzeczy sprawa jest jasna.

A więc krąg się zamknął. Mistyczne fakty zmusiły naukę do wypadu na dziwaczne nowe terytoria tylko po to, by stwierdzić, że dla innych wcale nie były one takie nowe. Tylko że tamci nie przemawiali językiem równań i abstrakcyjnych symboli, to cała różnica. „Temat

rozmowy" naukowców i ezoteryków jest jednak ten sam: człowiek i kosmos, duch i materia, świat niematerialny...

Synchroniczność, „kosmiczny kit”, świadomość światowa - różne nazwy na określenie tego samego?

Być może. Niektórzy naukowcy powiedzieliby nawet: bardzo prawdopodobne. W końcu eksperymenty jednoznacznie pokazują hardware (fale/cząstki, kwanty informacji) i software wszechświata (program, sama informacja, plan uniwersalny).

Takie eksperymenty co prawda, w których ma jeszcze coś do powiedzenia także świadomość obserwatora. Przypomnijmy sobie wniosek laureata Nagrody Nobla doktora Briana Josephsona, że różne rezultaty doświadczeń w Europie i w USA, przeprowadzonych w takich samych warunkach, można przypisać różnym oczekiwaniom europejskich i amerykańskich eksperymentatorów.

Występują nawet jeszcze daleko bardziej groteskowe oddziaływania zwrotne i zbieżności. Nie ma w tym nic nowego, nowy jest jedynie fakt zajmowania się tymi sprawami. Dawniej wiele z nich wmiatano pod dywan. Naukowca, który by je wydobył i zaczął rozpatrywać, spotkałby taki sam los jak archeologa Fredericka Bonda, który odkrył opactwo Glastonbury dzięki pomocy spirytualnej - i poinformował o tym.

W naszych czasach docierają do nas informacje o całkiem innych jeszcze osobliwościach, i to pochodzące od renomowanych uczonych, nierzadko przedstawiających od razu całe teorie, od których włos się jeży na głowie. Element fantastyczny zaczęto dopuszczać na salony, ponieważ nie można mu było dłużej zaprzeczać. Zapanowała nawet przeciwna tendencja: nauka szuka go i podejmuje wyzwanie. Do takich konfrontacji stosuje się niemal wszelkie dostępne środki. Odpowiednio dziwaczne bywają uzyskiwane wyniki. Niech to pokaże ostatni, szczególnie zabawny przykład. Pewnego razu Saul-Paul Sirag, wiceprzewodniczący Grupy Badań Fizyki i Świadomości Jacka Sarfattiego, zażył LSD, aby się dowiedzieć, czy w zmienionym stanie świadomości zdoła ujrzeć rzekomą istotę pozaziemską, która, jak twierdził poddawany wówczas badaniom Uri Geller, miała stać za mm.

Zapoczątkowało to wprost psychodeliczną reakcję łańcuchową.

Sirag zobaczył głowę sokoła.

Sześć miesięcy później dokładnie ta sama głowa sokoła pyszniła się na okładce ulubionego magazynu Siraga „Analog”. Rysunek ten był ilustracją do opowiadania The Horus Errand i przedstawiał znanego sokoła Horusa z mitologii egipskiej.

Dr Andrija Puharich -jak wiadomo autor książki Uri - nic nie wiedział o osobliwym przeżyciu Siraga, kiedy powiedział, że Uri Geller zidentyfikował swojego pozaziemskiego partnera jako sokoła i nadał mu imię „Horus”.

Obok sokoła na okładce „Analog” widniała twarz należąca do medium z Teksasu nazwiskiem Ray Stanford. Człowiek ten podawał, że miał tajemnicze przeżycia z Uri Gellerem i sokołem.

Autor ilustracji na okładce, Kelly Freas (słynny rysownik science fiction), który połączył w niej twarz Stanforda i głowę sokoła, nigdy nie spotkał Tekszańczyka. Freas oddał rysy Stanforda nieświadomie.

Kompletne szaleństwo! Prawda?

Ależ skąd. Sarfatti i Sirag nie widzą w tych dziwacznościach powodu do zdenerwowania. Nie traktują ich ani jako złudzenie zmysłów, ani jako interwencje sił pozaziemskich, ale jako wiązkę logicznych dowodów na Bella zwrotne oddziaływanie subkwantowe niezależne od czasu i miejsca.

Powinniśmy jednak jeszcze kontynuować jedno rozumowanie. Chodzi o kwestię możliwego punktu końcowego procesu zrastania się człowieka i kosmosu, który uruchomiła ewolucja, który stara się obliczyć nauka, a któremu naprzeciw wychodzi wiedza ezoteryczna. Czy mogą istnieć jeszcze wyższe szczeble ponad najwyższą ze znanych form inicjacji? Albo też jak wysoko można się wznieść?

Jeśli nawet na nas robi niezwykle wrażenie to, czego się dowiadujemy o ezoterykach i magach, może to być tylko wierzchołek góry lodowej. Wiedza ezoteryczna sugeruje istnienie tej góry, jednak nie przekazuje wielu zrozumiałych informacji na jej temat. Podobnie jak na temat tego, jak należy sobie wyobrazić „ostatni szczebel inicjacji” (o ile w ogóle można to sobie wyobrazić).

Czy nauka mogłaby tu dostarczyć jakichś wskazówek, choćby niechcący?

Byłoby to możliwe do pomyślenia. Zrekapitulujmy krótko, jakie wrażenie wywierają na nas istoty ezoteryczne, które muszą być umiejscowione na jednym z najwyższych szczebli hierarchii ezoterycznej. Są niczym duchy, dla których, jak się zdaje, nie istnieje przestrzeń, czas ani przeszkody materialne. Przenoszą się z przyszłości w teraźniejszość, i na odwrót, materializują się, gdzie chcą, nie może ich zatrzymać żadne więzienie ani zranic żadna broń.

Czy takie zdolności można by było zdefiniować także naukowo?

Oczywiście. My jesteśmy istotami trójwymiarowymi, dla których obowiązuje tu i teraz, dzisiaj i wczoraj. Mury mogą nas zatrzymać. Wędrujemy z jednej miejscowości do drugiej, przebywając pewną drogę. Zakrzywienia przestrzeni, wymiary ente i inne istotne cechy naszego wszechświata są niedostępne naszemu oglądowi (jako „tłumacza” potrzebujemy matematyki). Nasze mózgi są organami redukcijnymi, które transformują misterium stworzenia do jedynie trzech wymiarów.

Co jednak byłoby w zasięgu możliwości takiej formy życia, której ojczyzną jest czwarty wymiar albo która przyswoiła go sobie drogą rozwoju?

Wszystko.

Pójdźmy przez moment w przeciwnym kierunku, a stanie się jasne, do czego zmierzamy. Istnieje powieść wielowymiarowa, w której jako autor występuje „stary kwadrat”. Powieść ta nosi tytuł Flatland. Narrator jest istotą dwuwymiarową. Opowiada on najpierw o swoim dwuwymiarowym świecie ojczystym, a potem o podróży do krainy czarów trzeciego wymiaru, ojczyzny kuli, która we Flatlandzie posiada magiczne właściwości. Dlaczego tak

jest, to oczywiste. Gdyby ktoś chciał zamknąć istotę dwuwymiarową, to wystarczyłoby zakreślić wokół niej linię (koło, kwadrat itd.) i już nie mogłaby ona wyjść. Nas nie można w ten sposób unieruchomić, bo my możemy po prostu przekroczyć linię - właśnie przez trzeci wymiar.

Ta zwyczajna czynność wydaje się egzotyczna, kiedy się ją w ten sposób opisuje.

Naturalnie, w rzeczywistości ta powieść nie pochodzi wcale spod pióra starego kwadratu, bo życie bez trzeciego wymiaru raczej nie mogłoby istnieć (pamiętajmy, że nawet tak płaskie istoty jak flądry nie są jeszcze wcale dwuwymiarowe).

Autorem powieści Flatland jest Edwin A. Abbott (1838 - 1926), były dyrektor City School of London. Choć pod jego nazwiskiem ukazało się przeszło czterdzieści dzieł o klasycznej literaturze i religii, dziś jest znany przede wszystkim dzięki tej małej wielowymiarowej książeczce z 1884 r. Wyciągi z niej przedrukowano nawet w „Teubners mathematisch-physikalischer Bibliothek”. Wersją Flatlandu dla generacji komputerów była powieść science fiction, która kilka lat temu przebojem zdobyła listy bestsellerów w USA, pod tytułem Planiversum. Jest w niej mowa o matematykach opracowujących komputerowy model dwuwymiarowego wszechświata. Nagle jedna z symulowanych istot żywych zaczyna żyć własnym życiem na ekranie komputera. Nastąpiło połączenie „programu dwuwymiarowego świata” z rzeczywistym światem dwóch wymiarów.

Autor powieści, Alexander K. Dewdney, jest wysoko wykwalifikowanym informatykiem, który zachęcił kolegów z innych dyscyplin wiedzy do wzięcia udziału w jego zabawie myślowej. W ten sposób powstała powieść osadzona w naukowo przemyślanych realiach dwuwymiarowego wszechświata. Jest w niej dwuwymiarowa technika, fizyka, biologia, chemia, a nawet dwuwymiarowa codzienność.

Jakie wrażenie musiałyby wywierać nasz świat na przedstawicielach dwuwymiarowej cywilizacji, gdyby doszło do nawiązania kontaktu?

Magiczne. Mało tego, niepojęte.

Mówiąc o dualizmie falowo-korpuskularnym stwierdziłem, że to tak, jakby coś było jednocześnie okrągłe i kanciaste. Każmy teraz naszym dwuwymiarowym przyjaciółom via komputer, aby sobie wyobrazili coś, co jest jednocześnie okrągłe i kanciaste. W ich dwóch wymiarach to niemożliwość. Jednak nie dla nas. Walec jest okrągły, kiedy wziąć pod uwagę ścianki zakrzywione, a kanciasty, kiedy patrzymy na niego z boku po ustawieniu go pionowo. To raczej proste. Ale dwuwymiarowa istota nie może postawić takiego walca w trzecim wymiarze, obracać go ani odwracać.

Podobnie my nie jesteśmy w stanie nic zrobić w czwartym wymiarze z tym czymś, co się nam raz przedstawia jako cząstka, a raz jako fala, zależnie od tego, jak to obserwujemy. Nasi dwuwymiarowi rozmówcy podlegają podobnym ograniczeniom, bo walec zależnie od rzutowania w ich dwuwymiarowym świecie przyjmie zawsze postać albo prostokąta, albo koła czy elipsy, nigdy jednak obu naraz, czym jest walec w trzecim wymiarze jako bryła.

Także my możemy przedstawiać obiekty czterowymiarowe. Znany jest tak zwany Tesseract, czterowymiarowa hiperkostka. Jednak czy się ją rysuje, czy przedstawia jako model, więcej niż trzech wymiarów nie da się uzyskać. Oryginalne opowiadanie science fiction Roberta A.

Heinleina *And he Built a Crooked House*, o architekcie, co zbudował dom zgodnie z prawami hiperkostki, który po zbudowaniu jest wszędzie i nigdzie zarazem, bawi wprawdzie czytelnika, ale nigdy nie stanie się rzeczywistością.

Doskonale; ale czy czwarty wymiar nie jest przypadkiem tylko metafizyczną metaforą albo czasem absolutnym, jak się niekiedy argumentuje, fałszywie interpretując teorię względności?

Niekoniecznie. Dla istoty dwuwymiarowej nasz trzeci wymiar także byłby dostępny rozumowi eniu tylko przez analogię. Jak mógłby dwuwymiarowy matematyk wpaść na trop rzeczywistości trzeciego wymiaru? Przez potęgowanie. Pierwszy wymiar to punkt. W drugim trzeba mu nadać rozciągłość, a więc go spotęgować przez drugi wymiar długości, aby mógł się stać kołem, kwadratem czy jakąś inną figurą geometryczną.

Koło z kolei stanie się bryłą po podniesieniu do następnej w kolejności potęgi trzeciego wymiaru. I już mamy kulę.

A co potem? Podnieśmy coś do potęgi czwartego wymiaru. W słynnej powieści science fiction Marka Cliftona *Star bright* hiperkostka Tesseract służy jako duchowy wehikuł do uzyskania paranormalnych (ezoterycznych) zdolności, włącznie z przenoszeniem się w przestrzeni i czasie. Jako plan do budowy realnego domu może nie zdaje egzaminu, ale jako środek medytacji (mandala) - kto wie? W *Star bright* hiperkostka jest stosowana w takim charakterze i daje magiczne efekty. W każdym razie ta droga nie jest całkiem wolna od ezoterycznych akcentów.

Pozostaje ostatnia przeszkoda. Pytanie, czy cała ta teoria ma jakiegokolwiek znaczenie praktyczne. Bez niego istoty czterowymiarowe musiałyby pozostać taką samą abstrakcją jak (tylko matematycznie) podniesiona do potęgi czwartego wymiaru przestrzeń albo zakrzywienie czasoprzestrzeni.

Cóż więc musiałoby zwrócić uwagę dwuwymiarowego matematyka, który by płasko i skromnie prowadził swoje badania, nie wiedząc, że robi to na powierzchni kuli?

Stwierdziłby on ku swemu przykreemu zaskoczeniu, że coś się nie zgadza z pewnikami euklidesowej geometrii (o ile są mu znane).

Suma kątów trójkąta, rysowanego na powierzchni wspomnianej kuli, byłaby za duża. To rezultat zakrzywienia, które musi pozostać niepojęte dla dwuwymiarowego matematyka, jeśli nawet nauczy się je obliczać.

A w naszym trójwymiarowym świecie? Czy możemy zaobserwować i zmierzyć coś porównywalnego z tym, co byłoby nie tylko matematyczną abstrakcją, ale namacalnym faktem?

Oczywiście.

Także dla nas suma kątów byłaby większa, gdyby tylko rozpiąć trójkąt w przestrzeni kosmicznej.

Poprzestaniemy na tym. Niech z tymi dziwnymi zjawiskami - które wskazują na istnienie czterowymiarowych uskoków geometrii czasoprzestrzeni i dają się konkretnie obserwować i

mierzyć szczególnie w dziedzinie supergravitacji, soczewek grawitacji i innych podobnie egzotycznych spraw - zmagają się astrofizycy, co też robią z zaciętością. Decydujące znaczenie ma zapewne jeden czynnik: istnieją wyższe płaszczyzny, na temat natury których można mieć różne zdania. Co może się na nich rozgrywać, czy można do nich jakoś dotrzeć, świadomie czy nieświadomie, i czy mogą być ojczyzną widmowych istot (czwartego wymiaru) - to inna sprawa. Istnieją pewne poszlaki, a ich ocena musi pozostać domeną każdego z osobna. Przez ten próg nauka nie jest w stanie się przebić.

Także my powinniśmy się oprzeć pokusie nazbyt śmiałych spekulacji. Elementy kosmiczno-ezoterycznego puzzla leżą przed nami. Jaką mozaikę się z nich ułoży, to znowu sprawa prywatna. Niewątpliwie jest wiele możliwych mozaik, co całkiem się zgadza z duchem ezoteryki i fizyki kwantowej.

Jak powiedział fizyk i autor science fiction Arthur C. Clarke: „Najnowocześniejszej nauki nie da się odróżnić od magii”. Jak się zdaje, już dziś nie można odróżnić magii od nauki. Gdzie bowiem należy szukać różnicy między zjawiskiem tunelowym elektronów, które nurkują przez imaginacyjny czwarty wymiar i beczasowo przeskakują z miejsca na miejsce, nie przebywając drogi (znowu całkiem konkretny proces), a zniknięciem markiza C.S. z zamkniętego pokoju na oczach świadków (co się zdarzyło 29 lipca 1928 r. na zamku Millesimo) albo brazylijskiego kupca Carlo Mirabelli (1889 - 1951), który również opuścił zabezpieczone pomieszczenie, mimo że nawet był skrupowany? Podobnie jak nasze widmowe elektrony, markiz i Mirabelli pojawili się w innym miejscu.

Carlos Mirabelli dokonywał licznych takich „przeskoków w przestrzeni”, przeważnie w biały dzień i nieraz na odległość kilkudziesięciu kilometrów. Naukowcy kontrolowali go, przeprowadzali obserwacje - i stali przed zagadką.

Mury, zamki, plomby na drzwiach i oknach w każdym razie nie stanowiły w tym przeszkody. W podobnie małym stopniu dwuwymiarowe więzienie (np. koło) może zatrzymać istotę trójwymiarową, ponieważ może je ona po prostu przekroczyć. Na ile trafne są te porównania, tego nie wiemy. Być może ludziom przytrafiają się przeżycia czterowymiarowe, które wykraczają poza ograniczenia tu i teraz, wczoraj, dzisiaj i jutro, a może wszystko jest całkiem inaczej.

Może, może, może...

Z tym „może” na ustach przejdziemy do zakończenia.

Obserwowaliśmy wiedzę ezoteryczną pod różnymi kątami i wydobyliśmy na światło dzienne sprawy fascynujące. Naturalnie nie wszystko, jednak trudno było tego oczekiwać.

Podobnie jak wielowarstwowi i różnorodni są ludzie krocący śladem wiedzy ezoterycznej, aby zrozumieć to, czego nie ma w podręcznikach szkolnych i/lub wzbogacić swój byt przez tę wiedzę, tak wielowarstwowa jest też sama wiedza ezoteryczna. Niejednego musiało więc zabraknąć, nie zabrakło natomiast - mam nadzieję - nici przewodniej. Próba, którą tu podjęliśmy, miała służyć inwentaryzacji tych zjawisk, których nie można tak po prostu zmierzyć, zważyć, zaklasyfikować i racjonalnie wyjaśnić, a które mimo to są ważne w życiu wielu ludzi.

Już choćby z tego powodu nie wolno ich lekceważyć. Podobnie jak osób nimi zainteresowanych.

Niech więc ostatnie słowo należy do Nielsa Bohra. Ten wybitny uczony, który tak mocno wierzył w komplementarność wszystkiego, że zaprojektował dla siebie herb, którego centralnym motywem były symbole jin i jang, powiedział: „Głęboka prawda to takie stwierdzenie, którego przeciwieństwo jest również głęboką prawdą”.

* J. w. Goethe, Faust, przeł. F. Konopka, Warszawa 1993.

* Autor pisał te słowa w 1990 r. (przyp. tłum.).

* I-Cing - Księga przemian, spolszczył O. Sobański, Warszawa 1992.

* J. W. Goethe, Faust, przeł. F. Konopka, Warszawa 1993.

* Lucjusz Anneusz Seneka, Pisma filozoficzne, przeł. L. Joachimowicz, Warszawa 1965.

* Encyklopedia zjawisk paranormalnych, przeł. P. Lipszyc, Warszawa 1995.